



GORZKA  
CZEKOLADA

Herman  
Koch

# DOM LETNI Z **BASENEM**



Media Rodzina



Herman  
**Koch** **DOM** LETNI  
Z **BASENEM**

Tłumaczyła Iwona Mączka

**Media Rodzina**

# Spis treści























































































































Tytuł oryginału  
ZOMERHUIS MET ZWEMBAD

*Zomerhuis met Zwembad* © 2011 by Herman Koch  
Originally published by Ambo|Anthos Uitgevers, Amsterdam  
Copyright © 2015 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt logotypu Gorzka Czekolada  
Dorota Wątkowska

Projekt okładki  
Andrzej Komendziński

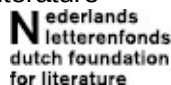
Ilustracja na okładce  
Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-099-7

**Media Rodzina Sp. z o.o.**  
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 08 60  
[mediarodzina@mediarodzina.pl](mailto:mediarodzina@mediarodzina.pl)  
[www.mediarodzina.pl](http://www.mediarodzina.pl)

Książka wydana przy wsparciu Dutch Foundation for Literature



Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

# ROZDZIAŁ 1

Jestem lekarzem pierwszego kontaktu. Przyjmuję pacjentów od wpół do dziewiątej rano do pierwszej po południu. Nie spieszę się. Każdemu pacjentowi poświęcam dwadzieścia minut. Te dwadzieścia minut to moja wizytówka.

— Gdzie dziś jeszcze jakiś lekarz poświęci ci dwadzieścia minut? — mówią ludzie, przekazując sobie tę informację.

— On nie zapisuje zbyt wielu nowych pacjentów — dodają.

Prowadzę listę oczekujących. Kiedy któryś pacjent umrze lub się przeprowadzi, wystarczy jeden telefon, a na jego miejsce zgłasza się pięciu nowych.

Pacjenci myślą czas z uwagą. Wyobrażają sobie, że poświęcam im więcej uwagi niż inni lekarze pierwszego kontaktu, lecz ja poświęcam im jedynie więcej czasu. Już po minucie wiem to, co powinienem wiedzieć. Pozostałe dziewiętnaście minut wypełniam uwagą, a właściwie jej iluzją. Zadaję zwykłe pytania:

— Co słyhać u syna/córki? Czy zaczął pan lepiej sypiać? Czy nie je pani zbyt dużo/moło?

Umieszczam stetoskop najpierw na ich klatce piersiowej, a potem na plecach.

— Proszę głęboko wciągnąć powietrze — mówię — i powoli je wypuścić.

Właściwie nie słucham, a przynajmniej próbuję nie słuchać. Od wewnątrz wszystkie ludzkie ciała brzmią tak samo. Przede wszystkim oczywiście bicie serca. Serce o niczym nie wie, ono pompuje. To maszynownia, a maszynownia utrzymuje jedynie statek w ruchu, nie określa jego kursu. Dalej odgłosy wnętrzości, narządów. Nadwerężona wątroba wydaje inny odgłos niż zdrowa. Wymęczona wątroba stęka. Stęka i błaga. Błaga o jeden wolny dzień. O dzień, w którym będzie mogła uporać się z największym brudem. Teraz nie może nadążyć. Utrudzona wątroba przypomina restaurację, której nigdy nie zamykają. Brudne garnki się nawarstwiają. Zmywarki pracują pełną parą, lecz sterta brudnych naczyń i przypalonych garów wciąż rośnie. Wycieńczona wątroba marzy o tym jednym wolnym dniu, który nigdy nie nadejdzie. Każdego popołudnia o wpół do piątej, może o piątej (a czasem już wcześniej), nadzieja na ów wolny dzień definitywnie umiera. Jeśli wątroba ma szczęście, to na początku jest tylko piwo. W wypadku piwa większość roboty można zwalić na nerki. Zawsze znajdą się jednak tacy, którym piwo nie wystarcza. Oprócz niego sięgają po coś jeszcze: dzin, wódkę czy whisky. Po coś, co wypijają jednym haustem. Nadwerężona wątroba opiera się, aż w końcu pęka. Najpierw robi się twarda jak zbyt mocno napompowana dętka. Wystarczy wtedy jedynie niewielka nierówność w nawierzchni drogi, by strzeliła.

Słucham przez stetoskop. Naciskam palcem twarde miejsce tuż pod skórą. Czy tutaj boli? Jeśli nacisnę mocniej, pęknie w moim gabinecie, a na to nie mam ochoty. To straszny bajzel. Krew zalewa wszystko

jedną wielką falą. Żaden lekarz nie chce, żeby mu pacjent zmarł gabinetnie. W domu może robić, co chce. We własnym domu, w środku nocy, w swoim łóżku. W wypadku pękniętej wątroby przeważnie nie udaje mu się nawet dotrzeć do telefonu. A karetka i tak nie zdążyłaby na czas.

Co dwadzieścia minut składa mi wizytę kolejny pacjent. Mój gabinet znajduje się na parterze. Zjawiają się w nim pacjenci o kulach lub na wózku inwalidzkim. Niektórzy ważą zbyt dużo, inni nie mogą złapać oddechu; w każdym razie nie są już w stanie wejść po schodach. Schody oznaczałyby dla nich pewną śmierć. Innym zdaje się jedynie, że ich ostatnia godzina wybije, gdy tylko postawią nogę na pierwszym stopniu. Tacy pacjenci stanowią większość. Przeważnie nic im nie dolega. Stękają i jęczą, wydają odgłosy, jakby w każdej sekundzie dnia śmierć zaglądała im w oczy. Opadają z westchnieniem na krzesło naprzeciwko mojego biurka, choć nic im nie jest. Słucham o ich dolegliwościach. Tutaj boli i tam, czasem promieniuje aż na sam dół... Robię zainteresowaną minę, bazgrzę coś na karteczce. Proszę, by wstali i przeszli za mną do gabinetu zabiegowego. Nielicznym mówię, by się rozebrali za parawanem, większości nie. Ludzkie ciała i w ubraniu są wystarczająco odpychające. Nie chcę ich oglądać, zwłaszcza tych części ciała, do których nigdy nie dociera światło słoneczne. Fałdów skóry, pomiędzy którymi zawsze jest zbyt ciepło, a bakterie mają pełne pole do popisu; grzybic i miejsc zapalnych między palcami u nóg i pod paznokciami; palców, które coś rozdrapują, palców, które trą aż do krwi...

— Tutaj, panie doktorze, tutaj swędzi najbardziej...

Nie, nie chcę tego oglądać. Udaję, że patrzę, a tymczasem myślę o czymś innym. O kolejce w wesołym miasteczku — na pierwszym wagoniku zamontowany jest zielony łeb smoka — ludzie wyrzucają ramiona w górę i krzyczą, ile powietrza w płucach. Kątem oka dostrzegam mokre kępki włosów łonowych, czerwone zainfekowane łyse placki, na których już nigdy nie wyrosną włosy, i myślę o samolocie eksplodującym w powietrzu, o pasażerach, wciąż przypiętych pasami do foteli, dla których rozpoczyna się właśnie ciągnący się kilometrami upadek w nieskończoność. Jest zimno, powietrze jest rozrzedzone, w dole czeka na nich ocean.

— Piecze, gdy się załatwiam, panie doktorze. Jakbym szpilkami sikał...

Bomba wybucha w pociągu tuż przed wjazdem na stację; prom kosmiczny Columbia rozpada się na miliony kawałków; drugi samolot wbija się w południową wieżę WTC.

— Tutaj piecze, panie doktorze, o, tutaj...

— Wystarczy, proszę się ubrać — mówię. — Wypiszę receptę.

Niektórzy pacjenci nie potrafią ukryć rozczarowania.

— Receptę?

Jeszcze przez kilka sekund stoją, nie pojmując, ze spuszczone do kolan slipkami lub figami. Zwolnili się rano z pracy, coś im się za ich pieniądze należy, nawet jeśli pochodzą one ze składek płaconych przez społeczność zdrowych ludzi. Chcieliby, żeby lekarz ich przynajmniej pomacał, żeby naciągnął gumowe rękawiczki i wziął coś w swe profesjonalne ręce, chociażby jedną część ich ciała. Żeby choć jeden palec gdzieś włożył. Oni chcą zostać zbadani. Nie wystarczy im wieloletnie doświadczenie lekarza, który na



jeden zawodowy rzut oka potrafi rozpoznać, co komu dolega, ponieważ widział to samo sto tysięcy razy wcześniej. Ponieważ jego doświadczenie podpowiada mu, że i w tym sto tysięcy pierwszym przypadku nie musi wkładać rękawiczek.

Czasami jest to jednak nieuniknione. Czasami badanie jest konieczne. Przeważnie za pomocą jednego lub dwóch palców, nieraz całej ręki. Wkładam rękawiczki.

— Proszę położyć się na boku...

Dla pacjenta oznacza to punkt zwrotny. Nareszcie czuje, że biorę go na serio, za chwilę zacznie się badanie palpacyjne. Nie kieruje już wzroku na moją twarz, patrzy wyłącznie na moje dłonie — na dłonie, na które wciągam rękawiczki. Zadaje sobie pytanie, jak udało mu się do tego doprowadzić, zastanawia się, czy na pewno tego chce. Przed nałożeniem rękawiczek umyłem ręce. Umywarka znajduje się naprzeciwko leżanki, podczas mycia rąk stoję do niego plecami. Nie spieszę się. Podwinąłem rękawy. Czuję na sobie jego wzrok. Wodą z kranu oblewam nadgarstki. Najpierw dokładnie myję dłonie, a następnie przesuwam się wzdłuż przedramienia w górę. Choć przez odgłos lejącej się wody nie słyszę, to wiem, że oddech pacjenta przyspiesza, kiedy dochodzę do łokci. Nie tylko przyspiesza, ale nawet zatrzymuje się na parę sekund. Zostanie zbadany *per rectum*, o co sam, świadomie lub nie, zabiegał. Tym razem nie dał się zbyć receptą. Jednak zaczęły się rodzić wątpliwości. Dlaczego lekarz myje i dezynfekuje ręce aż po łokcie? Ciało pacjenta napina się, w chwili gdy właśnie powinno się rozluźnić. Rozluźnienie to podstawowy warunek bezkolizyjnego przebiegu badania *per rectum*.

Tymczasem odwróciłem się i wycieram moje dłonie, przedramiona i łokcie. Kiedy wyciągam z szuflady zapakowaną w plastikową torebkę parę rękawiczek, ciągle jeszcze nie patrzę na pacjenta. Rozrywam torebkę, stawiam nogę na pedale kosza na śmieci i ją wyrzucam. Dopiero teraz, podczas wkładania rękawiczek spoglądam po raz pierwszy na pacjenta. Jego wzrok jest, jak by to wyrazić, inny niż w momencie, gdy odwracałem się, by umyć ręce.

— Proszę się położyć — mówię, nim zdąży słowami wyrazić wątpliwości dotyczące badania *per rectum*. — Twarzą do ściany.

Nagie ciało jest mniej poniżające niż spodnie i majtki spuszczone do kostek. Nie tak bezbronne. Nogi jeszcze w skarpetkach i butach, spętane spodniami i majtkami, jak u więźniów skutyh wspólnym łańcuchem podczas pracy. Osoba ze spuszczonymi do kostek spodniami nie ucieknie. Można ją poddać badaniu *per rectum* albo wymierzyć cios pięścią w twarz. Albo wystrzelić w sufit magazynek pistoletu. Już mam, do cholery, dosyć wysłuchiwania tych wszystkich kłamstw! Raz, dwa, trzy...

— Proszę spróbować się rozluźnić — powtarzam — i spokojnie odwrócić na bok.

Naciągam gumowe rękawiczki głębiej na palce i podciągam jeszcze wyżej, nad nadgarstki. Odgłos rozciągającej się gumy zawsze kojarzy mi się z balonami. Balonami na urodzinowe przyjęcie, nadmuchiwanymi w nocy, by zrobić niespodziankę jubilatowi.

— To może być trochę nieprzyjemne — ostrzegam — Musi pan przede wszystkim spokojnie oddychać.

Chociaż pacjent, bardziej niżby chciał, zdaje sobie sprawę z mojej obecności tuż za jego częściowo

obnażonym ciałem, to nie może mnie już zobaczyć. To właśnie chwila, w której, nie śpiesząc się, dokładnie oglądam jego ciało, a w każdym razie jego nagą część.

Do tej pory założyłem, że pacjentem jest mężczyzna. W powyższym przykładzie na stole zabiegowym leży mężczyzna ze spuszczoneymi spodniami i majtkami. Kobiety to inna historia, wkrótce do nich przejdę. Mężczyzna, o którym mowa, próbuje odwrócić głowę w moją stronę, ale, jak wspominałem, nie może mnie zobaczyć.

— Niech pan spokojnie położy głowę — mówię — i proszę się przede wszystkim rozluźnić.

Niewidoczny dla pacjenta kieruję teraz spojrzenie na jego obnażone pośladki. Już zapowiedziałem, że badanie może być trochę nieprzyjemne. Pomiędzy tym stwierdzeniem a nieprzyjemnym uczuciem nie ma nic. To niczym niewypełniony, najbardziej pusty moment całego badania. Sekundy upływają bezdźwięcznie, jakby odmierzał je metronom z wyłączonym tykaniem — metronom stojący na pianinie w niemym filmie. Nie doszło jeszcze do kontaktu cielesnego. Na gołych pośladkach widać odcisk majtek: czerwone pręgi pozostawione na skórze przez gumkę. Czasami są tam wypryski albo znamiona. Skóra w tym miejscu jest przeważnie zbyt blada, to jedno z miejsc, do których rzadko dociera słońce. Prawie zawsze jest tam jednak owłosienie, im niżej, tym gęstsze. Jestem leworęczny. Prawą rękę kładę na ramieniu pacjenta. Poprzez gumę rękawiczki czuję, jak ciało się napina. Chciałoby się rozluźnić, lecz instynkt jest silniejszy, więc opiera się, broni przed zbliżającym się z zewnątrz atakiem.

Moja lewa ręka znajduje się już tam, gdzie powinna. Kiedy wsuwam do wnętrza środkowy palec, usta pacjenta otwierają się, wargi rozsuwają, a spomiędzy zębów wymyka się westchnienie. Coś pomiędzy westchnieniem a jękiem.

— Spokojnie — mówię — to nie potrwa długo.

Próbuję o niczym nie myśleć, ale to zawsze jest trudne. Dlatego myślę o tym, jak kiedyś zgubiłem kluczyk od roweru na zabłoconym boisku do piłki nożnej. Skrawek błota mniejszy niż metr kwadratowy, a gdzieś na nim, byłem tego pewien, leżał mój kluczyk.

— Boli tutaj? — pytam.

Teraz mój palec wskazujący dołącza do środkowego. We dwóch szybciej go znajdują.

— Trochę? Gdzie? Tutaj...? Czy tutaj?

Na boisku padał deszcz, kilka reflektorów wciąż jeszcze świeciło, ale było zbyt ciemno, żeby móc coś zobaczyć. Przeważnie to prostata: rak albo jedynie powiększenie gruczołu. Podczas pierwszego badania trudno coś na ten temat powiedzieć. Mogłem pójść do domu na piechotę, a następnego dnia wrócić i w świetle dziennym szukać dalej. Ale moje palce już w nim tkwiły, błoto weszło głęboko pod paznokcie, równie dobrze mogłem szukać dalej.

— Au! Tutaj, panie doktorze! Kurwa! O, przepraszam... O kurwa mać!

I wtedy nadszedł właśnie ten moment, w mokrej mazi moje palce poczuły coś twardego. Ostrożnie, to może też być kawałek szkła... Trzymam to jeszcze pod światło, skąpe światło latarni stojącej przy boisku, ale właściwie już wiem. Błyszczący się, lśni. Nie będę musiał wracać na piechotę. Nie patrząc na

ręce, ściągam rękawiczki i wyrzucam do kosza na śmieci.

— Proszę usiąść. Niech się pan ubierze. Na tym etapie nie można jeszcze postawić diagnozy — stwierdzam.

Upłynęło już półtora roku od chwili, gdy Ralph Meier zjawił się nagle w mojej poczekalni. Oczywiście, że natychmiast go rozpoznałem. Czy mógłby na chwilę... To właściwie nic takiego, zapytał. W gabinecie przeszedł natychmiast do sedna sprawy. Czy to prawda, co mu ten i ów powiedział, że łatwo przepisuję... Tutaj rozejrzał się lękliwie wokół, jakby się bał, że ktoś mógłby nas podsłuchiwać. Ten i ów byli moimi stałymi pacjentami. Koniec końców wszyscy sobie tę informację przekazywali i właśnie w ten sposób Ralph Meier do mnie trafił.

— To zależy — odparłem. — Najpierw muszę zadać panu kilka ogólnych pytań na temat pańskiego zdrowia, żeby później nie było żadnych niespodzianek.

— A potem? — naciskał. — Jeśli wszystko będzie w porządku, to czy wtedy...

Skinąłem głową.

— Tak — potwierdziłem. — To da się załatwić.

Jest półtora roku później, Ralph Meier nie żyje, a ja mam się jutro stawić przed Izbą Lekarską. Nie dlatego, że mu wtedy pomogłem, ale z powodu czegoś, co zdarzyło się ponad pół roku później, a co można by określić mianem błędu w sztuce lekarskiej. Izby Lekarskiej raczej się nie obawiam, w świecie lekarskim wszyscy się znamy, często razem studiowaliśmy. Tu nie ma takiej sytuacji jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie adwokat może zrujnować lekarza, który postawił błędną diagnozę. W tym kraju musiałbyś mocno narozrabiać, ale nawet i wtedy: ostrzeżenie albo zawieszenie prawa wykonywania zawodu na kilka miesięcy. I to byłoby wszystko.

Muszę się jedynie postarać, by członkowie Izby rzeczywiście uznali to za błąd w sztuce lekarskiej. Nie mogę stracić głowy. Sam muszę na sto procent w to wierzyć — w ów błąd w sztuce lekarskiej.

Pogrzeb odbył się kilka dni temu na uroczym wiejskim cmentarzu w zakolu rzeki. Wiatr ruszał gałęziami wysokich starych drzew i szeleścił liśćmi. Ptaki ćwierkały. Stałem na samym końcu, to wydało mi się rozsądniejsze, ale na to, co nastąpiło potem, nie byłem przygotowany w najmniejszym stopniu.

— Jak śmiałeś tu przyjść!

Nastąpiła chwila całkowitej ciszy, wydawało się, że nawet wiatr ucichł, a ptaki nagle zamilkły.

— Parszywy łajdaku, jak śmiesz?! Jak śmiesz!

Judith Meier miała głos zawodowej śpiewaczki, głos, który dotarłby nawet do słuchaczy z ostatnich rzędów sali koncertowej. Wszystkie twarze odwróciły się w moją stronę. Judith stała przy otwartej tylnej klapie karawanu, z którego grabarze przed chwilą podnieśli na barki trumnę z ciałem jej męża.

Teraz kroczyła w moim kierunku, torując sobie drogę pośród setek gości, którzy robili miejsce, by mogła przejść. W głębokiej ciszy przez pół minuty jedynym słyszalnym dźwiękiem był odgłos jej

wysokich obcasów na żwirze alei podjazdowej.

Zatrzymała się tuż przede mną. Spodziewałem się, że mnie spoliczkuje albo że będzie walić pięściami w klapy mojej marynarki. Innymi słowy, że zrobi scenę, w tym zawsze była dobra.

Nie zrobiła tego jednak.

Popatrzyła na mnie. Białka jej oczu nabiegły krwią.

— Łajdak — powiedziała ponownie, tym razem dużo ciszej.

Po czym splunęła mi w twarz.

## ROZDZIAŁ 2

Zadanie lekarza pierwszego kontaktu jest proste. On nie musi nikogo leczyć, lecz sprawić jedynie, by ludzie nie trafiali masowo do specjalistów i szpitali. Jego poczekalnia to przyczółek. Im więcej osób uda mu się zatrzymać na przyczółku, tym lepszym jest lekarzem. Rachuba jest prosta. Gdybyśmy jako lekarze pierwszego kontaktu każdego z chrypką, płamką na skórze albo kaszlem kierowali do specjalisty, to system całkowicie by się załamał. Całkowicie. Ktoś to kiedyś wyliczył. Wniosek brzmiał, że załamanie systemu nastąpiłoby jeszcze szybciej. Wystarczyłoby, żeby każdy lekarz pierwszego kontaktu kierował na specjalistyczne badania ponad jedną trzecią swoich pacjentów. System już po dwóch dniach zacząłby pękać w szwach, a po tygodniu by upadł. Lekarz pierwszego kontaktu to obrońca przyczółka.

— To zwykłe przeziębienie — stwierdza. — Proszę się kurować, a jeśli po tygodniu nie przejdzie, to proszę przyjść ponownie.

Po trzech dniach pacjent dusi się w łóżku własną flegmą.

— To się czasem zdarza — mówisz. — Rzadkie połączenie czynników, występuje najwyżej u jednego na dziesięć tysięcy pacjentów.

Pacjenci nie potrafią wykorzystać swej liczebnej przewagi. Jeden po drugim wywoływani są do gabinetu. Na przekonanie każdego pacjenta o tym, że nic mu nie dolega, przeznaczam dwadzieścia minut. Przyjmuję od wpół do dziewiątej do pierwszej. To oznacza trzech pacjentów na godzinę, dwunastu do trzynastu na dzień. Dla systemu jestem idealnym lekarzem. Lekarze pierwszego kontaktu, którzy uważają, że uda im się załatwić sprawę, przeznaczając na pacjenta połowę tego czasu, przyjmują codziennie dwudziestu czterech pacjentów. W wypadku dwudziestu czterech pacjentów ryzyko, że kilku z nich się przebiję, jest większe niż w wypadku dwunastu. To też kwestia odczucia, jakie się wywoła. Pacjent, który dostanie dziesięć minut, prędzej odniesie wrażenie, że jest zbywany, niż pacjent, któremu tę samą gadkę zaserwuje się w dwadzieścia minut. Ten poczuje, że jego objawy są traktowane z powagą. Taki pacjent mniej będzie nalegał na dalsze badania.

Oczywiście, że zdarzają się błędy. Bez błędów system nie mógłby istnieć. Warunkiem istnienia systemu takiego jak ten są właśnie jego błędy. Nawet mylna diagnoza może mieć przecież pozytywny skutek. Ale często mylna diagnoza nie jest wcale potrzebna. Naszą najważniejszą bronią, bronią lekarzy pierwszego kontaktu, jest lista oczekujących. Nieraz wystarczy tylko o niej napomknąć.

— Na to badanie czeka się od pół roku do ośmiu miesięcy — mówię. — Dzięki temu zabiegowi pański stan lekko by się poprawił, ale, niestety, jest lista oczekujących...

Połowa pacjentów rezygnuje natychmiast po usłyszeniu słów „lista oczekujących”. Widzę wyraz ulgi na ich twarzach. Rozejdzie się po kościach, myślą. Nikt nie ma ochoty na to, by wpychano mu przez

gardło sondę grubości węża ogrodowego.

— To badanie nie jest przyjemne — zaznaczam. — Może lepiej poczekać i zobaczyć, czy nie przejdzie dzięki lekarstwom i odpoczynkowi. Po pół roku pomyślimy, co dalej.

Zastanawia mnie, jak to jest możliwe, że w tak bogatym kraju jak nasz są listy oczekujących na zabiegi. Myślę wtedy o złożach gazu i o jego rezerwach. Nieraz poruszałem ten temat podczas nieformalnych spotkań z kolegami. Raz zapytałem:

— Ile metrów sześciennych gazu trzeba by sprzedać, żeby w ciągu tygodnia zlikwidować kolejkę czekających na operację stawu biodrowego? Jak to jest, na miłość boską, możliwe, że w takim cywilizowanym kraju jak nasz ludzie umierają, zanim dotrą na początek kolejki?

— Tak tego nie można kalkulować — stwierdzili koledzy. — Nie można zestawiać ze sobą rezerw gazu i liczby odroczonej operacji stawu biodrowego.

Pokłady gazu są ogromne. Według najmniej optymistycznego scenariusza wystarczy ich na co najmniej sześćdziesiąt lat. Sześćdziesiąt lat! Jest tego więcej niż złóż ropy naftowej w Zatoce Perskiej. Jesteśmy bogatym krajem. Jesteśmy równie bogaci jak Arabia Saudyjska, Kuwejt, Katar — a ludzie wciąż u nas umierają, bo zbyt długo musieli czekać na nową nerkę. Noworodki umierają, ponieważ karetka, która na łeb na szyję powinna je zawieźć do szpitala, tkwi w korku. Życie ciężarnych narażone jest na poważne ryzyko, gdyż my, lekarze pierwszego kontaktu, wmówiliśmy im, że poród w domu jest bezpieczny, podczas gdy tak naprawdę powinniśmy im byli powiedzieć, że jest jedynie tańszy. I również w tym wypadku oczywiste jest, że gdyby każda matka domagała się prawa do rodzenia w szpitalu, system załamałby się w ciągu tygodnia. Zgony noworodków i noworodki, których mózg uległ uszkodzeniu, ponieważ podczas porodu domowego nie można podać tlenu, są po prostu wliczone w ryzyko. Od wielkiego dzwonu ukazuje się na ten temat artykuł w czasopiśmie medycznym, jego fragmenty trafiają do gazet i z nich też dowiadujemy się, że śmiertelność noworodków w Holandii należy do najwyższych w Europie i reszcie zachodniego świata, ale do tej pory nikt nie wyciągnął z tego żadnych wniosków.

W tym wszystkim lekarz pierwszego kontaktu jest właściwie bezsilny. On może tylko kogoś uspokoić. W każdym razie może postarać się o to, że pacjent przez pewien czas nie zwróci się o pomoc do specjalisty. Może wmówić kobiecie, że rodząc w domu, nie naraża się na żadne ryzyko. Że to wszystko jest bardziej „naturalne”. „Naturalne” w takim sensie, w jakim naturalna jest także śmierć. Możemy przepisać maść, tabletkę na sen, możemy wypalić za pomocą kwasu znamię, usunąć wrastający paznokcie. Są to często nieprzyjemne zabiegi, tak jak sprzątanie w kuchni, usuwanie gąbką przypalonych resztek spomiędzy palników kuchenki gazowej.

Czasem nie mogę w nocy spać. Myślę wtedy o złożach gazu. Czasem wyobrażam sobie, że przypominają one bańkę mydlaną, która tkwi tuż pod powierzchnią ziemi. Wystarczy wywiercić w niej dziurkę, a gaz z niej uleci albo bańka pęknie. Innym razem pokłady gazu rozciągają się na większej powierzchni. Leżą w sypkiej ziemi. Niewidzialne molekuły gazu wymieszane z drobinami ziemi. Bezwonne. Wystarczy iskra, a wszystko eksploduje. Iskra staje się płomieniem pochłaniającym w ciągu



kilku sekund podziemny obszar wielkości setek kilometrów kwadratowych. Wierzchnia warstwa ziemi obluzowuje się, mostom i budynkom brakuje oparcia, ludzie i zwierzęta tracą grunt pod nogami, całe miasta zapadają się w płonącym podłożu. Leżę w ciemnościach z otwartymi oczami. Czasami zagłada naszego kraju przyjmuje formę filmu dokumentalnego. Filmu dokumentalnego wyświetlanego na kanale National Geographic, z wykresami i animacjami komputerowymi; rodzaju dokumentu, w którym National Geographic się wyspecjalizował: o przerwanych tamach, o tsunami, o lawinach śnieżnych i błotnych, pochłaniających wioski i miasta, o całym zboczach góry wulkanicznej odrywającym się od wyspy. Zbocze tonie w morzu i wzbudza falę, która osiem godzin później i kilkadziesiąt kilometrów dalej osiąga wysokość tysiąca dwustu metrów. „The Disappearance of a Country”<sup>1</sup>, jutro wieczorem o dwudziestej pierwszej trzydzieści w tym programie. Nasz kraj. Nasz kraj pochłonięty przez własne złoża gazu.

Kiedy nie mogę w nocy spać, zdarza mi się myśleć o Ralphie Meierze. Na przykład o jego roli cesarza Augusta w serialu telewizyjnym o tym samym tytule. On był stworzony do tej roli, co do tego wszyscy są zgodni, zarówno jego zwolennicy, jak i wrogowie. Przede wszystkim ze względu na posturę, na tuszę, której nabierał wraz z upływem lat. Tuszę, którą można wyhodować jedynie dzięki systematycznym ucztom w restauracjach z co najmniej jedną gwiazdką Michelina. Dzięki wystawnym grillom w przydomowym ogrodzie: kiełbasom z Niemiec, szynkom z Bułgarii, całym jagniętom z holenderskiej wyspy Texel na obracającym się roźnie. Pamiętam te grille, jakby miały miejsce zaledwie wczoraj: za dymiącymi płomieniami olbrzymia sylwetka Meiera, który własnoręcznie odwraca hamburgery i nóżki kurczaka. Jego nieogolona, nabiegła krwią twarz, widelec do grilla w jednej, a półlitrowa puszka piwa Jupiler w drugiej ręce. Jego głos, który niósł się daleko po trawniku. Głos jak dźwięk syreny przeciwmgielnej. Głos umożliwiający orientację zbiornikowcom i kontenerowcom wpływającym do odległych zatok i nieznanymi portów. Ostatni grill odbył się wcale nie tak dawno, myślę, że jakieś pięć miesięcy temu. Już wtedy był chory. Wciąż był osobą, która obraca mięso, ale wziął sobie plastikowe krzesło, bo musiał przy tym usiąść. To, w jaki sposób choroba — szczególnie ta, na którą on zapadł — atakuje ludzkie ciało, jest zawsze fascynującym widowiskiem. Sposób, w jaki powoli je wyniszcza. To jest wojna. Wrogi komórki zwracają się przeciw dobrem. Najpierw przypuszczają atak z boku, na flanki. Atak ten jest słaby i łatwy do opanowania, on ma jedynie podrażnić i odwrócić uwagę głównych sił. Wydaje ci się, że wygrałeś, odparłeś przecież pierwsze ukłucie szpilką. Lecz główne siły wroga kryją się, zaczajone głębiej w ciele, w ciemnym miejscu, w którym promienie rentgenowskie, ultradźwięki ani fale magnetyczne nie mogą ich znaleźć. Główne siły wroga są cierpliwe. Czekaają, aż nabiorą pełnej gotowości. Aż będą pewne zwycięstwa.

Wczoraj wyświetlono trzeci odcinek. Cezar konsoliduje władzę. Zmienia imię z Gajusza Oktawiana na Augusta i podporządkowuje sobie senat. Będzie jeszcze dziesięć odcinków. Nigdy nie było mowy o tym, że emisja któregoś zostanie odwołana lub przesunięta z powodu śmierci aktora. Ralph Meier jest wiarygodny w swojej roli, jest jedynym Holendrem wśród Włochów, Amerykanów i Brytyjczyków, ale

to on przyciąga całą uwagę.

Myślę, że byłem wczoraj jedyną osobą, która oglądała ten serial w inny sposób niż większość widzów. Mówiąc dokładniej: przez inny pryzmat — przez pryzmat lekarza.

— Mogę tak po prostu pojechać? — zapytał mnie wówczas. — Zdjęcia będą trwały dwa miesiące, jeśli musiałbym je przerwać w połowie, to byłaby to dla wszystkich katastrofa.

— Oczywiście, że tak. Nie musisz się niczym martwić. Przeważnie to fałszywy alarm. Zaczekamy na wyniki. Potem też będziemy mieć dość czasu.

Patrzyłem, jak cesarz przemawia do senatu. W tej amerykańsko-włoskiej produkcji nie szczędzono kosztów ani wysiłków. Tysiące rzymskich żołnierzy, całe legiony wiwatujące na wzgórzach wokół Rzymu. Wznoszące do góry dziesiątki tysięcy mieczy, tarcz i włóczni. Floty złożone z setek statków u wejścia do portu w Aleksandrii. Wyścigi rydwanów, walki gladiatorów, ryczące lwy i rozerwani na strzępy chrześcijanie. Ralph Meier zapadł na najagresywniejszą formę choroby. Trzeba było natychmiast podjąć kroki, zanim zrobiło się za późno. Radykalne kroki, <sup>2</sup>, bombardowanie dywanowe, które za jednym zamachem znokautowałyby złośliwe komórki. Spoglądałem na jego twarz, na jego ciało. W tym ciele według rachunku prawdopodobieństwa główne siły wroga rozpoczęły już atak.

— *Senators!* — rzekł. — *From this day I am your emperor. Emperor... Augustus* <sup>3</sup>.

Jego głos niósł się jak zwykle daleko — wtedy jeszcze tak. Jeśli coś mu dolegało, to nie dawał tego po sobie poznać. Ralph Meier był świetny w swoim fachu. Jeśli trzeba było, swoją grą potrafił oszukać wszystkich. Nawet śmiertelną chorobę.

---

1. Z ang.: „Zagłada (dosł. zniknięcie) kraju” (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)

2. Z ang.: pierwsze uderzenie. [\[wróć\]](#)

3. Z ang.: Senatorowie! Od dzisiaj jestem waszym władcą. Cezarem... Augustem. [\[wróć\]](#)



## ROZDZIAŁ 3

Z upływem lat normalni ludzie zniknęli jeden po drugim z mojego gabinetu. Mam na myśli ludzi, którzy pracują od dziewiątej do siedemnastej. Odwiedza mnie jakiś adwokat i właściciel siłowni, ale większość moich pacjentów wykonuje tak zwaną pracę twórczą. Wdów na razie nie liczę. Ich przychodzi sporo. Można by powiedzieć, że wdów jest w nadmiarze. Wdów po pisarzach, aktorach, malarzach... Kobiety wytrzymują dłużej, one są ulepione z innej, mocniejszej gliny. W czyimś cieniu można dożyć bardzo sędziwego wieku. Robiąc całe życie kawę, odwiedzając hurtownie win, by zaopatrzyć geniuszy w ich atelier. Świeży łosoś z Norwegii dla pisarzy w ich gabinetach, w których zawsze trzeba chodzić na palcach. Wydaje się to trudne, ale nie wymaga tak naprawdę najmniejszego wysiłku. Wdowy dożywają sędziwego wieku. Bardzo sędziwego. Rozkwitają często na chwilę, zaraz po śmierci męża. Bywają nieraz w moim gabinecie. Są smutne, przyciskają chusteczkę do oczu, ale odczuwają też ulgę. Ułga to emocja, którą trudno ukryć. Spoglądam oczami lekarza. Nauczyłem się widzieć wbrew łzom. Długa choroba to nie fraszka. Marskość wątroby jest dolegliwością długotrwałą i bolesną. Pacjent często za późno sięga po wiadro stojące przy łóżku, krew już podchodzi falą do góry. Trzykrotne zmienianie pościeli, prześcieradeł i kołder, ciężkich od wymiocin i kału, w ciągu dnia wymaga więcej wytrzymałości fizycznej niż robienie kawy lub dbanie o to, żeby w domu nie zabrakło dżinu.

— Jak długo to jeszcze potrwa? — zastanawia się przyszła wdowa. — Czy ja to wytrzymam do pogrzebu?

Aż w końcu nadchodzi ten dzień. Jest piękna pogoda, błękitne niebo, białe obłoki, ptaki śpiewają wśród gałęzi, pachnie świeżymi kwiatami. Po raz pierwszy w życiu wdowa znajduje się w centrum zainteresowania. Założyła okulary przeciwsłoneczne, aby nikt nie widział jej łez — tak się przynajmniej wszystkim wydaje. W rzeczywistości ciemne szkła służą temu, by ukryć uczucie ulgi. Najlepsi przyjaciele niosą trumnę do grobu. Wygłaszane są przemówienia. I jest alkohol. Dużo alkoholu. Na stypie po śmierci artystów nie ma słabej kawy, są za to białe wino, wódka i długo leżakujący gin, a zamiast biszkoptowego tortu i ciastek z kremem — ostrygi, wędzona makrela i krokiety. Później cała paczka przenosi się do ulubionej knajpy.

— Trzymaj się chłopie, gdziekolwiek jesteś! Łajdaku! Stary draniu!

Wznoszą toast, rozlewają wódkę. Wdowa zdjęła okulary. Śmieje się. Promieniuje radością. Zarzygana pościel leży jeszcze w koszu na bieliznę, ale jutro włoży ją już naprawdę po raz ostatni do pralki. Myśli, że życie wdowy tak właśnie będzie wyglądać. Że znajomi jeszcze przez długie miesiące (lata!) wznosić będą toast. Na jej cześć. Toast za ich nową duszę towarzystwa. Nie wie jeszcze, że skończy się na kilku grzecznościowych wizytach. Że cisza, która zapadnie, jest ciszą, która zawsze następuje po życiu

w czyimś cieniu.

Tak to przeważnie wygląda, choć są wyjątki. Pod wpływem złości wdowy brzydą. Dzisiaj rano pod drzwiami mojego gabinetu doszło niespodziewanie do scysji. Było jeszcze wcześniej, dopiero co poprosiłem do środka pierwszego pacjenta.

— Panie doktorze! — dotarł do mnie krzyk mojej asystentki. — Panie doktorze!

Doszedł do mnie dźwięk przewracanego siłą krzesła, po czym usłyszałem inny głos.

— Gdzie jesteś, łajdaku? — rozległ się przenikliwy krzyk. — Wychyl głowę, jeśli masz odwagę!

Uśmiechnąłem się do pacjenta.

— Proszę chwileczkę poczekać — powiedziałem i wstałem.

Od drzwi wejściowych do mojego gabinetu prowadzi korytarz. Aby dotrzeć do poczekalni, trzeba najpierw przejść obok stolika, przy którym siedzi moja asystentka. Poczekalnia nie jest oddzielnym pomieszczeniem, to raczej przedłużenie korytarza, od którego nie oddzielają jej żadne drzwi.

Rzuciłem krótkie spojrzenie w bok. Jak wspominałem, było jeszcze wcześniej. Mimo to już trzech pacjentów przeglądało stare numery „Marie Claire” i „National Geographic”. W tej chwili przestali je jednak przeglądać. Opuścili czasopisma na kolana i patrzyli na Judith Meier. Śmierć męża niezbyt korzystnie odbiła się na jej urodzie, delikatnie mówiąc. Skóra jej twarzy nabiegła krwią, ale nie całkowicie, przez to sprawiała wrażenie poplamionej. Za plecami Judith moja asystentka pokazywała na migi, że nie była w stanie nic zrobić. Nieco dalej, przy drzwiach wejściowych, leżało przewrócone na bok krzesło.

— Judith! — powiedziałem i rozłożyłem ramiona, jakbym się cieszył, że ją widzę. — Co mogę dla ciebie zrobić?

Przez chwilę wydawało się, że moim powitaniem zbiłem ją z tropu. Ale rzeczywiście nie dłużej niż na chwilę.

— Morderca! — wrzasnęła.

Spojrzałem prędko w bok, na pacjentów w poczekalni. Wszystkich trzech znałem z widzenia: reżyser filmowy cierpiący na hemoroidy, właściciel galerii mający problemy z erekcją oraz już nie taka młoda aktorka, oczekująca pierwszego dziecka i to nie z mocno wyrosniętym i wiecznie nieogolonym jasnowłosym aktorem, z którym przed siedmioma miesiącami wzięła ślub na zamku w Toskanii: to wszystko na koszt programu o celebrytach komercyjnej stacji telewizyjnej, która w zamian mogła pokazać całą uroczystość, włącznie z afterparty. Wzruszyłem ramionami i puściłem do nich oko. Nagły przypadek, chciałem zakomunikować tym wzruszeniem ramion i mrugnięciem. Typowy przypadek nagłej hysterii. Alkohol, narkotyki albo i jedno, i drugie. By się upewnić, że zauważyli, ponownie puściłem oko.

— Judith — powiedziałem jak najspokojniej. — Chodź ze mną. Zobaczę, w czym mogę ci pomóc.

Zanim zdążyła zareagować, odwróciłem się i, stawiając duże kroki, poszedłem do gabinetu. Tam położyłem dłonie na ramionach pacjenta:

— Czy może pan na chwilę zająć miejsce w poczekalni? Moja asystentka wypisze panu tymczasem

receptę.

## ROZDZIAŁ 4

Zza drugiej strony biurka przyglądałem się twarzy Judith Meier, wciąż z plamami. Trudno było określić, czy jej twarz była biała z czerwonymi, czy też czerwona z białymi plamami.

— Jesteś skończony — powtórzyła. Po czym stwierdziła: — Możesz zwijać cały ten interes.

Mówiąc ostatnie słowa, poruszyła nagle głową do tyłu, w stronę drzwi mojego gabinetu, za którymi znajdowała się poczekalnia, a w niej pacjenci.

Oparłem się łokciami o biurko. Czubki palców przycisnąłem do siebie i mocniej przechyliłem się do przodu.

— Judith... — powiedziałem, lecz nie wiedziałem, co dalej. — Judith — kontynuowałem — czy nie jest za wcześnie, żeby wyciągać tak daleko idące wnioski? Być może postawiłem w przypadku Ralpha na początku mylną diagnozę. Do tego się przyznałem. Jutro mam się przecież stawić przed Izbą Lekarską. Ale nigdy świadomie nie...

— Poczekajmy na reakcję Izby Lekarskiej, gdy sama opowiem im całą historię.

Nie spuszczałem z niej wzroku. Próbowałem się uśmiechnąć, lecz czułem się jak wówczas, gdy złamałem szczękę, upadając na rowerze. Dziura na drodze. Roboty drogowe. Postawiono przy nich płot mający ostrzegać zbliżających się rowerzystów, ale jacyś dowcipnisie go usunęli. Na pogotowiu zszyto moją dolną szczękę z górną i przez sześć tygodni nie wolno mi było się odzywać, a jeść mogłem wyłącznie przez słomkę.

— Idziesz tam? — zapytałem jak najspokojniej. — To nie jest raczej przyjęte...

— Nie jest, też mi to powiedzieli. Ale uważają, iż sprawa jest na tyle poważna, że zrobią wyjątek.

Tym razem się uśmiechnąłem. W każdym razie udało mi się ułożyć usta w coś, co przypominało uśmiech. Czułem się jednak, jakbym po raz pierwszy otworzył usta po sześciu tygodniach milczenia.

— Idę na chwilę do mojej asystentki — powiedziałem i wstałem z krzesła. — Przyniosę wszystkie wyniki i teczkę z danymi.

Teraz Judith zaczęła się podnosić.

— Nie wysilaj się. Rozmowa skończona. Zobaczymy się jutro w Izbie Lekarskiej.

— Zaczekaj jedną sekundę. Zaraz wracam. Mam coś, co cię zainteresuje. Coś, o czym nie wiesz.

Nie zaszczycając tym razem pacjentów nawet jednym spojrzeniem, podszedłem do stolika mojej asystentki. Do ucha przyciskała słuchawkę telefonu.

— To jedynie maść czy również krem? — powiedziała do słuchawki.

— Liesbeth — zapytałem — czy mogłabyś...

— Proszę chwilę poczekać — powiedziała i zakryła słuchawkę dłonią.

— Czy mogłabyś wszystkich pacjentów odesłać do domu? — zapytałem. — A resztę wizyt odwołać telefonicznie? Wymyśl jakiś powód, wszystko jedno jaki. A potem sama idź do domu. Weź wolne na resztę dnia. Muszę coś z Judith... Byłoby dobrze, gdybym z nią nieco dłużej...

— Słyszałeś, jak cię nazwała? Nie możesz jej przecież na to...

— Jeszcze nie ogłuchłem, Liesbeth — przerwałem jej. — Judith jest bardzo zdenerwowana. Nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi. Być może zbyt optymistycznie oceniłem stan zdrowia Ralpa. To wystarczająco przykre. Najpierw... Muszę z nią stąd na chwilę wyjść, dokądś się wybrać, napić kawy w ogródku kawiarni. Ona potrzebuje uwagi, to całkowicie zrozumiałe. Nie chcę tylko, by pacjenci widzieli, jak z nią wychodzę, dlatego odeślij ich jak najszybciej do domu.

Kiedy wróciłem do gabinetu, Judith wciąż siedziała na krześle naprzeciw biurka. Odwróciła twarz w moją stronę. Spojrzała na puste ręce, a potem popatrzyła pytająco na moją twarz.

— Ta teczka leży chyba gdzieś tutaj — powiedziałem.

## ROZDZIAŁ 5

Gabinet taki jak mój ma swoje wady. Moi pacjenci wszędzie mnie zapraszają. Uważają, że jestem niemal jednym z nich, z naciskiem na „niemal”. Wernisaże, prezentacje książek, premiery filmów i sztuk teatralnych, nie ma dnia bez kolejnego zaproszenia wpadającego do skrzynki na listy. Nie ma opcji, aby nie iść. W wypadku książki można jeszcze skłamać, że jesteś dopiero w połowie, a nie chcesz się wypowiadać, zanim nie przeczytasz do końca. W wypadku premier teatralnych jest to niemożliwe. Po obejrzeniu coś trzeba na ich temat powiedzieć. Oczekują od ciebie, że coś o nich powiesz. Nigdy nie mów, jak ci się podobały. Przenigdy. Swoje zdanie zachowaj mądrze dla siebie. Przez jakiś czas próbowałem ich zbywać. Mówiłem:

— Było w tym kilka interesujących rzeczy.

Albo pytałem:

— A jak wam się podobało?

Jednak takie zbywanie nie wystarczało. Musiałem powiedzieć, że sztuka była fantastyczna, że byłem wdzięczny, iż mogłem być obecny na tej historycznej premierze.

Premiery filmów odbywają się przeważnie w poniedziałek wieczorem. Po nich również nie możesz od razu iść do domu. Musisz pokazać twarz. Nie możesz zbyt późno wrócić do domu. Wychyłasz się z szeregu, bo jesteś jedyną osobą, która rano zaczyna pracę o normalnej porze. Stoisz naprzeciw aktorowi grającego główną rolę lub reżyserowi i stwierdzasz, że film był fantastyczny. Inną możliwością jest przymiotnik „wzruszający”. Tak określasz koniec filmu. W rękę trzymasz kieliszek szampana i patrzysz aktorowi albo reżyserowi prosto w oczy. Już zapomniawszy, jak film się skończył, albo mówiąc precyzyjniej, już ci się udało wyprzeć koniec filmu z pamięci. Robisz poważną minę i stwierdzasz:

— Koniec filmu był wzruszający.

I możesz iść do domu.

Nie wiem, co gorsze: sam film albo sztuka teatralna czy też pozostawanie po ich zakończeniu. Z doświadczenia wiem, że łatwiej myśleć o innych rzeczach podczas oglądania filmu niż podczas oglądania sztuki. Podczas przedstawienia jesteś bardziej świadomy swojej obecności. Swojej obecności oraz mijającego czasu. Specjalnie na premiery teatralne kupiłem sobie zegarek ze świecącymi wskazówkami. Podczas przedstawienia coś się dzieje z czasem, choć do tej pory nie udało mi się tego dokładnie zrozumieć. Czas wcale nie stoi w miejscu. Nie, on tężeje. Patrzysz na aktorów i aktorki, na ich ruchy, słuchasz słów wychodzących z ich ust i masz wrażenie, że mieszasz łyżką gęstniejącą substancję. W pewnym momencie łyżka nieruchomieje, utkwivszy w substancji na sztorc. Dalsze mieszanie staje się niemożliwe. Po raz pierwszy spoglądam na zegarek, oczywiście jak najdyskretniej. Nikt nie chce zostać

przyłapani na sprawdzaniu godziny podczas przedstawienia. Podciągam rękaw marynarki lekko do góry. Drapię się w nadgarstek, udając, że mnie swędzi, po czym szybko rzucam okiem na świecące wskazówki. Godzina, którą pokazują, dowodzi za każdym razem, iż czas rzeczywisty i czas w teatrze nie są tymi samymi wielkościami, albo — mówiąc dokładniej — płyną w dwóch różnych, nieprzystających do siebie wymiarach. Wydaje ci się, masz nadzieję, modlisz się o to, żeby upłynęło już pół godziny, a wskazówki twojego zegarka pokazują, że od chwili zgaszenia świateł upłynęło zaledwie dwanaście minut. Podczas przedstawienia nie możesz wzdychać i się niecierpliwić. Wzdychaniem ściągasz na siebie niepotrzebnie uwagę. Ten, kto zbyt głośno wzdycha, rozprasza aktorów. Ale nie można nie wzdychać i się nie niecierpliwić. Największą różnicą pomiędzy filmem a sztuką teatralną jest właśnie to, że nie można z niej wyjść. Podczas filmu da się w ciemności niespostrzeżenie wymknąć. Nawet podczas premiery. „Pewnie idzie do toalety”, myślą ludzie i zaraz o tobie zapominają. Nie zauważają, że już nie wracasz na miejsce. Tak się da. To jest możliwe. Wielokrotnie tak robiłem. Na początku szedłem rzeczywiście do toalety. Ostatnią godzinę filmu spędzałem na sedesie, stękając, jęcząc i przeklinając. Ale też z zadowoleniem. Z zadowoleniem i ulgą. Wszystko lepsze od samego filmu. Później wyspecjalizowałem się w niepostrzeżonym znikaniu. Odprężony, z rękami w kieszeniach szedłem w stronę wyjścia. „Muszę na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem”, mówiłem, kiedy kogoś spotkałem. W następnym momencie byłem już na zewnątrz. Ulica, tramwaje, skutery, ludzie. Ludzie o zwykłych twarzach mówiący do siebie zwykłe rzeczy. „Napijemy się jeszcze po jednym kieliszku, czy chcesz już wracać do domu?” zamiast: „Musimy, do cholery, zapobiec temu, by spadek po ojcu trafił w niepowołane ręce, Marto!”. Ile takich zdań jest w stanie znieść człowiek w ciągu półtorej godziny? „Moja córka nie zachowuje się jak kurwa! Ona już nie jest moją córką!”. W filmie jest muzyka. Z roku na rok coraz głośniejsza. Możesz sobie stękać i wzdychać, a nikt tego nie usłyszy. To jest tak jak z bólem. Zaczynasz oddychać coraz szybciej i głębiej. Pies, którego coś boli, dyszy z wywalonym z pyska językiem. Tlen. Chodzi o to, by w miejsce bólu dostarczyć jak najwięcej tlenu. Tlen jest najlepszym środkiem znieczulającym, jaki znamy. Stoję na ulicy. Widzę ludzi. Wdycham świeże powietrze. W wypadku przedstawienia to wszystko nie jest możliwe. Nie ma klauzuli pozwalającej na ucieczkę. Musisz wyjść, jeszcze zanim sztuka się rozpocznie. Tak trzeba, choć nie jest to pozbawione ryzyka. Kiedy już jesteś na ulicy, nachodzą cię nagle kuszące myśli. To, żeby nie wracać, nęci najbardziej. Iść do domu, zdjąć buty, położyć nogi na kanapie, włączyć telewizor i obejrzeć powtórkę filmu klasy B, który oglądałeś już pięć razy. Wszystko lepsze od przedstawienia w teatrze.

Ma to związek z moim zawodem. W moim zawodzie relaks jest warunkiem przeżycia. Cały dzień słyszę i widzę przeróżne rzeczy. Rzeczy, które wieczorem muszę wyrzucić z pamięci. Grzybice. Krwawiące brodawki. Fałdy skóry, pomiędzy którymi panuje zbyt wysoka temperatura. Kobieta ważąca sto pięćdziesiąt kilo, którą musisz zbadać w miejscu, którego miałeś nadzieję już nigdy nie oglądać. Podczas przedstawienia nie da się o tym zapomnieć. Ledwo na sali zgaśnie światło, a już owe rzeczy zaczynają wykorzystywać szansę. „Jest ciemno”, myślą sobie. „Zaraz go dopadniemy!”. Światło dochodzi



tylko ze sceny i z jarzących się wskazówek zegarka. Rozpoczyna się czas, który nie ma końca. Wielkie tężenie. Podczas pracy cieszę się na wolny wieczór. Na kolację, piwko albo kieliszek wina; wiadomości w telewizji, film klasy B albo mecz. To dzień pracy z perspektywą. Przypomina on pokój z rozległym widokiem na falujący, pagórkowaty krajobraz, na krańcu którego migocze morze. Natomiast dzień uwieńczony premierą jest jak pokój w hotelu z widokiem na ślepy mur. Taki dzień nie oddycha. Powietrza brak, a okno się zacięło i nie da się go otworzyć. Zaczynam jęczeć już rano, o wpół do dziewiątej, kiedy po raz pierwszy o tym myślę. Przeważnie słyszę co drugie słowo pacjenta, lecz w dniu z widokiem na przedstawienie nie słucham pacjentów w ogóle. Rozważam dziesiątki możliwości ucieczki. Choroba. Grypa. Zatrucie pokarmowe. Członek rodziny, który rzucił się pod pociąg. Myślę o scenie z filmu *Misery*, w której Kathy Bates za pomocą kilofa miażdży kostki Jamesa Caana. Sam mógłbym sobie coś zrobić. Podczas oblężenia Stalingradu żołnierze po obydwu stronach strzelali sobie w rękę lub w nogę, aby nie wysyłano ich na front. Przyłapanych na gorącym uczynku rozstrzeliwano. Mój pacjent nie przestaje marudzić o niewyraźnym bólu w krzyżu, a jedyne o czym mogę myśleć, są rany postrzałowe. W Meksyku eskadry śmierci żłobią na czubku kuli wgłębienia, aby pocisk wolniej wirował. Kula, która wolniej się obraca, powoduje w ciele więcej uszkodzeń, a czasem wcale z niego nie wychodzi. Myślę o drastycznych metodach, żadnych półśrodkach. Ze złamanym małym palcem u ręki zawsze jeszcze możesz iść, nosząc temblak, na premierę w teatrze. Trzydzieści dziewięć stopni gorączki uważa się za kiepską wymówkę. Nie, ja myślę o innych rzeczach. O nożu do ostryg, który się obsuwa i przecina dłoń na wylot. Ostrze noża wystaje na drugą stronę. Dopiero po jego wyciągnięciu ręka zaczyna krwawić.

Najgorsze są przedstawienia powstałe „w oparciu o improwizację”. Mnóstwo w nich mamrotania oraz luźnych kawałków tekstu „zainspirowanych rzeczywistością”. Aktorzy i aktorki noszą uszyte przez siebie kostiumy. Przedstawienia w oparciu o improwizację trwają przeważnie krócej niż sztuki teatralne z normalnym tekstem, ale to tak samo jak z odczuwalną temperaturą, która może wydawać się dużo wyższa lub niższa od tej, którą pokazuje termometr. Spoglądasz na kostiumy uszyte przez aktorów. Według odczuwalnego czasu minęło już pół godziny, lecz wskazówki twojego zegarka nie kłamią. Przystawiasz go do ucha. Może się zatrzymał? Ale zegarek chodzi na baterie litowe, które wytrzymują półtora roku. Czas płynie bezdźwięcznie. Musisz policzyć do sześćdziesięciu i spojrzeć jeszcze raz.

W wypadku noża do ostryg istnieje ryzyko zakażenia krwi. Zwykli ludzie powinni natychmiast pójść na pogotowie, lecz ja mam wszystko w domu: środki przeciw tężcowi, febrze, żółtacze typu A. Mam tutaj buteleczki, z których jedna kropla wystarczy, aby na pół dnia stracić przytomność. Jedna kropla więcej i już nigdy jej nie odzyskasz. Psy i koty usypiane są zastrzykiem, ale człowiek może własnoręcznie wychylić czarę z trucizną. Wystarczy kieliszczyk nie większy od kieliszka do wódki. Dziewięćdziesiąt procent wody i dodatków smakowych. Można godnie pożegnać się z rodziną i bliskimi, zażartować po raz ostatni. Często bywałem tego świadkiem. Większość umierających nie traci tej ostatniej okazji, by zażartować, nawet jeśli przez całe życie nie przyłapałeś ich na dowcipie. W większości przypadków



widać, iż długo o tym myśleli. Jak gdyby chcieli, by ich w ten sposób wspomniano. Ostatnie słowa. Żartobliwe ostatnie słowa. Uważają, że bliskość śmierci wymaga pewnej lekkości. Lecz śmierć nie wymaga niczego. Ona po ciebie przychodzi. Chce, byś z nią poszedł, najchętniej bez zbyt wielkiego sprzeciwu. „Wy też sobie po jednym strzelcie”, mówią i wypijają kieliszek do dna. Po minucie zamykają oczy, w ciągu następnej minuty umierają. Przy ostatnim kieliszku rzadko płyną łzy. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś powiedział do żony: „Ciebie kochałem najbardziej, będzie mi cię brakowało, a tobie zapewne mnie”. Nigdy. Lekkość. Żart. Podobnie jest z pogrzebami. Te też muszą być przede wszystkim przyjemne. Trzeba na nich móc śmiać się, pić i przeklinać. W innym wypadku to małomiasteczkowe. Dla artysty największym koszmarem jest małomiasteczkowy pogrzeb. „Tego właśnie życzyłby sobie Henk”, stwierdzają, rozbijając butelkę whisky o trumnę. „Ma być wesoło. Żadnego padółu płaczu, do cholery!”. Wydaje mi się, że radosne pogrzeby weszły w modę jakieś piętnaście lat temu. Różowe trumny, trumny z naturalnego drewna, z wymalowanymi na nich smokami i zębami rekina, trumny z Ikei, trumny plastikowe albo owinięte w worki na śmieci. Najbardziej mi przy tym szkoda dzieci. Tak czy siak jest przykro, gdy w pogrzebie biorą udział dzieci, ale po śmierci artysty zmuszane są one w dodatku do tego, żeby radośnie się zachowywać. Muszą okleić trumnę taty obrazkami albo wierszykami. Mają włożyć mu do trumny jego ulubiony kubek z napisem FUCK YOU! Na później. By zabrał go ze sobą w tamto miejsce, miejsce leżące u kresu jego podróży. By i tam mógł pić kawę ze swojego ulubionego kubka z napisem FUCK YOU! Dzieciom przede wszystkim nie wolno płakać. Ich buzie się wymaluje, dostaną trąbki, baloniki i czapeczki, gdyż najgorętszym życzeniem tatusia było to, żeby dobrze bawiły się na jego pogrzebie. Żeby bawiły się w chowanego pomiędzy grobami. Żeby na zakończenie były lemoniada, tort i wielka misa z tofikami, snickersami i marsami.

Wszyscy chcą zostać pochowani na tym samym cmentarzu — na cmentarzu w zakolu rzeki. Jest na to kolejka oczekujących. Zwykli ludzie, którzy pracują od dziewiątej do piątej, nawet się na tę listę nie dostają. Ponieważ cmentarz leży w zakolu rzeki, pogrzeby, podczas których zmarły przewożony jest łodzią, odbywają się tam nawet cztery razy do roku. Łódź zwiększa szanse na to, że następnego dnia w gazecie umieszczą zdjęcie. Łódź wyrusza z centrum i płynie pod mostami, co dostarcza ładnych widoków. Również i ona przystrojona jest jak podczas święta: kwiaty i wieńce, kobiety i mężczyźni w kolorowych szatach, w czapeczkach. Kobiety ze skrzydłami motyli na plecach, mężczyźni z ufarbowanymi na zielono lub czerwono wąsami. Na przednim pokładzie czterech muzyków z okolicznościowej orkiestry dętej w przebraniu clownów przygrywa wesołą melodię. Wszyscy na tej łodzi, jak i na reszcie łodzi płynących w kondukcje, są już pijani. Zwykli ludzie przyglądają się przepływającej procesji, w przeciwieństwie do ubzdryngolonych bliskich zmarłego, którzy nie zaszczycają zwykłych ludzi nawet jednym spojrzeniem.

Muszę przyznać Ralphowi Meierowi, a może nawet bardziej Judith, że ten pogrzeb był w miarę normalny. Zamiast łodzi zwykły samochód pogrzebowy. Przyszło co najmniej tysiąc osób. Obecne były kamery różnych stacji telewizyjnych. Kiedy karawan wjeżdżał na wysypany żwirem podjazd,

wystarczyło, bym cofnął się parę kroków, aby nie wypatrzyła mnie najbliższa rodzina. Judith założyła duże okulary przeciwsłoneczne, a na głowę czarną chustkę w białe groszki. Prawdopodobnie przez tę chustkę przypominała mi tego dnia, jeszcze bardziej niż zwykle, Jacqueline Kennedy, choć nie wydaje mi się, żeby Jacqueline Kennedy w obecności tysiąca osób napłuła w twarz nieproszonemu gościowi.

Nie opuściłem cmentarza natychmiast po tym incydencie. Najpierw wróciłem w stronę ogrodzenia, a potem poszedłem jeszcze dalej, aż nad brzeg rzeki. Po wodzie pruć łódź, na rowerze przejechał mężczyzna wykrzykujący przez megafon wskazówki dla wioślarzy. Również dwa łabędzie oraz płynące ich śladem młode wzmacniały wrażenie, że — jak to się mówi — „życie toczy się dalej”. Postąpiłem tam kilka minut, po czym odwróciłem się i udałem z powrotem na cmentarz.

Ponieważ tysiąc osób nie mieściło się w auli, tego dnia przemówienia odbywały się na świeżym powietrzu. Przemawiali burmistrz oraz minister kultury. Koledzy aktorzy oraz reżyserzy przytaczali barwne anegdoty. Od czasu do czasu zabrzmiał śmiech. Stałem na tyłach, w połowie zasłonięty przez krzaki, kilka metrów od wysypanej żwirem ścieżki. Przemówienie wygłosił komik, który sam odgrywał w nim główną rolę, a które wcale nie przypominało przemówienia, lecz próbę kolejnego występu. Ludzie śmiali się, ale był to raczej śmiech niezręczny, jak gdyby obecni uważali występ za bolesny, a nie zabawny. Myślałem o ostatnich chwilach życia Ralpa Meiera w szpitalu przed niecałym tygodniem. Na ruchomym stoliku obok łóżka ustawiono kieliszek ze śmiertelnym koktajlem. Oprócz niego znajdował się tam kubeczek w połowie zjedzonego jogurtu owocowego, w którym jeszcze tkwiła łyżka, poranna gazeta oraz biografia Szekspira, którą Ralph Meier czytał przez ostatnie tygodnie. Spomiędzy kartek nie dalej jak w połowie książki wystawała zakładka. Poprosił, by Judith i ich obaj synowie na chwilę opuścili pokój.

Kiedy wyszli, przywołał mnie gestem.

— Marc — złapał moją rękę, położył na kołdrze i przykrył drugą dłonią. — Chcę ci powiedzieć, że jest mi przykro — powiedział.

Popatrzyłem na jego twarz. Wyglądała dość zdrowo, choć była nieco wychudzona. Tylko kiedy się wiedziało, że zaledwie kilka miesięcy temu była pełna i puciołowata, oczywiste stawało się, że spowodowała to choroba. Jego spojrzenie się wyostrzyło.

Nie przestało mnie to zastanawiać, wielokrotnie byłem tego świadkiem. Ludzie wybierali datę swojej śmierci, a gdy ten dzień nadchodził, nagle rozkwitali. Rozmawiali i śmiali się częściej niż zwykle, jakby mieli nadzieję, że ktoś ich powstrzyma, powie, że to bezsensowne, aby ot tak sobie zakończyć życie.

— Ja nie powinienem... Ja nigdy nie powinienem... — zaczął. — Przykro mi, to ci chciałem powiedzieć.

Nie odezwałem się. Za pomocą odpowiednich lekarstw oraz wyjątkowo nieprzyjemnych zabiegów mógłby przedłużyć swoje życie być może o miesiąc, ale wybrał kieliszek. Godne pożegnanie. Opróżniając kieliszek, nie obarczasz swoich bliskich trudnymi do wyparcia wspomnieniami.

Mimo wszystko było to dziwne: wybrana przez siebie samego śmierć. Wybrany przez siebie dzień.

Ręcznik rzucony na ring. Dlaczego nie jutro? Albo za tydzień? Czemu nie wczoraj?

— A jak się czuje... ona? — zapytał. Widziałem jego wahanie, zauważyłem, jak w ostatniej chwili powstrzymał się przed wypowiedzeniem imienia mojej córki. Nie wiem, jak bym się zachował, gdyby Ralph Meier na głos wypowiedział jej imię.

Wzruszyłem ramionami. Przypomniałem sobie zeszłoroczne wakacje w letnim domu.

— Marc — odezwał się. Poczułem, że silniej przyciska moją rękę. Usiłował wzmocnić uścisk, a ja poczułem, jak mało siły mu pozostało. — Czy możesz jej powiedzieć... ode mnie... Czy możesz jej powiedzieć to, co przed chwilą powiedziałem tobie?

Odwróciłem wzrok. Bez wysiłku wyciągnąłem rękę spomiędzy jego dłoni — dłoni, które kiedyś posiadały siłę, by zmuszać innych do robienia rzeczy, których robić nie chcieli. Wbrew ich woli.

— Nie — odpowiedziałem.

## ROZDZIAŁ 6

Pół godziny później było po wszystkim. Stałem na korytarzu. Obydwaj synowie zgłodnieli i poszli do kantyny. Judith Meier wróciła z toalety, gdzie pociągnęła szminką usta i podmalowała oczy.

— Cieszę się, że przy tym byłeś — powiedziała.

Przytaknąłem.

— Pięknie oszedł — odparłem.

W takiej chwili wypada tak powiedzieć. Wbrew temu, co myślisz. To tak, jak mówienie o sztuce teatralnej, że była fantastyczna, lub o zakończeniu filmu, że wzruszało.

W naszym kierunku szedł mężczyzna w białym szpitalnym fartuchu. Zatrzymał się tuż przed nami, podał Judith rękę i zapytał:

— Pani Meier?

— Tak — uścisnęła jego dłoń.

— Maasland. Doktor Maasland. Ma pani chwilkę?

Pod pachą trzymał brązową teczkę. Po prawej stronie na górze widniała nalepka, na której mazakiem napisane było „Pan R. Meier”, a pod spodem, małymi drukowanymi literami, nazwa szpitala.

— A pan? — zapytał Maasland. — Jest pan członkiem rodziny?

— Jestem lekarzem pierwszego kontaktu — odparłem i wyciągnąłem do niego rękę. — Marc Schlosser.

Maasland zignorował moją dłoń.

— Doktor Schlosser. To... To nawet dobrze się składa — stwierdził. — Jest kilka rzeczy...

— Otworzył teczkę i zaczął ją przeglądać. — Gdzie ja to mam? A tutaj!

Coś w mowie jego ciała sprawiło, że zacząłem mieć się na baczności. Tak jak wszyscy specjaliści nawet nie próbował ukryć swej głębokiej pogardy dla lekarzy pierwszego kontaktu. Czy to chirurg, ginekolog, internista, czy psychiatra, oni wszyscy patrzą na ciebie tym samym wzrokiem. Jakby chcieli zapytać: „Nie chciało ci się dłużej studiować? Byłeś zbyt leniwy, by pouczyć się jeszcze cztery lata? A może bałeś się prawdziwej roboty? My kroimy ludzi. Dostajemy się do ich organów, ich krwiobiegu, mózgu, systemu sterującego całym ciałem. Znamy ludzkie ciało na wylot, jak mechanik silnik samochodu”. Lekarz pierwszego kontaktu może jedynie otworzyć przednią maskę, by następnie z podziwem i zdumieniem pokiwać głową nad takim cudem techniki.

— Wczoraj prześledziliśmy z panem Meierem jeszcze raz całą historię jego choroby — powiedział.

— To zwykła procedura w wypadku eutanazji. To nie pan ostatecznie skierował pana Meiera do nas, prawda, panie Schlosser?

Udałem, że się namyślałam.

— Tak, zgadza się.

Maasland przejechał palcem po jakiejś kartce w teczce.

— Pytam o to, ponieważ tu jest napisane... tak, tutaj. — Jego palec się zatrzymał. — Wczoraj pan Meier oświadczył nam, że w zeszłym roku w październiku był w pańskim gabinecie.

— Tak, to możliwe. Przychodził do mnie jedynie od czasu do czasu. Kiedy miał jakieś wątpliwości albo po drugą opinię. Byłem... jestem przyjacielem rodziny.

— A dlaczego odwiedził pana w październiku, panie Schlosser?

— W tej chwili nie pamiętam. Musiałbym sprawdzić.

Maasland spojrzał prędko w bok, na Judith, a potem ponownie na mnie.

— Według pana Meiera powiedział mu pan w zeszłym roku, że nie ma powodu do zmartwień, pomimo iż już wtedy miał symptomy choroby.

— Dokładnie tego w tym momencie nie pamiętam. Być może pytał się o to już wtedy. Może coś czuł i chciał jedynie, by go uspokoić.

— Podczas tego badania w październiku pobrał pan kawałek tkanki pana Meiera, czy tak? A następnie przesłał do nas do analizy?

— Na pewno bym to zapamiętał.

— Ja też tak sądzę. Tym bardziej, że pobieranie tkanki nie jest pozbawione ryzyka. W najgorszym wypadku może nawet przyśpieszyć rozwój choroby. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę, panie Schlosser?

Maska silnika. Wolno mi było ją podnieść, ale nie powinienem był dotykać przewodów ani kabli.

— Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że pan Meier świetnie to sobie przypominał — kontynuował Maasland. — Miał pan przesłać wycinek do badania, a później zawiadomić go telefonicznie o wynikach.

Ralph Meier był martwy. Jego ciało, które tymczasem prawdopodobnie zdążyło mocno ostygnąć, leżało zaledwie kilka metrów od nas, za zielonymi drzwiami, na których przymocowano tabliczkę z napisem CISZA. Nie mogliśmy wejść do środka, by go zapytać, czy nie pomylił czasem daty.

— Przykro mi, ale w tej chwili tego dokładnie nie pamiętam — powtórzyłem.

— Tak czy owak ten wycinek nigdy do nas nie trafił.

Kusiło mnie, żeby powiedzieć: „A widzisz! W przedostatnim dniu życia Ralphowi Meierowi myliły się różne rzeczy, z powodu lekarstw i wycieńczenia”. Jednak nic nie odpowiedziałem.

Wtedy Judith zabrała głos.

— W październiku...

Patrzyłem na nią wraz z Maaslandem, lecz ona spoglądała teraz jedynie na mnie.

— ...Ralph martwił się — stwierdziła. — Zaczynał dwa miesiące zdjęć we Włoszech. Miał wyjechać kilka dni później. Powiedział mi, że uważałeś, iż wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek

wysłałeś coś do szpitala. By go uspokoić.

— Nic do nas nigdy nie dotarło — powtórzył Maasland.

— To rzeczywiście bardzo dziwne — odparłem. — Na pewno bym to zapamiętał.

— Dlatego właśnie z panią rozmawiam, pani Meier — powiedział Maasland. — Uważamy sprawę za zbyt poważną, by tak ją pozostawić. Chcemy się nią dogłębniej zająć. Do tego potrzebna jest nam pani zgoda na autopsję.

— O nie, na autopsję? Czy to naprawdę konieczne? — jęknęła Judith.

— Chodzi nam, a zapewne i pani, o to, by uzyskać pewność na temat tego, co się dokładnie zdarzyło. Autopsja może nam wiele wyjaśnić. Może na przykład wykazać, czy tkanka rzeczywiście została pobrana i kiedy. Metody stały się w ostatnich latach dokładniejsze. Gdyby się okazało, że tkanka została pobrana, to jesteśmy w stanie niezwykle dokładnie określić, kiedy to miało po raz pierwszy miejsce. Nie tylko, czy odbyło się to w październiku lub później, ale nawet dokładnie co do dnia.

## ROZDZIAŁ 7

Niecałe trzy tygodnie po dniu, w którym Ralph Meier półtora roku wcześniej nieoczekiwanie zjawił się w moim gabinecie, do mojej skrzynki wpadło zaproszenie na premierę *Ryszarda II*. Gdy otwierałem kopertę, pojawiły się te same objawy, które zwykle czułem w wypadku zaproszeń: suchość w ustach, spowolnienie rytmu serca, ucisk w gałkach ocznych i wrażenie jak ze złego snu, nocnego koszmaru, w którym wjeżdżasz do nowo wybudowanej dzielnicy, skręcasz w lewo, potem w prawo, ale nie możesz znaleźć drogi i już do końca życia zmuszony jesteś po niej błądzić.

— Ralph Meier? Naprawdę? — zapytała Caroline. — Nawet nie wiedziałam, że był twoim pacjentem.

Caroline to moja żona. Nigdy ze mną nie chodzi na premiery ani na prezentacje książek, otwarcia galerii, czy retrospektywy na festiwalach filmowych. Wpada na nich w jeszcze większą panikę niż ja, a ja rzadko naciskam. W pojedynczych przypadkach błagam ją na kolanach, aby mi towarzyszyła, a ona wtedy wie, że sprawa jest poważna i, nie protestując, idzie ze mną. Ale nie nadużywam tego. Błaganie na kolanach pozostawiam sobie na sytuacje krytyczne.

— *Ryszard II* — przeczytała po otwarciu zaproszenia. — Właściwie dlaczego nie? Pójdę z tobą.

Siedzieliśmy przy śniadaniu w kuchni. Nasze obie córki poszły już do szkoły. Młodsza, Lisa, do podstawówki za rogiem, Julia na rowerze do gimnazjum. Za dziesięć minut miał przyjść mój pierwszy pacjent.

— Szekspir to co najmniej trzy godziny — odparłem.

— Ale z Ralphem Meierem. Nigdy jeszcze nie widziałam go na żywo.

Miała rozmarzony wzrok, wymawiając nazwisko aktora.

— O co ci chodzi? — zapytała. — Przyznam, że kobietom miło na niego patrzeć, wtedy trzy godziny wcale się nie dłużą.

I tak oto trzy tygodnie później wybraliśmy się do teatru na premierę *Ryszarda II*. Nie po raz pierwszy szedłem na sztukę Szekspira. Widziałem ich już z dziesięć. *Poskromienie złościcy*, w którym wszystkie męskie role odgrywane były przez kobiety. *Kupca weneckiego* z aktorami w pieluchach, a aktorkami w workach na śmieci i reklamówkami z supermarketu na głowach, *Hamleta* z aktorami z Downem, maszynami napędzanymi przez wiatr i (martwą) gęsią, której na scenie odrąbano łeb. *Króla Leara* z byłymi narkomanami oraz dziećmi z Zimbabwe, *Romea i Julię* w nigdy niewykończonej tubie metra, gdzie po ścianach spływała woda ze ścieków, na której wyświetlano zdjęcia z obozów koncentracyjnych. *Makbeta*, w którym wszystkie role grali nadzy mężczyźni, a ich jedynym ubraniem były sznurówki przeciągnięte pomiędzy pośladkami. Z ich brodawek zwisały kajdanki i ciężarki, z taśmy dochodziły

odgłosy ostrzału mózdzierzowego, piosenki Radiohead oraz wiersze Radovana Karadžicia. Nie tylko trudno było patrzeć na to, w jaki sposób kajdanki oraz ciężarki przyłączone zostały do brodawek aktorów, ale znowu chodziło przede wszystkim o przemijanie czasu. Pamiętam opóźnienia na lotniskach, długasne, rozciągające się na pół dnia lub więcej, które zdawały się mijać dziesięć razy szybciej niż te przedstawienia.

Jednak w *Ryszardzie II* aktorzy nosili kostiumy z epoki. Scenografia możliwie wiernie przedstawiała zamkową salę. Kiedy Ralph Meier wszedł na scenę, zdarzyło się coś wyjątkowego. Na zwyczajnie milczącej widowni, na której było po prostu cicho, zapadła niemal grobowa cisza. Aż do pierwszych słów Ryszarda wszyscy wstrzymali oddech. Popatrzyłem w bok, na Caroline, lecz jej uwaga skoncentrowana była wyłącznie na tym, co się działo na scenie. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Trzy godziny później staliśmy w foyer z kieliszkami szampana. Wkoło nas przeciskali się mężczyźni w granatowych marynarkach i kobiety w sukniach po kostki, obwieszane biżuterią: bransoletkami, łańcuszkami i pierścionkami. W kącie foyer grali skrzypkowie.

— Zbieramy się już...? — Popatrzyłem na zegarek, jak zdałem sobie sprawę, po raz pierwszy tego wieczoru.

— Ach, Isis może jeszcze trochę poczekać — stwierdziła Caroline. — Wypijmy jeszcze po kieliszku.

Isis była opiekunką naszej córki. Miała szesnaście lat i rodzice nie pozwalali jej zbyt późno wracać do domu. Julia miała trzynaście, a Lisa jedenaście lat. Za rok, dwa moglibyśmy naszą młodszą córkę zostawić pod opieką starszej siostry, ale wtedy jeszcze nie.

Gdy wracałem z baru z dwoma kieliszkami szampana, ujrzałem w odległości dziesięciu metrów od nas wystającą ponad inne głowy twarz Ralpha Meiera. Pozdrowiała na prawo i lewo. Uśmiechała się, tak jak uśmiecha się twarz przyzwyczajona do odbierania gratulacji.

— Jest tam — powiedziałem — zaraz mu cię przedstawię.

— Gdzie?

Moja żona jest ode mnie niższa o głowę i nie widziała twarzy Meiera. Poprawiła podpięte do góry włosy i otrzepała bluzkę z nieistniejących okruchów i paprochów.

— Marc! — Meier uścisnął moją rękę. Uścisk jego dłoni był silny, jakby chciał pokazać, że użył najwyżej dziesięć procent swej mocy. Odwrócił się do Caroline:

— A to twoja żona? No, nie skłamałeś ani słowa!

Złapał jej dłoń, pochylił się i złożył na niej pocałunek. Następnie obrócił się nieco i położył rękę na ramieniu kobiety, której obecności do tej pory nie zauważyliśmy, gdyż postać Meiera całkowicie ją przesłaniała. Wyszła teraz niemal dosłownie z jego cienia i wyciągnęła rękę.

— Judith — przedstawiła się, po czym uścisnęła dłoń Caroline, a następnie moją.

Dopiero dużo później, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, będąc sam, zrozumiałem, że Judith Meier wcale nie była niska. Ona wydawała się niska na tle męża, tak jak wioska u stóp góry. Lecz tego wieczoru w foyer teatru przenosiłem wzrok z Ralpha na Judith i z Judith na Ralpha, myśląc o rzeczach, które często



przychodziły mi do głowy, kiedy widziałem małżeństwa po raz pierwszy razem.

— I jak wam się podobało? — zapytała Judith bardziej Caroline niż mnie.

— To było fantastyczne doświadczenie! — odparła Caroline.

— Może powinienem na chwilę odejść, żebyś mogła powiedzieć, co naprawdę sądzisz — zaproponował Ralph.

Zagrzmiał głębokim śmiechem. Kilka osób odwróciło głowę w jego stronę i również zaczęło się śmiać.

Jak już opowiadałem, czasem muszę poprosić pacjentów, aby się rozebrali, ale jedynie wtedy, gdy wszystkie inne możliwości zostały już wyczerpane. Nie licząc kilku wyjątków, moimi pacjentami są pary małżeńskie. Spoglądam na ich nagie ciała i te obrazy nasuwam na siebie. Widzę, jak się do siebie zbliżają. Widzę usta, wargi przyciskające inne wargi, ręce, palce, które dotykają, paznokcie na skrawku gołej skóry. Czasem w ciemności, często nie. Są osoby, które bez skrępowania zostawiają zapalone światło. Widziałem ich ciała i wiem, że w większości wypadków lepiej światła nie zapalać. Oglądam ich stopy, kostki, kolana, uda, a potem wyżej, okolice pępka, klatki piersiowej lub piersi, szyję. Genitalia przeważnie omijam, a właściwie patrzę na nie, jak się patrzy na rozjechane na asfalcie zwierzę. Moje spojrzenie zahacza o nie niby naderwany paznokieć o nitkę ubrania — nic więcej. A jeszcze nie wspomniałem o tylnej stronie ciała. Tyły pacjentów to oddzielna historia. Pośladki mogą, w zależności od ich formy lub jej braku, wywołać ślełą wściekłość albo rozczulić. Nienazwane miejsce, w którym wgłębienie oddzielające pośladki przechodzi w kręgosłup. Kręgosłup. Łopatki. Granica włosów na karku. Z tyłu ciała jest więcej nieokreślonych miejsc niż z przodu. Na tylnej stronie księżycy kapsuła kosmiczna i lądownik księżycowy tracą kontakt z centrum lotu. Robię zainteresowaną minę. „Boli panią również wtedy, gdy leży pani na boku?”, pytam, myśląc o małżeństwach obmacujących się z tyłu. Chcę to mieć już za sobą, chcę, żeby się ubrali, abym mógł spoglądać jedynie na ich gadające głowy. Jednak ciało nigdy nie zapominam. Łączę jedną głowę z drugą, łączę ze sobą ciała. Pozwalam im się ze sobą splątać. Sapiąca głowa zbliża się do innej głowy. Języki wpychane są w usta i zataczają w nich badawczo kręgi. W dużych miastach są ulice, do których przez wysoką zabudowę prawie nie dociera światło. Pomiedzy płytami chodnika rośnie mech lub prawie martwa trawa. Jest tam zimno i wilgotno lub, przeciwnie, gorąco i duszno. Wszędzie są małe muszki lub całe chmury komarów. „Wystarczy, proszę się ubrać. Co słyhać u pani męża? U pana żony?”.

Spoglądałem na Ralpha Meiera, a następnie na Judith. Jak już mówiłem, ona nie była niska, ona była zbyt niska w porównaniu do niego. Myślałem o tych rzeczach, które ludzie robią ze sobą w ciemnościach. Patrzyłem na rękę Ralpha trzymającą kieliszek szampana. Prawdę mówiąc to cud, że nie pękł w jego dłoni.

I wtedy nagle nadeszła ta chwila, chwila, do której później jeszcze wielokrotnie wracałem myślami. Chwila, która powinna mnie była ostrzec.

Judith złapała Caroline za łokieć, by ją komuś przedstawić. Jakiejś kobiecie, której twarz ledwo

zapamiętałem, zapewne aktorce z *Ryszarda II*. Caroline stanęła tyłem do mnie i Ralpa.

— Ja nie nudziłem się w każdym razie nawet przez jedną sekundę — powiedziałem do Ralpa. — To niesłychane, że i tego w końcu udało mi się doświadczyć.

Dopiero po sekundzie czy dwóch zdałem sobie sprawę z tego, że Ralph Meier już mnie nie słucha. Nawet na mnie nie spoglądał, a ja nie musiałem śledzić jego wzroku, by wiedzieć, za kim podąża.

Coś się też stało z samym jego spojrzeniem, z jego oczami. Kiedy wzrokiem mierzył Caroline z tyłu od stóp do głów, jego oczy zaszyły mgłą. W filmach przyrodniczych widać to nieraz u ptaków drapieżnych, które z dużej wysokości lub z gałęzi drzewa wypatrzyły mysz lub inny smakowity kąsek. W ten sam sposób Ralph Meier patrzył na ciało mojej żony: jak na coś pysznego, na widok czego zbierała mu się ślinka. Jego usta się poruszyły. Wargi się rozchyliły, szczęki pocierały jedna o drugą, wydawało mi się nawet, że usłyszałem zgrzyt zębów. W końcu wymknęło mu się westchnienie. Ralph Meier widział coś apetycznego, cieszył się z góry na potrawę, którą — jeśli tylko nadarzy się ku temu okazja — pożre w kilku kęsach.

Najbardziej uderzające było chyba to, że wcale się tego nie wstydził, tak jakbym nie stał obok niego. Równie dobrze mógł rozpiąć rozporek i mnie obsikać. Nie zrobiłoby to właściwie żadnej różnicy.

I wtedy, w jednej chwili, stał się ponownie sobą, jakby ktoś, jakiś hipnotyzer, nagle pstryknął palcami i wyprowadził go z hipnozy.

— Marc — powiedział i popatrzył na mnie, jakby ujrzał mnie po raz pierwszy. Spojrzał na pusty kieliszek, który trzymał w ręce, i zapytał: — Jak myślisz, napijemy się jeszcze po jednym?

Później tego wieczoru opowiedziałem o tym Caroline. Właśnie zdjęła gumkę i potrząsała włosami, by je rozpuścić. Wyglądała raczej na rozbawioną niż wstrząśniętą.

— Naprawdę? — upewniała się. — Jak patrzył? Możesz to jeszcze raz dokładnie opisać?

— Jak się patrzy na smakowity kąsek — odpowiedziałem.

— I co z tego? Przecież ja jestem smakowitym kąskiem, prawda? A może uważasz, że nie?

— Ależ proszę cię, Caroline! Nie wiem, jak mam to dobitniej wyrazić... Mnie wydało się to... obrzydliwe.

— Kochanie, ale przecież nie ma nic obrzydliwego w tym, jak mężczyźni patrzą na kobiety lub, odwrotnie, kobiety na mężczyzn! Ralph Meier to po prostu kobieciarz, to po nim widać. Dla jego żony to może nie jest zbyt przyjemne, ale cóż, w końcu sama go wybrała. Przecież kobieta od razu widzi, z jakim typem mężczyzny się związała.

— On zupełnie nie przejmował się tym, że stałem obok niego.

Caroline odwróciła się, przysunęła w moją stronę, aby się przytulić, i położyła mi dłoń na piersi.

— Ty chyba nie jesteś zazdrosny? Bo mówisz tak, jak zazdrosny mąż.

— Nie jestem zazdrosny! Zdaję sobie sprawę z tego, jak mężczyźni patrzą na kobiety, ale to nie było normalne. To było... obrzydliwe. Nie potrafię tego inaczej określić.

— Mój kochany zazdrośniku! — powiedziała Caroline.

## ROZDZIAŁ 8

W gabinecie lekarskim taki jak mój chodzi o to, by norm medycznych, czyli tego, co ściśle biorąc jest pod względem zdrowotnym dopuszczalne, nie brać zbyt dosłownie. W wolnych zawodach nadużycia są częściej regułą niż wyjątkiem. Wszyscy moi pacjenci razem wzięci wypełniają tygodniowo dziesięć kontenerów na szkło. Mógłbym powiedzieć im prawdę: dopuszczalna norma to dwa do trzech kieliszków dziennie, dwa w wypadku kobiet, trzy w wypadku mężczyzn, ale tej prawdy nikt nie chce słuchać. Naciskam opuszkami palców na wątrobę, sprawdzam jej twardość. „Ile kieliszków alkoholu pije pan/pani dziennie?”, pytam. Mnie nie oszukają. Alkohol przenika przez skórę. „Piwko przed kolacją, a potem jeszcze najwyżej pół butelki wina”, odpowiadają. Alkohol ucieka przez pory i wyparowuje tuż nad powierzchnią skóry. Mam dobry węch. Czuję, co pacjent wypił poprzedniego wieczoru. Malarzy i rzeźbiarzy czuć zbożową i jałowcówką, a pisarzy i aktorów piwem i wódką. Oddech pisarek i aktorek zionie kwaśnym odorem taniego chardonnay z lodem. Choć zasłaniają usta dłonią, to nie udaje im się opanować odbijania. Mogę oczywiście coś na ten temat powiedzieć. Mogę spróbować skłonić pacjentów, by — jak to się mówi — wyłożyli karty na stół. „Chyba pani żartuje: piwko i pół butelki wina?”. Zmieniliby wtedy lekarza, tak jak zmienili poprzedniego, który podobnie jak ja naciskał palcem na ich wątrobę, lecz który, czując to samo co ja, powiedział im prawdę. „Jeśli pan nie zmieni nawyków, to w ciągu roku pańska wątroba pęknie. Umieranie jest wtedy wyjątkowo bolesne. Wątroba nie jest w stanie oczyszczać organizmu z toksyn, które są w nim rozprowadzane. Gromadzą się one wokół kostek nóg, w komorach serca, w białku oka. Białko zabarwia się na żółto, a następnie na szaro. Części wątroby obumierają, a jej pęknięcie to ostatni etap. Pacjenci zmieniają lekarza i przychodzą do mnie. Ktoś — jakiś dobry przyjaciel czy przyjaciółka, może kolega — powiedział im o lekarzu, który nie bierze zbyt dosłownie reguł określających dopuszczalną ilość spożywanego codziennie alkoholu. „Ach, ta dopuszczalna liczba kieliszków na dobę jest relatywna”, mówię, „W końcu żyje się raz. Zdrowe życie to jeden z największych powodów do stresu. Proszę się wokół siebie rozejrzeć. Tylu artystów dożyło osiemdziesięciu lat, mimo iż zawsze prowadzili rozpasane życie”. Zauważam, że moi nowi pacjenci zaczynają się rozluźniać. Na ich twarzach pojawia się uśmiech. Mówię im to, co chcą usłyszeć. Rzucam jakieś nazwisko, na przykład: „Pablo Picasso”. Pablo Picasso też nie odmawiał sobie alkoholu. Wypowiedzenie jakiegoś nazwiska służy dwóm celom. Dzięki temu, że stawiam pacjentów w jednym szeregu ze znanym na całym świecie artystą, czują się oni przez chwilę Pablem Picassem. Mógłbym to też inaczej sformułować: „Jest pan większym pijakiem niż Pablo Picasso, lecz nie dysponuje pan nawet jedną dziesiątą jego talentu. Prawdę mówiąc to marnotrawstwo. Marnotrawstwo alkoholu oczywiście”. Ale nie mówię tego, a inne nazwiska przemilczam, nazwiska geniuszy, którzy zapili się na śmierć.

W ostatnim dniu życia Dylan Thomas wrócił pod wieczór do swojego pokoju w hotelu Chelsea w Nowym Jorku. „*I've had eighteen straight whiskies, I think that is the record*” <sup>1</sup>, powiedział do żony, po czym stracił przytomność. Sekcja wykazała, że jego wątroba była czterokrotnie większa od wątroby, którą można by uznać za zdrową. Nie wspominał o Charlesie Bukowskim, o Paulu Gauguinie, o Janis Joplin. Chodzi o to, jak się żyje. Kto potrafi cieszyć się życiem, ten żyje dłużej niż malkontenci, jedzący wyłącznie roślinki i popijający ekologiczny jogurt. Opowiadał im o wegetarianach cierpiących na śmiertelne choroby układu trawiennego, o abstynentach umierających przed trzydziestym rokiem życia na zawał serca, fanatycznych przeciwnikach palenia, u których wykryto raka płuc. „Proszę pomyśleć o krajach śródziemnomorskich”, mówię. „Od wieków pije się tam wino, a ludzie są zdrowsi niż w naszej szerokości geograficznej”. Są kraje i narody, które świadomie przemilczam. Nie opowiadał o średniej życia chlających wódkę Rosjan. „Ten, kto nie cieszy się życiem, długo nie pożyje”, stwierdzam. „Wie pan, dlaczego Szkoci nigdy nie zapadają na grypę? Nie? To ja panu powiem...”. W tej chwili już prawie przekonałem nowego pacjenta do siebie. Wymieniam z pamięci marki whisky: Glenfiddich, Glencairn, Glencadam, aż w końcu dochodzę do decydującego momentu rozmowy. Daję do zrozumienia, że ja również nie stronię od kieliszka, że jestem jak oni, że jestem jednym z nich. Oczywiście nie całkiem, znam w końcu swoje miejsce, nie jestem przecież artystą. Jestem zaledwie prostym lekarzem pierwszego kontaktu, ale za to takim, który jakość życia przedkłada nad zdrowy w stu procentach organizm.

Do mojego gabinetu przychodzi była pani wiceminister ważąca sto pięćdziesiąt kilo. Była pani wiceminister ds. kultury, z którą wymieniam się przepisami, czego właściwie nie powinienem robić. „Brakuje mi nieraz powietrza, panie doktorze”, dyszy, opadając na krzesło po przeciwnej stronie biurka. Proszę ją, by rozpięła bluzkę i odkryła plecy, i biorę do ręki stetoskop. Dźwięki dochodzące z otyłego ciała są inne od dźwięków wydawanych przez ciało, w którym organy mają wystarczająco dużo miejsca. W otyłym ciele wszystkie narządy muszą ciężiej pracować, toczą walkę o swoje terytorium, walkę z góry przegraną. Tłuszcz jest wszędzie, otacza je ze wszystkich stron. Nasłuchuję przez stetoskop. Osłuchuję płuca, które przy każdym wdechu zmuszone są odpychać tłuszcz na boki. „Proszę powoli wypuścić powietrze”, mówię i słyszę, jak tłuszcz powraca na swoje miejsce. Serce nie bije, lecz łomocze, robi nadgodziny, musi na czas przepompować krew do każdego zakątka ciała. Ale tłuszcz otacza również żyły. „Proszę powoli wciągnąć powietrze”, mówię. Tłuszcz się opiera, ustępuje jeszcze tylko wtedy, gdy płuca próbują napełnić się powietrzem, lecz zdobytego terytorium już nie oddaje. To walka o setne części milimetra. Niezauważalnie dla oka, tłuszcz przygotowuje się do ostatecznej ofensywy. Przesuwam stetoskop z pleców do przodu. Pomiędzy piersiami wiceminister lśni wąska strużka potu, niby oglądany z daleka wodospad wysoko na zboczu góry. Na same piersi próbuję nie patrzeć. Zawsze nachodzą mnie nieodpowiednie myśli. Nie mogę temu zapobiec. Myślę o jej mężu, który jest przez większą część roku bezrobotnym „dramaturgiem”. Myślę o tym, kto na kim leży. Najpierw on leży na niej, ale nie może się niczego złapać. Osuwa się z niej, niby z łóżka wodnego do połowy napełnionego wodą lub z kiepsko napompowanej poduszki pneumatycznej. Albo, przeciwnie, zbyt głęboko się w nią zapada. Wbija palce

w ciało, przydałyby mu się właściwie haki i liny. „Co ty próbujesz zrobić?”, dyszy żona i spycha go z siebie. Teraz on leży pod nią. Myślę o piersiach zwisających nad jego twarzą, które powoli się zniżają. Najpierw następuje całkowite zaćmienie słońca, światło gaśnie, a następnie zaczyna brakować powietrza. „Dramaturg” coś tam jeszcze krzyczy, ale każdy dźwięk tłumiony jest przez piersi całkowicie przykrywające mu twarz. Są zbyt gorące i już trochę zwilgotniałe. Fioletowy sutek wielkości talerzyka deserowego zatyka mu usta i nozdrza. W tym momencie, pod ciężarem stu pięćdziesięciokilogramowego ciała żony, z suchym trzaskiem pęka mu pierwsze żebro. Ona tego nie zauważa, łapie go za penis i wpycha go sobie do środka. Ponieważ i tam wszystko jest tłuste, trwa to chwilę, zanim upewni się, że rzeczywiście w niej tkwi. Tymczasem łamie się więcej żeber. To tak, jak w wypadku dziesięcioletniego budynku, którego plan wykonawca niedokładnie przestudiował. Budowlańcy biorą się do burzenia ściany na parterze. Najpierw powstają pęknięcia, potem cała konstrukcja zaczyna się chwiać, aż w końcu budynek się wali. Ona wylizuje mu językiem ucho, a on czuje, jakby język bernardyna wypełniał mu całkowicie małżowinę. „Proszę jeszcze raz wypuścić powietrze”, mówię. „Co słysząc u pani męża? Znalazł znowu pracę?”. Mógłbym jej uświadomić, że długo tak nie pociągnie. Nie tylko narządom brakuje miejsca, również stawy są przeciążone. Wszystko zostaje zniszczone: rzepki, więzadła piętowo-skokowe, stawy biodrowe. Można to porównać do przeciążonej ciężarówki. Podczas zjazdu z góry przegrzewają się hamulce, przyczepa się przekręca, ciężarówka przebija barierkę i spada w przepaść. Lecz ja otwieram szufladę biurka i wyciągam przepis na karczek ze śliwkami w czerwonym winie. To przepis, który wyciąłem z czasopisma. Była pani wiceminister lubi gotować. To jej jedyne hobby, nic innego jej nie interesuje. Wcześniej czy później zakucharzy się na śmierć. Umrze, wpadając twarzą do garnka.

Ralph Meier był również zbyt otyły, chociaż w inny sposób, można by powiedzieć, że bardziej „naturalny”. Rozmiar jego ciała wprowadzał początkowo w błąd. Sadło otulało jego ciało niby zbyt luźny płaszcz. Ale już podczas jego pierwszej wizyty w moim gabinecie słyszałem dźwięki, które rzadko słyszę w wypadku osób zdrowych. Przystawiłem stetoskop do jego obnażonych pleców. Po pierwsze, jego oddech brzmiał ciężko, jakby powietrze, którego i tak ledwo wystarczało, trzeba było wyciągać wiadrem ze zbyt głębokiej studni. W uderzeniach serca pobrzmiwało echo, jak podczas bicia dzwonu. A niżej, w jego trzewiach pod żołądkiem przelewało się coś i gulgotało. Lubił skorupiaki i ptactwo, o czym później przekonałem się na własne oczy. Niewielkie ptaki: przepiórki, kuropatwy. Rozrywał kosteczki i wsadzał je sobie do ust. Wysysał kręgi szyjne, zgniatał zębami kostki kręgosłupa, by wyciągnąć z nich ostatni soki. „Gram co wieczór, a po południu mam próby do nowego przedstawienia”, stwierdził. „Tak dłużej nie dam rady”. Przyznał, że moje nazwisko podał mu kolega, który od lat był moim pacjentem. Ten opowiedział mi o tabletkach, o tym, z jaką łatwością wypisuję recepty na owe tabletki: benzedrynę, amfetaminę, speed. To w zasadzie nic więcej, tylko różne nazwy tej samej substancji. Akcja serca przyspiesza, źrenice i naczynia krwionośne się rozszerzają. Przez kilka godzin jesteśmy w stanie wziąć więcej na swoje barki.

Rzeczywiście można powiedzieć, że „łatwo” przepisują niektóre lekarstwa. To prawda. Dlaczego ktoś ma nie spać przez pół nocy, gdy już po jednym miligramie lorazepamu zapada w głęboki sen. To lekarstwa, które poprawiają jakość życia. Niektórzy koledzy ostrzegają pacjentów przed ich uzależniającym działaniem. Najpierw wypisują komuś receptę na valium, a następnym razem, gdy poprosi ich o kolejną, robią z tego problem. Ja mam na ten temat inne zdanie. Niektórzy potrzebują kopniaka, inni głowy, która przez kilka godzin mniej myśli. Piękno tych lekarstw leży w ich prostocie. Po pięciu miligramach valium stajesz się naprawdę spokojniejszy, a zaledwie trzy miligramy benzedryny wystarczą, by szaleć po mieście do piątej rano. Jeszcze inny boi się sklepów i zagadywania dziewcząt. Po dwutygodniowym przyjmowaniu seroxatu przychodzi do domu z dwunastoma koszulami Hugo Bossa, lampką na biurko zaprojektowaną przez Alana Setscoe i pięcioma parami spodni marki G-Star RAW. Po trzech tygodniach zagaduje wszystkie dziewczyny w dyskotecę. Nie jedną czy dwie, ale wszystkie. Nie daje się odstraszyć przez głupie chichotanie, czy bezpośredniego kosza. Na chichotanie i odrzucenie nie ma czasu. „Noc jest jeszcze młoda”, to hasło dla frajerów z pryszczami, którzy po siedmiu godzinach wystawania z piwem w rękę wracają do domu sami. Dzięki seroxatowi zdaje sobie sprawę, że noc wcale nie jest taka młoda, ona właśnie się zaczęła. Im wcześniej on zacznie, tym dłużej ona potrwa. Znalazł idealne zdanie, by rozpocząć znajomość, a właściwie już się nie przejmuje pierwszymi zdaniami, bo wszystkie są idealne. Przede wszystkim dlatego, że po trzydziestu sekundach je zapomina. Są wyjątkowo proste: „Świetnie wyglądasz”, mówi do dziewczyny, która ładnie wygląda. „Czy istnieje też pan Mulder?”, pyta kobietę, która przedstawiła się jako Esther Mulder. „Wcześniej takie zdania nie przechodziły mi przez gardło”, wyznaje pacjent zażywający seroxat. „Idziemy do mnie czy do ciebie?”, „Twoje oczy są najpiękniejsze, kiedy się uśmiechasz”, „Jeśli wyjdziemy teraz razem, to coś jeszcze będziemy mieć z tej nocy”, „Mogę cię tu dotknąć, czy uznasz, że jestem obleśny?”, „Po pięciu minutach miałem wrażenie, że znamy się od lat. Wymawianie tych zdań daje poczucie”, nie mógł znaleźć na to innego określenia, „wolności”. Prostota, to właśnie o nią chodzi. Prostotą jest powiedzieć do pięknej kobiety, iż jest piękna. Nie mówi się: „Wiesz, że jesteś bardzo piękna?”. Piękna kobieta o tym wie. „Wiesz, że jesteś bardzo piękna?”, mówi się z reguły wyłącznie do brzydkiej kobiety, do kobiety, która tego jeszcze nigdy nie słyszała, do kobiety, której tego jeszcze nikt nigdy nie powiedział. Jej wdzięczność nie będzie znała granic. Później tego wieczoru zaakceptuje wszystko: brudnego, niedomytego kutasa na twarzy, opryskującego ją — jej pępek, usta, powieki — starym, zbieranym od miesięcy nasieniem. Nasieniem żółtym jak pożółkłe kartki książki, której nikt nie chciał czytać i dlatego leżała pozostawiona w słońcu obok leżaka. Wstrętnym, bezwartościowym nasieniem, które czuć, jak do połowy wypróżnioną buteleczkę actimelu, zapomnianą w głębi lodówki. Z drugiej strony zdarza się, że — albo mówiąc inaczej — właściwie można być niemal pewnym, że piękna kobieta rzadko słyszała, jak bardzo jest piękna, że żaden z obecnych na imprezie mężczyzn nie śmiał jej tego jeszcze powiedzieć. Na to skarżą się między sobą piękne kobiety: ich uroda jest tak oczywista, jak w wypadku Mona Lisy, Akropolu, czy Wielkiego Kanionu oglądanego z punktu widokowego Grandview Point. Dla pięknych kobiet brakuje nam słów.

Rozmawiając, omijamy ich urodę, która odbiera nam mowę, zatyka nas. „Jadłaś ostatnio w jakiejś dobrej restauracji”, pytają usta. „Masz jakieś plany na wakacje?”. Piękna kobieta udziela zwykłych odpowiedzi. Na początku jest nawet zadowolona, że ktoś ją tak zwyczajnie zagaduje, nawiązuje codzienną rozmowę. Tak zwyczajnie. Tak normalnie. Jakby wcale nie była piękną kobietą, lecz człowiekiem, tak jak reszta. Lecz z upływem czasu coś zaczyna uwierać, bo jest to jednak dziwne. Piękna kobieta obnosi swoją urodę jak pióropusz na głowie. To dziwne, jeśli nikt w rozmowie nie zwróci na niego uwagi.

— Masz piękną żonę — oznajmił Ralph Meier, gdy tylko nadarzyła się okazja.

Siedział po drugiej stronie biurka i przynajmniej nie owijał niczego w bawełnę. Było to podczas jego drugiej wizyty, niecały tydzień po premierze *Ryszarda II*. Ponownie zjawił się niezapowiedzianie, nie umawiając się wcześniej, w moim gabinecie. „Mogę wejść na chwilkę? To potrwa minutę”, powiedział do mojej asystentki.

Początkowo myślałem, że przyszedł po nową receptę na tabletki, lecz o tabletkach podczas drugiej wizyty nie wspomniał nawet jednym słowem.

— Przechodziłem w pobliżu — oznajmił. — Pomyślałem, że zapytam cię osobiście.

— Tak?

Próbowałem patrzeć jak najbardziej neutralnie, lecz nie mogłem nic na to poradzić, nie mogłem się powstrzymać, aby nie myśleć cały czas o jego spojrzeniu, którym mierzył moją żonę od stóp do głów.

— W przyszłą sobotę wydajemy przyjęcie — powiedział. — U nas w domu, a jeśli pogoda dopisze, w naszym ogrodzie. Chciałbym cię zaprosić wraz z żoną.

Popatrzyłem na niego, zastanawiając się, czy zaprosiłby nas również wtedy, gdybym miał inną żonę, nie Caroline? Mniej atrakcyjną?

— Przyjęcie? — zapytałem.

— Judith i ja. W przyszłą sobotę będziemy ze sobą już dwadzieścia lat — potrząsnął głową. — Dwadzieścia lat! Niewiarygodne, jak ten czas leci!

---

1. Z ang.: „Wypiłem osiemnaście kieliszków czystej whisky. To chyba rekord”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 9

— On nie zasypia gruszek w popiele. Idzie wprost do celu.

Siedzieliśmy przy stole w kuchni. Zmywarka do naczyń bulgotała. Lisa już spała, Julia odrabiała lekcje w swoim pokoju. Caroline rozlała reszkę wina do kieliszków.

— Marc, proszę cię! — powiedziała. — On cię po prostu lubi. Nie doszukuj się we wszystkim jakiś podtekstów.

— Lubi mnie! On wcale mnie nie lubi. On lubi ciebie. Powiedział mi dosłownie: „Masz świetną żonę, Marc!”. I tak się właśnie na ciebie patrzył w teatrze, tak jak mężczyzna patrzy na świetną kobietę. Nie rozśmieszaj mnie, proszę!

Caroline napiła się wina i popatrzyła na mnie, trzymając głowę lekko przekrzywioną. Z jej oczu można było wyczytać, że bawiło ją nagle zainteresowanie znanego aktora Ralpha Meiera. Nie mogłem jej tego przecież brać za złe. Prawdę mówiąc, mnie też ono bawiło. Bawiło mnie w każdym razie bardziej niż sytuacja, w której znany aktor nie zwróciłby w ogóle uwagi na moją żonę. Lecz nagle przypomniałem sobie jego obleśne spojrzenie, spojrzenie drapieżnego ptaka. Nie, to nie było jedynie zabawne.

— Myślisz, że zaprosił nas na przyjęcie, bo ja mu się podobam — stwierdziła Caroline. — Ale to nie jest logiczne. Na premierę też nas zaprosił, a przecież wtedy jeszcze mnie nie znał.

Muszę przyznać, że miała rację. Ale zaproszenie na premierę to jednak coś innego niż zaproszenie na przyjęcie u kogoś w domu.

— Odwróćmy sytuację — odparłem. — Za miesiąc obchodzisz urodziny. Czy zaprosiłabyś na nie Ralpha Meiera?

— No... — Caroline popatrzyła na mnie zaczepnie. — No dobra, nie, raczej nie. Masz rację. Ale uważam, że nie powinieneś tak szybko doszukiwać się drugiego dna. Może po prostu nas lubi, nas oboje. To przecież możliwe? Po premierze rozmawiałam z jego żoną. Z niektórymi osobami znajduje się natychmiast wspólny język i tak było właśnie z Judith. Kto wie, może to ona wspomniała Ralphowi, żeby nas oboje zaprosił.

Judith. Jej imię znowu mi umknęło. Za pierwszym razem zapomniałem jej imię w sekundę po tym, jak podała mi rękę w foyer teatru. Kiedy dzisiaj rano Ralph zaczął opowiadać o przyjęciu, zdarzyło mi się to ponownie. „Judith”, powtórzyłem w myślach do siebie, „Judith”.

Będę szczery. Gdy podała mi rękę i przedstawiła się, spojrzałem na nią, jak każdy mężczyzna patrzy na nową kobietę, która po raz pierwszy znalazła się w zasięgu jego wzroku. „Czy mógłbyś z nią...?”, zastanawiałem się, patrząc jej w oczy. Odpowiedź brzmiała: „Tak”.

A Judith odpowiedziała spojrzeniem. To ułamek sekundy, podtrzymanie nieco dłużej czyjegoś wzroku.



W ten sposób Judith i ja popatrzyliśmy na siebie. Nieco dłużej niż to uchodzi za przyzwoite. W chwili gdy zapominałem, jak ma na imię, uśmiechnęła się do mnie. To nie jej usta się uśmiechały, lecz przede wszystkim oczy.

„Tak”, mówiły z kolei jej oczy. „Ja z tobą też”.

„Przyzwoite” to nie jest odpowiednie słowo. Słowa „przyzwoite” używa się w zdaniach, których sam wołałbyś nie wypowiadać. W zdaniach takich, jak: „Miałem nadzieję, iż zachowamy tutaj podstawowe zasady przyzwoitości”. Siebie też nie mógłbym określić słowem „przyzwoity”. Spoglądam tak na kobiety, gdyż nie mam pojęcia, jak inaczej miałbym na nie patrzeć. Jest to może przykre dla „miłych” kobiet, zwyczajnie „fajnych” kobiet, ale na nie na wszelki wypadek nigdy dłużej nie patrzę. Nie jestem nieuprzejmy, nawiązuję w razie czego żywą rozmowę, ale mowa mojego ciała nie może prowadzić do nieporozumień. „Z tobą nie”, wypisane jest wielkimi literami na moim czole. „Nie chcę o tym nawet myśleć. Za żadne skarby świata!”. Miłe kobiety rekompensują brak fizycznej atrakcyjności wrodzonymi lub nabytymi talentami w innych dziedzinach. Na ponadstuosobowych imprezach robią na przykład dla wszystkich kanapki, albo pożyczają dla każdego urodzinowe czapeczki i maski. Lub też przyjeżdżają na rowerze ze skrzynią ładunkową, przywożąc większy zapas drewna niż potrzebny do wszystkich koszy do palenia ognia razem wziętych. „Wilma jest taka fajna!”, mówią wszyscy. „Równa z niej babka! Tylko ona o tym pomyślała”. Wszyscy wprawdzie widzą, że Wilma jest zbyt blada, za chuda lub zwyczajnie brzydka, ale robi tyle rzeczy bezinteresownie, że głupio o tym wspominać. W końcu na którejś z imprez na ponad sto osób zawieszają się na Wilmie jakiś facet. Często w sensie dosłownym. Ten sam mężczyzna, który cały wieczór przestał na brzegu parkietu. Poruszał się wprawdzie z tancerzami, ale sam w ogóle nie wszedł na parkiet. Butelka piwa w jego ręku kołysała się w rytmie muzyki, i to była jedyna rzecz w jego wypadku, która rytmicznie się poruszała. „Pamiętasz tego faceta na przyjęciu?”, pytają później wszyscy. „On jest teraz z Wilmą”. Od tego dnia to on przynosi dwieście bułek z piekarni i rąbie drewno do koszy. Wilma odpoczywa po wieloletnim udawaniu fajnej osoby. Nie można nie przyznać jej racji. Potem pojawiają się też — przeważnie brzydkie — dzieci. Ponadprzeciętnie zdolne, ale mające trudności w nawiązywaniu kontaktu. Dzieci, które naprawdę lubią szkołę, które przeskakują kilka klas, a którym zawsze się dokucza. Kiedy później uda im się w życiu co najwyżej zaczepić w roli pomocnika w sklepie z ekologicznymi produktami mlecznymi, to jest to przeważnie wina społeczeństwa. Przyjaciółki Wilmy zastanawiają się tymczasem, co Wilma widziała w tym z trudem poruszającym się mężczyźnie. Ale ją rozumieją. Nie mówią tego jednak nigdy na głos przy Wilmie, opowiadają to tylko w swoim gronie. „Dobrze, że przynajmniej kogoś dla siebie znalazła”, stwierdzają. „Może zabrzmi to dziwnie, ale w pewnym sensie pasują do siebie”.

„Czy mógłbyś z nią...?”, pytaliśmy się nawzajem na studiach podczas zajęć z autopsji, kiedy na stół wjeżdżały świeżutkie zwłoki. Czasem wychudzone zwłoki starca, który oddał swoje ciało nauce, innym razem ofiary wypadku, u której w wewnętrznej kieszeni marynarki znaleziono zgodę na oddanie po śmierci organów do transplantacji. Służyło to rozluźnieniu napięcia, rosnącego przed rozpoczęciem

rozcinania zwłok człowieka. „Czy mógłbyś z nią...?”, szeptaliśmy do siebie poza zasięgiem słuchu profesora. Wymienialiśmy sumy: „Za sto tysięcy? Za milion? Nie? A za pięć milionów?”.

Już wtedy dzieliliśmy zwłoki na kategorie. Przymiotnik „miłe” oznaczał po prostu, że zwłoki były brzydkie; „pociągająca” była osoba o przyjemnej twarzy, lecz korpusie, o który można by rozbić butelkę szampana; określenie „przystojne” wskazywało na to, że na stole do sekcji leżały zwłoki co najmniej fotomodelki. Ciało, w przypadku którego niezmiernie było szkoda, iż jest zimne i się nie porusza.

Caroline spojrzała na mnie:

— Z czego się śmiejesz? Znowu pewnie myślisz o czymś śmiesznym?

Potrząsnąłem głową.

— Nie, myślałem o Judith — odpowiedziałem. — I Ralphie. O tym, jak się na ciebie patrzył i o tym, że ona nie ma zielonego pojęcia, jakie niebezpieczeństwo czyha na ich dwudziestoletnie małżeństwo, kiedy ty się tam zjawisz.

— Marc, ja przecież nie zamierzam niszczyć ich małżeństwa!

— Ja wiem, że nie masz takiego zamiaru, ale obiecaj mi, proszę, że nie odstąpisz mnie na krok nawet przez sekundę.

Caroline się roześmiała.

— O jak wspaniale jest mieć męża takiego jak ty, Marc! Męża, który nade mną czuwa, który mnie chroni.

Tym razem nadeszła moja kolej, by przechylić głowę i popatrzeć na nią zaczepnie.

— A co na siebie włożysz? — zapytałem.

ⓐ

## ROZDZIAŁ 10

Wszyscy ojcowie woleliby mieć syna niż córkę. Matki zresztą też. Profesor Herzl wykładał u nas biologię medyczną. Już na pierwszym roku mówił nam o instynkcie. „Instynktu nie da się wyeliminować”, twierdził. „Wieki cywilizacji mogą go uczynić niewidzialnym. Kultura i wymiar sprawiedliwości zmuszają nas, by trzymać go w cuglach. Lecz instynkt czai się tuż za rogiem i tylko czeka, aż ktoś się na chwilę zapomni”.

Profesor Aaron Herzl — jeśli jeszcze komuś to nazwisko wydaje się znajome: tak, to ten sam Aaron Herzl, którego później wygryzono z uniwersytetu z powodu jego badań nad mózgiami przestępców. W obecnych czasach wyniki badań Herzla stały się częścią powszechnej wiedzy, lecz w tamtych latach, w latach, na które przypadły moje studia, o takich poglądach można było mówić jedynie szeptem. To były czasy, w których jeszcze wierzono w ludzką dobroć. Zły człowiek — każdy zły człowiek — był w stanie się poprawić, takie przekonanie dyktowała ówczesna moda.

„»Oko za oko, ząb za ząb« jest ludzkiej naturze dużo bliższe, niż chcielibyśmy publicznie przyznać”, nauczał Herzl. „Zabijasz mordercę brata, nożem rzeźnickim kastrujesz gwałciciela żony, włamywaczowi odrąbujesz obie ręce. Sąd prowadzi często jedynie do niekończącego się opóźniania tego samego wyroku: śmierć, zniknięcie. Nie chcemy, aby mordercy i gwałciciele jeszcze kiedykolwiek chodzili naszymi ulicami. Kiedy umiera ojciec, pałeczkę przejmuje syn. Przepędza z domu intruzów, zabija barbarzyńców próbujących zgwałcić matkę i siostry. Przy porodzie nie tylko ojciec, ale i matka wzdycha z ulgą, gdy pierworodne dziecko okazuje się chłopcem. To fakty, których nie da się, ot tak, wymazać przez dwa tysiące lat cywilizacji. Co mówię: dwa tysiące lat? Tak było jeszcze przedwczoraj, niespełna dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Nie wolno nam zapomnieć, skąd pochodzimy. Czuli, mili, łagodni mężczyźni. Jasne, ale to luksus. W obozie koncentracyjnym z czułych i miłych mężczyzn nie ma żadnego pożytku”.

Chcę, aby to było jasne: Kocham córki. Kocham je bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Staram się jedynie być szczerzy. Chciałem mieć syna. Pragnąłem tego w środku tak bardzo, że aż bolało. Syna. Chłopca. Myślałem o tym instynkcie, przecinając pępowinę. Julia. Od urodzenia nikt nie był mi bliższy niż ona. Moja dziewczynka. To była miłość od pierwszego wejrzenia. To była miłość, od której oczy napełniają się łzami, jednak instynkt był silniejszy. „Następnym razem”, wyszeptał. „W ciągu dwóch lat będzie czas na poprawkę”. Po narodzinach Lisy wszystko przepadło. Rozmawialiśmy nawet jeszcze o tym, o trzecim dziecku, lecz moje zainteresowanie kolejną córką było minimalne. Tak to już bywa. Szansa na poczęcie trzeciej córki była stukrotnie większa niż na poczęcie syna. Mężczyźni z trzema lub więcej córkami budzą śmieszność. Nadszedł czas, by pogodzić się z faktami i nauczyć się z tym żyć.

Zacząłem porównywać wady i zalety sytuacji, tak jak porównuje się wady i zalety życia na wsi i w mieście. Na wsi widać więcej gwiazd, jest ciszej, powietrze jest czystsze. W mieście życie jest w zasięgu ręki. Hałas jest wprawdzie większy, ale nie musisz jechać siedmiu kilometrów, żeby kupić gazetę. Są tam kina i restauracje. Na wsi jest więcej owadów, w mieście więcej tramwajów i taksówek. Nie muszę chyba tłumaczyć, że w moim rachunku wieś była dziewczynką, a miasto chłopcem. Osoby mieszkające na wsi wiją się jak piskorz, by nawet wady przedstawiać jako zalety. „Podróż do miasta zajmuje mi zaledwie godzinę. Mogę iść do kina i restauracji, ale zawsze się cieszę, gdy w końcu mogę powrócić do ciszy i natury”.

Godzina w tę i z powrotem. Lepiej nie da się wyrazić różnicy pomiędzy posiadaniem córki i syna. Po narodzinach Lisy pogodziłem się z życiem na wsi. Postanowiłem zaakceptować wady, a przede wszystkim cieszyć się z zalet. Dziewczynki są spokojniejsze, miłsze. Ich pokój lepiej pachnie niż pokój chłopaka. O dziewczynki trzeba się do końca życia bardziej martwić niż o chłopaków. Pomiedzy domem a szkołą jest wiele ciemnych ścieżek rowerowych. Z drugiej strony wszystkie córki zakochują się w ojcach. Z matkami toczą nieustanną walkę o przestrzeń życiową. Caroline było nieraz ciężko. „O co ci tym razem chodzi?!”, wykrzykiwała zdesperowana, kiedy Julia zatrzaśniała jej tuż przed nosem drzwi do swojego pokoju. „A ty z czego się śmiejesz?”, pytała mnie, gdy Lisa przewracała na to oczami i puszczała do mnie oko. „Tobie wszystko uchodzi płazem. Co ja robię nie tak? Co robisz ty, czego ja nie robię?”.

— Ja jestem ich ojcem — odpowiadałem.

— Tato, ale w czym on właściwie gra? — zapytała Lisa, kiedy parkowałem samochód kilka ulic od domu Ralpa Meiera.

Najpierw przejechaliśmy obok niego, wzdłuż żywopłotu, a następnie krzewów rosnących w ogrodzie w spokojniejszej, droższej dzielnicy naszego miasta. Pomiedzy krzewami widać było na trawniku gości, trzymających w ręku kieliszki i talerzyki z jedzeniem. Czuć było dym, prawdopodobnie z grilla. W samochodzie mieliśmy spuszczone szyby, zapach przypiekanego mięsa wdarł się do naszych nozdrzy.

— On jest przede wszystkim znanym aktorem teatralnym — odpowiedziałem. — Nie pojawia się zbyt często w telewizji.

W pojęciu Lisy znany aktor to aktor filmowy albo przynajmniej aktor z serialu pokazywanego codziennie w telewizji. Prawdopodobnie też młody, w każdym razie nie starszy niż Brad Pitt, nie zaś aktor w wieku Ralpa Meiera, który wydawał przyjęcie z okazji tego, że już od dwudziestu lat ma tę samą żonę.

— To można też być sławnym w teatrze? — zapytała zdumiona.

— Lisa, nie udawaj, że nie wiesz. Oczywiście, że tak! — Julia miała w uszach słuchawki od iPod'a, ale widocznie nie przeszkodziło jej to śledzić naszej rozmowy.

— No przecież mogę się chyba zapytać? — odpowiedziała na to Lisa. — Można, tato? Można być

sławnym w teatrze?

Nie zamierzaliśmy brać obu córek na przyjęcie do Ralpa Meiera. Zaproponowaliśmy im to, ponieważ odbywało się ono w sobotnie popołudnie. Początkowo zareagowały dość powściągliwie, lecz na pół godziny przed wyjściem oświadczyły ku naszemu zdziwieniu, że jednak z nami idą.

— Ale dlaczego? Wcale nie musicie — odparłem. — Mama i ja wrócimy za kilka godzin.

— Julia powiedziała, że może będą jacyś znani ludzie — stwierdziła Lisa.

Popatrzyłem na Julię.

— Czemu się tak patrzysz? Przecież to możliwe, prawda?

A teraz, zamknąwszy samochód i idąc wzdłuż żywopłotu oraz krzewów w stronę drzwi wejściowych, próbowałem sformułować odpowiedź na pytanie najmłodszej córki. „Tak”, myślałem, „można być jeszcze sławnym aktorem teatralnym, lecz to inny rodzaj sławy niż pięćdziesiąt lat temu”. Wielokrotnie podejmowano próby — z różnym rezultatem — by i przed kamerą ukazać w pełni talent Ralpa. Pamiętam serial kryminalny, który zdjęto po ośmiu odcinkach, gdyż powaga, z jaką Ralph wymawiał zdanie: „Chodź, stary, wyjaśnisz mi to na posterunku!”, budziła jedynie śmiech. Również w roli przywódcy ruchu oporu w najdroższym holenderskim filmie wszech czasów, zatytułowanym *Most na Renie*, nie odniósł sukcesu. Najbardziej utkwiła mi w pamięci scena szturm na biuro meldunkowe w Arnheim i zdanie: „Musimy, do cholery, rozwalić tę nazistowską kurwę!”. Wymawiając to zdanie, Ralph Meier starał się patrzeć z groźnym wyrazem twarzy, lecz w jego spojrzeniu można było wyczytać przede wszystkim zdziwienie. Ponieważ bohater ruchu oporu ważący ponad sto kilo nie jest wiarygodny, był wtedy na diecie. Widoczne było, iż stracił sporo kilogramów, ale utrata wagi spowodowała, że jego ciało nie wydawało się szczuplejsze, lecz co najwyżej bardziej puste. A kiedy pół godziny przed końcem filmu stał przed plutonem egzekucyjnym, na jego twarzy malowała się nade wszystko ulga. Zapewne cieszył się, że już po wszystkim i że może w końcu zjeść bułkę w busie dostarczającym posiłki na plan filmu.

— Wiele osób chodzi jeszcze do teatru — powiedziałem. Dla nich Ralph Meier jest sławny.

Lisa odwróciła twarz w moją stronę i obdarowała mnie swoim najpiękniejszym uśmiechem.

— Tak, tato!

## ROZDZIAŁ 11

Czasem przewijasz życie do tyłu, jak film, by zbadać, w którym momencie mogło potoczyć się jeszcze w innym kierunku. „Tutaj”, stwierdzasz, „w tym miejscu...”. Mówię wtedy, że my na wakacje wybieramy się w tę samą okolicę i że może („Rzeczywiście. Tak. Dlaczego nie? Kto wie?”) moglibyśmy wpaść. Było to podczas pożegnania, pod sam koniec wieczoru, długo po zmierzchu, kiedy Ralph i Judith po raz pierwszy wspomnieli o letnim domu.

Zatrzymujesz obraz, a następnie cofasz film, klatka po klatce. Tutaj Judith obejmuje Caroline i całuje w oba policzki. „Będziemy tam od połowy lipca, do połowy sierpnia”, mówi, „więc jak będziecie w pobliżu...”. Jeszcze wcześniej widać Ralpha Meiera, śmiejącego się z dowcipu, którego nie słyhać i którego sam już nie pamiętam. „Wynajęliśmy w tym roku dom z basenem, blisko plaży. Jak będziecie mieć ochotę, wpadnijcie. Miejsca jest pod dostatkiem”. Klepie mnie w ramię. „Przypuszczam, że Alex też się ucieszy”. Puszcza oko i patrzy na moją starszą córkę, Julię, lecz Julia odwraca się do nas bokiem i udaje, że nie słyszała.

Alex to ich starszy syn. Stałem obok niego, gdy on i Julia zostali sobie przedstawieni. Było to jeszcze w holu, na samym początku, zaraz po tym, jak weszliśmy. Nie widuje się tego często i właśnie dlatego, że często się tego nie widuje, natychmiast wiadomo, że to właśnie to. Iskra. Przeskakująca niemal dosłownie iskra.

— Co byście na to powiedziały — Caroline zapytała obie córki w drodze powrotnej — gdybyśmy odwiedzili tych ludzi podczas wakacji?

Z tylnego siedzenia nie nadeszła żadna odpowiedź. W lusterku widziałem Julię wyglądającą z rozmarzeniem na zewnątrz. Lisa miała w uszach słuchawki od odtwarzacza mp3.

— Julia? Lisa? — powtórzyła Caroline, odwracając się i kładąc ramię na oparciu fotela. — Zadałam wam pytanie.

— Słucham? — zareagowała Julia — O co pytałaś?

Moja żona westchnęła.

— Pytałam, co powiedziałybyście na to, gdybyśmy odwiedzili tych ludzi podczas wakacji.

— Mnie jest wszystko jedno — stwierdziła Julia.

— A mnie się wydawało, że ten chłopak bardzo ci się spodobał. Nie widzieliśmy cię przez całe popołudnie.

— Mamo...

— Och, przepraszam. Pomyślałam tylko, że może chciałabyś go w wakacje ponownie zobaczyć.

— Wszystko jedno — odpowiedziała Julia.

— Lisa, a ty? — zapytała moja żona. Musiała niemal krzyknąć, żeby Lisa wyjęła słuchawki z uszu.

— Co byś powiedziała, gdybyśmy wpadli do tych ludzi w wakacje? Wynajęli dom nad morzem. Z basenem.

Lisa wraz z młodszym bratem Aleksa i jeszcze kilkoma dziećmi zaszła się w kącie pokoju, gdzie oglądali razem filmy na DVD i grali w gry na playstation przed olbrzymim telewizorem plazmowym przytwierdzonym do ściany. Thomas! To cud, że to imię od razu przyszło mi do głowy. Thomas. Alex i Thomas. Miałem wrażenie, że Thomas jest mniej więcej w wieku Lisy, za to Alex prawdopodobnie starszy od Julii o półtora roku. Mógł mieć czternaście albo piętnaście lat. Był niebrzydkim chłopcem z kręconymi jasnymi włosami i o dość niskim jak na swój wiek głosie. We wszystkich jego ruchach, jego sposobie chodzenia, w tempie, z jakim odwracał twarz, by na ciebie popatrzeć, było coś wystudiowane powolnego, jakby próbował odgrywać spowolnioną wersję samego siebie. Alex w *slow motion*. Thomas był raczej dzieckiem z ADHD, nadpobudliwym i głośnym. W kącie przed telewizorem przewracały się często kubki i miseczki z chipsami, a inne dzieci śmiały się w głos z jego kawałów.

— Z basenem? Pewnie! — wykrzyknęła Lisa.

Po powrocie do domu snułem się najpierw bez celu po salonie, kuchni, a potem i ogrodzie. Na przyjęciu było wiele osób, które znałem zaledwie z widzenia, choć nie zawsze pamiętałem skąd. Było też kilku moich pacjentów. Większość z nich widziała mnie prawdopodobnie po raz pierwszy w cywilu, w moim zwykłym ubraniu i z potarganymi włosami, co wyjaśniało fakt, że oni też spoglądali na mnie, jakby mnie skądś znali, nie wiedząc dokładnie skąd. Nie pomagałem im, kłaniałem się tylko i szedłem dalej.

Ralph stał koło grilla, w fartuchu, na którym wydrukowane było „I LOVE NY”. Nakłuwał kiełbaski, odwracał hamburgery i zsuwał nóżki kurczaka na miskę.

— Marc! — Schylił się, włożył rękę do przenośnej lodówki i wyciągnął z niej półlitrową puszkę jupilera. — A twoja żona? Mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą swoją piękną żonę.

Wcisnął mi do ręki lodowatą puszkę piwa. Spojrzałem na niego i nie mogłem powstrzymać śmiechu.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał. — Chyba nie powiesz mi, że odważyłeś się zjawić tutaj w pojedynkę?

Rozejrzałem się po ogrodzie, udając, że szukam Caroline, choć szukałem kogoś innego. Prawie natychmiast ją znalazłem. Stała przy rozsuwanych szklanych drzwiach, przez które przed chwilą wyszedłem. Ona również mnie zobaczyła i pomachała do mnie.

— Idę jej poszukać — odpowiedziałem.

W tym miejscu muszę coś powiedzieć o moim wyglądzie. Nie jestem George'em Clooneyem. Moja twarz nie nadawałaby się do głównej roli w serialu medycznym. Dysponuję jednak pewną aurą, a dokładniej mówiąc spojrzeniem, które jest wspólne lekarzom wszelkich specjalizacji. Jest to spojrzenie, które — nie wiem, jak to inaczej wyrazić — rozbiera. Spojrzenie, które widzi ciało ludzkie takie, jakie jest.

Naszym spojrzeniem mówimy, że ciało ludzkie nie ma dla nas tajemnic. „Możecie się ubrać, ale pod spodem jesteście nadzy”. W ten sposób patrzymy na ludzi. Niekoniecznie jak na pacjentów, ale raczej jak na chwilowych lokatorów ciała, które bez okresowej konserwacji mogłoby się nagle popsuć.

Stałem z Judith na tarasie przed szklanymi drzwiami. Z domu do ogrodu sączyła się muzyka. Coś południowoamerykańskiego, salsa. Nikt jednak nie tańczył. Wszędzie stały grupki gości toczących ze sobą rozmowy. Nie wypadaliśmy z Judith z tonu. My również tworzyliśmy grupkę.

— Od dawna tutaj mieszkacie? — zapytałem.

Oboje trzymaliśmy w ręku plastikowe talerzyki, które wypełniliśmy przy bufecie w salonie: ja większą ilością mięsa, francuskimi serami i czymś z majonezem, ona pomidorkami koktajlowymi, tuńczykiem i czymś szarozielonym, co przypominało płatki karczocha, a co nimi prawdopodobnie nie było.

— Ten dom należał do moich rodziców — odpowiedziała Judith. — Przez kilka lat mieszkałam z Ralphem na łodzi. To było piękne, romantyczne, czy jak to nazwać, lecz gdy na świat przyszedł chłopcy, zrobiło się tam jedynie ciasno i duszno. Doszedł do tego strach o dzieci otoczone przez cały dzień wodą. Nadszedł czas, by się przeprowadzić. Mieliśmy dość huśtania się w łodzi.

Roześmiałem się, choć ściśle biorąc, nie powiedziała nic śmiesznego. Z doświadczenia wiedziałem jednak, że im wcześniej nadarzy się w rozmowie z kobietą okazja do śmiechu, tym lepiej. Kobiety nie są przyzwyczajone do tego, że reaguje się śmiechem. Myślą, że nie są dowcipne. I rzeczywiście przeważnie nie są.

— A twoi rodzice...? — zacząłem pytanie, zataczając jednocześnie plastikowym widelcem koła nad moim plastikowym talerzem. Nie wychodziłem przy tym poza jego brzegi, co mogło jedynie oznaczać, że pytam o to, czy jej rodzice są jeszcze wśród nas. Wśród żywych.

— Mój ojciec nie żyje. Moja matka uznała, że dom jest dla niej zbyt duży i przeprowadziła się do mieszkania w centrum. Mam jeszcze brata mieszkającego w Kanadzie, który nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy my dostali dom.

— I nie jest to dziwne? — zapytałem, wykonując szerszy gest widelcem. Tym razem wyszedłem poza brzeg talerza. — Czy to nie dziwne uczucie mieszkać w domu, w którym się wychowało? To jakbyś cofnęła się w czasie, do okresu, w którym byłaś małą dziewczynką.

Wymawiając słowo „dziewczynka”, spojrzałem lekko w dół, na jej usta, w których trzymała listek. Patrzyłem jednoznacznie, tak jak mężczyzna patrzy na usta kobiety. Ale patrzyłem również jak lekarz, spojrzeniem, które mówiło: „Możesz mi jeszcze opowiadać o ustach, dla nas nie mają one żadnych tajemnic”.

— Na początku tak — przyznała Judith. — Na początku to było dziwne. Tak jakby moi rodzice jeszcze tu mieszkali. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym gdzieś się na nich natknęła: w łazience, w kuchni czy tutaj, w ogrodzie. Prędzej na ojca niż na matkę. To znaczy: moja matka często tutaj przychodzi, ale to co innego. Teraz też gdzieś tutaj krąży, może ją nawet widziałeś. Ale szybko zaczęliśmy przebudowę. Przebiliśmy ściany, połączyliśmy dwa pokoje w jeden, wstawiliśmy nową kuchnię i wtedy to uczucie



znikło, może nie do końca, ale w dużym stopniu.

Usta to mechanizm, instrument. Wdychają tlen, rozdrabniają i połykają pokarm. Smakują, czują, czy coś jest za zimne lub zbyt gorące. Tymczasem patrzyłem Judith prosto w oczy i nie przestawałem patrzeć, myśląc powyższe rzeczy o ustach. „Spojrzenie mówi więcej niż słowa” to banał, ale banał również mówi więcej niż słowa.

— A twój pokój, gdy byłaś dziewczynką? Jego ściany też zburzyliście?

Wypowiadając słowo „dziewczynka”, zmrużyłem oczy na setną sekundy, po czym skierowałem je do góry, w stronę wyższych pięter domu. To było zaproszenie. Zaproszenie do pokazania mi jej pokoju, kiedy była dziewczynką. Od razu lub później tego popołudnia. W jej dziewczęcym pokoju oglądalibyśmy stare zdjęcia. Oglądalibyśmy stare zdjęcia w albumie, siedząc na brzegu jednoosobowego łóżka, w którym spała jako dziewczynka. Judith na huśtawce. W basenie. Z koleżankami i kolegami z klasy, pozując fotografowi na szkolnym podwórku. We właściwym momencie wyjąłbym album z jej rąk i popchnąłbym ją delikatnie do tyłu, na łóżko. Broniłaby się jeszcze przez chwilę dla formy. Chichocząc, oparłaby ręce na mojej klatce piersiowej, próbując mnie z siebie zepchnąć. Lecz zwyciężyłaby fantazja. Fantazja równie stara jak ten pokój: przychodzi lekarz, mierzy temperaturę, kładzie rękę na czole, odsyła zmartwionych rodziców i jeszcze nie wstaje z brzegu łóżka.

— Nie — odpowiedziała Judith. — Mój dawny pokój należy teraz do Thomasa. Sam pomalował ściany na czerwono-czarno. A jeśli chcesz wiedzieć, były najpierw fioletowo-różowe.

— A na łóżku miałaś mnóstwo fioletowo-różowych poduszek i więcej kudłatych zabawek — zgadywałem. — I plakat z... — to był strzał w ciemno; wymienianie imienia jakiegoś idola muzyki pop albo gwiazdy filmowej było ryzykowne, bo wiązało się z konkretnym okresem — z foczką — powiedziałem. — Ze śliczną foczką.

Oprócz mojego wyglądu muszę w tym miejscu opisać moją osobę. Jestem bardziej interesujący niż większość mężczyzn. Na liście najbardziej pożądanych męskich cech w kobiecych czasopismach większość kobiet wpisuje „poczucie humoru”. Dawno temu myślałem, że to kłamstwo. Kłamstwo, które miało przesłonić prawdę o tym, iż ostatecznie wybrałyby jednak George’a Clooneya albo Brada Pitta. Zrozumiałem jednak, że chodzi o coś innego. Poczucie humoru nie oznacza, że kobiety chciałyby nieustannie zaśmiewać się z kawałów zbyt zabawnego faceta. Nie, im chodzi o coś innego. One chcą, by mężczyzna był interesujący. Nie zabawny, ale interesujący. W głębi serca wszystkie kobiety obawiają się, że z przystojniakami na dłuższą metę będą się nudzić. Że oni zdają sobie sprawę z tego, jak wyglądają. Że nie będą się starać, bo kobiet jest pod dostatkiem. Wkrótce po nocy poślubnej kończy się materiał do rozmów i zaczyna ziewanie z nudów. Ciągła obecność mężczyzny, który nieustannie podziwia swoje odbicie w lustrze, bywa również męcząca. Dzień w dzień. Czas staje się prostą drogą przez piękny, lecz nudny krajobraz. Przez krajobraz, który nigdy się nie zmienia.

— Ciepło — odparła Judith.

— Plakat z koniem... nie, z kucykiem. Czytałaś książki o koniach.

— Tato...

Poczułem dłoń na łokciu i spojrzałem w bok. Obok mnie stała Julia z chłopcem poruszającym się w *slow motion*, który niedawno mi się przedstawił, lecz ja już zdążyłem zapomnieć, że ma na imię Alex. Nieco dalej stało jeszcze dwóch chłopaków i dwie dziewczyny.

— Możemy iść po lody? — zapytała Julia. — To niedaleko.

Jeśli chodzi o wycucie chwili, to był to zarówno dobry, jak i zły moment. Z jednej strony istniało ryzyko, iż nie da się odtworzyć tej nieco dusznej atmosfery wokół naszej, jedynie na pierwszy rzut oka, niewinnej rozmowy o dziewczęcym pokoju Judith, plakatach z foczkami i książkach o koniach. Z drugiej strony stała tutaj moja trzynastoletnia córka jako niezbity dowód na to, iż ten interesujący mężczyzna, czyli ja, jest w stanie spłodzić dziecko. I to nie byle jakie dziecko, ale rozmarzone stworzenie o włosach koloru blond, które jednym spojrzeniem sprawia, że hormony piętnastoletnich chłopców zaczynają buzować. Przyznaję bez bicia: uwielbiam bywać w miejscach publicznych, tam gdzie każdy może nas zobaczyć, w towarzystwie moich córek: w ogródku kawiarni, w domu towarowym, na plaży. Ludzie patrzą. Widzę, jak patrzą. Widzę też, co myślą. „Rany boskie, ale mu się te dzieci udały!”, zachwycają się wszyscy. „Jakie piękne są te dziewczynki!”. W następnej chwili myślą o swoich dzieciach, które nie są tak udane. Stają się zazdrośni. Zaczynają szukać defektów: nieco krzywych zębów, przypadłości skórnych, zbyt krzykliwego głosu, lecz nie znajdują niczego. Wpadają wtedy w złość. Złoszczą się na ojca, który miał od nich więcej szczęścia. Geny są silne. Nawet brzydkie dziecko kocha się z całego serca, lecz tutaj chodzi o coś innego — jesteś szczęśliwy w swoim mieszkaniu na trzecim piętrze na tyłach kamienicy, aż zostaniesz zaproszony na kolację przez kogoś, kto ma basen w ogrodzie.

— Dokąd chcecie iść po lody? — zapytałem jak najspokojniej.

Spojrzałem na powolnego chłopca w sposób, w jaki każdy ojciec patrzy na chłopaków, którzy chcą iść z jego córką na lody. „Spróbuj dotknąć ją palcem, a pożałujesz!”. Z drugiej strony jakiś głos podszeptuje ci, że powinieneś dać spokój. Istnieje punkt zwrotny, w którym troskliwy ojciec powinien się wycofać na rzecz przetrwania gatunku. To również geny.

— Tutaj niedaleko — odparła Judith. — Muszą przejść przez jedną ruchliwą ulicę, ale są przy niej światła.

Popatrzyłem na nią. Opanowałem chęć wyjaśnienia, że „moja córka ma już, skarbie, trzynaście lat i sama jeździ na rowerze do szkoły!”. Udawałem, że się namyślałem i ulegam. Dobry, troskliwy, ale przede wszystkim równy ojciec.

— Okej — odpowiedziałem i zwróciłem się do chłopca. — Ale przyprowadź ją z powrotem całą i zdrową, dobrze?

I znowu zostaliśmy sami, Judith i ja, lecz ów moment rzeczywiście minął. Błędem byłby powrót do rozmowy o plakatach z foczkami i książkach o koniach, o dziewczęcym pokoju. Zdyskwalifikowałbym się natychmiast jako mężczyzna. „Widocznie nie ma już tematów do rozmowy”, stwierdza kobieta i wymyśla wymówkę, by go zostawić. „Muszę sprawdzić w kuchni, czy ciasto jest już gotowe”.

Spojrzałem na Judith, a właściwie podtrzymałem jej wzrok. Widziałem, jak patrzyła na moją córkę. I ona spoglądała wzrokiem znanym od wieków. Jej oczy mówiły: „To dobra partia dla mojego syna”. A teraz patrzyliśmy na siebie. Szukałem odpowiednich słów, lecz moje oczy dały jej już do zrozumienia, że nie musi być zazdrosna ani zła. Jej syn również się udał, on także był dobrą partią. Pozwalając tak łatwo Julii na pójście z chłopakiem, potwierdzałem jedynie to, o czym każdy mógł się przekonać na własne oczy. Dziewięćdziesiąt procent kobiet uważa żonatego mężczyznę za atrakcyjniejszego od samotnego mężczyzny, wykładał już w czasach moich studiów nasz profesor biologii medycznej Aaron Herzl. Żonaty mężczyzna, szczególnie ten posiadający dzieci, udowodnił już, że potrafi. Niezwiązani, samotni mężczyźni przypominają pustostan. Ten dom ma jakiś mankament, domyśla się kobieta. Pół roku później dom jest wciąż niezamieszkały.

W ten sposób Judith patrzyła na mnie: jak na żonatego mężczyznę. Przesłanie było jasne. Nasze dzieci nam się udały. Niezależnie od siebie zasililiśmy nasz gatunek udanymi dziećmi, które miały świetne szanse na rynku. Nasze dzieci nigdy nie zamienią się w pustostan.

— Ma już dziewczynę? — zapytałem.

Nagle na twarzy Judith pojawił się rumieniec. Nie zrobiła się mocno czerwona, ale był to niezaprzeczalnie rumieniec.

— Alex? — upewniła się. — Nie.

Wydawało się, że jeszcze coś chce powiedzieć, ale powstrzymała się na czas. Popatrzyliśmy na siebie, myśląc o tym samym.

## ROZDZIAŁ 12

Kiedy Julia i Lisa były małe, jeździliśmy nieraz na kemping. Teraz już nie. Robiliśmy to przede wszystkim ze względu na Caroline, która — zanim się poznaliśmy — często spędzała wakacje na kempingu. Nie chciałem jej rozczarować. To proste: jeśli ma się żonę, która lubi operę i balet, to idzie się z nią na operę i balet. Caroline lubiła spać w namiocie, więc i ja próbowałem spać w namiocie, ale przeważnie leżałem w nim, nie mogąc zasnąć. To, że wpatrywałem się w ciemność, nie było nawet powodowane myślą o tym, że jestem na dworze, całkowicie bezbronny, osłonięty przed światem jedynie kawałkiem materiału. To nie krople deszczu na płachcie namiotu, czy też grzmot burzy, który wydawał się eksplodować w małżowinie usznej, albo zapach szatni po przebudzeniu, kiedy słońce już od wielu godzin nagrzewało tkaninę, nie, to nie te rzeczy nie pozwalały mi spać. To byli inni ludzie: ludzkość znajdująca po drugiej stronie cienkiej płachty namiotu. Nie mogłem spać, słysząc to, czego nie chce się słyszeć: odgłosy innych ludzi. Nie namiot był przyczyną mojej bezsenności, lecz miejsce, w którym się znajdował: na kempingu wśród innych namiotów.

Pewnego ranka coś się we mnie złamało. Siedziałem na trawie przed naszym namiotem na niskim rozkładanym krześle z wyciągniętymi przed siebie nogami. Julia jeździła tam i z powrotem na trzykołowym rowerku po ścieżce wiodącej do budynku sanitarnego. Lisa bawiła się kilka metrów ode mnie w swoim rozkładanym kojcu stojącym w cieniu kasztanowca. „Tata! Tata!”, zawołała Julia i pomachała do mnie. Odmachałem jej. Caroline poszła do sklepiku po świeże mleko — w mleku z poprzedniego dnia pławiły się tego ranka dwie tłuste muchy.

Ścieżką nadchodził mężczyzna. Miał na sobie czerwone krótkie spodnie. Nie zwyczajne krótkie spodnie albo spodnie do połowy łydek, lecz fason, który jego białe nogi odsłaniał niemal po przyrodzenie. Na nogach miał klapki z drewnianymi podeszwami, które przy każdym kroku uderzały ze słyszalną przyjemnością w jego niewątpliwie równie białe stopy. W prawej ręce niósł niczym nieosłoniętą i widoczną dla wszystkich rolkę papieru toaletowego.

To było jedynie uczucie, nic więcej. Uczucie obrzydzenia. Wydało mi się wstrętne, że mężczyzna minął moją córkę na trzykołowym rowerku w odległości zaledwie kilku kroków. Zobaczyłem, jak Julia przestała na chwilę pedałowac i spojrzała na niego. Myśl o tym, że oczy mojej zaledwie trzyletniej córeczki zarejestrowały zbyt białe i zbyt gołe ludzkie ciało, sprawiła, że wydało mi się to jeszcze obrzydliwsze. To spojrzenie zostało — nie wiem, jak to inaczej określić, zbrukane. Ów mężczyzna zbrukał spojrzenie dziecka swoimi gołymi nogami, drewnianymi klapkami i brudnymi białymi stopami.

Z pewną trudnością podniosłem się z rozkładanego krzesła i poszedłem za nim do budynku z sanitariatami. „Nie zjeżdżaj, kochanie, ze ścieżki!”, rzuciłem, przechodząc koło Julii. Obejrzałem się

jeszcze raz na Lisę w kojcu i wszedłem do środka. Szybko znalazłem to, czego szukałem. Wystarczyło iść za odgłosami. Toalety wyglądały tak, że między podłogą a dolnym brzegiem drzwi była duża otwarta przestrzeń. Otwarta przestrzeń łączyła również kabiny na górze, nie miały one sufitu. Gdy stanęło się na muszli klozetowej, można było zajrzeć do kabiny sąsiada. Przykucnąłem, a następnie przyklęknąłem. Krótkie czerwone spodnie mężczyzny opadły mu na kostki. Widziałem stopy w drewnianych kłapkach i nieproporcjonalnie duże białe paluchy. Paznokcie na dużym paluchu miał ten sam żółtawy odcień, jaki mają opuszki palców palaczy. Odcień nikotyny. Wciągnąłem głośno powietrze. Wiedziałem, iż istnieją zabiegi, które mogłyby temu zaradzić, wcale nie trzeba się z tym tak obnosić. Tylko tępy kutas, obrzydliwy, tępy kutas bez krzty empatii nie zakrywa swoich chorych stóp. Osoba, która dodatkowo zwracała na nie uwagę klapiącymi sandałami, traciła prawo do pobłażliwości — do znieczulenia podczas zabiegu.

Wciąż jeszcze klęczałem przed toaletą. Patrzyłem teraz jako lekarz. Zastanawiałem się, jakie kroki mnie czekają. Zdawałem sobie sprawę, że takie paznokcie są łatwe do usunięcia. Nietrudno było je podważyć, coś pod nie wsuwając: pincetę, pałeczkę kosmetyczną, patyczek po zjedzonym lodzie, wszystko jedno, nie wymagało to żadnego wysiłku. Spoglądałem na wielki paluch i skazany na obumarcie paznokcie. Nie dało się już tego powstrzymać. Myślałem o młotku, lecz nie takim, jakiego używaliśmy z Caroline do wbijania w ziemię śledzi namiotu. To był miękki, elastyczny, owalny młotek z gumy, który nie mógł wyrządzić dużej szkody. Nie, to powinien być prawdziwy żelazny młotek, który za jednym celnym uderzeniem zmiażdżyłby delikatny paznokieć u nogi. Który rozbiłby go na tysiące kawałeczków. Pod spodem znajduje się miękka tkanka. Wyglądałoby to jak krwawa rzeź. Kawałki paznokcia poleciałyby na wszystkie strony, w kierunku ścian i krótkich drzwi kabin, niby sproszkowany kamień nazębny pod wiertłem higienistki stomatologicznej. Moje oczy nabiegły krwią, a raczej zaszły szarą mgłą, szarością nadciągającej ulewy lub podnoszącej się nagle mgły. Miałem ochotę złapać faceta za kostki i wyciągnąć spod krótkich drzwi kabiny na zewnątrz, ale nie miałem jeszcze młotka.

— Cholera!

Przez chwilę było cicho i właśnie z powodu tej ciszy zdałem sobie sprawę z tego, że to ja wypowiedziałem na głos przekleństwo.

— Halo? Czy ktoś tutaj jest? — zabrzmiał głos mężczyzny.

Rodak. Holender. Powinienem był się domyśleć. Właściwie wiedziałem o tym od dawna, od pierwszej chwili, kiedy pojawił się ze swoją rolką papieru toaletowego w zasięgu mojego wzroku.

— Obrzydliwiec! — powiedziałem. Zobaczyłem, jak ręce mężczyzny łapią za czerwone spodnie i zaczynają wciągać je do góry. Podniosłem się. — Obmierzły wstręciuchu, powinieneś się wstydzić! Na tym kempingu są dzieci. One też widzą to świństwo.

Po drugiej stronie drzwi panowała grobowa cisza. Zapewne nie mógł się zdecydować, czy ma wyjść, czy na wszelki wypadek jeszcze chwilę poczekać, aż być może sobie pójdę.

W końcu to zrobiłem. Kiedy wychodziłem na dwór, oślepiony przez słońce, mrugałem oczami. Mimo to

natychmiast zobaczyłem, że coś się nie zgadza. Widziałem nasz namiot, kojec pod kasztanowcem, w którym siedziała Lisa, ale nigdzie nie widziałem Julii i jej rowerka na trzech kółkach.

— Julia? — zawołałem. — Julia?!

Znałem to uczucie. Kiedyś zdarzyło mi się zgubić naszą starszą córkę w wesołym miasteczku. Byłem nawet opanowany, starałem się, aby mój głos brzmiał normalnie, lecz w mojej piersi rozbrzmiewał paniczny łomot, znacznie głośniejszy niż muzyka dochodząca z karuzeli i pisk ludzi w wagonikach kolejki.

— Julia!

Przed małym, niebieskim namiotem dwie kobiety, przykucnięte, zmywały naczynia w misce, która stała przed nimi na trawie. Przerwały na chwilę zmywanie, spoglądając na mnie pytająco, lecz ja już się odwróciłem. Na lewo od ścieżki, kilka metrów niżej usłyszałem plusk strumyka, w którym często popołudniami chodziliśmy popływać.

— Julia?

Skręciłem kostkę na dużym, okrągłym kamieniu. Gałąź z kolcami podrapała mi twarz, tuż pod okiem. Stawiając trzy, najwyżej cztery niepewne kroki, dotarłem nad brzeg strumyka.

Rowerek stał w pobliżu płytkiej zatoczki, jego przednie koło sięgało wody.

Zacząłem biec po wodzie, pośliznąłem się i w fontannie kropli twardo uderzyłem tyłkiem o leżące na dnie kamienie.

I nagle ujrzałem Julię. Nie stała w strumyku, lecz na brzegu, i rzucała kamyczkami, a gdy zobaczyła, jak siedzę w rozkroku w wodzie, zaśmiała się w głos.

— Tata! — krzyknęła i wyrzuciła do góry ramiona. — Tata!

W jednej chwili wstałem. W następnym momencie byłem przy niej.

— Do jasnej cholery! — wykrzyknąłem, łapiąc ją mocno za przeguby rąk. — Co ci, do cholery, mówiłem? Miałaś nie zjeżdżać ze ścieżki!

Przez kilka sekund oczy mojej córki patrzyły na mnie, jakby to wszystko było żartem — tata wpadł dla żartu do wody, a teraz udaje dla żartu, że jest zły — lecz nagle jej wzrok się załamał. Jej twarz wykrzywiła się bólem, kiedy próbowała uwolnić przeguby.

— Tata...

Przez lata wracałem myślami do tej chwili i za każdym razem łzy od nowa napływały mi do oczu.

— Marc! Marc! Co ty robisz?

Na górze, pomiędzy drzewami stała Caroline. W ręce trzymała butelkę mleka. Przenosiła wzrok ze mnie na Julię i z powrotem.

— Marc! — zawołała jeszcze raz.

— Ja już nie mogę — stwierdziłem pół godziny później, kiedy Julia zdążyła się uspokoić i znowu jeździła rowerkiem po ścieżce, jakby nic się nie stało.

A Caroline popatrzyła na mnie, złapała za ręce i zapytała:

— Pamiętasz ten hotelik, który widzieliśmy wczoraj w wiosce? Niedaleko rynku? Może przeniesiemy się tam na kilka dni?

Od tego dnia jeździliśmy tylko do hoteli lub wynajmowaliśmy domki. Również w pobliżu hoteli i domków znajdowały się baseny, przy których można było zobaczyć niezakryte części ciała innych ludzi. Ale tam udawało się gdzieś zaszyć i uwolnić na kilka godzin od tego widoku. Spędzić kilka godzin w swoim pokoju z przymkniętymi oczami. Nie byłeś już przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zmuszany do pogrążania się w ludzkim brudzie. Po kilku takich wakacjach w domkach i hotelach przystawaliśmy nieraz na dłużej przed witrynami handlarzy nieruchomości. Patrzyliśmy na zdjęcia i ceny. Dla Caroline drugi dom za granicą byłby nagrodą pocieszenia za rezygnację z wakacji na kempingu. Mogliśmy sobie na to pozwolić. Jeśli tylko szukało się w pewnej odległości od morza, większość domów kosztowała grosze. Patrząc jednak z rozmarzeniem na zdjęcie starego młyna wodnego w sadzie z gruszami, wyliczaliśmy jednocześnie na głos wady. Mówiliśmy do siebie, że może szkoda byłoby w każde wakacje jeździć jedynie do tego domku. Oglądając zdjęcie przebudowanej zagrody z basenem, stwierdzaliśmy: „Do zajmowania się basenem też trzeba by kogoś wynająć. I do ogrodu. Jeśli się tego nie zrobi, to całe wakacje upłyną na koszeniu trawy i wyrywaniu pokrzyw”.

W ten sposób odsuwaliśmy wciąż nasze marzenie o drugim domku za granicą na później. Raz, może dwa poprosiliśmy miejscowego agenta, by nas oprowadził. Pochylaliśmy się, przechodząc przez niskie, przekrzywione drzwi. Wdychaliśmy zapach zastałej w basenie wody, w której rosła rzęsa i kumkały żaby. Schylaliśmy się pod pajęczynami w dawnej chlewni. Widzieliśmy, jak w dole błyszczą zakole rzeki. Nachylaliśmy się, by rzucić okiem do wnętrza starego pieca chlebowego i patrzyliśmy na jaskółki, które wciąż wylatywały i powracały do gniazd przytwierdzonych do belek pod dachem.

„Zbyt tutaj wietrznie”, oceniała Caroline już często podczas takich oględzin. „Za gorąco”. „Za zimno”. „Kiepski widok”. „Zbyt odsłonięty”. „Sąsiedzi są zbyt blisko”. „Za bardzo na uboczu”.

— Jeszcze do pana zadzwonimy — mówiłem do agenta. — Moja żona i ja musimy się zastanowić.

Rankiem w dniu, w którym mieliśmy wyruszyć na wakacje, nie mogłem w pierwszej chwili uwierzyć własnym oczom, kiedy ujrzałem w bagażniku namiot. Leżał wciśnięty na sam tył, być może chodziło o to, abym go nie zauważył. Jednak w tym samym momencie w drzwiach wejściowych naszego domu pojawiła się Caroline, dzierżąc w rękach dwa śpiwory.

— A co to ma znaczyć? — zapytałem.

— Nic. Po prostu pomyślałam, że czasem można trafić na piękne miejsca, w których przydaje się namiot. Gdzie nie ma hoteli.

— I co...? — zapytałem ponownie. Pomyślałem, że najlepiej podejść do tego z humorem, tak jakby moja żona żartowała. — Miałbym każdego ranka przychodzić z hotelu na kemping?

Caroline włożyła śpiwory do bagażnika i przesunęła je do tyłu w stronę namiotu.

— Marc — powiedziała. — Ja wiem, co myślisz o przebywaniu na kempingu. Nie będę cię do niczego

zmuszać, ale czasami szkoda siedzieć w hotelu. Sprawdziłam w Internecie: tam są kempingi z wszelkimi wygodami, z restauracjami, i to sto metrów od plaży!

— W hotelach też są restauracje — odpowiedziałem, ale zrozumiałem, że to przegrana sprawa. Caroline tęskniła za kempingami. Mogłem przytoczyć liczne argumenty. Mogłem powiedzieć, że śpiwory zajmują połowę miejsca w bagażniku, ale pominąłbym tym samym prosty fakt, iż moja żona tęskniła za wbijaniem w ziemię śledzi, napinaniem linek namiotu i spaniem w śpiworze, na którym rano zbierały się krople rosy.

Przyszło mi do głowy również coś innego. Wieczorem po przyjęciu u Ralpha i Judith zapytałem Caroline, czy rozmawiała z Ralphem, a w szczególności, czy podjął próby, by się do niej zbliżyć.

— Miałaś całkowitą rację — odpowiedziała.

— Co do czego?

— Co do tego, że jest świntuchem.

— Naprawdę?

Leżeliśmy w łóżku, przy zapalonych lampkach, lecz nie spoglądaliśmy na siebie. Nie wiem, co by wyrażały moje oczy, gdyby tak było.

— Tak, miałaś rację. Po tym, jak mi opisałeś, jak on na mnie patrzy, chyba zaczęłam na to bardziej zwracać uwagę. I nagle też to zobaczyłam. Coś w jego spojrzeniu... Kiedy na mnie popatrzył, zwilżył wargi językiem i mlasnął, jakbym była hamburgerem. Staliśmy przy grillu, a on nakławał mięso, żeby sprawdzić, czy jest już dopieczzone, i odwracał hamburgery. Potem opuścił wzrok. Patrzył jak kiepski aktor w komedii. Przewrócił oczami, kiedy jego spojrzenie spoczęło na moich piersiach. Nie zrozum mnie źle. Czasem sprawia to przyjemność. Czasem sprawia to kobiecie przyjemność, kiedy jakiś mężczyzna podziwia jej ciało. Ale to było... inne. To było... — jak ty to określiłeś? — aha, obrzydliwe. Tak, jego spojrzenie było obleśne. Nie miałam pojęcia, gdzie podziąć wzrok. I wtedy opowiedział jeszcze dowcip. Nie pamiętam dokładnie, jak brzmiał, ale też był obrzydliwy. Nie zabawny i jednocześnie nieprzyzwoity, lecz zwyczajnie obleśny. Szkoda, że nie widziałeś, jak przy tym wyglądał. Są ludzie, które zaśmiewają się z dowcipów, jakby je sami wymyślili. On również tak się śmiał.

— I wobec tego nie chcesz odwiedzić ich w ich letnim domu — powiedziałem nieco za szybko.

— Marc, jak możesz teraz o tym myśleć! Nie, oczywiście, że nie. Tak czy inaczej nie lubię odwiedzać innych ludzi podczas wakacji, ale teraz na pewno nie. Nie mogłabym nawet przez minutę spokojnie siedzieć przy basenie, wiedząc, że gdzieś tam jest Ralph.

— Ale kiedy stamtąd wychodziliśmy, udawałaś, że uważasz to za świetny pomysł. Przy drzwiach, kiedy się żegnaliśmy. A w samochodzie zapytałaś jeszcze Julię i Lisę, co one o tym myślą.

Caroline westchnęła.

— Ach, wypiliśmy wtedy wszyscy zbyt dużo — odpowiedziała. — W takiej sytuacji trudno mi było przyznać od razu, że nie mam ochoty na odwiedziny w ich letnim domu. A w samochodzie myślałam przede wszystkim o Julii i tym chłopcu, który tak się jej spodobał. Ale i ona na szczęście nie zareagowała



zbyt entuzjastycznie.

— Zobaczymy — powiedziałem. — W końcu nie mamy żadnego obowiązku.

A teraz staliśmy przy otwartym bagażniku samochodu. Zwęszyłem swoją szansę, ale musiałem ukryć moją niechęć do zabierania na wakacje namiotu. I to natychmiast.

— Wiesz co, to już było kilka lat temu. Mnie też tego spania pod namiotem nieraz brakuje. Spróbujmy na nowo, ale tym razem bez garnków i palników gazowych. Wieczorami będziemy po prostu chodzić do restauracji.

Tym razem to moja żona spojrzała na mnie badawczo, jakby zastanawiała się, czy nie żartuję, ale chwilę później rzuciła mi się na szyję.

— Marc! — wykrzyknęła. — To wspaniale z twojej strony. Jesteś naprawdę kochany!

Przytuliłem ją. Nic nie mogłem na to poradzić, że myślałem o ostatnich trzydziestu minutach spędzonych na przyjęciu w ogrodzie. Szukałem Judith wszędzie, aż w końcu znalazłem ją w najdalszym zakątku ogrodu, gdzie zajęta była sprzątaniami kieliszków, puszek oraz do połowy wypełnionych misek z chipsami i orzeszkami ziemnymi.

Złapałem ją za przegub ręki, a ona, przestraszona, odwróciła się w moją stronę. Gdy mnie zobaczyła, na jej twarzy ukazał się jednak nieco rozmarzony uśmiech.

— Marc... — zaczęła.

— Muszę cię znowu zobaczyć — powiedziałem.

## ROZDZIAŁ 13

Wyruszyliśmy w sobotę. Pierwszą noc spędziliśmy w hotelu. Drugą noc również. Nie mieliśmy konkretnego planu, jak przeważnie podczas wakacji. Powinienem raczej powiedzieć, że wydawało się, iż takiego planu nie mamy. Dla osób postronnych wyglądaliśmy jak przeciętna para na wczasach z dwójką dzieci. W rzeczywistości niemal niepostrzeżenie zbliżaliśmy się w okolice domu, w którym Ralph i Judith spędzali wakacje.

Rano, leżąc w łóżku w trzecim z kolei hotelu, przeglądałem przewodnik po kempingach, który wzięliśmy ze sobą w ostatniej chwili. W bezpośrednim otoczeniu letniego domu Meierów, w zasięgu dziesięciu kilometrów znajdowały się trzy kempingi.

— A może jutro rozbijemy gdzieś namiot? — zapytałem. — Co wy na to?

— Taaak! — zawołały radośnie chórem Julia i Lisa.

— Ale tylko pod warunkiem, że będzie ładna pogoda — odpowiedziała Caroline i puściła do mnie oko.

Tak wyglądał plan. Mój plan. Rozbijemy namiot na kempingu i postoiemy na nim kilka dni, a jeśli trzeba i tydzień. Gdzieś — na plaży, w supermarkecie albo w ogródku kawiarni pobliskiego miasteczka — wpadniemy przypadkiem na Meierów.

Kilka tygodni przed wyjazdem kupiłem w sklepie z przewodnikami wyjątkowo dokładną mapę okolicy. Była tak szczegółowa, że zaznaczony był na niej oddzielnie każdy budynek. Nie mogłem być w stu procentach pewny, lecz w połączeniu z opisem drogi, który przysłała nam mejlem Judith kilka dni po przyjęciu, właściwie już wiedziałem, który dom na mapie należy do Meierów. Wpisałem adres na stronie Via Michelin. Za pomocą Google Earth przybliżyłem obraz tak bardzo, że mogłem dostrzec nie tylko błękit basenu, ale nawet trampolinę.

Jeden z kempingów leżał przy tej samej drodze, która prowadziła z letniego domu Ralpa i Judith Meierów na plażę. Ku swemu przerażeniu przeczytałem, iż był to niestety „kemping ekologiczny”. Kemping z „wiejskimi zwierzętami”, „ekologicznymi sanitariatami” i „skromnymi udogodnieniami dla prawdziwych wielbicieli natury”. Czuję niemal dochodzący z niego odór. Uboczną zaletą kempingu, na którym z pewnością płyn do mycia naczyń oraz dezodorant znajdowały się na liście zakazanych produktów, było to, że stanowił jeszcze większe przeciwieństwo letniego domu z basenem, z którego Julia i Lisa już po jednym skoku do wody nigdy nie chciałyby wyjeżdżać.

Judith podała mi w mejlu swoje obydwa numery telefonu. Tydzień po przyjęciu w ogrodzie próbowałem kilka razy dodzwonić się do niej na komórkę, ale trafiłem jedynie do skrzynki na wiadomości. Początkowo nikt też nie odbierał telefonu stacjonarnego. Zastanawiałem się, czy nie

zostawić wiadomości, ale w końcu z tego zrezygnowałem.

Po trzech dniach, kiedy już nie liczyłem się z tym, że ktoś podniesie słuchawkę, i miałem zamiar się rozłączyć, w słuchawce telefonu stacjonarnego zabrzmiał jakiś nieznamy kobiecy głos.

Przedstawiłem się i zapytałem o Ralpha albo Judith.

— Są za granicą — odpowiedziała, jak stwierdziłem, niezbyt młoda osoba. — I nie jestem w stanie w tej chwili panu powiedzieć, kiedy wróca.

Zapytałem, gdzie są za granicą.

— A kim pan jest...? — zapytała ta osoba.

— Lekarzem pierwszego kontaktu.

Na kilka sekund zapadła cisza.

— Ralph — kontynuowała — otrzymał nagle z Ameryki propozycję zagrania roli w nowym serialu telewizyjnym. Tam właśnie teraz jest. A moja córka uznała to za dobry pomysł, by z nim pojechać. Ja w tym czasie zajmuję się chłopcami.

Matka Judith. Jak przez mgłę przypomniałem sobie siedemdziesięcioletnią kobietę, która nieco zagubiona krążyła podczas przyjęcia. Taki los spotyka wszystkich wiekowych rodziców. Znajomi twoich dzieci jedynie z grzeczności zamieniają z tobą kilka słów, po czym jak najszybciej próbują się ciebie pozbyć.

— Co mogę... — zapytała matka Judith. — Czy mam im coś przekazać?

Udało mi się opanować chęć, by odpowiedzieć, że to tajemnica lekarska. Zamiast tego powiedziałem:

— Mam tu na biurku wyniki badań. Pani córka była u mnie z wizytą kilka tygodni temu. To nic poważnego, ale byłoby jednak dobrze, gdyby się ze mną skontaktowała. Dzwoniłem wcześniej na jej komórkę, ale nie odbiera telefonu.

— Ach, tak. Judith zadzwoniła do mnie, żeby o tym powiedzieć. Że zapomniała komórki. Stoję teraz w kuchni i widzę nawet, gdzie leży.

Następnego dnia wczesnym rankiem zadzwoniła Judith. Właśnie zacząłem przyjmować. Naprzeciw mnie, po drugiej stronie biurka, zajął właśnie miejsce pierwszy pacjent: mężczyzna z rzadkimi, siwymi włosami i popękkanymi naczynekami na twarzy, który cierpiał na zaburzenia erekcji.

— Nie mogę długo rozmawiać — ostrzegła. — O co chodzi?

— W którym miejscu w Ameryce dokładnie jesteś? — zapytałem, patrząc na twarz pacjenta, która przypominała nieużytki, na których nic już nie zostanie wybudowane.

— Jesteśmy w Kalifornii. W Santa Barbara. Tutaj jest już po północy. Ralph jest w łazience. Rozmawiałam z mamą. Stwierdziła, że to dziwne. Ona jest wprawdzie leciwa, ale przypomniała sobie, że mój lekarz jest kobietą. Musiałam szybko wymyślić jakąś wymówkę. Powiedziałam, że byłam u ciebie po drugą opinię, ale to tym bardziej ją zaniepokoiło.

Wyobraziłem sobie Ralpha Meiera w łazience. Jego olbrzymie ciało bez ubrania. Strumienie wody

splývające z prysznica. Krople odbijające się od jego ramion, klatki piersiowej i jego brzucha, który niby daszek zwisał nad przyrodzeniem. Próbowalem przywołać w pamięci brzuch Ralpha tak, jak widzialem go podczas jego pierwszej wizyty w moim gabinecie, kiedy poprosilem, by zdjal górna czesc ubrania. Zastanawialem sie, czy patrzac w dol, cos widzi, czy tez wszystko przeslania mu brzuch.

— Ja tez nie moge teraz dlugo rozmawiac — odpowiedzialem. — Chcialem sie tylko dowiedziec, co u ciebie slychac i kiedy wracacie.

Mowiac to, spojrzalem prosto w oczy mężczyźnie, który miał kłopoty z erekcją. Zaburzenia erekcji można leczyć tabletkami, lecz to oszustwo: po tabletkach zawsze staje, nawet na widok łysej kobyły, pustego kosza na śmieci czy też wystawy sklepu papierniczego. Będąc kobietą, na pewno nie chciałbym wiedzieć, kiedy użyto środków wspomagających.

— Tego nie wiem — odparła Judith. — Ralph musi jeszcze zrobić kilka zdjęć próbnych. Byłoby wspaniale, gdyby to wypaliło. To będzie duży serial stacji HBO. Oni wyprodukowali również *Rodzinę Soprano* i *Prawo ulicy*. Ma mieć trzynaście odcinków. Akcja toczy się w starożytnym Rzymie, w czasach cesarza Augusta. Chcą, by Ralph zagrał główną rolę, rolę cesarza.

— Dostałem twój mejl — powiedziałem. — Z adresem waszego letniego domu.

— Muszę kończyć, Marc. Pojedziemy tam być może już na początku lipca. Wszystko zależy od tego, jak tutaj sprawy się potoczą. Możliwe, że polecimy bezpośrednio stąd, a mama przywiezie chłopców później, gdy w szkole zaczną się wakacje.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, zdanie z podtekstem, zrobić jakąś bezpośrednią aluzję, coś, dzięki czemu Judith przypomni sobie, jaki ze mnie fajny facet. Jednak obecność zdechłego szczura po drugiej stronie biurka spowodowała, że byłem zmuszony ograniczyć się do nic nieznaczących banałów.

— Będziemy w okolicy — dodałem. — To znaczy: jedziemy w tym samym kierunku. Byłoby miło, gdybyśmy...

— Do widzenia, Marc!

Przez jakieś pięć sekund trzymałem słuchawkę przy uchu. Słuchawkę, w której nie słychać już było tonu „zajęte”, lecz z której dochodził jedynie szum. Pomyślałem o dniu, który rozciągał się przede mną. Wydawało mi się, że on również wypełnił się szumem.

— Proszę przejść do pomieszczenia obok i ściągnąć spodnie — powiedziałem w końcu do pacjenta. — Zaraz do pana przyjdę.

Ekologiczny kemping przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Trzeba przyznać, że położony był w pięknym, zacienionym miejscu w sosnowym lesie. W oddali, pomiędzy drzewami, widać było wąską kreskę morza. Czułem jednak dziwny zapach, zapach chorych zwierząt. Caroline kilkakrotnie wciągnęła głęboko powietrze przez nos. Julia i Lisa rozglądały się pytającym wzrokiem. Staliśmy przed szlabanem przy wjeździe, mogliśmy jeszcze zawrócić. Szlaban wykonany był ze zwykłego niepomalowanego pnia drzewa, trochę krzywego, jak sama natura. Obok szlabanu stała wartownia zbudowana z drewnianych

bali. Wysiedliśmy z samochodu i staliśmy niezdecydowanie, opierając się o niego. Wprawdzie zdawałem sobie sprawę, iż ten kemping usytuowany był w najkorzystniejszym miejscu, jeśli chodzi o bliskość domu Meierów, a jednak są granice tego, ile jest w stanie znieść człowiek. Odór chorych zwierząt wzbudzał we mnie już teraz głuchą wściekłość. Był to odór, który czułem nieraz w mojej poczekalni. Pochodził on od pacjentów, którzy — jak to sami określali — nie ingerowali w naturę. Od pacjentów, którzy odmawiali usuwania owłosienia z miejsc, w których owłosienie nie powinno się znajdować. Pacjentów, którzy najchętniej myli się wodą ze studni lub kanału i „dla zasady” nie używali do osobistej higieny żadnych chemicznych produktów ani kosmetyków. Jeśli w ogóle była mowa o higienie. Ze wszystkich porów oraz otworów ciała cuchnęli zastaną wodą. Wodą z domieszką ziemi i zgniłych liści, stojącą w zapchanej rynnie. Odór ten stawał się silniejszy, gdy się rozbierali. Jakby zdjąć przykrywkę z garnka, z zapomnianego garnka w głębi lodówki. Jestem lekarzem, który złożył przysięgę. Wszystkich pacjentów leczę tak samo, bez względu na osobę. Ale nic ani nikt nie jest w stanie tak bardzo mnie rozwścieczyć i wzbudzić we mnie takiego obrzydzenia, jak owi przyjaźni środowisku miłośnicy natury.

— Jak myślicie? — zapytałem pozostałych członków rodziny. — W okolicy są jeszcze inne kempingi.

— No nie wiem — zawahała się Caroline.

Julia wzruszyła ramionami. Lisa zapytała o basen. Właśnie zamierzałem przecząco odpowiedzieć na jej pytanie, kiedy z wartowni wyszedł mężczyzna. Rzucił okiem na tablicę rejestracyjną i podszedł do nas z wyciągniętą dłonią.

— Dzień dobry — powiedział po niderlandzku, bez obcego akcentu. Najpierw zbliżył się do Caroline. Uścisnął jej rękę, zanim zdążyła ją cofnąć.

Holender! Holender za granicą. Holendrzy, którzy za granicą rozkręcają jakiś interes. Remontują ruiny zamku, by założyć w nich hotel lub pensjonat, otwierają restaurację z naleśnikami przy najpiękniejszej plaży na całym wybrzeżu lub kemping w pustym zakątku lasu. Nigdy nie mogłem pozbyć się wrażenia, że tym samym pozbawiają czegoś lokalnych mieszkańców, czegoś, co mieszkańcy sami mogliby robić. Większość z nich długo zresztą nie wytrzymuje. Tubylcy ignorują ich lub dokuczają im, póki się nie wyniosą. Spóźnia się dostawa dachówek do pensjonatu, na poczcie ginie zezwolenie na założenie pola do minigolfa, okap w restauracji z naleśnikami nie odpowiada miejscowym normom bezpieczeństwa. Holenderscy przedsiębiorcy narzekają na niepojęte działanie maszyny biurokracji za granicą. „Czego oni właściwie chcą?” — zadają sobie w głos pytania. „Nikt się nie zajmował tymi ruinami, w lesie nic nie było, a na plażę nikt nie przychodził. My się za to zabieramy. My Holendrzy nie boimy się roboty. Dlaczego więc tak nam to utrudniają? Im tutaj nic się nie chce”. Po dwóch, trzech latach narzekań i przeklinania miejscowej ludności oraz psioczenia na, ogólnie rzecz biorąc, leniwą naturę obcokrajowców, pakują manatki i, nic nie wskórawszy, powracają do domu.

Kiedy przyszła moja kolej, by uścisnąć wyciągniętą dłoń właściciela kempingu, próbowałem wyczytać z jego twarzy, w której fazie on się tymczasem znajduje. To tak jak w wypadku nieuleczalnej choroby: najpierw jest nadzieja, potem nadchodzi stadium negacji, a dopiero na samym końcu pogodzenie się

z losem.

— Serdecznie witam! — powiedział mężczyzna. Uścisk jego dłoni był przesadnie mocny, widoczne było, że starał się patrzeć na mnie żywo i z zainteresowaniem, lecz w jego oczach widziałem znaki chronicznego niewyspania. Czerwone żyłki przecinające białko oka były niewątpliwie wynikiem całonocnego przewracania się z boku na bok z powodu długów oraz niedostarczonych, wcale lub na czas, towarów. Dawałem mu jeszcze najwyżej z rok. Zanim nadejdzie kolejne lato, ubije zwierzęta i powróci do Holandii.

Najpierw w wartowni długo kartkował książkę z planem kempingu. Potrząsnął głową, kilka razy głęboko westchnął, przesuwając palcem wskazującym po mapie, ale kiepsko grał.

— Czy mogę się dowiedzieć, jak państwo nas znaleźli? — zapytał, kiedy w końcu, po kilku dodatkowych westchnieniach i pocieraniu brody, wskazał nam miejsce na namiot. — Nasz kemping istnieje dopiero od dwóch lat i jeszcze nie wszystkie przewodniki o nim piszą.

Od dwóch lat. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, bo zgadłem. Po negacji następuje pogodzenie się z losem, odliczanie dni.

— Mamy nosa — odpowiedziałem — do kempingów, na których wciąż przykładą się dużą wagę do przebywania na łonie natury bez niepotrzebnych udogodnień typu bilard, automaty do gry czy też baseny ze zjeżdżalniami.

## ROZDZIAŁ 14

Czasem coś dzieje się zbyt prędko. Zbyt prędko, aby uznać to za przypadek. Byłem przygotowany na kilka spokojnych dni, bez nadzwyczajnych wydarzeń. Książka. Partia badmintona. Spacer. Powinna powstać próżnia, pustka ogarniająca pierwsze dni wakacji, po której jesteś wdzięczny, jeśli coś się wydarzy. Stajesz się wtedy ciekawy nowych spotkań, zmian, nowych ludzi. Pierwszego wieczoru mieliśmy zjeść krewetki i pierścienie z kalmarów w restauracji przy plaży. Byliśmy jeszcze zmęczeni podróżą, mieliśmy wcześniej iść spać. Spędziłbym bezsenne godziny, słuchając miarowego oddechu mojej śpiącej rodziny. Ale stało się inaczej. Sprawy potoczyły się przede wszystkim zbyt szybko.

Za zgodą Caroline („Idź, tylko się tu płączesz pod nogami”) poszedłem na przechadzkę po kempingu, podczas gdy Julia i Lisa pomagały Caroline ustawić namiot. Skręciłem w przypadkową ścieżkę prowadzącą pomiędzy drzewami. Niewiele było tu namiotów i żadnej przyczepy kempingowej. Przeszedłem obok drewnianego budynku, w którym mieściły się „ekologiczne sanitariaty”. To, że trzeba wyjść w nocy z namiotu, żeby zrobić siku, jest dla mnie największym koszmarem podczas przebywania na kempingu. Odwlekałem to zawsze najdłużej, jak się dało. Tak długo, aż zaczynało boleć. Wciskałem wtedy nogi w wilgotne buty, ale ani mi się śniło, by iść w środku nocy do ubikacji w budynku, w którym ćmy zderzały się, trzepocząc skrzydłami, z wiszącą na zewnątrz lampą. Do budynku, w którym w każdą odkrytą część ciała cięły cię nigdy niezapadające w sen owady. Otwierałem suwak namiotu i odchodziłem najwyżej na kilka kroków. Czasem widać było gwiazdy, nieraz księżyc w pełni. Muszę przyznać, że przeżywałem i szczęśliwe momenty, stojąc wśród drzew i słysząc, jak strumień mojego moczu uderza o trawę i łodygi pokrzyw. Patrzyłem wtedy do góry, na tysiące gwiazd. „O to właśnie chodzi”, myślałem w takiej chwili. „Tylko to się liczy, reszta to *bullshit*”. Momentu tego nic nie poprzedzało, nic też po nim nie następowało. Namiot kupiliśmy podczas naszych pierwszych wakacji w Ameryce. Namiot czteroosobowy. Caroline i ja byliśmy wtedy jeszcze we dwójkę. Przytulaliśmy się mocno do siebie w złączonych suwakiem śpiworach. Wokół nas była przestrzeń, dużo wolnego miejsca. Na przyszłość. Po zrobieniu siku odkładałem jeszcze na chwilę powrót do namiotu. Przenosiłem spojrzenie z księżycą nad głową na światło księżycy, padające na trawę. W namiocie, oprócz mojej żony, spały później również moje dwie córki. Ja stałem na zewnątrz. Do ciepłego śpiwora wślizgiwałem się dopiero wtedy, gdy po plecach przeszedł mi pierwszy zimny dreszcz.

Ekologiczne sanitariaty nie składały się z niczego więcej, jak tylko kilku desek, w których zrobiono otwór. W otworze było ciemno, nie widać było jego dna, było je jedynie czuć. Zarówno po wewnętrznej, jak i zewnętrznej stronie drzwi siedziały wielkie niebieskie muchy, które nie odleciały, gdy machnąłem ręką. Zamknąłem drzwi i poszedłem dalej. W ten sposób trafiłem na ogrodzony teren, na którym

przebywały „zwierzęta zagrodowe”. Zauważyłem lamę, kilka kur oraz osła. Nie rosła tam trawa, było tylko błoto. Wszędzie leżały odchody. Również do ciemnobrązowej sierści lamy przyklejone były odchody i grudy błota. Osioł był zbyt wychudzony. Stał najbliżej ogrodzenia. Widziałem jego żebra. Trząśł się na całym ciele i uderzał ogonem, by odgonić muchy. Kury siedziały bez ruchu w kącie obok siebie.

Poczułem, jak budzi się we mnie ogromna wściekłość. Już miałem zamiar wracać do miejsca, w którym Caroline z dziećmi rozbijała namiot, by ostrzec, że natychmiast stąd wyjeżdżamy, gdy nagle poczułem, jak ktoś lekko dotyka mojej lewej ręki.

— Lisa.

Moja młodsza córka oplotła swoimi paluszkami mój palec wskazujący i środkowy. Milcząc, patrzyliśmy przez chwilę razem na zwierzęta za ogrodzeniem.

— Tato?

— Tak?

— Czy ten osioł jest chory?

Zanim odpowiedziałem, nabrałem głęboko powietrza.

— Nie wiem, kochanie. Jest tutaj po prostu dużo much. One mu dokuczają, widzisz?

Popatrzyłem na osła w chwili, kiedy postawił dwa niepewne kroki do przodu i wystawił łeb nad ogrodzeniem. Poczułem wilgoć w oczach.

— Mogę go pogłaskać, tato?

Nie odpowiedziałem. Przełknąłem. Czułem, jakby jakaś gula utkwiała mi w gardle. Tak się mówi w podobnych momentach. Nie było to jednak twarde jak gula, lecz miękkie i bardziej płynne.

Lisa położyła rękę na łbie osła. Chmara much uniosła się w powietrze. Osioł zamrugał. Odwróciłem wzrok i mocno przygryzłem wargę.

— Tato?

— Tak, skarbie?

— Możemy potem coś mu kupić? Może marchewkę?

Położyłem ręce na ramionach córki i przyciągnąłem ją do siebie. Najpierw odchrząknąłem, nie chcąc, by zabarwienie mojego głosu niepotrzebnie ją zaalarmowało.

— Skarbie, to świetny pomysł — stwierdziłem. — Marchewkę, sałatę, pomidory. Zobaczysz, jak mu będą smakować!

Na plaży znajdowała się tylko jedna restauracja, w której stoliki ustawiono po prostu na piasku. Było tłocznie, lecz mieliśmy szczęście i zajęliśmy ostatni wolny stolik. Zamówiliśmy piwo dla Caroline, fantę dla Lisy i colę light dla Julii. Słońce schowało się już za skałami, lecz nadal utrzymywała się przyjemnie wysoka temperatura.

— Możemy podejść do morza? — zapytała Lisa.



— Dobrze — odpowiedziała Caroline. — Ale sprawdźcie najpierw w karcie, na co macie ochotę. Zawołamy was, jak podadzą.

Rzuciły szybkie spojrzenie na kartę. Lisa zamówiła makaron w sosie pomidorowym, Julia jedynie sałatkę.

— Julia, ty też powinnaś zjeść coś treściwego. Weź do sałatki przynajmniej hamburgera lub zamów makaron, tak jak Lisa.

— Nie, nie chcę — odparła Julia. — Idziesz? — zwróciła się do siostry.

— Uważajcie — poprosiła Caroline. — I nie wchodźcie do wody, kiedy nie ma nas w pobliżu. Bawcie się na plaży.

Julia głęboko westchnęła i przewróciła oczami. Lisa popędziła między stolikami na plażę. Julia poszła za młodszą siostrą, trzymając w ręku klapki. Miała na sobie jedynie podkoszulek i czerwone majtki od bikini, które kupiła przed wyjazdem na wakacje, i dostrzegłem, jak dwóch mężczyzn, siedzących kilka stolików od nas, odwróciło głowy i za nią patrzyło.

— Ona ostatnio naprawdę za mało je — stwierdziła Caroline. — Tak nie można!

— Ach — odpowiedziałem. Nie przesadzaj. Lepiej zbyt mało niż za dużo. A może wolałbyś mieć grubą córkę z fałdami tłuszczu tu i tam?

— Nie, oczywiście, że nie. Po prostu mnie to czasami martwi. W domu też tak robi. Najpierw zjada całą sałatę, po czym stwierdza, że już się najadła.

— Myślę, że to taki wiek. Naśladuje modelki z czasopism. Kate Moss też niewiele je. Ale lepiej tak, niż gdyby było odwrotnie. Mówię to nie jako mąż, lecz lekarz.

Zamówiliśmy po drugim piwie oraz butelkę białego wina. Słońce całkiem już zaszło. Na tyłach restauracji skały pięły się stromo ku górze. Stało na nich kilka willi, w których zapalono już światło. Słyszałem odgłos fal, ale plaża opadała skośnie ku morzu, przez co z miejsca, w którym stał nasz stół, nie mogliśmy widzieć naszych córek.

— Może pójdę zobaczyć, gdzie są? — zaproponowała Caroline.

— Zaczekajmy, aż przyniosą jedzenie. Co może się stać?

W rzeczywistości zawsze byłem równie niespokojny jak ona. Tak po prostu wyglądał nasz stały podział ról. Caroline pierwsza wyrażała swoje zaniepokojenie, po czym ja odpowiadałem, żeby nie przesadzała. Gdybym był tu sam z córkami, zszedłbym już ze trzy razy na plażę, aby sprawdzić, czy fale nie porwały ich na środek morza.

Caroline złapała mnie za rękę.

— Marc, wytrzymasz na tym kempingu? Bo on jest jednak bardzo surowy. Mogliśmy przecież zatrzymać się na jakimś bardziej luksusowym.

— Dzisiaj po południu poszedłem zobaczyć zwierzęta. Są mocno niedożywione i prawdopodobnie chore.

— Chcesz pojechać na inny kemping? Dzisiaj przenocujemy tutaj, a jutro pojedziemy poszukać czegoś

innego.

— Powinno się właściwie nasłać na tego drania inspekcją weterynaryjną. W ciągu jednego dnia będzie musiał zwinąć interes, ale wtedy pewnie uśpią zwierzęta.

Chłopak w podkoszulku i dżinsach przyniósł wino. Wyciągnął korek i wstawił butelkę do prostego kubelka z lodem. Nie zapytał, czy chcielibyśmy spróbować. Ale nie było to konieczne. Wino było lodowato zimne i smakowało jak winogrona, które moczyły się przez całą noc w górskim potoku.

— Przecież jutro możemy stąd wyjechać — powiedziała Caroline. — Naprawdę chcesz donieść na tego człowieka? Wtedy być może zbankrutuje.

— Mam przy sobie środki, przede wszystkim przydatne do pierwszej pomocy, ale również antybiotyki i tym podobne. Zobaczą jutro, co się da zrobić.

— Ale, Marc, jesteś przecież na urlopie. Nie rozpoczynaj jakiegoś projektu w pierwszy dzień wakacji, nawet jeśli to piękny projekt, który może uratować chore zwierzęta.

Caroline czasem mi zarzucała, a była to, prawdę mówiąc, jedyna przyczyna sporów pomiędzy nami, że na urlopie zawsze muszę mieć coś do zrobienia. Sama potrafi godzinami przesiadywać na brzegu basenu z książką w ręku lub patrzeć przed siebie przez okulary przeciwsłoneczne i wylegiwać się na plaży na leżaku. Tymczasem ja już po półgodzinie muszę się czymś zająć. Na plaży budowałem tamy i zamki, w wynajętym domku wypoczynkowym czyściłem z chwastów całą ścieżkę prowadzącą od drzwi wejściowych do samej drogi. Nawet moje córki miały mnie czasem dosyć. Z początku pomagały mi jeszcze kopać kanały odwadniające, dzięki którym podczas przypływu powracająca po przejściu kolejnej fali woda morska mogła odpłynąć, nie uszkadzając naszego zamku z piasku, ale po godzinie często zaczynało im się to nudzić. „Musimy trochę odpocząć”, stwierdzały, a Caroline dodawała: „Marc, połóż się na chwilę. Jestem zmęczona od samego patrzenia na ciebie”.

Właśnie miałem zamiar odpowiedzieć, że uważam to za mój, lekarza, obowiązek, aby pomóc chorym zwierzętom i że nie zajmie to wcale dużo czasu, kiedy usłyszeliśmy wołanie Julii.

— Mamo! Tato!

Caroline odstawiła natychmiast kieliszek na stolik i podskoczyła do góry.

— Julia! — odskrzyknęła. — Co się stało?

Ale nic się nie stało. Julia zbliżała się do nas, idąc po piasku. W świetle lamp na tarasie widzieliśmy, jak do nas macha. Zobaczyliśmy, że nie była sama. Obok niej siedł chłopak. Chociaż widziałem go wcześniej tylko raz, poznałem natychmiast, kim był. Po jego jasnych lokach, ale jeszcze wcześniej po jego sposobie chodzenia: po powolnym stawianiu kroków, jakby chodzenie po piasku sprawiało mu zbyt dużo trudu.

— Wiecie, kto tutaj też jest? — krzyknęła Julia, zanim dotarła do naszego stolika.

## ROZDZIAŁ 15

Czasem sprawy toczą się zbyt prędko.

— Wiedziałaś o tym? — zapytała mnie później tego wieczoru Caroline, kiedy piliśmy ostatni kieliszek wina przed namiotem. Julia i Lisa już spały. — Tak, ty o tym wiedziałaś — stwierdziła, nie czekając na moją odpowiedź.

Było ciemno. Cieszyłem się, że nie muszę na nią patrzeć.

— Ale dlaczego, Marc? Dlaczego?

Nic nie odpowiedziałem. Bawiłem się kieliszkiem i chciałem szybko się napić, ale kieliszek był pusty. Siedzieliśmy na naszych niskich rozkładanych krzesłach, wyciągnawszy nogi przed siebie, wśród sosnowych igieł. Od czasu do czasu czułem, że coś mnie łaskocze w kostkę, jakaś mrówka albo pająk, lecz się nie poruszałem.

— Myślałam, że chcesz trzymać Ralpha jak najdalej ode mnie — powiedziała Caroline. — Sama ci przecież mówiłam, że nie chcę do nich jechać. A ty szukasz kempingu, który leży o rzut beretem od ich letniego domu.

Na wystającym z przedniej części namiotu pałaku Caroline powiesiła lampion na świecy ze szklanymi szybkami, lecz świeca wypaliła się i siedzieliśmy w ciemnościach. Nad naszymi głowami, wśród drzew, migotały tysiące gwiazd. Z dołu dochodził cichy odgłos uderzających o brzeg fal.

— Tak, wiedziałem — potwierdziłem. — Nie uznałem tego jednak za powód, by tutaj nie przyjeżdżać. Tak jakby to było miejsce, dokąd nie wolno przyjechać, ponieważ można się w nim natknąć na osoby, których nie ma ochoty się spotkać.

— Ale przecież są setki podobnych miejscowości na tym wybrzeżu, Marc! Setki plaż, przy których państwo Meier nie wynajęli domu na lato.

— Rozmawiałem o tym jeszcze raz z Ralphem, wkrótce po przyjęciu w ogrodzie. Opowiadał, jak tutaj jest wciąż jeszcze niemal dziewiczo pięknie. Byłem po prostu ciekawy.

Caroline westchnęła głęboko.

— I co teraz? Co teraz mamy zrobić? Musimy tam jutro pójść. Byłoby to bardzo dziwne, gdybyśmy ich nie odwiedzili.

— To tylko kolacja. Pewnie znowu zrobią grilla. Jeśli chcesz, to pojedziemy potem dalej, na inną plażę i inny kemping. Ale jeśli naprawdę nie masz ochoty, to wymyślimy jakąś wymówkę. Powiemy, że się źle czujesz albo że ja się źle czuję. I pojutrze stąd wyjedziemy.

Caroline się nie odezwała. Czubkiem języka zwilżyłem górną wargę, która była sucha i zrogowaciała.

— Czy tego właśnie chcesz? — zapytałem. — Powtarzam: nie widzę w tym żadnego problemu.

Znajdziemy jakąś wymówkę.

Usłyszałem, jak obok moja żona kilkakrotnie wzdycha i coś strzepuje z gołej nogi, jakiegoś robaka albo igłę sosny, która spadła z drzewa, a może zupełnie nic.

— Ach, wszystko jedno. Po prostu cieszyłam się na te kilka dni albo i tydzień jedynie w czwórkę. Gdyby to było w późniejszym okresie naszego urlopu, nie miałabym nic przeciwko spotkaniu innych osób. Ale to tak szybko. Jeszcze nie mam ochoty na innych ludzi i na długie rozmowy toczone na tarasie przy dużej ilości wina.

Wyciągnąłem dłoń i położyłem na jej udzie.

— Ja też właściwie nie — powiedziałem. — Ja również nie bardzo mam ochotę na spotkanie z innymi ludźmi. Przepraszam, to moja wina.

Teraz Caroline przykryła moją rękę dłonią.

— Tak, to twoja wina — potwierdziła — Więc jutro do nich zadzwonisz i powiesz, że nie przyjdziemy.

Przymknąłem oczy, przełknąłem, lecz miałem sucho w ustach. Oprócz dochodzącego z oddali dźwięku fal, słyszałem jedynie cichy szum w uszach.

— Dobra — odpowiedziałem.

— Żartuję — powiedziała Caroline. — Nie, to byłoby bez sensu, gdybyśmy teraz odmówili. Pójdziemy i już. Prawdę mówiąc, jestem też ciekawa, jak wygląda ten ich dom. No i dla dzieci to frajda. Mam na myśli chłopców i basen.

Wcześniej tego wieczoru sprawy na plaży potoczyły się w następujący sposób: Julia i Alex przysiedli się do naszego stolika, a w ich ślady poszli Lisa i młodszy brat Aleksa, Thomas. Po nich nadeszła reszta rodziny Meierów. Ralph z Judith i starsza, siedemdziesięcioletnia kobieta, którą widziałem na przyjęciu w ogrodzie, matka Judith, a oprócz nich jeszcze dwie osoby: mężczyzna pod sześćdziesiątkę z półdługimi siwymi włosami, wśród których przeświecały jeszcze pojedyncze czarne pasma — jego twarz skądś znałem, ale nie przypominałem sobie skąd — i kobieta, która, jak przyjąłem, była jego partnerką, mimo iż była od niego o co najmniej dwadzieścia lat młodsza.

— Co za niespodzianka! — wykrzyknął Ralph. Złapał Caroline, która w połowie podniosła się z krzesła, za ramiona i pocałował trzykrotnie w policzki.

— Dobry wieczór — powiedziała Judith.

My również ucałowaliśmy się w policzki, po czym spojrzeliśmy na siebie. „Tak, rzeczywiście przyjechałem”, powiedziałem moim wzrokiem. „Tak, widzę”, odpowiedziała Judith swoim.

— Czemu nie zadzwoniliście, że jesteście? — zapytał Ralph. — Mogliśmy byli razem zjeść kolację. Dzisiaj na targu kupiliśmy całego prosiaka. Jest naprawdę pyszny, pieczony na ruszcie nad ogniem.

Caroline wzruszyła ramionami, po czym na mnie popatrzyła.

— Dopiero przyjechaliśmy — odparłem. — Nie chcieliśmy... Zatrzymaliśmy się tutaj na kempingu.

— Na kempingu! — wykrzyknął Ralph, jakby to była najbardziej sensacyjna wiadomość ostatnich dni. W tym momencie mężczyzna o siwych włosach zrobił krok do przodu.

— Och, przepraszam. Zapomniałem was sobie przedstawić — zauważył Ralph. — Stanley, to Marc. Marc jest lekarzem. A to jego cudowna żona, Caroline.

Mężczyzna, którego Ralph przedstawił jako Stanleya, podał najpierw dłoń Caroline.

— Stanley Forbes — powiedział. — Stanley — powtórzył tylko swoje imię, ściskając z kolei moją dłoń.

Przypomniałem sobie nagle, skąd znam jego twarz. Gdy przed dwudziestoma laty opuszczał Holandię, by zamieszkać w Stanach, nazywał się inaczej. Jan? Hans? Hans Jansen? — nosił takie zwykłe holenderskie nazwisko, ale nie mogłem sobie przypomnieć, jak ono brzmiało. Przez kilka lat po jego wyjeździe nic o nim nie było słyhać, ale później zyskał w Hollywood sławę jako reżyser już pod nazwiskiem Stanley Forbes.

— A to jest przyjaciółka Stanleya — powiedział Ralph — Emmanuelle.

Położył na chwilę dłoń na ramieniu młodej kobiety.

— *Emmanuelle, these are some friends of us from Holland. Marc and Caroline* <sup>1</sup>.

Byłbym niezwykle ostrożny, nazywając Emmanuelle pięknnością. Uścisnęła rękę Caroline i mnie, a wydawało się, że dłoń podała z okładki „Vogue’a”. Była ona szczupła, drobna, jeszcze niemal dziecięca. Z bliska zauważyłem, że Emmanuelle mogła być najwyżej o pięć lat starsza od Julii. Wyglądała na jakieś siedemnaście, może osiemnaście lat, w każdym razie nie więcej niż dwadzieścia. Przeniosłem spojrzenie z jej twarzy na twarz siwego mężczyzny. Źle oceniłem jej wiek. Była młodsza od Stanleya Forbsa nie o dwadzieścia, lecz o czterdzieści lat. Czy udało jej się zdobyć rolę w jego filmie poprzez łóżko? Przyglądałem się o czterdzieści lat starszej twarzy reżysera i jego o czterdzieści lat starszemu ciału, odzianemu w nieco prześwitujące białe spodnie z lnu i taką samą koszulę. Spod niedopiętej na klatce piersiowej koszuli wystawały gęste, siwe włosy.

Przez kilka sekund myślałem o tym, jak jego ciało jej się narzuca. Jak się obok niej kładzie i przesuwa dłonią w dół jej brzucha, aż do pępka. Jak palcem wskazującym zatacza przez chwilę wokół pępka kółeczka, by następnie zejść jeszcze niżej. Zapach starego mężczyzny w pościeli. Łuszcząca się skóra. Wyobrażałem sobie, jak ona stara się wtedy myśleć o czymś innym, przede wszystkim o obiecanej roli w filmie. Czy o tym marzył Hans (?) Jansen (?), zanim jeszcze opuścił Holandię? O młodych dziewczynach, które z podziwu dla jego talentu lub chęci zagrania w jednym z jego filmów będą pieścić jego kutasa?

Ostatnia podeszła matka Judith. Podając rękę, przypatrywałem się jej twarzy, jednak nie odniosłem wrażenia, że skojarzyła mnie bezpośrednio z rozmową telefoniczną, którą prowadziłem z nią kilka tygodni temu.

— Pan Schlosser — powtórzyła moje nazwisko, po tym jak Judith mnie jej przedstawiła.

— Marc — odpowiedziałem.

Rozejrzałem się wokół, by sprawdzić, czy zwolnił się tymczasem jakiś stolik, ale tylko pojedyncze krzesła nie były zajęte. W tej samej chwili chłopak w dżinsach przyniósł nasze zamówienie.

— Ach, wy dopiero zaczynacie kolację — stwierdził Ralph.

— Możemy... — zacząłem. — Może zaraz zwolni się jakiś stolik albo parę krzesel.

— Dajmy tym ludziom spokojnie zjeść — zarządziła Judith. — Poza tym mama jest zmęczona. Jeśli chcecie zostać — ciągnęła, zwracając się w stronę Ralpha i Stanleya Forbesa. — *If you want to stay...* — popatrzyła na Emmanuelle. — Ale ja już wracam z mamą. *I think it's better for my mother to go home now. She is very tired*<sup>2</sup>.

Nastąpiła chwila niezdecydowania. Również Ralph zaczął się rozglądać, szukając wolnego stolika lub krzesel. Caroline szybko na mnie spojrzała i natychmiast odwróciła wzrok. Julia pochyliła głowę w kierunku Aleksa, który siedział przy stoliku naprzeciwko niej, na miejscu Lisy, i szepnęła mu coś do ucha. Thomas biegał za Lisą po piasku. Stanley Forbes objął Emmanuelle w tali i przyciągnął do siebie. Matka Judith stała między stolikami, jakby to wszystko jej nie dotyczyło.

— Zostaniecie tutaj przecież jeszcze kilka dni? — upewniła się Judith. — W takim razie wpadnijcie do nas jutro na kolację.

---

1. Z ang.: „Emmanuelle, to nasi znajomi z Holandii, Marc i Caroline”. [\[wróć\]](#)

2. Z ang.: „Jeśli chcesz zostać... Myślę, że dla mojej matki będzie lepiej, jak pójdziemy. Jest bardzo zmęczona”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 16

To profesor Aaron Herzl pierwszy wytłumaczył nam, dlaczego zegar biologiczny tyka inaczej w wypadku kobiet niż mężczyzn. To on wyjaśnił, dlaczego wskazówki pokazujące tę samą godzinę mają dla kobiet inne znaczenie niż dla mężczyzn.

— To tak, jak ze zwykłym upływem czasu — tłumaczył. — Nieraz za piętnaście siódma to wcześnie, a innym razem dwadzieścia po szóstej to za późno.

Co tydzień mieliśmy dwie godziny wykładów z biologii medycznej, były to jeszcze wtedy zajęcia do wyboru. W sali wykładowej znajdowało się przeważnie więcej studentek niż studentów. Aaron Herzl zbliżał się do sześćdziesiątki, lecz studentki czerwieniły się i zaczynały chichotać, gdy słowa kierował bezpośrednio do nich. Pod tym względem był żywym dowodem potwierdzającym jego własne teorie. Teorie, za które kilka lat później, okryty hańbą, zostanie usunięty z uniwersytetu.

— To, co państwu powiem, prawdopodobnie mniej spodoba się paniom — zaczął, wpatrując się w salę. — Z drugiej strony, są to po prostu fakty, których nie można zmienić. Jest to być może niesprawiedliwe, ale kobiety, które potrafią tę niesprawiedliwość zaakceptować, zamiast się jej przeciwstawiać, czeka długie i szczęśliwe życie.

W ławkach na sali rozległ się stłumiony chichot. My, studenci, mieliśmy mieszane uczucia, co do biologii medycznej wykładanej przez naszego profesora. To, iż większość dziewcząt uważało tego podstarzałego, łysego mężczyznę za atrakcyjnego, podważało pewne dane z zakresu biologii. My byliśmy młodzi, nasze nasienie było młode. Na zajęciach z ginekologii uczono nas do tej pory, że szansa na spłodzenie zdrowego dziecka za pomocą młodego nasienia jest osiemset razy większa niż w wypadku nasienia starego. Rozumieliśmy to jednak. Zdawaliśmy sobie sprawę, że profesor Aaron Herzl jest dla nas poważnym konkurentem. W ten sposób rozumując, próbowaliśmy go ośmieszać w obecności dziewcząt za pomocą mimochodem rzuconych aluzji na temat jego niewątpliwie pomarszczonych i pokrytych plamami wątrobianymi genitaliów. Otaczało go jednak coś specjalnego, pewna aura, czy też, mówiąc precyzyjniej, miał charyzmę, która wpływała na gospodarkę hormonalną dziewcząt. Naszym kosztem.

Profesor Herzl zakasłał kilka razy i odchrząknął. Miał na sobie dzinsy i szary golf. Nie nosił marynarki. Zanim zajął miejsce na katedrze, podwinął rękawy, następnie przeczesał palcami siwe włosy, które pokrywały jedynie boki głowy.

— Po pierwsze, musimy zaakceptować fakt, iż wszystko ukierunkowane jest na podtrzymywanie ludzkiego gatunku, w każdym razie na to, by nie wymarł. Mówiąc „wszystko”, mam na myśli dosłownie wszystko. Siłę przyciągania pomiędzy płciami, stan zakochania, pożądanie, jakkolwiek by to nazwać.

Rozkosz. Orgazm. To wszystko powoduje, że się do siebie zbliżamy, że chętnie dotykamy inną osobę, że pragniemy się z nią zespolic. Stworzenie jest doskonalsze, niż próbują przekonać nas obecnie niektórzy postępowi myśliciele. Jedzenie przyjemnie pachnie, odchody cuchną. Smród służy za ostrzeżenie przed zjadaniem własnego kału. Mocz także czuć, ale w mniejszym stopniu, ponieważ w najgorszym wypadku, takim jak katastrofa morska lub lądowanie na pustyni, możemy pić własną urynę. Dziewięć procent ludzi jest homoseksualna, dziewięć procent leworęczna. Podczas trwającej pięćdziesiąt tysięcy lat ewolucji ten odsetek nigdy się nie zmienił. Dlaczego? Bo w niczym nie zagraża ludzkości. Wyższy odsetek sprawiłby, iż przetrwanie gatunku znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Jeśli dobrze się przyjrzeć, homoseksualista to po prostu chodzący środek antykoncepcyjny. Nie wspomina tutaj o leworęcznych homoseksualistach, dla których w statystykach nie stworzono odrębnej kategorii.

Na sali rozległ się śmiech, tym razem śmiało się być może więcej chłopców niż dziewcząt.

— Przetwanie gatunku. To o to we wszystkim chodzi. Nie będę tutaj wyjaśniał, dlaczego gatunek musi przetrwać. Bakterie również walczą o przeżycie, a komórki rakowe namnażają się bez końca. Przeżycie to jedyna siła napędzająca stworzenie. Ale dlaczego tak jest? I jak powinniśmy to ocenić? Nie mam zielonego pojęcia. Ludzie dotarli już na księżyc. Na księżycu nic nie rośnie, nie stwierdzono tam życia. Ale cóż jest złego w tym, iż księżyc jest niczym nieporośnięty? I cóż byłoby złego w tym, gdyby i ziemia była pusta? Czy też, ponowię pytanie, jak mielibyśmy ocenić istnienie takiej łysej i pustej ziemi?

Tutaj profesor Herzl zrobił pauzę, by napić się wody ze szklanki stojącej na katedrze.

— Ten, kto chce się zastanawiać nad sensem stworzenia, czy, jeśli państwo wolą, nad sensem życia, powinien zacząć od dinozaurów — ciągnął. — Dinozaury zamieszkiwały naszą planetę przez sto sześćdziesiąt milionów lat, po czym dość nagle wymarły. Kilka milionów lat później na scenie pojawił się człowiek. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego. Jaki sens miało owo sto sześćdziesiąt milionów lat? Co za strata czasu! Nie udowodniono żadnego ewolucyjnego związku pomiędzy dinozaurami a człowiekiem. Skoro ludzkość i jej przetrwanie rzeczywiście były tak istotne, to po co najpierw żyły dinozaury? I dlaczego tak długo? Nie tysiąc, dziesięć tysięcy czy też milion lat, lecz sto sześćdziesiąt milionów! Dlaczego nie odwrotnie? Dlaczego nie najpierw ludzkość? Dlaczego nie zaczęło się od ewolucji ryb w ssaki, a ssaków w chodzącego na dwóch nogach wyprostowanego człowieka? A potem przez kilka tysięcy lat przemiana mieszkańca jaskiń w wynalazcę druku, przenośnego radia i bomby wodorowej? I tak jeszcze przez parę tysięcy, a jeśli o mnie chodzi, to i milionów lat, aż nagle życie, które nagle się pojawiło, równie nagle zniknie. Nie jest istotne, czy z powodu uderzenia meteorytu, słonecznego wybuchu czy też nuklearnej zimy. Ludzkość wymrze. Jej kości pogrzebie gruba warstwa pyłu, podobnie jak jej miasta, samochody, myśli, wspomnienia, nadzieje oraz pragnienia. Wszystko zniknie. I wtedy, po kolejnych dwudziestu milionach lat, pojawią się dinozaury. Otrzymają dużo czasu. Nas nie ma, nasze istnienie nie ma już żadnego znaczenia. Dostaną do dyspozycji sto sześćdziesiąt milionów lat. Dinozaury nie grzebią w ziemi, przeszłość je nie interesuje. Nie studiowały, by prowadzić wykopaliska archeologiczne. Nie badają warstwy pyłu, tak jak my byśmy to robili. Nie znajdują więc



miast, które zniknęły, żadnych czteropasmówek, telewizorów, maszyn do pisania. Żadnego mercedesa, idealnie zakonserwowanego pod warstwą pyłu, bez jednego zadrapania i właściwie gotowego do jazdy. Przez przypadek znajdą może najwyżej ludzką czaszkę. Czaszkę, którą najpierw szybko obwąchają, a następnie jak najdalej od siebie odrzucają, jako niezawierającą już niczego jadalnego. Dinozaury nie są ciekawe, kto przed nimi chodził po tej ziemi. Żyją teraźniejszością. Tego moglibyśmy się od nich nauczyć. Życia teraźniejszością. Kto nie zna historii, skazany jest na jej powtarzanie, przekonuje się nas aż do znużenia. Ale czy esencja istnienia nie tkwi właśnie w powtarzaniu? Narodziny i śmierć. Słońce, które każdego ranka wschodzi, a wieczorem zachodzi. Lato, jesień, zima, wiosna. Mówimy o nadejściu wiosny, jakby było to czymś nowym. Mówimy o pierwszym śniegu, choć to taki sam śnieg jak przed rokiem. Mężczyźni wyruszają na łowy, a kobiety utrzymują ciepło w jaskini. Jeden mężczyzna może w ciągu jednego dnia zapłodnić kilka kobiet, lecz ciężarna kobieta przez dziewięć miesięcy jest wykluczona z tego etapu w procesie przedłużania gatunku. Udało nam się wyliczyć, ile dzieci jest w stanie urodzić kobieta. Odpowiedź brzmi: dwadzieścioro. Potem ryzyko staje się zbyt duże. Atrakcyjność kobiety spada, co przestrzega mężczyznę przed jej zapłodnieniem. Wkrótce potem kobieta staje się bezpłodna. Tak mądrze zostaliśmy stworzeni. Okres przydatności męskiego nasienia jest wielokrotnie dłuższy. Ryzyko dla zdrowia dziecka, które ma starszego ojca, niemal nie istnieje. Obecnie wyśmiewamy się nieco z siedemdziesięcioletniego mężczyzny, który płodzi dziecko z dwudziestoletnią kobietą, ale tak naprawdę nie ma w tym nic śmiesznego. Dziecko to dziecko. Kolejne dziecko. Dziecko, którego w innym wypadku by nie było. Mężczyzna starzeje się, lecz jego atrakcyjność niemal nie spada. W tym również przejawia się rozsądek stworzenia. Świeża żywność pachnie, zepsuta żywność czuć. Obwąchujemy mleko w kartonie, by sprawdzić, czy nie upłynęła jego data przydatności do spożycia. W podobny sposób patrzymy na siebie nawzajem. „Ta nie”, mówimy. „Za stara. W żadnym wypadku”. Nie chcemy kobiety po upływie jej daty przydatności, bo to nie ma najmniejszego sensu, nie służy to bowiem podtrzymaniu gatunku. W tym miejscu chciałbym jeszcze wspomnieć o niesprawiedliwości. Współczuję kobietom, które uważają, że to niesprawiedliwe. Kobiety to piłkarze stworzenia. W wieku trzydziestu pięciu lat odchodzą na emeryturę, ale przedtem muszą się postarać o wszystko: dach nad głową, męża i dzieci. Wiążą się szybciej z mężczyzną, wszystko jedno jakim. Widać to w wypadku kobiet, które zbliżają się do niebezpiecznego wieku. Piękne kobiety, które mogłyby mieć każdego mężczyznę, wybierają nagle brzydkiego, nudnego faceta. Wygrywa instynkt. Wybierają brzydkiego, nudnego faceta z samochodem, kredytem hipotecznym i dachem nad głową, może nawet niekoniecznie dla siebie, lecz ze względu na dziecko. Kołyska powinna przecież stać w suchym i ogrzewanym pomieszczeniu. Ów nudny facet stanowi lepszą gwarancję tego, że kredyt spłacany będzie co miesiąc, niż przystojniak, który wie, że może przebierać w kobietach. Przystojny i sypiający z wszystkimi kobietami wkoło facet może nagle zniknąć. Instynkt jest tak silny, iż kobieta nie działa dla własnej korzyści, ona też wolałaby każdej nocy przytulać się do przystojnego mężczyzny. Ten ma jednak inne zamiary. Jego najważniejszym celem jest zapłodnić jak najwięcej kobiet i w ten sposób przekazać

dalej swoje silne i zdrowe geny. Tak chodzi zegar biologiczny. Wskazówki pokazują tę samą godzinę. Dla kobiety nadszedł czas, by założyć rodzinę, mężczyzna uważa, że jest na to za wcześnie. Na zakończenie chciałbym zaznaczyć jeszcze jedno. Istnieją kultury, które dbają o odrzucone kobiety, u nas opuszczone kobiety marnieją w samotności. My jednak uważamy się za bardziej cywilizowanych. W tych samych kulturach młode dziewczęta wcześnie wychodzą za mąż i rodzą dzieci. Można by powiedzieć, że to niesprawiedliwe, iż mężczyźni nie mogą zająć w ciąży, lecz nie znam mężczyzny, który by się na to skarżył. Cieszymy się, że nie musimy przez dziewięć miesięcy dźwigać ciężkiego brzucha. Przeszkadzałby on tylko w robieniu tego, co nakazuje nam instynkt. Jesteście młodzi. Róbcie, na co macie ochotę. Róbcie to ze sobą jak najczęściej. Nie myślcie o przyszłości, postarajcie się o to, by mieć co wspominać. Pozwólcie tej niesprawiedliwości udusić się we własnym sosie. Tym chciałbym dzisiaj zakończyć.

Dom Meierów stał na wzgórzu wśród innych wakacyjnych domów, oddalony jakieś cztery kilometry od plaży, a trzy kilometry od naszego kempingu. Ponieważ było za daleko, by iść na piechotę, pojechaliśmy samochodem.

— Hm, spodziewałam się czegoś innego — stwierdziła Caroline, kiedy zza otwartych szyb próbowaliśmy odczytać numery domów, co nie było łatwe, bo większości w ogóle brakowało, zasłonił je bluszcz lub inna roślinność.

— Przed chwilą przejeżdżaliśmy obok numeru pięćdziesiąt trzy, następnie pięćdziesiąt pięć, a teraz numeracja znowu się obniża — powiedziałem. Zatrzymałem na chwilę auto i wychyliłem głowę przez okno. — Trzydzieści dwa, do cholery! Co miałaś na myśli, mówiąc, że czegoś innego się spodziewałaś?

— Nie wiem. Czegoś bardziej artystycznego?

Zawróciłem na końcu ślepej uliczki. Znajdowaliśmy się tutaj w najwyższym miejscu. W oddali widać było niebieską kreskę morza, a w dole wiała się droga prowadząca na plażę. Spojrzałem w bok na moją żonę. Ona również przed laty zamierzała wyjść za nudnego faceta. Po raz pierwszy zobaczyłem ją na przyjęciu urodzinowym u znajomych. Caroline była przyjaciółką żony jubilata z młodości. Nudny facet z nikim nie był zaprzyjaźniony, przyszedł z Caroline.

— Nie znam tutaj nikogo — zwrócił się do mnie, kiedy staliśmy przy stole z przekąskami. Odstawił szklanekę coli i wyciągnął fajkę. — Przyszedłem tutaj z narzeczoną.

Popatrzyłem na jego palce grzebiące w tytoniu. „Jaka kobieta chciałaby mieć faceta palącego fajkę?”, pomyślałem. W chwilę potem u jego boku pojawiła się Caroline.

— Idziemy? — zapytała nudnego. — Nie czuję się najlepiej.

Czasem kontrast pomiędzy kobietą a mężczyzną jest tak duży, że zastanawiasz się, czy w grę nie wchodzi jakieś inne motywy, przykładowo natury finansowej lub związane ze statusem albo sławą. Dwudziestoletnia modelka u boku sześćdziesięcioletniego milionera. Olśniewająca piękność obok najbrzydszego z możliwych piłkarza, i to nigdy piłkarza z trzeciej ligi, nawet gdyby ten wyglądał jak

David Beckham. Nie, u boku piłkarza z ligi światowej, z rzadkimi, tłustymi włosami i uśmiechem, który pokazuje więcej odsłoniętych dziąseł niż zębów. To rodzaj paktu. Modelka dobrze prezentuje się w świetle fleszów, może również bez ograniczeń robić zakupy w Mediolanie i Nowym Jorku. W zamian za to brzydki piłkarz i stary milioner udowadniają, że mogą zdobyć najpiękniejsze kobiety świata. Czasem jednak ów pakt nie wydaje się tak oczywisty. Zastanawiasz się wtedy, jak to, na miłość boską, w ogóle jest możliwe. Co ona w tym nudziarzu widzi?

— Och, przepraszam — powiedziała Caroline i wyciągnęła do mnie rękę.

— Marc — przedstawiłem się, ściskając jej dłoń. Opanowałem chęć przytrzymania jej dłużej, niż to by było stosowne, po czym opanowałem chęć powiedzenia czegoś „interesującego”. Popatrzyłem przez chwilę na nudziarza, który tymczasem zapalił fajkę i wypuszczał kłęby gęstego dymu. To była czysta intuicja. Ja wcale nie musiałem mówić niczego interesującego, ja byłem interesujący. W każdym razie byłem o niebo bardziej zajmujący niż ten nudziarz.

Wspomniałem już o moim wyglądzie. Muszę jeszcze do tego dodać, że na pierwszy rzut oka nie wyglądam na doktora, z pewnością nie na przyjęciach urodzinowych. „Czy jest tutaj jakiś lekarz?”, pytają ludzie, kiedy ktoś straci przytomność lub skaleczy rękę o rozbite szkło. Początkowo omijają mnie wzrokiem. Mężczyznę w nie najnowszych już trampkach, w przybrudzonych dżinsach, z podkoszulkiem wypuszczonym na wierzch spodni, z celowo potarganymi włosami. Mam takie włosy, że mogę sobie na to pozwolić. Zanim wybiorę się na urodziny, stoję na chwilę przed lustrem. Układam palce po bokach głowy, po czym króciutko nimi poruszam, w górę i w dół. Wtedy włosy najlepiej się układają.

Popatrzyłem na kobietę, która przedstawiła się jako Caroline, i nagle zrozumiałem, dlaczego była z takim nudnym gościem. Zegar biologiczny! Spojrzała na zegar biologiczny i zdecydowała, że ma coraz mniej czasu. Byłoby jednak szkoda. Rzuciłem wzrokiem na nudziarza i ujrzałem słabe geny, być może brzydkie dzieci. Brzydkie dzieci, które palący fajkę ojciec odbiera ze szkoły. Przypomniałem sobie, że powiedziała, iż źle się czuje, i moje serce zaczęło nagle kołatać. Chyba nie jest jeszcze za późno? Myśl ta wydawała się tak nieznośna, że nie bawiąc się w ceregiele, natychmiast przystąpiłem do rzeczy.

Jako ciężarna nie byłaby dla mnie interesująca. Z kobietą w ciąży zamieniłbym parę grzeczności i pozostawiłbym ją na pastwę nudziarza. Dziecko dorastałoby w domu, w którym ubrania, meble i zasłony przesiąkałyby zapachem tytoniu.

— Niektóre kobiety sądzą, że będąc w ciąży, nie mogą pić alkoholu — zacząłem. — Ale jedna lampka czerwonego wina naprawdę nie zaszkodzi. Działa rozluźniająco, a nawet jest korzystna dla nienarodzonego dziecka.

Caroline spąsowiała. Przez moment obawiałem się, że dobrze odgadłem, ale wtedy ona rzuciła wzrokiem na nudnego i ponownie na mnie spojrzała.

— Ja... my próbujemy... zajść w ciążę — odpowiedziała. — Ale jak do tej pory bez rezultatu.

Odetchnąłem głęboko. To było westchnienie ulgi.

— Proszę wybaczyć — przeprosiłem. — Pewnie pani myśli, że to nie moja sprawa. Ale to trochę

zбочenie zawodowe. Kiedy kobiety mówią, że mają mdłości, myślę wtedy od razu o... no właśnie o tym.

Zmrużyła oczy, które zdawały się pytać: „Zбочenie zawodowe? A o jaki zawód chodzi?”.

— Jestem lekarzem pierwszego kontaktu — odparłem.

Nie odwracając od niej wzroku, włożyłem palce we włosy i odgarnąłem je nonszalancko do tyłu, przez co jeszcze bardziej się pomierzwiły. Nie patrzyłem już więcej na nudziarza, udawałem, że tam w ogóle nie stoi, że jesteśmy tutaj tylko we dwoje. Patrząc wstecz, myślę, że tak rzeczywiście było.

— Lekarzem pierwszego kontaktu — powtórzyła Caroline. Uśmiechnęła się. Nie ukrywając tego, zmierzyła resztę mojego ciała badawczym wzrokiem. Widocznie spodobało jej się to, co zobaczyła, bo uśmiechnęła się jeszcze szerzej, obnażając przy tym piękne białe zęby.

— Co wtedy tak naprawdę myślałaś? — pytałem ją później, i to nieraz, lecz nie częściej niż dwa razy do roku. Rekonstruowanie naszego pierwszego spotkania sprawiało nam obojgu przyjemność jeszcze na długo po naszym pierwszym pocałunku.

— Pomyślałam, że było to ostatnią rzeczą, na którą mogłabym wpaść. Lekarz pierwszego kontaktu! — odpowiadała na to zawsze Caroline. — Myślałam: „Cóż za interesujący lekarz, z tymi zmierzwionymi włosami i w znoszonym ubraniu”. A ty? Co ty myślałaś?

— A ja się zastanawiałem: „Co ona, na miłość boską, robi z takim nudnym frajerem? Taka piękna i zajmująca kobieta. Że też taka piękna i zajmująca kobieta musi siedzieć w dymie z fajki”.

— Jeśli źle się czujesz, Caroline — gdzieś spoza kadru doszedł głos palącego fajkę frajera — to lepiej, żebyśmy już poszli.

— Zostanę jeszcze na chwilę — odpowiedziała. — I chyba wypiję kieliszek czerwonego wina.

— Patrz, tato! Tam! — zawołała Lisa z tylnego siedzenia.

— Co? — zapytałem, naciskając gwałtownie pedał hamulca. — Gdzie?

— Tam! Ten chłopak, który tam idzie. To Alex!

## ROZDZIAŁ 17

— Czy ktoś chce jeszcze sardynek? Jest ich pod dostatkiem.

Ralph wytarł palce o podkoszulek i popatrzył po kolei na nas wszystkich.

— Caroline, może ty? <sup>1</sup>. Nie, jak to się mówi po angielsku? — zwrócił się do Stanleya i puścił do niego oko. — Ona może sobie na to pozwolić. My powinniśmy uważać. Marc, masz jeszcze ochotę? No proszę, jesteś lekarzem, a sardynki zawierają dobre tłuszcze, prawda?

— Owszem — potwierdziłem i pogładziłem się ręką po brzuchu — ale ja naprawdę już nie mogę. Dziękuję, Ralph.

Siedzieliśmy na zewnątrz, na tarasie, przy dwóch zsuniętych białych stołach z plastiku. Taras otaczał niski mur z kamieni udających głazy, do których przycementowano skamienieliń i muszle. Grill znajdował się w zagłębieniu w murze i posiadał nawet wyciąg w formie komina pokrytego czerwoną dachówką. Pomimo to tłusty i ciężki zapach sardynek kłębił się pomiędzy nami, niby dym z pożaru. Zapach osiadał na wszystkim: na naszych ubraniach, włosach, na pędach winogron i liściach palmy nad naszymi głowami. Miałem nadzieję, że będzie mięso, jagnięcina albo wieprzowina. W ostateczności nóżki z kurczaka. Nie znoszę sardynek. Nie tych z puszki, gdzie ości rozpuściły się już w sosie, ale ich świeżego wariantu, kiedy to dłubanina zabiera więcej czasu niż samo jedzenie. Wydaje ci się, że usunąłeś wszystkie ości, a tu przy każdym kęsie prześlizguje się ich jeszcze z dwadzieścia. Ości, które wbijają się podstępnie w dziąsła lub podniebienie, albo utykają w gardle. No i ten zapach, a właściwie odór, który ostrzega, że powinno omijać się tego typu jedzenie. Jeszcze przez kilka dni jego ślady pozostają na palcach i pod paznokciami. Natychmiast trzeba uprać ubrania i umyć głowę. Mimo to przez całą noc i kolejny rano przypomina ci się czkawką, co jadłeś poprzedniego wieczoru.

— Vera? — zapytał Ralph. — Mam nadzieję, że ty mnie nie rozczarujesz?

Po raz pierwszy usłyszałem, jak ktoś wymawia jej imię. Miała krótko obcięte włosy. To praktyczna fryzura. Vera, powtórzyłem w myślach. Do takiej fryzury pasowałoby raczej Thea albo Ria. Jej twarz była sympatyczna, lecz pusta, z niewielką jak na jej wiek liczbą zmarszczek. Praktyczna, zdrowa kobieta, która zapewne prowadziła ostrożne życie, bez większych szaleństw i zapadała w drzemkę po jednym kieliszku białego wina. Spodziewałem się, że w każdej chwili podziękuje za posiłek, przeprosi i pójdzie do sypialni.

Wkrótce po tym, jak przyszliśmy, Judith oprowadziła nas po ich letnim domu. Na pierwszym i jednocześnie największym piętrze znajdowały się salon i jadalnia, kuchnia oraz trzy sypialnie. Nawet bez objaśnień Judith nietrudno było zgadnąć, do kogo należały. Pokój, w którym stało dwuosobowe łóżko, a na nocnych szafkach leżały stosy książek i czasopism, był jej i Ralpha, nieco mniejszy pokój z dwoma

jednoosobowymi łózkami, w którym na podłodze poniewierały się ubrania, buty, piłki do tenisa oraz okulary do nurkowania, należał do Aleksa i Thomasa, a najmniejszy pokój, w którym stało jednoosobowe łóżko, do matki Judith. Nie wiem dlaczego, ale to właśnie w drzwiach tego pokoju zatrzymałem się na dłużej, kiedy Judith i Caroline powróciły już do salonu. Sypialnia była niemalże pusta, przypominała celę zakonnicy. Przez oparcie jedyne krzesła przerzucony był brązowy sweter, pod krzesłem stały, równo jeden obok drugiego, fioletowe pantofle. Na ścianie wisiał szkic węglem wciąganej na plażę łodzi rybackiej. Na nocnej szafce stało zdjęcie — w każdym razie zakładałem, iż jest to zdjęcie, bo ramka odwrócona była do mnie tyłem. Przysłuchiwałem się głosom Judith i mojej żony. Mogłem to zrobić. Mogłem zrobić dwa kroki do przodu, by zobaczyć, kto lub co widniało na zdjęciu, ale powstrzymałem się. Później, pomyślałem. Później. Czasu jest pod dostatkiem. Od frontu było okno, które rozciągało się na całą szerokość salonu. Widać było przez nie wzgórze tworzące linię wybrzeża, samo morze było stąd niewidoczne. W salonie stały przede wszystkim brzydkie meble: zielona sofa i dwa równie zielone fotele. Trudno było na pierwszy rzut oka ocenić, czy obite były skajem czy plastikiem, oraz stolik z ratanu ze szklanym blatem. Stół jadalny wykonany był z masywnego ciemnego drewna, a oparcia przynależących do niego krzesel wyścielone czerwonym pluszem.

— Właściciele domu to Anglicy — powiedziała Judith.

Na parterze znajdował się garaż oraz oddzielny apartament z osobnym wejściem. Tutaj mieszkali Stanley i Emmanuelle. Miałem nadzieję, że Judith i po nim nas oprowadzi, lecz uchyliła jedynie drzwi i zawołała coś do środka. W odpowiedzi Stanley pojawił się w drzwiach. Jego biodra opasane były białym ręcznikiem sięgającym poniżej kolan.

— Emmanuelle bierze prysznic — stwierdził.

Popatrzyłem na obnażone części jego ciała. Brzuch miał płaski jak na swój wiek. Płaski i opalony, skóra na nim była jednak matowa, a włosy na piersiach oraz poniżej pępka niemal białe.

— Może przyjdziecie się czegoś z nami napić? — zaproponowała Judith.

Na zakończenie przeszliśmy się jeszcze po ogrodzie. Z boku domu znajdował się ganek, na którym stał stół do ping-ponga. Nad drzwiami garażu przymocowany był kosz do koszykówki. W niepokrytych płytami częściach ogrodu ziemia była sucha i brązowoczerwona. Z tarasu schodziło się po kilku stopniach pokrytych kafelkami do basenu.

— Chcecie najpierw wskoczyć do wody? — zapytała Judith.

Caroline i ja popatrzyliśmy na siebie.

— Może później — odpowiedziała Caroline.

Basen miał kształt ósemki. Pośrodku leżała wysepka z kamieni o przekroju mniejszym niż metr, z której tryskał strumień wody. W wodzie dryfowały dmuchane materace, koła ratunkowe oraz nadmuchiwany krokodyl z uchwytami po obu stronach łba. Na najbardziej oddalonym od nas brzegu, w większym brzuszku ósemki, znajdowała się trampolina.

— Dni spędzamy przede wszystkim tutaj — stwierdziła Judith. — Na plażę trzeba ich wyciągać na

siłę.

W tym momencie na zewnątrz wybiegli Lisa i Thomas. Młodszy syn Judith nie wyhamował, dobiegając do brzegu basenu. Wyglądało na to, że do ostatniej chwili nie mógł zdecydować, skoczyć na główkę, czy zrobić bombkę. Częściowo upadając, a częściowo ślizgając się po mokrych kafelkach na brzegu, wylądował w basenie, wzbudzając fontannę wody.

— Thomas! — wykrzyknęła Judith.

— Chodź, Lisa, wskakuj! — zawołał. Wymachiwał przy tym rękami, aż musieliśmy się o kilka kroków cofnąć, by nas nie zmoczył. — Lisa, Lisa, chodź!

I wtedy wbiegła moja młodsza córka. Na chwilę zatrzymała się na brzegu, a następnie rzuciła do wody.

— Lisa? — zapytała Caroline. — Gdzie jest Julia?

Lisa wdrapała się na krokodyła, lecz Thomas ściągnął ją stamtąd natychmiast.

— O co pytałaś, mamó? — zawróciła, wypływając ponownie na powierzchnię.

— Gdzie jest Julia?

— Nie wiem, chyba gdzieś w środku.

Po sardynkach przyszedł czas na płaszczkę. Była tak wielka, że pokryła niemal cały ruszt grilla, który jeszcze mocniej zaczął dymić. Obok niego, na żelaznym stoliku, Ralph postawił miskę z innymi owocami morza, przede wszystkim z kalmarami i to z wszystkimi możliwymi ich rodzajami: o białym zaokrąglonym tułowiu i odnogach z przodu, w kształcie grzyba z odnogami wiszącymi u dołu oraz przypominającymi nieco ośmiorniczki, o długich, opatrzonych sławnymi przyssawkami odnogach, zwisających z brzegu miski.

— Ryby kupujemy tutaj we wsi, w sklepie zaopatrywanym bezpośrednio przez rybaków — powiedział Ralph, przepędzając ręką dym sprzed twarzy. — Z zewnątrz nawet nie widać, że to sklep. Od frontu jest roleta, którą podnoszą tylko wtedy, kiedy dostarczą im ryby. Świeższych nigdzie się nie dostanie.

Byłem zajęty dyskretnym usuwaniem ości z sardynki, która wbiła mi się w paskudne miejsce na podniebieniu: tuż za jedynekami, zamruczałem więc jedynie na znak, że słyszałem, co mówił. Ponieważ siedziałem najbliżej grilla, na mnie leciało najwięcej dymu. Dym z płaszczyki mniej było czuć niż ten z sardynek, lecz i tak straciłem apetyt. Napełniłem ponownie kieliszek białym winem i wziąłem duży łyk. Opłukałem winem usta, próbując jednocześnie czubkiem języka pozbyć się ości, ale pokłułem sobie jedynie okropnie język.

— Zamierzają wyprodukować trzynaście odcinków — powiedział Stanley do Caroline. — Trzynaście odcinków trwających każdy po pięćdziesiąt minut. Będzie to prawdopodobnie najdroższa produkcja w historii telewizji.

Caroline i ja siedzieliśmy obok siebie, Stanley i Emmanuelle naprzeciw nas. Emmanuelle paliła długiego papierosa z filtrem, otrzepując popiół na talerzyk z resztkami sardynek. Mimo że zrobiło się już

całkiem ciemno, miała na nosie okulary przeciwsłoneczne. Był to model z nieproporcjonalnie dużymi szklami, przez co nie widać było, na co patrzy.

— Widziałaś *Rodzinę Soprano* — zapytał Stanley Caroline — i *Prawo ulicy*?

— Z serii *Rodzina Soprano* mamy prawie wszystkie sezony na DVD — odpowiedziała Caroline.

— Uważam, że jest fantastyczna. I świetnie zagrana. O serialu *Prawo ulicy* słyszeliśmy od wielu osób, że jest bardzo dobry, ale nie mieliśmy jeszcze czasu, by go obejrzeć. A *Gotowe na wszystko*? Widziałeś *Gotowe na wszystko*? Z tej serii również mamy kilka płyt DVD.

— *Prawo ulicy* jest naprawdę najlepsze. Koniecznie musisz zobaczyć ten serial. Nie będziesz się mogła od niego oderwać. Grają w nim przede wszystkim czarni aktorzy, dlatego jego oglądalność była niższa niż *Rodziny Soprano*. Ale serial *Gotowe na wszystko*... przykro mi, lecz muszę wyznać, że wydaje mi się często niezbyt wiarygodny. I trochę za śmieszny. Ale może jest to serial dla kobiet. Emmanuelle na przykład niezwykle się podoba, prawda Emmanuelle? *You like Desperate Houswives a lot, right?*<sup>2</sup>.

Musiał szturchnąć ją w rękę, by zorientowała się, że mówi do niej, a następnie był zmuszony powtórzyć pytanie.

— *Desperate Houswives is... nice*<sup>3</sup> — odpowiedziała w końcu, nie zwracając się konkretnie do nikogo z nas.

— Czyli wszystko jasne. — Stanley wyszczerzył zęby do Caroline. — *Anyway*<sup>4</sup>, ten serial wyprodukuje, tak jak w przypadku *Rodziny Soprano* i *Prawa ulicy*, stacja HBO. Najdroższy serial *ever*<sup>5</sup>, czy już o tym wspomniałem?

— Tak — odparła Caroline — ale nie szkodzi.

— Akcja obejmuje okres rozwoju cesarstwa rzymskiego, znaczy się: jego rozkwitu. Od Juliusza Cezara do cesarza Nerona. Jedynym punktem spornym jest jego tytuł. Wahają się jeszcze pomiędzy *Rzym* a *August*, ale ponieważ akcja siedmiu z trzynastu odcinków toczy się w okresie rządów cesarza Oktawiana Augusta, myślę, że zostanie zatytułowany *August*.

— A Ralph? — zapytałem.

— Ralph będzie grał rolę cesarza — odrzekł Stanley — cesarza Augusta.

— Tak, wiem. Chodziło mi o coś innego. Zastanawiałem się, dlaczego to jego wybrałeś do tej roli.

— Przed laty, kiedy jeszcze mieszkałem w Holandii, pracowałem z Ralphem. Nie wiem, może widzieliście film *Lieverdjes*<sup>6</sup>?

Musiałem się zastanowić, aż w końcu sobie przypomniałem. Nie oglądałem go wtedy w kinie, ale później w telewizji. *Lieverdjes*... o młodzieży jeżdżącej na skuterach, z dość śmiałymi jak na owe czasy scenami łóżkowymi i równie śmiałymi scenami przemocy. Była w nim pewna scena, o której opowiadano jeszcze przez lata. Taka scena może sprawić, że nawet kiepski film staje się niezapomniany. Młodzi ludzie rozciągają nad drogą, na wysokości głowy, drut. Z dużą prędkością nadjeżdża skuter. Po asfalcie toczy się głowa, która zatrzymuje się w rowie. Nie, wpada do kanału. Jeszcze lekko wystaje z wody. Spomiędzy rzęsy wodnej widać ze zdziwieniem patrzące oko, które mruga. I wtedy zmienia się



perspektywa. Widzimy to, na co spogląda oko: na siedzącą na brzegu przestraszoną żabę. Żabę, która z takim samym zdumieniem patrzy na głowę, jak głowa na nią. Żaba zaczyna kumkać, obraz traci ostrość, aż w końcu staje się czarny. Sugestia jest jednoznaczna: odcięta przez drut głowa jeszcze żyła, lądując w kanale.

— Moi rodzice nie pozwolili mi na niego pójść — odpowiedziała Caroline.

— Nie? — zapytał Stanley z rozbawionym spojrzeniem. — Byłaś wtedy taka młoda?

— Grał tam Ralph? — zapytałem. — W *Lieverdjes*? Zupełnie tego nie pamiętam.

— Po tej scenie do tej pory boli mnie szyja! — wykrzyknął Ralph, który widocznie przysłuchiwał się rozmowie. — Cha, cha, cha!

— To on? — zapytałem Stanleya, odwracając się w stronę Ralpha. — To ty byłeś w tym kanale? Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— W każdym razie cieszę się, że znasz filmowy kanon, Marc — stwierdził Ralph. — Jak uważasz, Stanley? To jednak miłe, kiedy ludzie przypominają sobie taką scenę?

— Och, do licha, już wiem! — zawołała Caroline. — Ta odcięta głowa w kanale! Bałam się na to patrzeć. Moi rodzice mieli rację, że mi nie pozwolili pójść na ten film.

Ralph zaryczał po swojemu ze śmiechu, również Stanley się roześmiał. Emmanuelle wyprostowała na chwilę głowę. Na jej twarzy pojawił się rozmarzony uśmiech, ale nie zapytała, dlaczego wszyscy się śmiejemy. Pomyślałem o późniejszych filmach Stanleya Forbesa, o tych, które nakręcił w Hollywood. Nie wszystkie z nich widziałem, ale i w tych filmach reżyser opierał się przede wszystkim na śmiałych scenach. To były filmy, w których — jak to się mówi — wszystko było na widoku, zarówno poodrywane i krwawiące kikuty, jak i poprzecinane niebieskimi żyłami i pulsujące genitalia. O czym był film, zapomniało się natychmiast po jego zakończeniu, lecz owe śmiałe sceny stały się wizytówką reżysera.

— Gdzie się podziała Judith? — zapytał Ralph. — Umieram z pragnienia.

Rzeczywiście, gdzie się podziała Judith? Kilka minut wcześniej wstała od stołu, by przynieść białego wina, i jeszcze nie wróciła. Matka Judith, która — patrząc z mojej perspektywy — siedziała przy najdalszym końcu stołu, zaczęła ziewać, zasłaniając usta dłonią.

— Tak, tak... — odezwała się i to było wszystko, co w ciągu ostatniej pół godziny powiedziała.

Odchyliłem się do tyłu na krześle i rozejrzałem wokół. Najpierw popatrzyłem na kamienne schody prowadzące na pierwsze piętro, a następnie na ganek, na którym przy świetle jarzeniówki Lisa i Thomas grali w ping-ponga. Nasycili się wystarczająco pierwszą porcją sardynek i pozwoliliśmy im, podobnie jak Julii i Aleksowi, wstać od stołu. Gdzie podziewali się ci ostatni, umknęło jednak mojej uwadze. Spojrzałem na basen, w którym tymczasem zapaliło się podwodne oświetlenie. Nie było nawet tchnienia wiatru. Zielony nadmuchiwany krokodyl leżał bez ruchu przy brzegu. Podczas moich zmagania z sardynkami nie śmiałem spojrzeć na Judith. Nie wydawało się zresztą, by ona próbowała nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. Raz zaśmiała się wprawdzie przesadnie głośno z niezbyt zabawnej uwagi Caroline, kładąc dłoń na przedramieniu mojej żony. Zastanawiałem się, czy czegoś nie przegapiłem. Jakiegoś spojrzenia,

może gestu. Czegoś, co mi mówiło, że po kilku minutach mam udać się za nią w głąb domu. „Może zobaczę, gdzie jest Judith?”, powtórzyłem kilkakrotnie w myślach, nie zmieniło to jednak faktu, że zdanie to kojarzyło się z kiepskim filmem.

Nagle w górze na schodach coś się poruszyło. Zobaczyłem najpierw Aleksa, a po nim Julię schodzących na dół, kilka kroków za nimi szła Judith. Włosy Julii były w nieładzie, na policzkach miała rumieńce. Aleksa znałem zbyt krótko, by móc stwierdzić, czy jego włosy też były zmierzwione.

— Tato? — odezwała się Julia.

Stając za mną, położyła mi dłonie po obu stronach karku i delikatnie zaczęła go ugniatać. Zawsze to robiła, gdy czegoś ode mnie chciała: dodatkowego kieszonkowego na drogą bluzkę, którą widziała w mieście; „biednego” chomika z wystawy sklepu ze zwierzętami, którego za wszelką cenę próbowała wziąć do domu; pozwolenia na szkolną zabawę, na której „wszyscy” mogą zostać do dwunastej.

— Tak? — odpowiedziałem.

Prawą ręką złapałem jej lewą dłoń i lekko ścisnąłem palce. Spojrzałem też krótko na Caroline. Julia nigdy nie prosiła jej najpierw. Wiedziała, że mnie łatwiej przekonać. „Slapper”<sup>2</sup>, mówiła zawsze Caroline, „Nigdy nie potrafisz odmówić”.

— Możemy tutaj zostać? — zapytała Julia.

— Zostać tutaj? — zareagowałem. — Jak to, zostać tutaj?

Próbowałem podchwycić wzrok Judith, lecz ona właśnie postawiła na stole dwie butelki białego wina i podawała Stanleyowi otwieracz. Czułem, jak moja twarz staje się gorąca. Serce zaczęło mi kołatać. — Chciałabyś tutaj przenocować? Nie wydaje mi się, żeby tu było wystarczająco dużo miejsca...

— Nie, mam na myśli nas wszystkich — odpowiedziała Julia. Mówiąc to, zaczęła mocniej ugniatać mój kark. — Żebyśmy wszyscy przenieśli się tutaj, a nie zostali na tym beznadziejnym kempingu.

Judith zrobiła krok w bok od stołu, przez co znalazła się za moją żoną, i spojrzała na mnie.

— Zaprosiliśmy was wtedy — odezwała się — ale niespodziewanie przyjechali z Ameryki Stanley i Emmanuelle i właściwie nie ma już miejsca w domu. Pomyślałam jednak, że przecież macie namiot, dlaczego więc nie mielibyście go rozbić w ogrodzie?

Odpowiedziałem spojrzeniem. Jej twarz znajdowała się tuż poza zasięgiem światła świec, nie mogłem dojrzeć jej oczu.

— *Please...* — wyszeptała mi Julia do ucha. — Proszę...

— No nie wiem — odpowiedziałem. — Gdzie mielibyśmy to zrobić? Poza tym to dla was zbyt duży kłopot. Już macie gości. Zrobiłby się okropny tłum.

— Bzdura! — To był Ralph. — Gość w dom... i czym chata bogata... — Roześmiał się głośno. — Tak czy inaczej, miejsca tutaj pod dostatkiem.

— Wydaje mi się, że z boku domu, tam gdzie stoi stół do ping-ponga. Tam wystarczy miejsca pod namiot. Możecie u nas brać prysznic itd.

Rozległ się huk. Wszyscy popatrzyliśmy na Stanleya, który wyciągnął korek z butelki.

— Przepraszam — powiedział. — To znaczy również za to, że się tutaj zjawiliśmy. Nie wiedzieliśmy, że byliście zaproszeni.

— Nie wydaje mi się, żeby był to dobry pomysł — odezwała się Caroline. Ziemia tam z tyłu jest bardzo twarda, nie da się na niej rozbić namiotu. Wracamy po prostu na kemping. — Popatrzyła na mnie, a następnie zwróciła się do Julii: — Możemy tutaj częściej przychodzić, możemy umawiać się na plaży, ale na kempingu mamy więcej miejsca. Tak będzie wygodniej dla wszystkich.

— Kemping jest beznadziejny — stwierdziła Julia.

— Z tą ziemią nie jest tak źle — odpowiedziała Judith. Namiot stałby tam dobrze osłonięty. W garażu jest kupa cegieł, nie musielibyście nawet wbijać śledzi. W każdym razie nie porwałby was wiatr.

— Tato, możemy? — zapytała ponownie Julia. Kark ścisnęła mi teraz niemal do bólu. — Możemy? Proszę!

---

1. Z ang.: „Emmanuelle, chcesz jeszcze? Możesz dostać”. [\[wróć\]](#)
2. Z ang.: „Podobają ci się Gotowe na wszystko, prawda?”. [\[wróć\]](#)
3. Z ang.: „Gotowe na wszystko... są fajne”. [\[wróć\]](#)
4. Z ang.: „W każdym razie”. [\[wróć\]](#)
5. Z ang.: „wszech czasów”. [\[wróć\]](#)
6. Nawiązanie do filmu De lieverdjes uit Amsterdam (1974) w reżyserii Henka van der Lindena. [\[wróć\]](#)
7. Z ang.: „mięczak”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 18

Gdy wracaliśmy na kemping, było już koło północy. W samochodzie Caroline nie odzywała się, ale kiedy położyliśmy Julię i Lisę, zapowiedziała, że idzie na zewnątrz zapalić papierosa.

Byłem zmęczony. Wypiłem za dużo białego wina. Najchętniej położyłbym się obok córek w moim śpiworze. Tylko że Caroline dwa lata wcześniej rzuciła palenie. Nie udzieliła też odpowiedzi na moje pytanie zadane wcześniej tego wieczoru, co myśli o tym, by przenieść nasz namiot do ogrodu domu letniego. Wytrzepała papierosa z paczki Emmanuelle i zapaliła go, milcząc. Później, po sardynkach i płaszczce wypaliła jeszcze więcej papierosów. Nie liczyłem ich, ale oceniłem, że co najmniej pięć. Podczas pożegnania Emmanuelle podarowała jej prawie pustą paczkę.

Wydało mi się rozsądne, by jeszcze przez chwilę dotrzymać mojej żonie towarzystwa na zewnątrz namiotu.

— Jak myślisz, co ja jeszcze mogę powiedzieć? — zapytała, jak tylko opadłem na moje rozkładane krzesło. Próbowwała szeptać, lecz jej słowa brzmiały mocniej niż szept, ona je wypluwała. Wydawało mi się, że poczułem krople śliny na policzkach. — Ty najzwyczajniej w świecie stwierdzasz, że według ciebie to świetny pomysł, by rozbić namiot w ogrodzie tych ludzi, a dopiero potem pytasz mnie o zdanie! W obecności dzieci! Co ja wtedy mogę jeszcze powiedzieć? Mogę jedynie rozczarować Julię i Lisę i być tą okropną matką, która ciągle się czepia, podczas gdy ty jesteś zawsze tym fajnym ojcem, który na wszystko pozwala. Do cholery, Marc, nie wiedziałam, gdzie mam patrzeć!

Nic nie odpowiedziałem. Zobaczyłem końcówkę papierosa jaśniejącą wściekle w zmroku. Kiedy się poznaliśmy, paliliśmy jeszcze oboje. W łóżku zapalaliśmy sobie nawzajem papierosy. Rzuciłem palenie kilka lat przed nią. Po narodzinach dzieci paliliśmy i tak jedynie w ogrodzie.

— Dopiero co powiedziałam ci, że nie mam ochoty na spotkania z innymi ludźmi, szczególnie w pierwszym tygodniu wakacji. Ty stwierdziłeś, że okej, w porządku, jak zechcę, to jutro wyjedziemy. Wystarczy, że posiedzieliśmy tam przez jeden wieczór, jedząc rybę i słuchając ciekawego gadania o drogich serialach telewizyjnych, a ty zachowujesz się jak chorągiewka na wietrze.

— To przez Julię — powiedziałem. — Wiem, jestem mięczakiem. Nie potrafię jej odmówić. Po prostu widziałem, ile radości mieli z basenu i stołu do ping-ponga. To mili chłopcy, uważam, że o tym również powinniśmy pamiętać. Ja też uważam, że spokojniej jest, gdy wakacje spędzamy jedynie z naszymi córkami. Ale nic się nie stanie, jeśli raz odwrócimy kolejność. Czy nasze dziewczyny chciałyby przebywać jedynie w naszym towarzystwie?

— Marc, ale to nie o to chodzi! Nie udawaj, że jesteś jedyną osobą, która troszczy się o udane wakacje dla naszych córek. Ja też widzę, że lubią spędzać czas z tymi chłopcami. Nie oznacza to jednak, że mamy

natychmiast wyrzec się naszej prywatności. Chodzi mi o to, w jaki sposób mnie zapytałeś. Nie mogłam przecież odmówić.

Dostrzegłem możliwość, przysłowiowe światełko na końcu długiego tunelu. Zasłona została lekko uchylona, za oknem nastawał świt. Podczas zwykłej kłótni mógłbym uparcie utrzymywać, że nie powinna się skarżyć na utratę prywatności, będąc na urlopie z dwiema dziewczynkami w wieku jedenastu i trzynastu lat. Że nie powinna zawsze jako matka przyjmować roli ofiary. Ale nie była to zwykła sprzeczka.

— Przepraszam — odpowiedziałem — nie zdawałem sobie z tego sprawy. Powinien był spytać w inny sposób albo w innym momencie, wybacz.

Na chwilę zapadła cisza. Przez kilka sekund wydawało mi się, że płacze, ale był to odgłos zaciągania się papierosem.

Pochyliłem się do przodu i w ciemności znalazłem przegub jej dłoni. Delikatnie objąłem go palcami.

— Ile masz jeszcze papierosów? — zapytałem.

— Marc, proszę, nie zachowuj się tak dziwnie.

— Nie, na serio. Jeden papieros przecież nie zaszkodzi? Dzisiaj wieczorem mam ochotę zapalić. Tutaj, na dworze. Z tobą.

— Wiesz, czasem naprawdę się martwię. O ciebie. O to, jaki masz stosunek do swoich pacjentów.

W ciemnościach próbowałem zlokalizować paczkę papierosów, znalazłem ją w końcu w sosnowym igliwiu pod krzesłem mojej żony.

— Zawsze opowiadałeś o nich w taki sposób, że mogłam wywnioskować, iż stoisz ponad nimi. Ponad tymi wszystkimi artystami. Czuleś, że jesteś od nich lepszy, i słusznie. Nienawidziłeś tych wszystkich premier, wernisaży i prezentacji książek tak samo mocno jak ja. Tego pustego gadania ludzi, którzy uważają, że wznieśli się ponad resztę ludzkości, ponieważ zajmują się sztuką. Tak zwanych artystów malarzy, niebędących w stanie sprzedać żadnego obrazu, reżyserów robiących filmy dla najwyżej stu osób, a mimo to patrzących z góry na osoby, które potrafią zarobić na życie, a nawet na tych, którzy potrafią leczyć ludzi. Tak jak ty.

— Caroline...

— Nie, zaczekaj, jeszcze nie skończyłam. Najbardziej boli mnie zawsze sposób, w jaki na ciebie patrzą. Zastanawiam się nieraz, czy sam to widzisz. Ja widzę. Patrzą na ciebie z góry, Marc. W głębi serca uważają cię za prostego konowala, który jest niczym, ponieważ nie potrafi namalować obrazu, którego nikt nie chce kupić. Który odmawia zebrania o pieniądze na kolejne obrzydliwe przedstawienie albo żaloszny film, na który nikt nie ma ochoty pójść. Poznają to po wszystkim, również po tym, jak na mnie patrzą. W ich oczach jestem oczywiście jeszcze mniej warta od ciebie. Żonka pana doktora, najgorszy śmieć. Widzę, jak myślą: „Czy można upaść niżej?“, odwracając się prędko w poszukiwaniu lepszego towarzystwa. Im szybciej pozbędą się tej nudnej i głupiej żonki pana doktora, tym lepiej.

— Caroline, nie powinnaś siebie tak...

— Milcz, jeszcze nie skończyłam. Jeszcze przez chwilę musisz mnie posłuchać. Potem nigdy już nie zająknę się o tym jednym słowem. Nigdy. Obiecuję.

Wyjąłem papierosa pomiędzy palców Caroline i od niego zapaliłem swojego.

— Dobrze, słucham — odpowiedziałem.

— Ja już tego nie mogę wytrzymać, a raczej, mogłam to wytrzymać dopóty, dopóki w głębi serca byłeś przekonany o tym, iż jesteś ponad to. Ale czy tak wciąż jest, Marc? Czy wciąż jeszcze uważasz, że stoisz ponad tym?

Zacząłem się zastanawiać. Myślałem o tym, co czuję w głębi serca, i znalazłem odpowiedź. Jakże często fantazjowałem o tym w chwilach, kiedy to wszystko przerastało moje siły. Zastanawiałem się wtedy, cóż to by była za strata, gdybym dał im wszystkim zastrzyk. Jakie filmy, które — jak jeden z moich pacjentów stwierdził — powinny „bezwzględnie” zostać nakręcone, nie powstałyby? Jakie obrazy nie zostałyby namalowane, jakie książki nie napisane? Krótko mówiąc: czy to rzeczywiście byłaby strata? Czy czegoś by nam brakowało? Czy byśmy to zauważyli?

Czasami między wyjściem jednego pacjenta a wejściem kolejnego przebywałem przez pół minuty sam w gabinecie. Wyobrażałem sobie wtedy, jak by się to odbyło. Wywoływałbym ich po kolei do gabinetu. W lewe ramię? W prawe ramię? Proszę lekko podwinąć rękaw. To niewielki zastrzyk, zaraz będzie po wszystkim. W ciągu tygodnia załatwiłbym całą sprawę. Plany filmowe trafiłyby do lamusa, przedstawienia teatralne zostałyby odwołane, kartki książek pozostałyby niezapisane. Czy coś byśmy przez to stracili, czy raczej szybko odetchnęlibyśmy z ulgą?

— Z czego się śmiejesz? — zapytała Caroline.

— Z niczego. Po prostu wyobraziłem sobie, co by się stało, gdyby oni wszyscy przestali istnieć — odrzekłem. — Moi pacjenci. Odnowiłbym gabinet. Na drzwiach zawiesiłbym tabliczkę: „Od dzisiaj zapisujemy jedynie normalnych ludzi, pracujących od dziewiątej do siedemnastej”.

Zaciągnąłem się papierosem, wciągnąłem dym do płuc. Było to przyjemne, jak za pierwszym razem na szkolnym boisku. I tak jak za pierwszym razem, również i teraz dostałem napadu kaszlu.

— Uważaj, Marc — powiedziała Caroline. — Nie jesteś do tego przyzwyczajony.

— Co miałas na myśli, twierdząc, że już nie stoję ponad tym? Dlaczego tak myślisz?

— Nie wiem. Myślę, że zaczęło się to od poznania Ralpa Meiera. Wygląda na to... wydaje się, że go podziwiasz. Wcześniej nigdy się nie zdarzyło, żebyś podziwiał swoich pacjentów. Uważałeś, że wszyscy są okropni. Te wszystkie premiery, na które musiałeś chodzić... Mówiłeś zawsze, że to strata czasu.

Ponownie zaciągnąłem się papierosem. Tym razem ostrożniej, by znowu nie zanieść się kaszlem.

— Podziw to może zbyt duże słowo, ale trudno udawać, że Ralph jest niczym. On różni się od wielu tak zwanych artystów, którzy mają wielkie mniemanie o sobie. On po prostu dobrze gra. Tobie też się przecież podobał w roli Ryszarda II?

— Oczywiście, że mi się podobał, pomimo jego obrzydliwego charakteru. Uważam, że talent i to, co ktoś wyczynia w prywatnym życiu, należy rozróżniać. Mam jednak na myśli coś innego. Nie chodzi o to,

że podziwiasz jego talent, ale o to, że interesuje cię ich życie. Zauważyłam to już na przyjęciu w ogrodzie. A teraz to wszystko. Twój wysiłek, by znaleźć kemping w sąsiedztwie. I z jaką chęcią podchwyciłeś pomysł rozbicia namiotu w ich ogrodzie. I to, że świadomie czy nie, zbyt chętnie przebywasz w ich towarzystwie. Wydaje mi się to dziwne. To nie jest do ciebie podobne. Ty taki nie byłeś. To nie Marc, którego znam, ani Marc, którego podziwiam. Podziwiałam. Marc, który za żadne skarby świata nie spędziłby urlopu w letnim domu swojego pacjenta. Nawet gdyby ten pacjent był znanym aktorem. Szczególnie nie w wypadku, gdyby był znanym aktorem.

Usłyszałam, jak w krótkich pociągnięciach otwiera się suwak namiotu. Wyszła z niego Lisa, w piżamie. Zaspana tarła oczy.

— Czy wy się kłóćcie? — zapytała.

Wyciągnąłem do niej rękę i przyciągnąłem ją do siebie.

— Nie, kochanie. Nie kłócimy się. Skąd ci to przyszło do głowy?

— Słyszałam, jak cały czas rozmawiacie. Nie mogę zasnąć.

Objąłem ją w pasie i przytuliłem. Lisa położyła mi dłoń na głowie i zaczęła się bawić moimi włosami.

— Tato!

— Tak, kochanie?

— Ty palisz!

Odruchowo chciałem zgasić papierosa na ziemi, ale potwierdziłoby to jedynie fakt, że poczułem się przyłapany na gorącym uczynku.

— Przecież ty w ogóle nie palisz? — zapytała Lisa.

— Nie — odpowiedziałem.

— To dlaczego to teraz robisz?

W ciemnościach zobaczyłem, jak żarząca się końcówka papierosa Caroline spada na ziemię i gaśnie.

— To tylko jeden raz. W wyjątkowej...

— Ale nie wolno ci palić! To bardzo niezdrowe. Od palenia się umiera. Ja nie chcę, żebyś palił. Nie chcę, żebyś umarł.

— Nie umrę, kochanie, zobacz, już go gaszę.

Wdeptałem papieros mocno w ziemię.

— Wy nigdy nie palicie. Mama też nie. Dlaczego ty palisz?

Nabrałem powietrza głęboko w płuca. Poczułem, że pieką mnie oczy, nie było to jednak spowodowane przez dym.

— Tata też nie pali — powiedziała Caroline. — Po prostu chciał sobie przypomnieć, dlaczego palenie jest takie wstrętne.

Przez chwilę panowała cisza. Przycisnąłem córkę jeszcze mocniej i pogładziłem ręką po plecach.

— Pójdziemy jutro na basen? — zapytała Lisa.

Nie odezwałem się. W ciemności liczyłem sekundy: raz, dwa, trzy... Usłyszałam, jak Caroline

wzdycha głęboko.

— Tak, skarbeńku — zdecydowała. — Jutro znowu pójdziemy na basen.

ⓐ



## ROZDZIAŁ 19

Tak rozpoczął się nasz pobyt w letnim domu Meierów, a właściwie przy, czy też obok ich letniego domu. Ziemia w ogrodzie nie okazała się na tyle twarda, by nie można w nią było powbijać śledzi. Kiedy rozwinąłem podłogę namiotu i zacząłem składać pałaki, popatrzyłem pytająco na Caroline.

— Nie, mój drogi, tym razem sam się tym zajmij — powiedziała, po czym poszła do basenu.

Mieliśmy cienkie materace, które same się nadmuchiwały. Podłozę nie było aż tak twarde, jak myśleliśmy, ale jednak dość twarde. Poprzez materace czuło się każdą nierówność, każdy kamyczek, który zapomniałem usunąć podczas rozbijania namiotu. Poza tym namiot stał tuż przy stole do ping-ponga. Zasypiałem i budziłem się przy dźwięku skaczących piłeczek. Rodzice Aleksa i Thomasa nie wyznaczyli im konkretnej godziny, o której mieli iść spać. Bracia więc albo grali w ping-ponga, albo do późnych godzin nocnych skakali z trampoliny do basenu, co oczywiście słyszeliśmy.

Caroline się nie odzywała. Nie mówiła: „I co, jesteś zadowolony? Sam tego chciałeś”. Ona tylko na mnie patrzyła i się uśmiechała.

Towarzyszyliśmy Meierom w wyprawach na okoliczne targi, podczas których Ralph głośno negocjował ceny ryb, mięsa i owoców.

— Oni wszyscy mnie znają. — Wiedzą, że nie jestem przeciętnym turystą, że zdaję sobie sprawę z tego, ile kosztuje kilogram krewetek.

Chodziliśmy do restauracji, w których demonstracyjnie odsuwał od siebie kartę dań.

— Nie należy tutaj jeść potraw z menu. Trzeba pytać o to, co jest specjalnością dnia.

Po czym pytał. Klepał kelnerów po plecach i podszczypywał przyjacielsko w brzuch.

— Nigdzie indziej tego nie zjecie — przekonywał nas.

Stawiano przed nami półmiski z owocami morza, wyłącznie z owocami morza, w każdej formie i rozmiarze. Owoce morza, o jakich istnieniu nie miałem pojęcia. Owoce morza, w wypadku których nie wiadomo było, z której strony zaczynać konsumpcję. Ja chętnie jem mięso, lecz Ralph nie dał mi szansy, by przestudiować kartę. Raz, może dwa, udało mi się zwrócić uwagę kelnera i wskazać na potrawę, którą zobaczyłem na sąsiednim stoliku. Potrawę mięsną, oblaną ciemnobrązowym sosem, spod którego wystawały kości.

— Coś ty zamówił! — wykrzykiwał Ralph i potrząsał głową. — Tutaj trzeba jeść ryby. Jutro kupimy mięso na grilla. Znamy tutaj chłopca, który sprzedaje świeżą jagnięcinę i wieprzowinę. Mięso w tej restauracji pochodzi z supermarketu. To jest przecież restauracja rybna. No to smacznego!

W dniach, kiedy nie wylegiwaliśmy się przy basenie, szliśmy nad morze, a mówiąc dokładniej, jeździliśmy na różne plaże. Zwykła plaża, na której się spotkaliśmy, Ralphowi nie wystarczała.

— Wszyscy na nią chodzą — mówił, nie wyjaśniając, co w tym złego.

Plaże, na które zabierał nas Ralph, były przede wszystkim trudno dostępne. Od miejsc, w których zostawialiśmy samochód, czekała nas przeważnie przynajmniej godzinna wspinaczka po prawie niemożliwych do przejścia, zarośniętych ostami i kolczastymi krzakami skalnych ścieżkach, na których kaleczyliśmy sobie do krwi gołe nogi. Owady o odwłokach w czerwono-żółte paski bzycały w drżącym od gorąca powietrzu, tnąc nas po łydkach i karkach.

— Tutaj nikt nie przychodzi! — wykrzykiwał Ralph. — Zaraz zobaczycie. Jest jak w raju!

Szliśmy zawsze obładowani. Ralph i Judith zabierali ze sobą wszystko: leżaki, parasole, lodówkę z puszkami zimnego piwa i białym winem, koszyk na piknik pełen bagietek, pomidorów, oliwy z oliwek, wędlin, serów, tuńczyka w puszcze, sardynek oraz, zawsze i bez wyjątku, przeróżnych rodzajów kalmarów.

Po dotarciu na plażę Ralph bez żadnych ceregieli rozbierał się do naga i wskakiwał pomiędzy skałami do wody.

— Cholera, ależ to przyjemne! — parskął. — Alex, rzuć mi okulary do nurkowania! Tu są chyba kraby i jeżowce. Au, kurczę! Judith, moje klapki są chyba w niebieskiej torbie, możesz sprawdzić? Marc, na co jeszcze czekasz?

Rzeczywiście, na co jeszcze czekałem? Już wcześniej wyjaśniłem, jaki jest mój stosunek do nagich ciał. Obnażone ciała widuję na co dzień. Nagie ciało w gabinecie jest jednak czymś innym niż golizna na świeżym powietrzu. Patrzyłem na Ralpa, po tym jak wyszedł z wody i wsunął stopy do kłapek, które Judith wyjęła z niebieskiej torby. Spoglądałem na krople skapujące z jego ciała. Potrząsnął głową jak mokry pies, i z jego włosów prysnęły kolejne krople. Głośno wydmuchał nos między palcami, które następnie wytarł w udo. Dawno temu na ląd weszły pierwsze zwierzęta, większość z nich poszła w głąb lądu. Zaledwie niecałe dwieście lat temu ludzie, początkowo w skromnej liczbie, powrócili nad brzeg morza. Przyglądałem się owłosionemu przyrodzeniu Ralpa, z którego spływało tyle wody, że trudno było stwierdzić, czy to woda morska, czy też mocz, którego bezwstydnie nie powstrzymywał.

— Marc, chłopie, chodź do wody. Tutaj widać samo dno.

Założył ręce na kark i rozglądał się z zadowoleniem po „jego” plaży, o której istnieniu tylko on wiedział. Jego wielkie cielsko na kilka sekund przesłoniło słońce. Następnie odwrócił się i poszedł, stawiając duże kroki, przy których klapki głośno obijały się o jego pięty, z powrotem do morza.

Nie jestem pruderyjny, to nie o to chodzi. Nie, powinienem to inaczej sformułować: właściwie jestem pruderyjny i nie wstydę się taki być, kiedy oznacza to, że nie wystawiam bez powodu na publiczny pokaz kutasa i innych zwisających części ciała. Krótko mówiąc, uważam, że z obnażonym ciałem należy się obchodzić z pewną ostrożnością. Plaże i kempingi dla naturystów oraz inne miejsca, w których się gromadzą, omijam jak najszerszym łukiem. Każdy, kto widział nagich ludzi grających na plaży w siatkówkę, wie, iż to nie jest, delikatnie mówiąc, seksowny widok. Również w masowych grobach ludzie leżą na sobie przeważnie nady. Chodzi o to, by zachować minimum ludzkiej godności. Nudyści

nie zwracają na to uwagi. Szermując twierdzeniem, że chodzenie bez ubrania jest bardziej naturalne, zmuszają cię do widoku niczym nieosłoniętych dyndających kutasów, mających się cycków, luźno zwisających warg sromowych i mokrych szpar pomiędzy pośladkami. I wskazują oskarżającym palcem na ciebie. Oznajmniają, że to ty jesteś ograniczony, twierdząc, iż lepiej byłoby, gdyby to wszystko pozostało zakryte.

Rozejrzałem się, by sprawdzić, co robią inni. Chłopcy wciągnęli na siebie kolorowe spodnie z nogawkami zakrywającymi kolana. Caroline zdjęła bluzkę i leżała w bikini na ręczniku, który rozłożyła na żwirze. Również moje dwie dziewczyny włożyły na siebie bikini. W wypadku Lisy góra od kostiumu nie była właściwie niezbędna, ale to zrozumiałe, że nie chciała być gorsza od starszej siostry.

Ostatnią osobą, na którą popatrzyłem, była Judith. Siedziała w kucki przy tej samej niebieskiej torbie, z której wyjęła klapki Ralpha. Wyjęła z niej tubkę z kremem do opalania i zaczęła smarować ręce. Dobrze widziałem: miała na sobie jedynie dół od kostiumu. Prędko rzuciłem wzrokiem, bałem się, że mnie przyłapie, jak patrzę na jej piersi, dlatego natychmiast odwróciłem spojrzenie i skoncentrowałem ponownie uwagę na morzu. Po Ralphie nie było śladu. Plaża leżała w zatoczce. W miejscu połączenia z morzem znajdował się skalisty półwysep, przez który przelewały się fale. Pomyślałem, iż byłby to szczególnie początek wakacji, gdyby Ralph już pierwszego dnia się utopił. Może niekoniecznie od razu utopił, ale kaszląc, parszając i łapiąc powietrze, musiał zostać wyciągnięty na kamienistą plażę. Tak, na sali był lekarz. Byłem pierwszą w kolejności osobą, która musiałaby zastosować sztuczne oddychanie. Musiałbym go położyć na plecach i wykonać masaż brzucha, by wypompować wodę, której się napił. Wyobraziłem sobie moje usta na ustach Ralpha. Poczuję z pewnością smak kalmarów. „To jest restauracja rybna”, pomyślałem i się roześmiałem.

— Marc, Marc!

Stał w najwyższym punkcie półwyspu. Okulary oraz fajkę do nurkowania podsunął do góry i machał do mnie.

Powziąłem decyzję. W tamtym momencie i miejscu zdałem sobie sprawę, że moja decyzja będzie miała daleko idące konsekwencje dla dalszego przebiegu naszych wakacji. Zdjąłem podkoszulek, spodnie i majtki. Stałem odwrócony plecami do plaży i jak najbliżej linii dzielącej morze od lądu, w miejscu, w którym fale przetaczały się po żwirze. W ten sposób każdy, kto chciał, mógł przez kilka sekund oglądać moje całkowicie nagie ciało od tyłu. Od jego najmniej gorszącej strony, taką miałem nadzieję. Złapałem kąpielówki, które zawiązałem w ręcznik, i pochyliłem się, by je włożyć. To były proste kąpielówki z nogawkami sięgającymi nieco nad kolana, w coś w rodzaju kwiatowego wzoru, lecz nie kolorowego, a jedynie w odcieniach czerni i bieli. Wciągnąłem je i związałem tasiemki, które miały zapobiec zsuwaniu się. To, że w pierwszym dniu wakacji spędzonym na plaży włożyłem kąpielówki, oznaczało, iż od tej chwili już zawsze je będę nosił, również nad basenem.

— Tutaj, Marc, tutaj. Zobacz!

Kiedy wdrapałem się na półwysep, Ralph podał mi fajkę i okulary do nurkowania.

— Tuż pod powierzchnią, chłopie. Przyczepiona do skały, ogromna ośmiornica!

Rękami pokazywał jej wymiary.

— Taaka! Będziemy mieć dziś wieczorem ucztę!

Stanley i Emmanuelle nigdy nie towarzyszyli nam w wyprawach do leżących na uboczu zatoczek i na kamieniste plaże. Pozostawali przeważnie w letnim domu, gdzie Stanley pracował nad scenariuszem do *Augusta* przy stoliku na tarasie, a Emmanuelle powoli przepływała długości basenu. Albo jeździli na wycieczki do okolicznych miejscowości, w których zwiedzali muzea, kościoły i klasztory. Stanley miał cyfrowy aparat fotograficzny z dużym monitorem, na którym, po powrocie, pokazywali zdjęcia wykonane tego dnia — zdjęcia czubków wież, arkad oraz przyklasztornych ogrodów. Udawałem, że mnie to interesuje, lecz przychodziło mi to z trudem. Na wielu zdjęciach była Emmanuelle: Emmanuelle siedząca z podwiniętymi nogami na murku przy pomniku jeźdźca; Emmanuelle w zalotnej pozie obok oczka wodnego z kamienną fontanną w kształcie karpi; Emmanuelle przy stole nakrytym białym obrusem, z kubelka do chłodzenia wina wystawała szyjka butelki owinięta białą serwetą; Emmanuelle ssąca odnóże kraba albo homara. Emmanuelle widniała na zdecydowanej większości zdjęć. Stanley zatrzymywał kilkakrotnie jej ujęcie na dłużej. „Czyż nie jest piękna?”. Miał rację. Na zdjęciach coś się z nią działo. Stawała się kimś innym. Porzucała swoją fizyczność, którą charakteryzowała powolność i obojętność. Obserwowałem Stanleya, który — jak się wydawało — zapominał się, patrząc na zdjęcia, jakby wyrwał Emmanuelle z czasopisma — z takiego czasopisma, jakie nastoletni chłopcy chowają pod materac.

Były dni, które od rana do wieczora spędzaliśmy przy basenie. Około południa Ralph rozpalał grill, a Judith wyciągała z lodówki pierwsze butelki piwa i białego wina. Następnie spożywaliśmy „lekki posiłek” na tarasie. Przez część popołudnia wylegiwaliśmy się na leżakach wokół basenu. Chłopcy rozpięli linę prowadzącą z pierwszego piętra do trampoliny. Wydrapywali się przez okno i przemieszczali, trzymając się rękami, wzdłuż liny w dół nad basen, a następnie rzucali się do wody. Wśród oklasków naszych dziewczyn, którym zabroniliśmy korzystania z liny. Podczas grilla Ralph miał jeszcze na sobie krótkie spodenki, ale nie było wątpliwości, że nie może się doczekać końca lunchu, by je zdjąć. Woda wylewała się ponad krawędź basenu, kiedy wskakiwał do niego z głośnym okrzykiem. Ów pierwszy skok śledziłem zawsze ze specjalnym zainteresowaniem. Przyglądałem się jako lekarz. Dwadzieścia lat temu z naciskiem odradzano wchodzenie do wody tak krótko po posiłku. Obecnie stało się to nieaktualne. Powszechne zdanie na ten temat brzmi, iż właśnie nie powinno się z tym zbyt długo zwlekać. Proces trawienia rozpoczyna się dopiero po godzinie. Dopiero po godzinie pojawia się niebezpieczeństwo. Krew spływa do żołądka i jelit. Aktywność naszego mózgu zmniejsza się, proces myślowy spowalnia, aż w końcu całkowicie ustaje. Również inne narządy ciała nie są wystarczająco ukrwione. Brakuje im tlenu. Borykające się z niedotlenieniem nogi słabną. W ramionach zaczyna się mrowienie, po czym tracą czucie. Ten, kto podczas procesu trawienia znajduje się w morzu, ryzykuje, iż

stanie się igraszką fal, że zostanie porwany przez zdradzieckie prądy na otwarte morze. Zaraz po posiłku nic się jeszcze takiego nie dzieje, oprócz tego, że żołądek jest pełny. Pewne ryzyko istnieje. Potrawy ze stopionym serem mogą w jednej chwili stężeć. Ser stygnie zbyt szybko i tworzy zbitą bryłę zatykającą odźwiernik. Odpływ pokarmu do jelit zostaje zamknięty. Trawiona zawartość żołądka może zacząć się przesuwać, tak jak ropa w kadłubie zbiornikowca. Statek wpadł podczas sztormu w tarapaty, wpłynął na skały i rozłamał się na pół. Zawartość żołądka chlupocze o jego ściany i wypływa do góry przez przełyk. Kąpiący się zaczyna się dławić własnymi wymiocinami. Wymiociny spływają w dół przez tchawicę. Jeszcze jeden raz wyciąga rękę z wody i woła o pomoc, lecz na plaży nikt go nie widzi. Nikt go już nie może usłyszeć. Znika w falach, by dopiero kilka dni (a nieraz i tygodni) później morze wyrzuciło go na inną plażę, oddaloną o wiele kilometrów.

W ten sposób spoglądałem na Ralpa, kiedy wskakiwał do basenu. Za każdym razem liczyłem się z tym, że może już nie wypłynąć albo że uderzy pijanym łbem o dno i zostanie sparaliżowany od karku po stopy. On jednak zawsze wypływał, kaszłąc, parszcząc oraz charcząc i – podciągając się na drabince — wychodził z basenu. Następnie rozpościarał ręcznik na leżaku i kładł się, by wyschnąć na słońcu, w ogóle nieprzykryty. Leżał z rozsuniętymi nogami. Jego ciało nie mieściło się na leżaku, stopy wystawały poza jego krawędzie: opalał się całkowicie obnażony.

— To są dopiero wakacje! — stwierdził i odbiło mu się przy tym, po czym zamknął oczy.

Po minucie jego usta otwarły się do połowy i rozległo się głośnie chrapanie. Popatrzyłem na jego brzuch i nogi, na jego kutasa, który leżał na boku opierając się na udzie. Następnie spojrzałem na moje córki, Julię i Lisę. Wydawało się, że w żadnym razie ich to nie gorszy. Bawiły się w basenie. Grały w berka z Alekssem i Thomasem, albo Caroline wrzucała do wody monety, które musiały zebrać z dna basenu. Zastanawiałem się, czy to jednak nie ja jestem pruderyjny, uznając obnażony kutas Ralpa Meiera w bezpośredniej bliskości moich córek za coś obrzydliwego. Nie mogłem jednak zdecydować, a dopóki nie mogłem zdecydować, nie przestałem uznawać tego za obleśne. Przypominam sobie popołudnie, kiedy przyszedł fachowiec przysłany przez biuro nieruchomości. Były problemy z ciśnieniem: pod wieczór z głowicy prysznicowa woda ciekła jedynie kropla za kroplą. Ralph wstał z leżaka i — nie wkładając wcześniej spodni ani nie złapawszy ręcznika — podał rękę fachowcowi. Zobaczyłem, jak ten patrzy, a właściwie jak nie patrzy. Był co najmniej o dwie głowy niższy od Ralpa. Stał bliżej od dyndającego między nogami Ralpa kutasa niż osoba przeciętnego wzrostu, dzieliło go od niego niespełna trzydzieści centymetrów. Wystarczyło, by opuścił wzrok o kilka milimetrów, a widok członka przesłoniłby mu pole widzenia niemal całkowicie. Ralph wsunął stopy w klapki i poprowadził go na schody. Zniknęli w głębi domu, a gdy po niecałym kwadransie ponownie zeszli ze schodów, Ralph wciąż był nieokryty ręcznikiem.

— To rezerwuar na dachu — stwierdził. — Zatkał się. Poza tym prawie wcale nie padało.

Następnego ranka z prysznicowa w ogóle nie wypływała woda, podobnie jak z kranów i prysznicowa na zewnątrz. Ralph zaklął i złapał za komórkę.

— Płacimy, do cholery, fortunę za wynajem! — powiedział. — Oni muszą to naprawić. Gównu mnie

obchodzi, że nie padało.

W biurze wynajmującym dom nikt jednak nie podnosił słuchawki. Ralph ponownie wsunął stopy w klapki, tym razem dla odmiany miał już na sobie spodnie.

— Schodzę na dół — zdecydował. — Już ja im powiem, co myślę o ich rezerwuarze na wodę.

W tym momencie Caroline zaproponowała, że to ona razem ze mną pójdzie do biura. Ralph zaprotestował, lecz Caroline stwierdziła:

— Marc i ja zrobimy przy okazji zakupy. Dzisiaj wieczorem to my zajmiemy się kolacją.

Wypowiadając te słowa, spoglądała na mnie. Uśmiechała się wprawdzie, ale po jej spojrzeniu poznałem, że nie żartuje. Zamruczałem coś, po czym poszedłem do namiotu po kluczyki do samochodu.

①

## ROZDZIAŁ 20

Gdy zjeżdżaliśmy ze wzgórza, Caroline nie mówiła zbyt wiele. Po tym, jak dotarłem do głównej drogi, chciałem skręcić w lewo, w kierunku biura nieruchomości, które znajdowało się w dzielnicy leżącej na obrzeżach pobliskiego miasteczka, lecz Caroline położyła dłoń na moim przedramieniu.

— Nie, najpierw pojedziemy zjeść śniadanie — zdecydowała. — Na plaży.

Chwilę później siedzieliśmy na tym samym tarasie, na którym natknęliśmy się na Meierów. Caroline zamoczyła rogalik w dużym garnuszku kawy przykrytej warstwą spienionego mleka.

— Przez chwilę tylko we dwoje — powiedziała, wzdychając. — Naprawdę mi tego brakowało.

To prawda, nie mogłem nie przyznać jej racji. Nie mając na to wpływu, staliśmy się częścią dynamiki typowej dla grupy osób dzielących dom letniskowy. Dynamika ta porywała cię niespostrzeżenie, tak jak niewidzialny dla oka podwodny prąd morski. Z jej przyczyny rzadko, a właściwie nigdy, nie byłeś sam. Prywatność odsunięta została na dalszy plan. Raz czy dwa próbowałem pójść sam do wsi po chleb, ale zawsze znajdował się ktoś, kto chciał ze mną iść. Przeważnie był to Ralph.

— Idziesz do wsi, Marc? Świetnie! Dzisiaj jest targ. Przy okazji kupimy świeże ryby i owoce.

Po czym czekałem przez co najmniej pół godziny z kluczykami w ręku przy samochodzie.

— Chłopcy też z nami idą — oznajmiał Ralph, ukazując się w końcu na górze schodów. — Pomogą nam w dźwiganiu. Sekundka. Alex jeszcze bierze prysznic.

— Tak, mnie też tego brakowało — powiedziałem do Caroline. — Miałaś dobry pomysł.

Obserwowałem ojca, który razem z synkiem puszczał latawca. Był to latawiec na dwóch linkach, którym można robić koła i nurkować. Za każdym razem, kiedy ojciec oddawał linki synkowi, latawiec z głośnym uderzeniem opadał na piasek. O tej godzinie na morzu widać było zaledwie kilka żagli. Biały statek rejsowy przemieszczał się niemal niezauważalnie od lewej do prawej wzdłuż linii horyzontu.

— Jak długo jeszcze mamy to znosić? — zapytała Caroline.

— Co znosić?

— Marc, przecież wiesz, o co mi chodzi. Julii i Lisie to się podoba, ale jak długo my to musimy jeszcze znosić? Jak długo mamy jeszcze czekać, aby bez wyrzutów sumienia móc wyruszyć w dalszą drogę?

— To aż tak ci się tutaj nie podoba? — zacząłem, ale natychmiast spostrzegłem minę, którą zrobiła Caroline. — Masz rację, przepraszam. Jest okropnie. To znaczy: mnie też to nieraz trudno znieść. Tę liczbę osób, Ralpa... — Spojrzałem na nią pytająco. — Czy ciągle ci przeszkadza, jak on... Czy on wciąż tak na ciebie patrzy?

— Nie, dzięki naszej olśniewająco pięknej fotomodelce już nie.

Gdy wymawiała słowa „olśniewająco pięknej” i „fotomodelce”, usłyszałem w tonie jej głosu jakąś niezbyt czystą nutę. Kobiety myślą, że mężczyźni uważają je za tajemnicze, gdy w rzeczywistości są bardzo łatwe do rozszyfrowania.

— Czyli Ralph wymienił cię na nowszy model — zaśmiałem się. — A tobie jednak trochę szkoda, że robotnicy i słynni aktorzy teatralni nie gwizdzą już za kobietą w twoim wieku.

Za pomocą łyżeczki Caroline prysnęła mi w twarz kilkoma kroplami mlecznej piany.

— Marc, no coś ty! Naprawdę się cieszę, że mam trochę spokoju. Uwierz mi. A zauważyłeś, jak on patrzy na Emmanuelle?

Wzruszyłem ramionami.

— Wczoraj — ciągnęła — zanim przyszedł monter? Jakby wcale się nie wstydził. Stanley pracował przy stoliku, a Emmanuelle leżała na leżaku. Kiedy dolewał białego wina? Najpierw schylił się nad nią po kieliszek, niemal się o nią ocierając, po czym, napełniając kieliszek do pełna, nie przestawał na nią patrzeć. Na wszystko oprócz jej twarzy. Zaczął od stóp i przesuwając spojrzenie powoli w górę, a następnie zrobił to jeszcze raz, w odwrotnym kierunku. Wydawało się, jakby sam nie zdawał sobie z tego sprawy albo wcale go nie obchodziło, co inni o nim pomyślą. Czubkiem języka polizał wargi, jakby leżała przed nim na talerzu smaczna rybka. I wtedy... wtedy... Och, to było okropne!

Caroline zakryła twarz dłońmi i pochyliła głowę tuż nad blat stolika.

— I co? — zapytałem. — I co wtedy?

— W jednej ręce trzymał kieliszek, a w drugiej butelkę. Ale kiedy ponownie postawił kieliszek przy Emmanuelle, zwolniła mu się nagle jedna ręka. Najpierw pogładził się powoli po brzuchu, a potem zsunął rękę po prostu w dół, w kierunku swojego kutasa. Marc, on się za niego złapał i ścisnął go lekko. Wszystko to bardzo *casual*<sup>1</sup>, jak gdyby to było najnormalniejsze w świecie. Gdyby ktoś go przyłapał, udawałby, że go coś swędzi. No, nieźle go zaswędziało! Nie upłynęła minuta, jak odstawił butelkę na ziemię i wskoczył do basenu. Można było niemal usłyszeć, jak woda syczy!

Roześmiałem się. Caroline też, lecz natychmiast spoważniała.

— To jest bardzo zabawne — powiedziała. — Ale jednocześnie bardzo nieprzyjemne, obleśne.

— Ach, Emmanuelle trochę o to chodzi. Myślę, że jej to nie przeszkadza. A jak ona owija sobie Stanleya wokół palca! To po prostu śliczna dziewczyna, nie zapominajmy o tym.

Caroline zmrużyła oczy.

— Ona ci się podoba, Marc? Uważasz, że to ładna dziewczyna? A może, tak samo jak Ralph, po kryjomu się jej przypatrujesz?

— Tak, uważam, że to ładna dziewczyna. Każdy mężczyzna tak myśli. I owszem, czasem na nią patrzę. Jestem w końcu facetem, Caroline. Byłoby raczej podejrzane, gdybym tego nie robił.

— No dobra, dobra. Ale nie to mam na myśli, mówiąc, że sposób, w jaki Ralph na nią patrzy, wydaje mi się obrzydliwy. Sam powiedziałaś „ładna dziewczyna”. Emmanuelle to jeszcze dziewczyna. Nie interesuje mnie to, co łączy ją ze Stanleyem, to ich sprawa. Ale w pobliżu basenu przebywa więcej



dziewcząt.

Wpatrywałem się w Caroline. Ja też uznałbym to za obrzydliwe: bliskość kutasa Ralpa, podczas gdy Julia i Lisa bawią się w basenie, ale do tej pory nie spoglądałem na to z tej perspektywy.

— Staralam się zwracać na to uwagę — kontynuowała Caroline — ale muszę przyznać, że nie udało mi się go na niczym przyłapać. A jednak... On nie jest frajerem. Być może potrafi się opanować w naszej obecności. Nie wiem, jak się wobec nich zachowuje, kiedy jest z nimi sam na sam.

Nic nie odpowiedziałem. Zmrużyłem oczy z powodu ostrego światła odbijającego się od piasku. Przed oczami zobaczyłem czarne plamy. Czarne plamy przesuwające się od lewej do prawej przez moje pole widzenia.

— Nasze córki to jeszcze dzieci. Przynajmniej tak chcemy je jeszcze postrzegać. Ale spójrz na Julię. O ile różni się wiekiem od Emmanuelle? O dwa lata, może cztery? Kilkaset kilometrów dalej na południe można byłoby już ją wydać za mąż.

Nagle coś sobie przypomniałem. Kilka dni temu Ralph grał w ping-ponga z Alekssem, Thomasem, Julią i Lisą. To nie był prawdziwy mecz. Trzymali w ręku rakiety i biegali wokół stołu. Trzeba było odbić piłeczkę na drugą stronę, po czym przychodziła kolej na następną osobę. Odpadał ten, kto spudłował. Zapamiętałem przede wszystkim Ralpa. Choć dla odmiany miał na sobie krótkie spodenki, to był to jednak dziwny widok: jego wielkie cielsko biegające wokół stołu wśród o tyle mniejszych, a przede wszystkim szczuplejszych sylwetek. Komiczny widok, jeśli się temu dobrze przyjrzeć. Był na bosaka. Na ziemi była niewielka kałuża wody. Pośliznął się na niej i całym ciężarem wylądował na twardych płytkach. Właśnie wstałem z mojego leżaka, by z puszką piwa w ręku podejść do stołu do tenisa. Poczułem, jak zadrżała ziemia, gdy Ralph uderzył o kafelki. Jakby ulicą przejechała ciężarówka.

— Kurwa mać! Aua...! Cholera! Ja pierdołę! Au! Au! Kurwa mać!

Siedział w spodenkach w kałuży wody i rozcierał kolano. Widać było, że je sobie paskudnie obtarł. Przez ranę, w miejscu, w którym skóra otarła się o szorstką powierzchnię płytek, biegły krwawe linie.

— Kurwa, kurwa, kurwa! — zawołał.

Dzieci natychmiast przestały biegać wkoło stołu. Stały w pewnej odległości od Ralpa i patrzyły na jego wielkie cielsko leżące na ziemi. Z pewnym respektem, ale również ze zdziwieniem, z jakim patrzy się na wieloryba, który zszedł z kursu i którego morze wyrzuciło na plażę. Ale po tym, jak po raz trzeci wykrzyknął „kurwa”, Alex, jak mi się wydaje, pierwszy zaczął się śmiać, a po nim Thomas wydał okrzyk i cienko zachichotał. Na ten sygnał również Julia i Lisa wybuchły śmiechem. Rzuciły jeszcze krótkie spojrzenie na Ralpa, by w następnej chwili z ulgą oddać się napadowi śmiechu. Napadowi zabójczego śmiechu. Zanosiły się nim aż do łez, jak tylko dziewczęta to potrafią. Śmiały się do rozpuku i wydawało się, że nigdy nie przestaną. To był zabójczy śmiech, zabójczy dla nas, chłopaków. Zakrywają dłońmi twarz i parszczą nim, często za twoimi plecami, rzadko prosto w twarz, tak jak w tamtym momencie.

Wyśmiewały nie tylko Ralpa, ale wszystkich mężczyzn. Wszystek męski rodzaj. Mężczyzna jest z reguły duży i silny. Silniejszy od kobiety. Lecz czasem inna siła, potężniejsza od niego, doprowadza go

do upadku. Siła przyciągania.

— O, zaraz się zsikam ze śmiechu! — ryczała Lisa, a po jej twarzy spływały łzy.

Popatrzyłem na Ralpha i jego wielkie, niezdarne ciało na kafelkach, na otarte kolano. Była to — nie wiem jak to inaczej określić — dziecięca rana, typowa dla chłopca, który spadł ze swego trzykołowego rowerka. Obtarte kolano, które pokazuje się mamie, z jednej strony z dumą, że tak mocno krwawi, a z drugiej strony z obawą, że mama będzie chciała wysmarować je jodyną. Jeśli się dobrze przysłuchać, to właśnie pobrzmiwało w śmiechu Julii i Lisy — śmiech wszystkich matek, rozbawionych wieczną niezdarnością chłopców. Ralph, z twarzą wykrzywioną bólem, ponownie obejrzał ranę na kolanie i potrząsnął głową. Następnie zrobił to, co w takiej sytuacji jedynie pozostaje do zrobienia: również się roześmiał. Śmiał się wraz ze swoimi synami. Z moimi córkami. Śmiał się z siebie samego. W każdym razie wydawało się, że śmieje się z siebie, że nie jest pozbawiony szczypty autoironii. W rzeczywistości był to oczywiście śmiech, który miał uratować mu twarz i ograniczyć poniesione straty. Dorosły mężczyzna, który upada z hukiem, jest śmieszny. Mężczyzna, który potrafi się z tego śmiać, już nieco mniej.

— Cholera jasna! — powiedział, śmiejąc się i jednocześnie podnosząc. — Łobuzy! Tacy jesteście odważni, żeby wyśmiewać się ze starego chłopca?!

I wtedy coś się zdarzyło. Był to szczegół, nic więcej. Szczegół, na który początkowo nie zwraca się uwagi, a który dopiero później zyskuje na znaczeniu. Z mocą wsteczną.

Ralph zaczął się podnosić, opierając się na nieuszkodzonym kolanie. Udawał, że wciąż się śmieje, lecz nie był to już szczery śmiech, jeśli taki w ogóle wcześniej był.

— A ty musisz uważać w szczególności! — mówiąc to, uniósł się jeszcze wyżej i wskazał palcem na moją starszą córkę. Na Julię.

Julia wydała z siebie pisk.

— Nie! — zawołała. — Nie!

I złapała się obiema rękoma za czerwone majtki. Za majtki od bikini.

Widziałem to bardzo wyraźnie. Gest Ralpha można było zrozumieć tylko w jeden sposób. Ralph Meier groził czymś mojej córce. Groził, że zrobi coś, co już wcześniej zrobił. Dla żartu. Z przymrużeniem oka. Ale jednak.

Był to, jak już wspomniałem, zaledwie szczegół. Zobaczyłeś coś, co natychmiast spychasz na dalszy plan. Albo, mówiąc precyzyjniej, coś w tobie spycha ten drobiazg na dalszy plan. Nie chcesz myśleć w ten sposób. Nie chcesz doszukiwać się we wszystkim podtekstów. Od lat masz tego samego sąsiada. Miłego i sympatycznego, a przede wszystkim normalnego sąsiada. To właśnie mówisz policjantowi, który przychodzi, by zebrać o nim informacje.

— Normalny — mówisz — sympatyczny. Nie, nie zauważyłem nic podejrzanego.

Tymczasem w domu sąsiada znaleziono ludzkie szczątki, należące prawdopodobnie do czternastu kobiet, które zgłoszono jako zaginione. W jego lodówce. W ogrodzie. I nagle coś sobie przypominasz.

Szczegół bez znaczenia. Czasem widziałeś, jak sąsiad szedł z workami na śmieci do samochodu i kładł je do bagażnika. Nie po zachodzie słońca lub o jakiejś innej podejrzanej porze. Nie, zwyczajnie w biały dzień. Wkładając worki do samochodu, nawet się nie rozglądał. Robił to jawnie, na oczach wszystkich, po czym podnosił rękę na powitanie. Albo zagajał z tobą rozmowę. O pogodzie lub o nowych sąsiadach, którzy wprowadzili się naprzeciwno. Normalny człowiek.

— Chyba jednak coś sobie pan nagle przypomniał — zauważa policjant.

I wtedy opowiadasz o tych workach na śmieci.

Reakcja Julii nie mogła oznaczać nic innego jak to, że Ralph już wcześniej próbował ściągnąć jej dół od bikini. Podczas zabawy, w basenie... Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, lecz teraz, tutaj na plaży z Caroline, zacząłem zastanawiać się, czy nie za szybko to zbagatelizowałem.

— Wydaje mi się, że nad czymś się zastanawiasz — powiedziała Caroline.

Popatrzyłem mojej żonie prosto w twarz.

— Tak, nad tym, co przed chwilą powiedziałeś o Emmanuelle i Ralphie. I o Julii.

Zastanawiałem się jeszcze nad czymś innym. Jak zareagowałaby Emmanuelle, gdyby Ralph spróbował jej ściągnąć majtki od bikini? Albo Stanley? Ponownie zamrugałem oczami, lecz czarne plany nie zniknęły.

— Ty powinieneś wiedzieć — stwierdziła Caroline. — Jesteś mężczyzną. Jaki jest twój punkt widzenia, Marc? Czy patrzysz nieraz na swoją córkę jak na kobietę? Jak na kobietę, którą będzie w przyszłości?

Spojrzałem na żonę. Zastanawiałem się nad pytaniem, które mi zadała. Nie wydało mi się dziwne. Nic a nic. Według mnie było to jedyne słuszne pytanie, jakie można było postawić.

— Tak — odpowiedziałem. — Nie tylko na Julię, również na Lisę.

Człowiek ma dwie córki. Od maleńkiego siedzą mu na kolanach. Obejmują go i całują na dobranoc. W niedzielne poranki przychodzą do niego do łóżka i przytulają się do niego pod kołdrą. To są jego dziewczynki. Twoje dziewczynki. Istniejesz po to, by je chronić. Widzisz, że stają się kobietami, że już nimi są. Ale nigdy nie patrzysz na nie tak, jak mężczyzna na kobiety. Nigdy. Jestem lekarzem. Wiem, co powinno spotkać dopuszczających się kazirodztwa. Remedium jest jedno, choć w państwie prawa niedopuszczalne. Jedno i żadne inne.

— Miałam na myśli coś innego — powiedziała Caroline. — Czy potrafisz wyobrazić sobie, jak inni mężczyźni niż ty — ich ojciec — patrzą na nasze dziewczynki? Albo, dla ułatwienia, skoncentrujmy się na Julii. Jak patrzy dorosły mężczyzna na Julię?

— Przecież wiesz, sama to przed chwilą powiedziałaś. Istnieją kultury, w których mogłaby być już mężatką. Spójrz na Aleksa. Oni są w sobie zakochani po uszy. Czy wiemy, co będą ze sobą niedługo robić? Co już ze sobą robią? Może o tym powinniśmy porozmawiać? Alex ma piętnaście lat. Mam nadzieję, że oboje zdają sobie sprawę z tego, co może się wydarzyć.

— Skarbie, ja nie mówię o piętnastoletnim chłopcu. O Aleksie i Julii. Te ich wzajemne podchody są wzruszające. Wczoraj trzymali się za ręce. Pod stołem podczas kolacji. Alex jest według mnie trochę

powolny, ale to niebrzydki chłopak. Świetnie Julię rozumiem, na jej miejscu też byłabym zainteresowana.

— A jak się mówi na to, gdy starsze kobiety patrzą z podziwem na ładnych, piętnastoletnich chłopców? Pedofilia? A może istnieje na to ładniejsze określenie? — odpowiedziałem z rozbawieniem, lecz Caroline się nie roześmiała.

— O pedofilii jest mowa, kiedy już się coś robi — zripostowała. — Nie jestem ślepa. Zauważam przystojnych, piętnastoletnich chłopców. Lubię się na nich patrzeć, ale na tym koniec. Nie stawiam kolejnego kroku. I oczywiście w ten sposób mężczyźni patrzą na dziewczęta. Większość z nich. Może jeszcze trochę fantazjują, ale nic nie robią, prawda? To znaczy: normalni mężczyźni nic nie robią. O to cię chciałam zapytać jako mężczyznę. Czy sądzisz — jako mężczyzna — że Ralph jest normalny?

— Jest na tyle normalny, na ile normalni są ci wszyscy faceci, którzy wyjeżdżają na wakacje do krajów, w których cała gałąź turystyki oparta jest na seksie z nieletnimi dziewczynkami. Mówię o... ilu?... dziesiątkach, może setkach tysięcy mężczyzn.

— I według ciebie Ralph jest jednym z nich? Jeśli tak uważasz, to jeszcze dzisiaj chcę stamtąd wyjechać. Nie mam zamiaru wystawiać mojej córki lub córek — nie wiem, jak bardzo on naprawdę jest zboczony — na obłe spojrzenia tego seksturysty. Brr...! Na samą myśl robi mi się niedobrze!

Ponownie pomyślałem o rękach Julii przytrzymujących dół od bikini.

— Nie! — wołała. — Nie!

A następnie przypomniałem sobie drapieżny wzrok, którym Ralph rozbierał wówczas moją żonę w foyer teatru. Jak miał żuchwą, a jego zęby zgrzytały, jakby jej kosztował. Mężczyźni patrzą na kobiety, kobiety spoglądają na mężczyzn. Ralph jednak oglądał kobiety, tak jakby kartkował „Plaboya”. Patrząc, trzymał się za kutasa. W myślach lub w rzeczywistości. Albo ściągał majtki trzynastoletnim dziewczynkom. A może nie? Nie widziałem tego przecież na własne oczy. Wciąż było możliwe, że moja córka myślała, że on coś takiego robi. Może ściągali sobie majtki wcześniej we czwórce w basenie w ramach gry — niewinnej gry. Niewinnej w wypadku dzieci w wieku od dziewięciu do piętnastu lat, lecz już nie tak niewinnej w wypadku mężczyzn pod pięćdziesiątkę.

Może w mojej wyobraźni zbyt szybko oskarżyłem Ralpha, myślałem teraz. I jeszcze jedno: Caroline powiedziała, że „jeszcze dzisiaj” wyjedzie, jeśli Ralph stanowi niebezpieczeństwo dla naszych córek. Może było to zbyt pochopne.

— A co właściwie myślisz o Stanleyu?

— Słucham?

— O Stanleyu i Emmanuelle? Jak powinniśmy to ocenić? Ile ona może mieć lat? Dziewiętnaście? Osiemnaście? Siedemnaście? Teoretycznie rzecz biorąc, jest może pełnoletnia, ale czy to normalne? Czy to nie jest chore?

— To przecież najskrytsza fantazja każdego mężczyzny po czterdziestce. Związek z nastolatką? Chociaż... ty chyba o tym nie marzysz?

— To nie o to chodzi. Stanley może sobie na to pozwolić. Jest sławny, nastolatki ustawiają się do

niego w kolejce. Wystarczy, że wskaże na którąś i ją stamtąd wyciągnie. Może dostają coś w zamian. Niewielką rolę w filmie, a może nic. To zbędne, nastolatce często wystarczy to, że może przejść po czerwonym dywanie w cieniu jakiejś sławy.

— Czy to tylko dlatego, że prosty lekarz pierwszego kontaktu nie może zdobyć nastolatki? Nigdy nie wydawało mi się, żebyś miał nawet na to ochotę.

— Masz rację, nie mam. Myślę, że prędko poczułbym się nieszczęśliwy. Chętnie wybrałbym się z nią na plac zabaw, ale do dyskoteki już nie.

Caroline się roześmiała.

— Wolisz kobiety w swoim wieku, prawda, kochanie? — zapytała.

— Tak — potwierdziłem, ale nie patrzyłem przy tym na nią, tylko zwróciłem wzrok w kierunku plaży i morza. — Tak jest uczciwiej.

---

1. Z ang.: „swobodnie”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 21

W biurze nieruchomości dowiedzieliśmy się po pół godzinie czekania, że monter postara się przyjechać po południu i rozwiązać problem z wodą. Dziewczyna za ladą popatrzyła do kalendarza.

— Dzisiaj jest piątek — stwierdziła. — Postaramy się. W weekend biuro jest niestety zamknięte, wtedy przyślemy kogoś w poniedziałek.

Dziewczyna była wyjątkowo brzydka. Miała ponad trzydzieści kilo nadwagi, do tego mnóstwo pryszczycy i innych nierówności na opuchniętej twarzy. Może nie były to nierówności, a raczej niezagospodarowane fragmenty skóry, na których nic się nie działo, które nie poruszały się, gdy mówiła, lecz pozostawały puste, gdy reszta twarzy nabierała jakiegoś wyrazu. Pomyślałem, że może miała kiedyś wypadek, że jako dziecko uderzyła mocno twarzą w przednią szybę samochodu.

Przechyliłem się mocniej przez ladę. Zanim otworzyłem usta, rzuciłem szybkie spojrzenie w stronę Caroline, która przy drzwiach wejściowych do biura oglądała zdjęcia wakacyjnych domów do wynajęcia lub na sprzedaż, w taki sposób, aby nie umknęło to uwadze dziewczyny.

— Umówiłaś się już z kimś na ten weekend? — zapytałem. — Na dzisiaj albo jutro wieczorem?

Dziewczyna zamrugała oczami. Oczy miała ładne. Miłe. Zaczęła się czerwienić, w każdym razie żywotne części jej twarzy nabrały koloru, w martwych czerwone krwinki natrafiały zapewne na zbyt duży opór, by móc przebić się do wierzchniej warstwy skóry.

— Proszę pana, ja mam chłopaka — odpowiedziała cicho.

Puściłem do niej oko.

— Szczęściarz z niego. Mam nadzieję, że twój chłopak zdaje sobie z tego sprawę, ile ma szczęścia.

Spuściła wzrok.

— On... on ma mnóstwo pracy. Ale poproszę go, żeby jeszcze dzisiaj po południu pojechał do państwa sprawdzić, co z tą wodą.

Zatrzymałem na niej wzrok. Monter! Ten mały mężczyzna, który wczoraj wdrapał się z gołym Ralphem na dach. Widocznie znał się też na innych rzeczach — pomyślałem w duchu — i odtykał więcej niż tylko zapchane rezerwuary z wodą. Próbowałem nasunąć na siebie obraz ich obojga, lecz w wyobraźni udało mi się zobaczyć jedynie montera i dziewczynę siedzących na kanapie przed telewizorem i trzymających się za ręce. On wolną ręką podnosił do ust półtoralitrową butelkę coli; jej wolna ręka zanurzona była aż po łokieć w opakowaniu z chipsami dla całej rodziny.

— Marc, chodź tutaj. Zobacz!

Ponownie puściłem oko do dziewczyny, po czym dołączyłem do żony.

— Przyjrzyj się, czy to nie nasz dom?

Popatrzyłem w stronę, w którą wskazywała. Na tekturce przyklejone były trzy zdjęcia: domu, kawałka ogrodu oraz basenu.

NA SPRZEDAŻ:  
DOM LETNI Z BASENEM

Pod spodem znajdowała się krótka informacja o liczbie pokoi oraz metrażu zarówno części mieszkalnej, jak i ogrodu. Na samym dole widniała cena, numer telefonu oraz adres mejlowy.

— O, to zdecydowanie taniej, niż się spodziewałam — doszła do wniosku Caroline.

— No wiesz, to jednak w centrum dzielnicy i cztery kilometry od morza. Jeśli miałbym coś tutaj kupić, to bezpośrednio przy plaży.

Caroline przesunęła palcem wzdłuż ogłoszeń.

— Ten tutaj jest przy plaży.

Również ten dom chciano sprzedać jako „dom letni z basenem”. Stał wysoko na wzgórzach nad jedną z zatok. Z basenu roztaczał się widok na leżące w dole morze. Cena była pięciokrotnie wyższa od ceny domu, w którym spędzaliśmy wakacje.

— No właśnie — powiedziałem.

Caroline złapała mnie za rękę, jej twarz była poważna.

— I co robimy? — zapytała.

— Kupujemy ten dom, a potem się zobaczy.

— Ale teraz. Co robimy teraz? Kiedy stąd wyjeżdżamy? Marc, ja naprawdę chcę stąd wyjechać.

Namyślałem się, a właściwie udawałem, że się zastanawiam. Już wcześniej zdecydowałem, co odpowiem Caroline, kiedy mnie o to zapyta.

— Dzisiaj jest piątek — stwierdziłem. — Jutro i w niedzielę jest większy ruch na drogach i prawdopodobnie dużo trudniej znaleźć na kempingu czy gdzie indziej jakieś miejsce. Proponuję poniedziałek.

— Ale na pewno, dobrze?

— W poniedziałek wyjeżdżamy — odpowiedziałem.

## ROZDZIAŁ 22

W sobotę rano Lisa znalazła ptaszka. Leżał obok naszego namiotu. Spadł prawdopodobnie z drzewa oliwnego, które tam rośło.

— Tato! — Lisa ciągnęła za mój śpiwór. — Tato, chodź, zobacz! Spadł ptaszek.

Ptaszek leżał na boku, drżał i bezskutecznie próbował wstać.

— Myślę, że wypadł z gniazda — powiedziałem, trąc oczy ze snu. Wpatrywałem się w gałęzie, ale nigdzie nie widziałem gniazda.

— Biedactwo — przyznała Lisa. — Ale przecież jesteś lekarzem, tato. Ty go wyleczysz.

Delikatnie złapałem i podniosłem ptaszka. Próbował udziobać mnie w rękę, ale brakowało mu siły. Na pierwszy rzut oka nie miał złamanych łapek ani żadnych zewnętrznych obrażeń. W głębi serca tego żałowałem. Ptaszek ze złamaną łapką mógłby stać się wakacyjnym projektem. Już wcześniej zajmowałem się wielokrotnie takimi projektami, na przykład — dwa lata temu na pewnej greckiej wyspie — kotem, który przyciął sobie czymś ogon. Podczas odkażania krwawiącego kikuta kot tak głęboko ugryzł mnie w rękę, że musiałem zrobić sobie zastrzyk przeciwtężcowy, a potem wykonać całą ich bolesną serię przeciw wścieklicznie. Ale było warto. Wdzięczność kota nie znała granic. Po trzech dniach jadł surową jagnięcinę z naszych rąk. Po zdjęciu opatrunku musiał się jednak przyzwyczaić. Mimo że rana świetnie się zagoiła, miał trudności z utrzymaniem równowagi za pomocą ogona, z którego zostały mu zaledwie trzy centymetry. Wspiął się na migdałowiec, po czym nie mógł z niego zejść. Gdy sam wdrapałem się na drzewo, by go z niego zdjąć, uderzył mnie łapą w twarz, rozrywając przy tym moją lewą powiekę, a następnie i tak runął z wysokości pięciu metrów na betonowy taras. Ale nie opuszczał nas już na krok. Wszędzie za nami chodził. Po domu, po ogrodzie, ale także i po wsi, gdzie cierpliwie czekał na progu piekarni lub sklepu mięsnego, aż zrobimy zakupy. Towarzyszył nam też zawsze w półtorakilometrowej drodze na plażę.

Pożegnanie było trudne. Julia i Lisa tonęły we łzach. Nie, nie mogliśmy kota ze sobą zabrać. Bez wymaganych szczepień nie mógłby wsiąść do samolotu i musiałby miesiącami przebywać w kwarantannie. A poza tym, tłumaczyliśmy dziewczynkom wraz z Caroline, czy tutaj, na własnej wyspie, nie będzie szczęśliwszy? Tu, gdzie ma rodzinę i przyjaciół? Gdzie może polować na myszy i jaszczurki? Gdzie jest zawsze piękna pogoda?

— To gdzie ta jego rodzina? — płakała Julia. — Dlaczego nikt go nie odwiedził, żeby zobaczyć, co u niego słychać?

Kiedy myślę o tym ostatnim dniu wakacji, łzy jeszcze i teraz napływają mi do oczu. Kot myślał, że ma z nami wsiąść do samochodu i już się przygotował do skoku na tylne siedzenie. Szedł za samochodem,



kiedy zjeżdżaliśmy powoli, podskakując na nierównościach skalistej drogi, w stronę szosy. W końcu nie pozostało mi nic innego, jak wysiąść z auta i obrzucić kota kamieniami. Nasze córki nie chciały na to patrzeć i leżały, płacząc, na tylnym siedzeniu. Caroline przyciskała do oczu papierową chusteczkę. I ja też płakałem. Ryczałem jak dziecko, podnosząc ze ścieżki pierwszy kamień. Kot myślał przez chwilę, że to zabawa, ale rzuciłem zbyt celnie i trafiłem go w łeb. Parskając i z napuszczonym kikutem ogona, pokłusował z powrotem do domu.

— Przepraszam, Bert! — łkałem. — Lisa nazwała kota w drugim dniu wakacji Bert. Tak miał na imię egzaltowany nauczyciel u niej w szkole. — Wrócimy tu jeszcze kiedyś, żeby zobaczyć, co u ciebie słychać.

Teraz spoglądałem na ptaszka leżącego na mojej dłoni i żałowałem, że nic mu nie dolega. Był tylko maleńki. Zbyt młody i zbyt wąty, by móc się o siebie zatroszczyć.

— Idź cichutko do domu, nie budząc nikogo — powiedziałem do Lisy. — Poszukaj jakiegoś tekturowego pudełka, na przykład po butach. I waty albo myjki w łazience.

— Mają tutaj coś w rodzaju ogrodu zoologicznego — poinformowała Judith. — Zanim dojedzie się na plażę, trzeba skręcić w lewo, w drogę prowadzącą w górę. Raz tamtędy przejeżdżaliśmy. Jest tam mur, ogrodzenie i kilka flag. Na górze na ogrodzeniu znajduje się napis „Zoo”, a na murze wymalowane są zwierzęta.

Jedliśmy tymczasem śniadanie na tarasie. Ptaszek leżał w tekturowym pudełku po butelkach wina. Ścianki pudełka były właściwie za wysokie. Kiedy zaglądało się do środka, patrząc na ptaszka wtulonego w myjkę, mimowolnie myślało się o więziennym dziedzińcu.

— Jak sądzisz? — zapytałem Lisę. — On nie jest chory ani zraniony, tylko malutki. Zbyt malutki, by przeżyć bez pomocy. Może zawieziemy go do tego zoo?

Spojrzenie Lisy było poważne. Pudełko z ptaszkiem postawiła na krześle obok siebie. Zaglądała do niego co dwadzieścia sekund.

— Pije — mówiła wtedy, albo: — Znowu się trzęsie.

Spodziewałem się, nie, miałem nadzieję, że odrzuci propozycję oddania ptaszka do zoo, że zadeklaruje, iż sama się nim zajmie, aż ptaszek stanie na własnych nóżkach, a potem go wypuścimy. To inaczej niż w przypadku psa czy kota, który się do ciebie przywiąże. W wypadku ptaka można się jedynie spodziewać, że będzie chciał latać i że pewnego dnia odfrunie.

To byłaby piękna chwila — chwila, którą chętnie przeżyłbym razem z moją młodszą córką. Bierzesz ptaszka ostrożnie do ręki, ptaszek podfruwa w górę, trzepocząc skrzydełkami, początkowo nieśmiało, niezgrabnie, aż w końcu odnajduje równowagę na nisko wiszącej gałęzi. Chwilę na niej siedzi. Strzepuje piórka, rozgląda się dokoła. Patrzy na nas, swoich wybawicieli. Wyobrażamy sobie, że jest nam wdzięczny. Wtedy odwraca łebek lekko w bok, zwraca jedno oko do nieba i odlatuje.

Według planu mieliśmy wyjechać w poniedziałek. Miałem wątpliwości, czy ptaszek do poniedziałku

całkiem odzyska siły. Ale przecież — pomyślałem — moglibyśmy go wziąć ze sobą w pudełku na tylnym siedzeniu samochodu.

Tak wyglądał idealny scenariusz. Mój idealny scenariusz. Lisa jednak zapytała:

— A czy on się im w ogrodzie zoologicznym wystarczająco spodoba?

— Jak to: „wystarczająco spodoba”?

Lisa przygryzła wargę, po czym głęboko westchnęła.

— W zoo są przecież przede wszystkim tygrysy, słonie i tak dalej? A to przecież najzwyczajniejszy ptaszek. Może on ich wcale nie zainteresuje?

Wszyscy się roześmiali: Judith, Ralph, wszyscy — nawet Emmanuelle zza swoich okularów przeciwsłonecznych, choć nawet nie zapytała nikogo, z czego tak się wszyscy śmiejemy.

Pracownik ogrodu zoologicznego nosił krótkie spodenki w kolorze khaki i biały podkoszulek. Kiedy rzucił okiem do pudełka, uśmiechnął się z rozczuleniem.

— To bardzo ładnie, że go tutaj przywiozłaś — zapewnił Lisę. — Taki ptaszek często nie jest w stanie przeżyć jednego dnia bez mamy.

— Co on mówi? — zapytała Lisa.

Przetłumaczyłem, co powiedział pracownik zoo. Lisa popatrzyła poważnie.

— I co teraz z nim zrobią?

— Potrzymamy go tutaj przez kilka dni — odpowiedział pracownik ogrodu zoologicznego. — Aż nabierze sił. Czasami ptaszki tego gatunku nie chcą wracać na wolność, bo zbyt mocno przywiązują się do ludzi. Jeśli tak się zdarzy, będzie mógł tu zostać do końca życia.

Poszliśmy z nim do ptaszarni, tak by Lisa mogła zobaczyć, gdzie zostanie ulokowany. Nie widziałem po drodze zbyt wielu spektakularnych zwierząt. Jakieś jelenie, owce z dużym porożem, jedną bardzo grubą czarną świnie, kilka paw i bocianów. W nieproporcjonalnie małej do swoich rozmiarów klatce siedział wilk, ocierając się o kraty.

— Trzymają państwo również lamy? — zapytałem.

Pracownik zoo potrząsnął głową.

— Tu są, jak pan widzi, raczej zwykłe zwierzęta. Mamy jeszcze kilka kozic górskich i kozłów, lecz nic ponad to.

— A gdyby ktoś tutaj w okolicy miał lamę — powiedziałem — i gdyby w wyniku okoliczności nie mógł się nią i resztą zwierząt więcej zajmować, to wzięlibyście ją do siebie?

— Z otwartymi ramionami. Ale wszystkie zwierzęta traktujemy tak samo. Przyjmujemy tutaj wszelkie bezdomne zwierzęta, na krócej albo na zawsze. Czasem udaje nam się znaleźć dla nich nowego właściciela, lecz jesteśmy bardzo ostrożni. Najpierw zawsze sprawdzamy, czy ktoś rzeczywiście lubi zwierzęta.

— Miło to usłyszeć — odpowiedziałem. — Proszę podać mi swój numer telefonu, w razie czego będę o was pamiętał.

Po powrocie do letniego domu zastaliśmy przy basenie Aleksa, Julię i Thomasa.

— Pańska żona pojechała z moim ojcem, Stanleyem i Emmanuelle do miasta — odpowiedział Alex na moje pytanie o to, gdzie się podziła reszta. — Tylko moja mama i babcia zostały.

Spojrzałem do góry, na pierwsze piętro domu. Za oknem w kuchni zobaczyłem matkę Judith, siedzącą do mnie plecami. Lisa popędziła tymczasem do namiotu po rzeczy do kąpieli.

— Powiedzieli, kiedy wrócą? — zapytałem Aleksa.

— Nie, tego nie wiem. Ale dopiero co pojechali, najwyżej dziesięć minut temu.

Judith i jej matka siedziały przy niewielkim kuchennym stole. Judith malowała matce paznokcie nierzucającym się w oczy lakierem, w odcieniu różu, niemal przezrystym — w kolorze, który pasował do starszej kobiety.

— I co? — zapytała Judith. — Znaleźliście ten ogród zoologiczny?

Na kuchence stał dzbanek z kawą i garnuszek z resztką ubitego na pianę mleka. Spojrzałem na zegar wiszący nad kuchennymi drzwiami. Wpół do dwunastej. Już wypadało pić. Na kawę i tak nie miałem ochoty.

— Byli bardzo uprzejmi — stwierdziłem, wyciągając puszkę piwa z lodówki. — Dlatego Lisie łatwiej było tak szybko pożegnać się z ptaszkiem.

Przy stole stało jedno wolne krzesło, ale dosiadanie się do kobiet z piwem wydawało mi się w pewnym sensie nie na miejscu, dlatego nie usiadłem, lecz oparłem się o szafkę i otworzyłem puszkę. Już po dwóch łykach zakręciło mi się w głowie.

— To pan jest także nowym lekarzem mojej córki? — zapytała, nie patrząc na mnie, starsza kobieta.

— Nie, mam — odparła Judith — już ci przecież mówiłam. Pan jest jedynie nowym lekarzem Ralpa.

Teraz matka Judith odwróciła twarz w moją stronę.

— Ale jak wtedy pan dzwonił, to twierdził pan coś innego. Powiedział pan wówczas...

— Czy mogę? — zapytałem. Zrobiłem szybki krok do przodu i wziąłem paczkę papierosów i zapalniczkę ze stołu.

— Mamo, siedź spokojnie, bo wyjadę za brzegi! — ostrzegła Judith.

— Pan powiedział, że jest twoim lekarzem — stwierdziła matka Judith.

Zapaliłem papierosa i wyrzuciłem pustą puszkę do kosza. Otworzyłem następnie lodówkę i wyjąłem z niej kolejną. Judith popatrzyła na mnie pytająco. Wzruszyłem ramionami.

— Chyba dobrze pani zapamiętała — powiedziałem, nie spuszczać Judith z oka. — Myślę, że się wtedy pomyliłem i faktycznie powiedziałem, że jestem nowym lekarzem pani córki.

Jako lekarz wiedziałem, że prawienie starszym ludziom komplementów dotyczących ich bezbłędnie funkcjonującej pamięci zawsze działa.

— A widzisz? — powiedziała matka Judith, tak jak się tego spodziewałem. Judith puściła do mnie oko, a ja odpowiedziałem tym samym. — A widzisz, że nie mam alzheimera?

— Jesteś na to jeszcze za młoda, Vero — stwierdziłem.

Być może to piwo sprawiło, że zrobiłem się zuchwały. Nigdy wcześniej nie nazwałem matki Judith po imieniu. Wiedziałem — nie tylko dzięki praktyce lekarskiej, ale również wykraczającemu poza nią szerszemu doświadczeniu — że i to zawsze działa: zwracanie się do kobiet po imieniu jak najczęściej, a najlepiej w każdym zdaniu.

Matka Judith — Vera — zachichotała.

— Fajny facet — powiedziała do Judith, która skończyła malować jej paznokcie. Wstała i zaczęła machać rękoma. — Naprawdę fajny z niego facet. Widziałam, jak się zajmuje swoimi córkami.

Dopiero teraz na mnie spojrzała. Na jej policzkach niemalże pozbawionych zmarszczek ujrzałem rumieńce. Racjonalne życie, bez ekscesów. Życie na pełnoziarnistym chlebie i maślanec. Spędzane na długich wyprawach rowerowych w plener.

— Tak, tak — kontynuowała, patrząc na mnie. — Mam chyba oczy w głowie. Zauważyłam, jak ładnie się do nich odnosisz. Nie wszyscy ojcowie są tacy. I to, jak twoje córki okazują, jak bardzo cię kochają. One nie udają, są w tym szczerze.

Teraz z kolei ja się zaczerwieniłem. Po pierwsze nie przypominałem sobie, aby matka Judith kiedykolwiek wcześniej wypowiedziała naraz tyle zdań — a już na pewno nie do mnie. Po drugie odniosłem wrażenie, że w jej słowach usłyszałem pewną krytykę, jakiś lekko sarkastyczny wydźwięk, kiedy mówiła, że „nie wszyscy ojcowie są tacy”. Może tylko mi się wydawało, ale, według mnie, wypowiadając to zdanie, odwróciła się i popatrzyła na Judith.

Spojrzałem jej prosto w oczy, próbując ostrzec przed sobą samym. Może była rozczarowana wyborem córki. „Nie wszyscy ojcowie są tacy”. Uważała, że jestem „fajny”. Widocznie fajniejszy od Ralpha Meiera. Ale taki fajny to ja znowu nie byłem. W każdym razie nie w sensie, w jakim ona mnie widziała.

Z ogrodu doszedł nas śmiech. Ktoś zaklaskał, ktoś inny zagwizdał na palcach. Matka Judith odwróciła się w stronę okna i Judith również wyjrzała na zewnątrz.

— Och, zobacz! — powiedziała.

Dwa kroki i znalazłem się przy oknie. Mogłem wybrać, czy stanąć po lewej stronie stołu obok matki Judith, czy z prawej strony Judith, która wciąż siedziała.

Wybrałem miejsce obok matki.

Na dole, na trampolinie stały Julia i Lisa. Na jej krawędzi siedział Thomas z nogami w wodzie. Najpierw Julia przeszła do przodu, na sam koniec trampoliny. Tam zatrzymała się, odbiła stopami, wyrzucając w górę ręce, jak balerina. Następnie opuściła ręce wzdłuż ciała, obróciła dwukrotnie wokół swej osi i powróciła na początek trampoliny. Alex bił brawo, a Thomas zagwizdał trzykrotnie na palcach.

Potem przyszła kolej na Lisę. Szła dużo szybciej od starszej siostry. W jednej chwili znalazła się na końcu trampoliny i tak szybko zakręciła wokół własnej osi, że straciła równowagę i tyłem wpadła do wody. Teraz obaj chłopcy klaskali. Alex złapał wąż ogrodowy, który leżał zwinięty obok basenu, odkręcił kran i skierował strumień wody na Julię. Myślałem, że moja córka zacznie uciekać, lecz

pozostała w miejscu, w którym stała, a nawet się przeciągnęła i stanęła na palcach, kiedy woda zaczęła przyskać na jej bikini i goły brzuch. Potem założyła ręce na kark, podniosła mokre włosy do góry, jakby chciała je spiąć w kok, i ponownie je roztrzepała.

— Uważajcie! — zawołała Judith przez otwarte okno. Ostrzeżenie było zbędne. Nie było wątpliwości, że oblewanie wodą odbywało się z przyzwoleniem. Zafascynowany patrzyłem na moją starszą córkę. Nie, nie myliłem się. Za strumieniem wody, a nawet dalej, tam, w miejscu, gdzie woda rozpraszała się na drobinki tworzące delikatny obłok, widoczna była, mieniąca się kolorami, miniaturowa tęcza.

— Urządziliśmy konkurs „Miss mokrego podkoszulka”, mamó! — zawołał Thomas w górę, z rękami przy ustach. — Julia prowadzi!

— Wcale nie! — krzyknęła Lisa, która właśnie wdrapywała się po drabince na brzeg basenu. — Teraz mnie musisz oblać wodą, Alex! Teraz mnie!

Judith obróciła głowę w bok i popatrzyła na mnie. Było widać, że nie może powstrzymać śmiechu. Wzruszyłem ramionami i także się roześmiałem.

— Słodkie te dziewczyny — stwierdziła matka Judith. — Szczęściarz z ciebie, Marc, że masz takie piękne córki. Powinieneś o nie bardzo dbać. — Cofnęła się o krok od okna. — Ale teraz jestem zmęczona. Chyba pójdę się położyć.

## ROZDZIAŁ 23

Siedzieliśmy naprzeciw siebie przy niewielkim stoliku w kuchni. Judith nalała sobie kieliszek białego wina, do którego wrzuciła dwie kostki lodu. Ja wziąłem z lodówki trzecią puszkę piwa. Pomiędzy nami stała miseczka z oliwkami, postawiona tam przez Judith. Obydwoje zapaliliśmy kolejnego papierosa.

Przez chwilę się nie odzywaliśmy. Patrzyliśmy na zewnątrz, na ogród i basen, gdzie tymczasem dobiegł końca konkurs „Miss mokrego podkoszulka”. Alex i Julia leżeli we dwoje na jednym leżaku. Julia opierała głowę na ramieniu Aleksa, jej dłoń z rozpostartymi palcami spoczywała na jego brzuchu, tuż pod pępkiem. Choć nigdzie nie było widać Thomasa i Lisy, to zza domu dobiegały nas ich głosy i dźwięk odbijanej piłeczki do ping-ponga.

Po raz pierwszy od naszego przyjazdu do letniego domu Judith i ja przebywaliśmy sami w jednym pomieszczeniu. Spojrzałem na nią. Przesunąłem rękę po stole, wziąłem jej środkowy i serdeczny palec pomiędzy mój kciuk i palec wskazujący, a następnie delikatnie przyciągnąłem jej dłoń do siebie.

— Marc... — Odłożyła papierosa do popielniczki, westchnęła głęboko, rzuciła szybkie spojrzenie na dwór i popatrzyła na mnie. — Nie wiem, Marc... Ja nie wiem, czy...

— Możemy się przejść — zaproponowałem. — Albo pojechać na plażę moim samochodem.

Wciąż trzymałem jej palce, gładziłem wierzch jej dłoni. Mogłem dokądś pojechać, myślałem. Nie na plażę, ale na wzgórze, niezliczonymi, krętymi, piaszczystymi drogami ciągnącymi się wzdłuż wybrzeża. Przypomniałem sobie o niemal całkowicie opuszczonym parkingu na leśnej polanie, na który kiedyś pojechaliśmy. Z parkingu szło się jeszcze ponad godzinę na jedną z Ralphowych plaż. Ale my wcale nie musielibyśmy iść na plażę, parking wystarczył.

— Nie wiem, czy moja mama... — powiedziała Judith. — Nie wiem, co sobie pomyśli, gdy się obudzi, a nas nie będzie.

— Zostawimy jej wiadomość, że poszliśmy coś kupić — odpowiedziałem, uniosłem w górę puszkę z piwem i uśmiechnąłem się. — Piwo może się zaraz skończyć.

Judith zerknęła prędko na uchylone drzwi kuchni.

— Marc, to jest... dziwne — mówiła teraz cicho, prawie szeptała. — Uważam, że to dziwne. Czuję się przy tym niezręcznie. Moja mama. Dzieci. Twoja żona... Oni przecież w każdej chwili mogą wrócić.

Odstawiłem puszkę z piwem, odłożyłem papierosa do popielniczki.

— Judith... — Przechyliłem się przez stół i przybliżyłem moją twarz do jej twarzy. Patrzyła na dwór, w stronę basenu.

— Zaczekaj — powiedziała. Uwolniła dłoń z mojej, wstała i na palcach podeszła do drzwi. W tym miejscu się odwróciła i położyła palec na ustach. — Tylko sprawdzę — powiedziała.

Zostawiła otwarte drzwi. Patrzyłem za nią, kiedy po cichu weszła do salonu, a następnie skręciła w lewo, w korytarzyk prowadzący do sypialni i łazienki. Podniosłem papieros z popielniczki i zaciągnąłem się nim. Pierwszy papieros, który zapaliłem niecały tydzień temu na kempingu, smakował rzeczywiście jak pierwszy: poczułem podobny zawrót głowy jak wówczas, w wieku jedenastu lat na szkolnym boisku. Teraz jednak papierosy smakowały już tak jak przed piętnastoma laty, zanim rzuciłem palenie. Zwyczajnie. Jak papierosy. Kilka dni temu kupiłem własną paczkę.

Usłyszałem przytłumione głosy dochodzące od strony sypialni. Westchnąłem głęboko i podniosłem się. W lodówce stała rzeczywiście tylko jedna puszka piwa. Ktoś koniecznie musiał zrobić zakupy.

Otworzyłem puszkę i przystawiłem do ust. Kiedy wróciła Judith, wciąż stałem przy lodówce. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Objąłem Judith w pasie i przyciągnąłem do siebie. Najpierw pocałowałem ją w kark. Puskę odstawiłem na szafkę. Wolną ręką odsunąłem jej włosy do tyłu i ponownie pocałowałem, tym razem bliżej ucha. Zachichotała, położyła obie ręce na mojej piersi, jakby mnie chciała odepchnąć, lecz prawie nie użyła siły. Opuściłem rękę aż do jej pośladków. Na bikini narzuciła jedynie, nie zapinając, cienką bluzkę, pod którą dotarłem palcami do gumki majtek.

— Marc — wyszeptala — moja matka... moja matka nie śpi. Ona...

— Judith — powiedziałem jej do ucha — moja kochana, piękna Judith.

Poczułem teraz jej dłoń, jej palce. Robiła nią coś z przodu, przy moim brzuchu. Miała na sobie koszulę z guzikami, która luźno zwisała wokół moich krótkich spodni. Podniosła ją do góry, rozpinając jednocześnie dwa guziki. Paznokciami łaskotała fragment skóry pod pępkiem, a potem zeszła niżej. Choć odległość od jej ucha do ust była niewielka, to starałem się ją pokonać jak najwolniej. Tymczasem udało mi się włożyć do jej majtek całą rękę. Rozłożyłem palce na jej pośladkach i nacisnąłem na nie, najpierw delikatnie, potem mocniej. Przechyliła głowę i włożyła czubek języka pomiędzy moje wargi, polizała nim koniuszek mojego języka i natychmiast go wyciągnęła. Zobaczyłem, że przymknęła oczy, tak jak robią to wszystkie kobiety. Ja, jak wszyscy mężczyźni, miałem oczy otwarte. A ponieważ ich nie zamknąłem, to widziałem drzwi do kuchni. Za włosami Judith. Za moim własnym ramieniem i dłonią (nie tą, którą uciskałem pośladki Judith, lecz drugą), znajdującą się wciąż w jej włosach.

Zdarza się tak nieraz z książką, którą odłożyłeś na stół. Wychodzisz na chwilę z pokoju, a potem wracasz i zauważasz, że leży inaczej. W podobny sposób miałem pewność, iż Judith, wracając do kuchni, zostawiła szparę w drzwiach. Nie zamknęła ich, lecz pozostawiła uchylone.

Pamiętałem w każdym razie, że drzwi były uchylone, kiedy po raz pierwszy przyciągnąłem ją do siebie, a teraz były odrobinę szerzej otwarte. Wciąż jeszcze uchylone, lecz szpara wydawała się szersza.

W tym samym momencie zauważyłem, że coś się w niej poruszyło. Jakiś cień na podłodze, nic więcej. Nie rozległ się też żaden dźwięk. Czasem sekundy rozciągają się, tworząc nową jednostkę czasu — jednostkę czasu idealnie pokrywającą się z uderzeniem serca. Wpatrywałem się w drzwi. Może mi się przywidziało. Wtedy jednak cień poruszył się ponownie. Nie pomyliłem się, ktoś stał za drzwiami.

Wyciągnąłem rękę z majtek Judith i przesunąłem na podbrzusze. Odepchnąłem ją lekko od siebie,

wyjmując jednocześnie drugą rękę z jej włosów.

Judith widocznie myślała, że się z nią drażniłem, że było to częścią gry wstępnej, że wypróbowałem inne warianty. Przyciąganie i odpychanie. Odsuwanie w czasie. Wydała z siebie dźwięk — coś pomiędzy jękiem a westchnieniem — zaśmiała się i położyła dłoń na mojej dłoni, przyciskającej jej brzuch.

Otworzyła jednak oczy. Popatrzyła na moje usta, na wargi, które bezgłośnie układały się w słowa: „Drzwi. Ktoś jest za drzwiami”.

Unosiła się jeszcze na palcach, lecz w tym momencie zaczęła opuszczać się na pięty, przez co stała się niższa o dziesięć centymetrów. Podniosła na mnie wzrok. Ujrzałem jej źrenice, które najpierw rozszerzyły się, a potem natychmiast zwęziły. Puściła moją rękę i odepchnęła mnie od siebie.

— Napijesz się jeszcze piwa, Marc? — zapytała. — Mam nadzieję, że jakieś zostało.

Jej głos brzmiał normalnie. Zbyt normalnie, tak jak głos osoby starającej się zabrzmieć normalnie. Obydwoma rękami poprawiła włosy. Ja spuściłem koszulę na spodnie i zapiąłem guziki.

Staliśmy tak, jak przyłapano na gorącym uczynku nastolatki. Widziałem rumieńce na policzkach Judith. Moja twarz także niewątpliwie nabrała koloru. Nawet jeśli nasze fryzury i ubrania doprowadzone były do porządku, to i tak te rumieńce by nas zdradziły.

Judith zrobiła kilka kroków do tyłu, w stronę drzwi. Jednocześnie pokazywała mi na migi, żebym otworzył lodówkę.

Nie zrobiłem tego jednak. Zrobiłem coś innego. Później jeszcze wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego. Przecucie, mówią ludzie, lecz było to silniejsze od przecucia. Ciarki przechodzące po plecach, walące jak młotem serce, a może raczej serce, które na chwilę przestaje uderzać. Moment w horrorze, kiedy podniesione zostaje zakrwawione prześcieradło, a pod nim rzeczywiście ktoś leży. Zwłoki. Zwłoki z rozwaloną czaszką i profesjonalnie odciętymi rękami i nogami, poupychanymi oddzielnie do worków na śmieci.

Podszedłem do okna i popatrzyłem na zewnątrz. Wokół basenu nie było już nikogo. Leżak, na którym chwilę wcześniej siedzieli Alex i Julia, stał pusty.

— Mamo?

Odwróciłem się i ujrzałem, jak Judith otwiera za jednym zamachem na oścież drzwi kuchni.

— Mamo?

Wychyliłem się przez okno, parapet był zbyt niski. Wychyliłem się tak daleko, że niemal straciłem równowagę. Moje serce uderzało coraz mocniej. Panika. Adrenalina. Serce przygotowuje się do ucieczki, wiedziałem z praktyki. Do ucieczki lub do walki. Pompuje z całych sił, aby jak najszybciej doprowadzić tlen do wszystkich zakamarków ciała. Do zakamarków, które najbardziej go potrzebują: do stóp, by mogły rzucić się do ucieczki, do pięści, by mogły jak najsilniej uderzyć przeciwnika w twarz.

Nikogo nie widziałem. Nasłuchiwałem. Wyostrzyłem słuch jak zwierzę nastawiające uszu. Nic nie słyszałem, najmniejszego powiewu wiatru. Liście wisiały bez ruchu i szelestu na gałęzi. W tak upalne dni jak ten słycać było często świerszcze, lecz widocznie nawet im było dziś zbyt gorąco.



Czegoś jeszcze nie słyszałem, choć z początku nie wiedziałem czego. Rozbrzmiewającego w ciszy dźwięku, dźwięku, który jeszcze przed chwilą był obecny... Odgłosu piłeczek do ping-ponga. Odbijanych piłeczek do ping-ponga!

Wstrzymałem oddech, lecz nie myliłem się. Również na tyłach domu, tam gdzie stał stół do tenisa, panowała cisza.

— Mamo? — Judith wyszła z kuchni i stała w salonie. — Mamo?

Teraz ja szedłem w stronę drzwi kuchennych. Jak najspokojniej i najzwyczajniej. Mówiłem sobie, że nic się przecież nie stało. Jeszcze nie. Próbowiałem się wesoło uśmiechnąć, ale moje wargi były tak suche, że aż bolało.

Przemknąłem za Judith i poszedłem wprost do drzwi wejściowych.

— Marc...

Stała przy drzwiach do łazienki i naciskała klamkę, ale drzwi były zamknięte.

— Mamo, jesteś tam?

— Rozejrzę się najpierw na dworze — skierowałem się do drzwi, zszedłem po schodkach i ruszyłem ścieżką w stronę basenu.

W porę zdałem sobie sprawę, że trochę zbyt szybko. Nic się przecież nie działo. Nic się nie wydarzyło. Jeśli moje córki były jeszcze w ogrodzie, musiałem uważać, by nie zaalarmować ich swoim zachowaniem. Zasapany ojciec z czerwoną twarzą wysyłał niepożądany sygnał. „Co się stało, tato? Jesteś czerwony jak burak! Zasapałeś się! Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha”.

Zwolniłem. Opuszczając basen, zatrzymałem się. Przez jedną krótką sekundę wpatrywałem się w wodę, w jej powierzchnię, w której odbijały się czubki drzew i błękitne niebo. Ze zmrużonymi oczami przeszukiwałem dno, lecz niczego nie zobaczyłem. Żadnego ciała leżącego bez ruchu, z falującym wokół wachlarzem włosów. Jedynie niebieskie kafelki.

Poszedłem dalej, na tyły domu. Przy stole do ping-ponga również nie było nikogo. Rakiety leżały po obu stronach siatki. Jedna z nich opierała się skośnie na piłeczce.

Namiot. Suwak był zasunięty. Nie chciałem zaskoczyć moich córek ani ich wystraszyć.

— Julia...? Lisa...?

Przykucnąłem i odsunąłem suwak, lecz namiot był pusty. Poszedłem dalej, obszedłem dom wkoło, aż w końcu dotarłem do zewnętrznych schodów. Ponownie musiałem się opanować, by nie popędzić po dwa schodki naraz do góry.

— Moja matka bierze prysznic — stwierdziła Judith, która wciąż stała przy drzwiach łazienki.

— A gdzie są dzieci? Widziałaś je?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyłem przez korytarz prowadzący do sypialni. Zapukałem do pokoju Aleksa i Thomasa. Nikt nie odpowiedział, lecz coś usłyszałem, jakiś szmer, jak gdyby ktoś cicho włączył radio.

Otworzyłem drzwi. Alex, Thomas, Lisa oraz Julia leżeli na dwóch złączonych ze sobą

jednoosobowych łózkach. Thomas, który znajdował się śródkiem, trzymał na kolanach laptopa.

— Hej, cześć! — zawołałem rześkim tonem. — Natychmiast zdałem sobie sprawę, że nazbyt rześkim. — To tutaj siedzicie? — ciągnąłem. Najchętniej uderzyłbym samego siebie pięścią w twarz, tak jak uderza się w telewizor, sprawiając, że obraz nagle zaczyna śnieżyć. W ten sposób chciałem wybić sobie z głowy ten fałszywy, rześki ton.

Lisa popatrzyła przez chwileczkę na mnie, Julia zachowywała się, jakby nikt nie wszedł do pokoju. Jedynie Alex zmienił pozycję na poduszkach, tak by jego ręka luźniej obejmowała ramiona Julii.

W przeciwieństwie do Aleksa, Julii i Lisy Thomas śmiał się z czegoś na ekranie.

— Co oglądacie? — zapytałem.

Musiałem trzykrotnie powtórzyć pytanie, zanim otrzymałem odpowiedź od Aleksa.

— *Miasteczko South Park*, proszę pana.

Czy on powiedział do mnie kiedykolwiek „proszę pana”? Nie byłem pewny. Nie mogłem sobie przypomnieć. Zwracał się wprawdzie do mnie i Caroline przez pan i pani, mimo że regularnie powtarzaliśmy, że nie trzeba.

Wciągnąłem głęboko powietrze. Precz z rześkim tonem!

— Może macie ochotę zagrać później w ping-ponga? Jakiś mecz? Wszyscy razem?

Ponownie musiałem czekać na odpowiedź.

— No może — zdecydował w końcu Alex.

Popatrzyłem na Lisę i Julię. Być może tylko tak mi się wydawało, ale szczególnie Julia bez zainteresowania patrzyła na ekran laptopa. Jakby z całej siły starała się mnie ignorować.

Julia? Serce ponownie zaczęło mi kołatać. Zwilżyłem wargi koniuszkiem języka. Języka-winowajcy — przeleciało mi nagle przez myśl. Próbowałem pozbyć się tej myśli, lecz udało mi się to jedynie połowicznie. Za wszelką cenę musiałem zapobiec temu, aby coś mi się zatrzęsło: głos, usta, ręce, nogi. Całe ciało.

— Julia!

W końcu podniosła na mnie wzrok. Powoli. Obojętnie.

— Julia, przecież do ciebie mówię!

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

— Przecież słyszę — odparła. — I co takiego chciałeś powiedzieć?

Rzeczywiście, co chciałem jej powiedzieć? Nie miałem pojęcia. Coś na temat partii ping-ponga. Nie, o tym już wspominałem. Patrzyłem jej prosto w oczy i nic nie widziałem: żadnego wyrzutu ani smutku. Może tylko ją denerwowało, że wciąż jeszcze stoję w drzwiach.

— Czy ty czasem nie pijesz za mało? — zapytałem. — Bo dzisiaj jest okropny upał, trzeba uważać, by się nie odwodnić. Wszyscy powinniście uważać. Może zrobić wam duży dzbanek lemoniady?

Wypowiedziałem zbyt dużo bredni naraz. Przede wszystkim łatwych do przejrzenia. Julia ponownie skierowała spojrzenie na ekran.

— Jak chcesz — powiedziała.

— Tak, proszę pana, chętnie — odpowiedział Alex. — W razie czego może też być cola.

Postałem jeszcze kilka chwil. Mogłem coś powiedzieć, podnieść głos. „Tak się nie mówi do ojca! Ale coś podszeptało mi, że nie był to odpowiedni moment. Że nie miałem prawa... Był to szept języka-winowajcy.

Wróciłem na korytarz, na który właśnie wyszła z łazienki w szlafroku matka Judith, z włosami owiniętymi ręcznikiem.

— Cześć, Marc — powiedziała i spojrzała na mnie, uśmiechając się, a następnie przeszła obok mnie do swojej sypialni.

Popatrzyłem na Judith. Wzruszyła ramionami i zrobiła gest, który oznaczał, że też nie wie, kto to mógł być. W tym samym momencie usłyszeliśmy zatraskiwanie drzwi samochodu. I jeszcze raz. W sumie czworo drzwi.

— Jezus, ale szybko wrócili! — stwierdziła Judith.

Podszedłem do niej i złapałem za gołe ramiona.

— Spokojnie — powiedziałem. — Zachowujemy się normalnie. Nic się przecież nie stało.

Podszedłem do drzwi wejściowych i je otworzyłem. Na dole, obok samochodu Ralpha, stali Caroline, Stanley oraz Emmanuelle. Ralph pochylał się nad bagażnikiem.

— Witam! — powiedziałem ponownie rześkim tonem, lecz tym razem zabrzmiało to przynajmniej naturalnie. Podniosłem rękę w geście powitania. Jedyne Caroline zwróciła na mnie wzrok.

— Witaj — odpowiedziała.

— Marc! — zawołał Ralph. — Chodź, pomóż mi. Ty i Stanley. To naprawdę bardzo ciężkie.

Ciągnął za coś, co leżało w bagażniku. Ujrzałem wystający ponad jego krawędź ogon ryby. Olbrzymiej ryby.

— To miecznik, Marc! — krzyknął Ralph. — Nie mogliśmy go nie wziąć. Upieczemy go wieczorem na ogniu. Ale będzie uczta, chłopie!

## ROZDZIAŁ 24

W sobotni wieczór obchodzono noc świętojańską. Były fajerwerki i palenie ognisk na plaży. Już od rana dochodził nas huk sztucznych ogni, innych niż u nas: nie racy rozpryskujących się pióropuszcami w niezliczonych kolorach, lecz jedynie ciężkie, głośne wybuchy. Nie brzmiało to jak fajerwerki, lecz raczej jak ogień artyleryjski lub bombardowanie. Wybuchy odczuwało się aż w głębi klatki piersiowej, pod żebrami, z tyłu za sercem.

Mieliśmy wszyscy wybrać się na plażę, ale najpierw trzeba było coś zjeść. Na płytkach tarasu Ralph rąbał miecznika na kawałki siekierą. Na początku dzieci były jeszcze niezmiernie ciekawe, ale z każdym uderzeniem siekiery cofały się dalej o parę kroków. Z ryby wypłynęły wnętrzności: wątroba, kawałki ikry, pęcherz pławny, a także błyszczący, brązowy narząd wielkości piłki do rugby, o którym nikt nie miał pojęcia, jak się nazywa. Czasem Ralph uderzał na wskroś, a wtedy kawałki płytek rozpryskiwały się wkoło.

— Uważaj, kochanie — mówiła Judith. — Musimy jeszcze odebrać z biura nieruchomości naszą kaucję.

Było jednak widoczne, że rąbanina sprawia Ralphowi taką przyjemność, iż wydawało się, że nic nie słyszy. Zrzucił z nóg klapki i siedział w kucki. Patrzyłem na jego stopy. Siekiera uderzała raz po raz w kafelki przerażająco blisko jego palców. Spoglądałem jak lekarz. Zastanawiałem się, jak powinienem najpierw postąpić. Paluchy — pod warunkiem, że przetrzymywane w chłodzie — mogły zostać ponownie przyszyte w szpitalu. Ktoś musiałby zachować spokój w wypadku, gdyby Ralph wbił sobie siekierę w jeden lub więcej palców. Na sali obecny był lekarz. Lekarz musiałby zatamować krwawienie i owinąć palce w ręcznik wypełniony kostkami lodu. Kobiety i dzieci zapewne by zasłabły, a więc lekarz byłby prawdopodobnie jedyną osobą, która nie straciła głowy. „Judith, lód, lód z lodówki! I mokry ręcznik! Caroline, pomóż mi podwiązać jego podudzie. On traci zbyt wiele krwi! Stanley zapalaj samochód i rozłóż tylne siedzenie! Julia, Lisa, Alex, Thomas do środka, tylko płaczcie się pod nogami. Zostawcie Emmanuelle, niech leży, podłóżcie jej pod głowę poduszkę. Za chwilę dojdzie do siebie...”. Mógłbym zabłysnąć w roli, do której byłem stworzony, lecz siekiera zaledwie jeden raz znalazła się na pół centymetra od wielkiego palucha Ralpa. Potem zrobił się ostrożniejszy.

— Co tak patrzysz, Marc? — zapytał. — Głodny się robisz, co? Zrób mi przyjemność i podaj mi jeszcze jedną puszkę piwa.

Zapadł wieczór. Spod kratki grilla wystrzeliwały od czasu do czasu wysoko w górę płomienie ognia. Na tarasie piliśmy białe wino i piwo. Judith postawiła na stole miseczki z oliwkami, anchois i ostrymi kiełbaskami. Na grillu syczały duże kawały ryby. Gdy popatrzyłem na Judith — na jej twarz, która od

ognia nabrała złotawego odcienia — spuściła oczy. Caroline patrzyła prosto przed siebie i piła wino małymi łykami. Wydawało się, że ona też stara się na mnie nie patrzeć. „Wprawdzie tutaj jestem” — wyrażała mowa jej ciała — „ale wolałabym być gdzie indziej”.

Thomas i Lisa grali w ping-ponga. Alex i Julia leżeli znowu razem na leżaku obok basenu. Każde z nich miało w uchu białą słuchawkę od iPoda należącego do Julii. Przez ostatnie kilka godzin próbowałem — bezskutecznie — nawiązać bezpośredni kontakt z moją starszą córką. Gdy ją o coś pytałem, wzruszała ramionami i głęboko wzdychała.

— Masz ochotę iść na plażę? — spytałem, by ją w ogóle zagadnąć. — Pooglądać sztuczne ognie?

Wzruszyła wtedy ramionami i westchnęła.

— Jeśli nie macie ochoty, to możecie tutaj zostać — odpowiedziałem, czując, że moja twarz robi się gorąca. — Moglibyśmy zagrać w ryzyko albo monopol...

Julia uniosła włosy do góry i je roztrzepała.

— Zobaczymy... — odparła, po czym odwróciła się i odeszła, nie zaszczycając mnie nawet jednym spojrzeniem.

Wydawało się, jakby wszystkie kobiety prześcigały się w tym, by na mnie nie patrzeć. Wyjątek stanowiły Lisa i matka Judith. Podczas przygotowań do posiłku Vera uśmiechnęła się do mnie kilkakrotnie, a kiedy Ralph rąbał rybę na kawałki, potrząsnęła nawet głową, uśmiechając się przy tym. A Lisa? Lisa patrzyła wciąż na mnie, tak jak patrzą na ojca jedenastoletnie córki. Jak na idealnego mężczyznę, z którym w przyszłości chciałyby wziąć ślub.

Tłumaczyłem sobie, że muszę postarać się spojrzeć Julii w oczy. Jej oczy mnie nie okłamią. Jedno spojrzenie wystarczy. W oczach mojej córki mógłbym odczytać straszliwą prawdę lub jej nie odczytać. Jeszcze możliwe, że wszystko sobie wmówiłem. Może coś wydarzyło się pomiędzy nią i Aleksem. Może w krótkim czasie — jak to się mówi — „dojrzała” i nie ma ochoty na uciążliwą obecność nudzącego wciąż ojca. To biologia. Naturze nie da się sprzeciwić.

— To ciekawe, co nam dzisiaj po południu opowiedziałeś w samochodzie, Stanley — stwierdził Ralph, rozkładając na talerzach upieczone kawały ryby. — Myślę, że Marca też to zainteresuje.

Popatrzyłem na Stanleya raczej z uprzejmością niż z zainteresowaniem. Gdybym zobaczył na jego twarzy jakąś niechęć, wcale bym nie naciskał. Stanley wbił widelec w rybę, z której natychmiast wyciekła na talerz woda, odkroił jej duży kawałek i włożył go sobie do ust.

— A tak! — powiedział.

W tym samym momencie z sąsiedniego ogrodu wystrzelono racę. Już wcześniej widzieliśmy lecące w górę sztuczne ognie, lecz jeszcze nigdy z tak bliska. Wstrzymaliśmy oddech, gdy raca, sycząc, torowała sobie drogę w górę, pozostawiając delikatny ślad z iskier. A potem rozległ się huk i raca rozbłysła, a właściwie na odwrót. Światło dotarło do nas szybciej niż dźwięk. Wprost nad naszymi głowami raca rozpadła się, jej eksplozja rozświetliła nasze twarze, podczas gdy huk jeszcze chwilę kazał na siebie czekać. Huk taki sam jak poprzednie, mocny i głośny, jak uderzenie błyskawicy lub pocisku

artyleryjskiego, który trafił w cel, albo wybuch bomby samochodowej, lecz tym razem tak blisko, iż wydawało się, że wypełnił sobą twoje ciało od środka. Począwszy od dna żołądka, przesuwał się falą — niby narastający grzmot podczas burzy — po wewnętrznej stronie żeber w górę, aż do szczęk, by w końcu opuścić ciało przez błonę bębenkową. Kobiety i dzieci wrzasnęły. Mężczyźni i chłopcy zaklęli. Na tarasie przewróciła się i stłukła butelka. Gdzieś na ulicy rozległ się odgłos alarmu samochodowego.

— Cholera jasna! — wykrzyknął Ralph, który upuścił na płytki cały kawał ryby.

Jeszcze kilka razy huk wystrzału odbił się echem wśród wzgórz, po czym zapadła cisza.

— Wow! — zawołał Alex.

On i Julia wyciągnęli z uszu słuchawki i podnieśli się z leżaka. Julia patrzyła wokół, przestraszona. Na swoją matkę. Na Ralpha. Na Judith. Nawet na Stanleya i Emmanuelle. Właściwie na wszystkich oprócz mnie.

— Tato, tato! Czy my też moglibyśmy tak postrzelać? — Od stołu do tenisa przybiegł Thomas. — Tato, możemy?

— To już naprawdę przesada — stwierdziła Judith. — Nie rozumiem, jak to komuś może sprawiać przyjemność.

— Miałam przez chwilę wrażenie, że zabraknie mi powietrza — dodała Caroline.

Spojrzałem na twarz Judith, która wyrażała szczere oburzenie. Caroline położyła rękę na piersi i kilkakrotnie głęboko wciągnęła i wypuściła powietrze. Pomyślałem w tym momencie o różnicach pomiędzy mężczyznami i kobietami. O różnicach, których nie da się pogodzić ani wyjaśnić.

Dla mężczyzn liczy się najgłośniejszy wybuch. Im większy huk, tym lepiej. Powoduje to, iż w oczach kobiet stają się bardziej chłopięcy, dziecinni. Tak chłopięcy i dziecinni, że kobiety uśmiechają się współczująco. „Oni nigdy nie przestaną być dziećmi”, mówią do siebie i mają rację. Pamiętam, że jako szesnastoletni chłopak, odpalając sztuczne ognie, kompletnie lekceważyłem zasady bezpieczeństwa. Nie używałem do tego nigdy lontu, lecz zawsze otwartego ognia, płomienia zapałki lub zapalniczki. Chciałem widzieć ogień, a nie bojaźliwie tłący się lont. Nie ustawiałem rac w bezpiecznej odległości w pustych butelkach, lecz odpalałem je bezpośrednio z ręki. Pragnąłem poczuć ich siłę pomiędzy palcami. W ten sposób część ich siły stawała się moja. Przez kilka pierwszych razy racę trzymałem tak kurczowo, że drzazgi z patyka, na którym była osadzona, wbijały się w moje palce, gdy — uwalniając się naraz z mojej dłoni — śpieszyła ku niebu. Później nauczyłem się odpowiedniego uścisku, na tyle luźnego, by nie stawiać jej oporu. Raca miała swoją wolę: chciała lecieć w górę. W takich chwilach zapominałem o świątecznym charakterze wieczoru, nie wspominając o nowym roku, który stał za progiem. Myślałem o wojnie, o raketach i działach przeciwlotniczych. O partyzantach zestrzeliwujących za pomocą przenośnych rakiet helikoptery i samoloty transportowe posiadającego technologiczną i militarną przewagę wroga, celując do nich z ramienia. Czasem nie mogłem się oprzeć i kierowałem racę mocniej na skos, niż można było to uznać za bezpieczne. Uderzała wtedy w okna sąsiadów po drugiej stronie ulicy.

— Przepraszam! — krzyczałem, gdy okno otwierało się i przestraszeni sąsiad lub sąsiadka wychylali się z niego. — Przepraszam, tym razem jakoś krzywo poszło.

Robiłem najbardziej świętoszkowatą minę pod słońcem. Minę, jaką robi piłkarz, który wyprostowaną nogą wpada na przeciwnika, powodując u niego kontuzję na całe życie: „Przepraszam, ale się pośliznąłem...”. Kolejną racę kierowałem w stronę grupy świętujących w dalszej części ulicy. To była wojna, a – jak uczą nas historia i biologia – wojnę lepiej wygrać, niż przegrać. Lepiej kogoś zabić, niż zostać zabitym. Od zarania dziejów ludzkość męczyła bronie wstępu do jaskini. Intruzi zmuszani są do ucieczki. Ludzie. Zwierzęta. Intruz, który będzie próbował wdrzeć się do środka, nie może twierdzić, że o tym nie wiedział.

— Męczyła unika walki jedynie w wypadku zbyt dużej przewagi przeciwnika — uczył nas profesor Herzl na zajęciach z biologii medycznej. — W wypadku równego sobie lub słabszego przeciwnika szacuje swoje siły. Zaciska ręce w pięści. Waży miecz w dłoni. Pistolet. Przekręca wieżyczkę czołgu o ułamek sekundy szybciej niż wróg. Celuje i strzela, by przeżyć.

Thomas stał teraz przed ojcem.

— Masz takie race, tato?

Ralph schylił się, podniósł kawałek ryby, który spadł mu z widelca, i położył go z powrotem na ruszcie. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Idź, poszukaj w komórce, chłopcze — odparł. — Za drzwiami koło stołu do ping-ponga. Alex, ty też.

Gdy obaj chłopcy pobiegli na tyły domu, poczułem gdzieś pod sercem nagłą pustkę. Ralph kupił do domu sztuczne ognie, a ja tego zaniechałem. Jeszcze wczoraj przejeżdżałem koło stoiska, na którym je sprzedawano. Było z blachy falistej i znajdowało się na obrzeżach wioski. Zawahałem się. Zwolniłem. „Zobaczę, co mają”. Ale nie było miejsca, żeby zatrzymać samochód, więc pojechałem dalej.

Gdybym, tak jak Ralph, miał dwóch synów, to w razie potrzeby zaparkowałbym nawet pięć kilometrów od stoiska, zdałem sobie teraz sprawę. Miałem jednak dwie córki. Przypomniałem sobie jakiegoś sylwestra sprzed lat. Wbrew własnemu przekonaniu kupiłem pakiet rac i sztucznych ogni. O północy włożyłem pierwszą racę do pustej butelki po winie i ustawiłem na chodniku przed naszymi drzwiami. Związałem lonty trzech petard i rzuciłem je w powietrze, lecz Julia i Lisa wciąż stały we framudze drzwi. Gdy rozległ się pierwszy huk, skuliły się i cofnęły kilka kroków do środka. Po tym w drzwiach stanęła Caroline. Patrzyły na mnie we trzy. Odpaliłem jeszcze kilka rac. Na petardzie ustawiłem puszkę, by wzmocnić efekt. Caroline wręczyła tymczasem dziewczynkom po zimnym ogniu, lecz nie wyszły już na zewnątrz. Stojąc w drzwiach, wyciągały ramiona jak najdalej przed siebie, tak żeby iskry z zimnych ogni nie spadły na wycieraczkę. Z tego miejsca patrzyły na ojca — na ojca, który, delikatnie mówiąc, dziwnie się zachowywał. Jak dwunastoletni chłopiec. Kobiety podczas wojny szyją mundury. W fabrykach amunicji napełniają prochem granaty. Wnoszą — jak to się mówi — wkład w działania wojenne. Rzucanie granatami pozostawiają jednak mężczyznom.

— Tato, tato, możemy je już teraz odpalić?

Alex i Thomas wrócili ze składziku, trzymając w ramionach dwa naręczą rac. Niektóre z nich były wyższe niż oni sami. Było ich tyle, że ledwo je mogli udźwignąć. Dwie lub trzy race upadły na podłogę tarasu.

— A nie lepiej poczekać? — zapytał Ralph. — Za godzinę wszyscy idziemy na plażę.

— Ale ci ludzie koło nas już jedną wystrzelili — odpowiedział Alex.

— Tato... — odezwał się Thomas. — Proszę cię!

Ralph potrząsnął głową. Śmiejąc się, wziął ze stołu pustą butelkę.

— Ale tylko jedną — zdecydował.

Popatrzyłem na stos rac, które chłopcy tymczasem ułożyli na tarasie. Nawet najmniejsze z nich miały przynajmniej metr długości. Leżąc tak, jedna przy drugiej, na kafelkach, przywodziły na myśl skonfiskowany arsenał z bronią. Tajemny skład broni oddziału partyzantów lub komórki terrorystycznej. Mający technologiczną przewagę wróg był w posiadaniu czołgów i samolotów. Okupant miał helikoptery, z których można było wystrzelić naprowadzane laserowo pociski, lecz prymitywne rakiety Kassam, ostrzeliwujące cywilne cele, wyrządzały większe szkody psychiczne.

— Nie, nie tutaj — powiedział Ralph. — Nie tak blisko reszty. Zawsze może odskoczyć jakaś iskra, a wtedy wszyscy wylecimy w powietrze, łącznie z domem. Najlepiej będzie, jak racę odpalimy koło basenu.

— Nie wiem, czy to taki dobry pomysł — zawahała się Judith.

— Lepiej z tym poczekajmy, aż będziemy na plaży — poparła ją Caroline.

— Ja idę do środka — zdecydowała matka Judith.

Ralph jednak tylko się śmiał.

— Chyba rozumiecie, że chłopcy już się nie mogą doczekać?!

Przeniosłem wzrok z racy, którą Thomas ustawił w butelce na brzegu basenu, na moje córki. Kiedy lont zaczął się palić, przykryły uszy rękoma. Julia zapiszczała, gdy raca, sycząc, wyrwała się z butelki. Butelka przewróciła się i rozbiła na kawałki, z których kilka wpadło do basenu.

Huk rozległ się niespodziewanie szybko. Był silny i donośny. Silniejszy i donośniejszy niż dźwięk racy odpalonej przez sąsiadów. Rozpoczął się pod podeszwą stóp i podchodził grzmotem do góry, wykorzystywał objętość klatki piersiowej, by się w niej na całą szerokość przeciągnąć i dotrzeć w końcu do głowy. Na krótką chwilę ustawał całkowicie oddech. Tym razem alarmy zawyły w kilku samochodach. Psy szczekały histerycznie. Julia i Lisa piszczały.

— *Merde!* <sup>1</sup> — rozległ się kobiecy głos.

Gdy się odwróciliśmy, ujrzeliśmy Emmanuelle trzymającą w ręku jedynie stopkę kieliszka do wina z odłamaną nóżką. Reszta kieliszka leżała rozbita na kawałki wokół jej stóp. Na jej białej bluzce widniały duże, czerwone plamy.

— I co, jesteście zadowoleni? — wykrzyknęła Judith.



— Jeszcze jedną! Jeszcze jedną! — zawołał Thomas.

— Jasna cholera! — powiedział Alex i zagwizdał przez zęby. — Kurna, ale było głośno!

— To odpalcie jeszcze jedną — zgodził się Ralph.

— Ani się waż! — powiedziała Judith. — Proszę cię, zabierz to dziadostwo na plażę i tam się wyżywajcie. Mam nadzieję, że słyszysz, co do ciebie mówię, Ralph?

Ralph podniósł ręce do góry w uspokajającym geście.

— No dobra, dobra, idziemy na plażę.

Ponownie ogarnął mnie głęboki żal. Żal, że sam nie kupiłem sztucznych ogni. Na miejscu Ralpa nie poddałbym się tak szybko. Szukałem wzroku Caroline. Moja żona nie była wprawdzie zwolenniczką głośnych wybuchów, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek przez te wszystkie wspólnie spędzone lata powiedziała do mnie: „Mam nadzieję, że słyszysz, co do ciebie mówię, Marc?”.

W tym samym momencie nasze spojrzenia rzeczywiście się spotkały. Caroline stała obok Emmanuelle, jedną rękę położyła na jej ramieniu, palcami drugiej ręki dotykała delikatnie plam na podkoszulku Emmanuelle, po czym odwróciła głowę i na mnie spojrzała.

Nie pomyliłem się: moja żona puściła do mnie oko. Nie byłem do końca pewny, czy to porozumiewawcze mrugnięcie dotyczyło jedynie zaplamionego winem podkoszulka Emmanuelle, czy może również całego zajścia z racą i złości Judith, ale nie miało to właściwie znaczenia. Caroline dostrzegała przede wszystkim komizm sytuacji. Bezwarunkowo chciała wyjechać stąd w poniedziałek, lecz widocznie, w myślach, pożegnała się już wcześniej z Meierami i ich letnim domem. Nie, nie pożegnała się, lecz nabrała dystansu. Puszczając do niej, w odpowiedzi, oko, pomyślałem o zdarzeniach w kuchni, wcześniej tego dnia. O koniuszku mojego języka przesuwanego się po zębach Judith, o mojej ręce na jej pośladkach. Przypomniałem sobie jej palce, które rozpięły zatrzask moich spodenek. Pozbieraliśmy race, część z nas weszła jeszcze na chwilę do domu po sweter lub kurtkę, na wypadek, gdyby później na plaży zrobiło się chłodno, a następnie zebraliśmy się przy samochodach. Emmanuelle dała do zrozumienia, że z nami nie idzie, a Stanley nie próbował jej przekonać do zmiany zdania. Również matka Judith pozostała w domu.

Julia i Lisa chciały jechać na tylnym siedzeniu samochodu Ralpa, razem z Aleksem i Thomasem. W pewnej chwili Judith — zanim opadła na przednie siedzenie obok Ralpa — oparła się o otwarte drzwi samochodu i na mnie spojrzała. Odpowiedziałem spojrzeniem. Podtrzymałem jej wzrok, tak jak podtrzymuje się wzrok kobiety, co do której ma się pewne zamiary. Zobaczyłem, jak w jej oczach odbija się światło lampy wiszącej nad drzwiami garażu. Rozważałem możliwości, które dawał nam pobyt na plaży. Będzie na niej wiele osób, niektóre mogą się zgubić, a inne nawzajem odnaleźć.

— Zastanawiam się, czy także tutaj nie zostać. — Caroline zjawiła się nagle obok mnie i położyła dłoń na moim przedramieniu.

— Naprawdę? — zapytałem, odchylając głowę lekko w bok, tak aby światło lampy nie padało na moją twarz. — Jeśli nie masz ochoty iść, to zostań. Nic nie szkodzi. Jeśli jesteś zmęczona, pójde sam.

---

1. Z franc.: „Cholera!”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 25

Czasem przewijasz życie do tyłu, by zbadać, w którym momencie mogło potoczyć się jeszcze w innym kierunku. Czasem nie masz czego cofać — choć jeszcze tego nie wiesz, wszystko toczy się już wyłącznie do przodu. Chciałbyś na chwilę zatrzymać jakiś obraz... „Tutaj”, mówisz do siebie, „Gdybym wtedy powiedział coś innego... zrobił coś innego”.

Tego wieczoru wybrałem się na plażę. Po powrocie byłem kimś innym. Nie na chwilę czy na kilka dni. Na zawsze.

Na spodniach — twoich ulubionych — robi się plama. Pierzesz je dziesięć razy pod rząd w temperaturze dziewięćdziesięciu stopni. Czyścisz, pucujesz i przecierasz. Mimo że stosujesz silne środki, jak wybielacze i gąbki do szorowania, plama nie schodzi, a gdy zbyt długo czyścisz i trzesz, na jej miejscu pojawia się coś innego: materiał przeciera się i staje jaśniejszy. To jaśniejsze miejsce na spodniach jest pamiątką po plamie. Przypomina ci ono jednak nie tylko o plamie, ale również o czasach, kiedy spodnie były jeszcze czyste.

Jeśli życie przewiniesz wystarczająco daleko do tyłu, na ujęciu pojawią się czyste spodnie. Teraz jednak zdajesz już sobie sprawę z tego, że one takie nie pozostaną. Wiem, że już do końca życia będę przewijał taśmę wstecz i za każdym razem będę się zastanawiał: „Czy to tutaj? A może jednak jeszcze wcześniej...? Tutaj?”. Zatrzymuję obraz.

W tym miejscu spodnie są jeszcze czyste.

A tutaj już nie.

Ledwo zjechaliśmy ścieżką w dół, podskakując na kamieniach, a Stanley wyciągnął z kieszeni na piersi paczkę marlboro i podstawił mi ją pod nos. Z wdzięcznością wyciągnąłem z niej papierosa.

— Uważaj! — powiedział.

— Słucham?

— Jedziesz za bardzo po prawej stronie. Niemal uszkodziliśmy lusterko stojącego przy drodze busa.

Należę do kategorii mężczyzn, którzy z trudem znoszą krytykę ich stylu jazdy, a właściwie — prawdę mówiąc — wcale jej nie znoszą. Ale byłem na tyle rozsądny, iż zdawałem sobie sprawę z tego, że Stanley najprawdopodobniej miał rację. Wiedziałem, że zbyt dużo wypilem, by jeszcze w ogóle móc prowadzić. Przez chwilę wahaliśmy się. Stanley zamierzał jechać na plażę własnym samochodem, stał z kluczykami w dłoni, wzruszył jednak w końcu ramionami i wsiadł, jako jedyny pasażer, do mojego auta.

— Dziękuję — powiedziałem teraz. — Ty patrz w prawo, a ja będę przede wszystkim uważał na lewą stronę.

Wrzuciłem niższy bieg i zwolniłem. Zobaczyłem, jak jakieś trzydzieści metrów przed nami za zakrętem znikają czerwone tylne światła volvo Ralpha. Ostrożnie zatrzymałem samochód na poboczu drogi. Mimo to usłyszałem, jak felgi szorują o brzeg krawężnika, wydając odgłos przypominający zgrzytanie zębów.

— Co robisz? — zapytał Stanley.

— Nic takiego. Zastanawiam się: dzisiaj jest święto. Przy głównej drodze prowadzącej na plażę mogą być patrole. Ja naprawdę zbyt dużo wypilem, odbiorą mi jeszcze prawo jazdy.

— Okej...

— Ale jest jeszcze inna droga na plażę. Piaszczysta. Jak wiesz, najpierw przez kilka dni staliśmy na kempingu. Jeśli uda mi się stąd trafić na ten kemping, to dojedziemy też na plażę.

Kosztowało nas to nieco wysiłku, kilkakrotnie wjeżdżaliśmy w ślepą uliczkę, ale w końcu znaleźliśmy piaszczystą drogę, co do której byłem niemal pewny, iż prowadzi na kemping. Po obu stronach drogi rosły drzewa. Opuściłem szybę w drzwiach samochodu i włączyłem długie światła.

— Po prawej stronie rosną drzewa, Marc — stwierdził Stanley. — Po lewej zresztą też.

Zaśmialiśmy się obaj i aby zilustrować fakt, że samochód mam pod kontrolą, dodałem nieco gazu. Koła pośliznęły się na piasku, a samochód skoczył zygzakiem do przodu.

— *Yeah!* — zawołał Stanley. — *Zebra One, we're on our way!* <sup>1</sup>.

Prawdopodobnie był to cytat z filmu, który powinienem był znać, ale nie miałem pojęcia ani też ochoty, by pytać o to Stanleya. Chciałem zapytać go o coś innego: „Ile lat właściwie ma Emmanuelle? Czy kocha się z tobą w tak powolnym tempie, jak można by się po niej spodziewać, czy też, jak to często bywa, pozory mylą i taki stary kutas jak ty nie może dotrzymać jej kroku? Czy w łóżku też nie zdejmuje okularów przeciwsłonecznych?”. Tych pytań mu jednak nie zadałem.

— O co chodziło? — zapytałem więc w zamian. — Ralph tuż przed posiłkiem o czymś wspomniał. — Opowiedziałeś im o czymś, co i mnie miało zainteresować.

— A tak — powiedział Stanley.

— Jeśli nie masz teraz ochoty, by o tym rozmawiać, to nie szkodzi. Może innym razem.

Piaszczysta droga zaczęła prowadzić stromo w dół. W dole pomiędzy drzewami przebłyskiwały od czasu do czasu światła. Były to prawdopodobnie światła barów i restauracji stojących przy plaży. Znajdowaliśmy się na dobrej drodze.

Stanley również opuścił szybę. Wyrzucił przez nią niedopałek i zapalił kolejnego papierosa.

— Kilka miesięcy po jedenastym wrześniu rząd Busha zaprosił do Białego Domu kilku reżyserów filmowych — zaczął opowiadać. — Przede wszystkim gatunku *science fiction*: Stevena Spielberga, George'a Lucasa, Jamesa Camerona. I mnie. Wyreżyserowałem kilka filmów tego rodzaju. Jeden z nich wyszedł w Europie jedynie na DVD, ale drugi osiągnął tutaj prawdziwy sukces. *Tremor*, nie wiem, czy go widziałeś?

Tytuł brzmiał znajomo, ale ostatnim filmem z tego gatunku, który obejrzałem, było — zdaje się — *Pojutrze*.

— Nie, niestety nie.

— Nieważne. Chodzi o to, jaka idea kryła się za zaproszeniem. Siedzieliśmy całą grupą w Gabinetcie Ovalnym. Oczywiście George Bush we własnej osobie, Dick Cheney oraz Donald Rumsfeld. Obecny był też George Tenet z CIA, a oprócz niego jeszcze kilku innych: narodowy doradca do spraw bezpieczeństwa oraz paru generałów. I my, reżyserzy. Były orzeszki i drobne przekąski, kawa, herbata, jak również piwo, whisky i dzin. Chodziło im w końcu o wyobraźnię — naszą wyobraźnię.

Piaszczysta droga zrobiła się węższa i bardziej kręta. Zakręty stały się ostre, nie było widać, gdzie się kończą. Hamowałem za pomocą silnika, na drugim biegu. Przez otwartą szybę słyszałem, jak kamyki odbijają się od podwozia. Dochodził mnie zapach ciepłych igieł sosnowych. I morza. Pomyślałem o Caroline, która została w letnim domu. O chwili, w której na pożegnanie pocałowała mnie w policzek i zapytała:

— Nie wypięłeś za dużo? Jesteś w stanie prowadzić?

— Zostaliśmy tam zaproszeni, by puścić wodze wyobraźni — kontynuował Stanley. — Naszej fantazji. Nie pamiętam już, czyj to był pomysł, samego George'a Busha czy też jego doradców. *Whatever*<sup>2</sup>. Zaczęliśmy od kawy i herbaty, ale szybko przerwaliśmy się na piwo i whisky. Prezydent także. On pił podwójną whisky jedna za drugą. Dick Cheney i Donald Rumsfeld pili dzin. Ktoś puścił muzykę: najpierw Boba Dylana, potem Jimmiego Hendriksa i Dixie Chicks. Patrząc wstecz, było to *fucking unbelievable*<sup>3</sup>. Robiliśmy to, po co przyszliśmy: fantazjowaliśmy. Nikomu do tej pory nie przyszło na myśl, że terroryści użyją samolotów pasażerskich jako broni. Wszystko skierowane było na ich ochronę. Na to, by je zabezpieczyć przed zamachem bombowym lub wzięciem zakładników. Samoloty wlatujące w wieże były niewyobrażalne. O to nas poprosili: abyśmy wyobrazili sobie to, co jest niewyobrażalne. Za pomocą naszej fantazji, dzięki której kazaliśmy kosmitom lądować na Ziemi, a mścicielom z przyszłości wyrównywać rachunki w teraźniejszości, mieliśmy wyobrazić sobie to, co terroryści mogliby wymyślić w przyszłości. Ale wcześniej muszę ci coś powiedzieć. *Tremor* powstał na podstawie książki amerykańskiego pisarza Samuela Demmera. Nie wiem, czy o nim słyszałeś?

— Nie, raczej nie.

— Okej, wszystko jedno. Chodzi o to, że przeczytałem książkę *Tremor* Samuela Demmera i natychmiast zobaczyłem w niej film. Zacząłem ją czytać o północy, a skończyłem o szóstej rano. O ósmej zadzwoniłem do Demmera. Sam do niego zadzwoniłem. Do takich celów mam, normalnie rzecz biorąc, agenta, ale byłem tak zachwycony, że chciałem ten entuzjazm okazać mu osobiście. Demmer uchodzi za trudnego człowieka. Nigdy nie pokazuje się w telewizji, nie udziela wywiadów. Jeśli o mnie chodzi, to najsympatyczniejszy gatunek pisarza. Tak czy siak, na początku naszej rozmowy telefonicznej odnosił się do mnie z pewną rezerwą. Wydawało się, iż w najmniejszym stopniu nie interesuje go to, że ktoś chciałby nakręcić film na podstawie jego książki. Na drugim końcu linii usłyszałem jednak coś innego — coś, co częściej słychać w rozmowach z zamkniętymi w sobie osobami, mianowicie to, że w głębi duszy cieszą się, iż ktoś do nich zadzwonił i że mogą przez chwilę z kimś porozmawiać, nawet

jeśli tego kogoś osobiście nie znają. A może właśnie dlatego. Takie osoby muszą często zмагаć się z własną reputacją. *Live up to their reputation*, jak to się mówi w Stanach. On nie uznał zupełnie za problem tego, że tak wcześnie do niego zadzwoniłem. Mówiąc krótko: znaleźliśmy wspólny język. Gadaliśmy trochę o jego książce i o możliwościach jej sfilmowania, aż w pewnym momencie zadał mi pytanie, które mnie kompletnie zaskoczyło, na które, z wrażenia, nie mogłem przez chwilę znaleźć odpowiedzi, lecz które na zawsze zapamiętałem, a nawet uczyniłem moim życiowym mottem. „Dlaczego sam pan czegoś nie wymyśli?”, zapytał. Muszę przyznać, iż zbił mnie tym na chwilę z pantałyku. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. „Co pan ma na myśli?”, zapytałem w końcu. Po drugiej stronie słuchawki rozległo się westchnienie. „Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem”, odparł Samuel Demmer. „Z rozmowy z panem wnioskuję, że ma pan wiele pomysłów. Swoich własnych. Dlaczego chce pan nakręcić film na podstawie pomysłów kogoś innego? Dlaczego sam pan tego filmu nie wymyśli?”.

Rozmawialiśmy następnie jeszcze przynajmniej pół godziny. O wszystkim i o niczym. O książkach, które nam się podobały. O filmach. Jakiś czas później spotkaliśmy się. Nasza współpraca okazała się wyjątkowo przyjemna i inspirująca, a pytanie Demmera na dobre zmieniło moje życie. Wyreżyserowałem *Tremora* za jego zgodą, jedynie luźno opierając film na wątkach jego powieści. Napisy końcowe brzmiały: *Based on novel by Samuel Demmer*<sup>4</sup>. Potem już nigdy nie sfilmowałem żadnej książki. Nigdy. Wziąłem sobie do serca słowa Demmera i sam zacząłem wszystko wymyślać.

Światła samochodu oświetliły tabliczkę przy drodze, na której narysowany był namiot i umieszczona nazwa kempingu, na którym staliśmy przez dwie noce. Jeszcze osiemset metrów. Z pierwszego wieczoru zapamiętałem, że potem droga będzie prowadzić bardziej stromo w dół, ale po trzech czy czterech ostrych zakrętach docierało się na plażę. Tam był w końcu prosty kawałek. Dodałem nieco gazu.

— I co wymyśliliście w tym Białym Domu? — zapytałem. — To gdzie nas teraz uderzą?

— No właśnie w tym szkopuł — stwierdził Stanley. — To może wcale nie musi być uderzenie. To znaczy, uderzenie też może być, ale tego popołudnia posunęliśmy się dalej w naszej fantazji. To niestety wszystko *top secret*<sup>5</sup>. Musieliśmy przysiąc, że nic nie wydostanie się na zewnątrz. Jedynie Spielberg coś później wygadał, nawet nie pamiętam co, ale raczej nic szczególnego. Najważniejszy wniosek tego popołudnia suto zakrapianego alkoholem brzmiał, że będzie dużo gorzej, niż można by sobie w najśmielszych snach wyobrazić. To było straszne. *A fucking nightmare*<sup>6</sup>. Stoimy na progu nowego okresu, okresu, w którym nie będzie żadnych świętości. Absolutnie żadnych. Renesans rozpoczął się dzięki nowemu rodzajowi armat — armat, będących w stanie przebić mury zamku. To właśnie te armaty zmieniły świat, jaki do tamtej pory był ludziom znany. Dramatycznie zmienił się układ sił. W ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat nadszedł kres tysiącletniego *status quo*. To dzieje się również obecnie. My, świat postępu, czyli Europa Zachodnia, Ameryka i niektóre obszary Azji, jesteśmy owym zamkiem. To my, od bardzo dawna, stanowimy o świecie. Jednak już niebawem pojawi się coś, co będzie w stanie przebić jego mury.

— I co to będzie?

— Już mówiłem, że tego nie mogę zdradzić. Ale w przeciwieństwie do ówczesnej armaty nie będzie to jedna rzecz, lecz kilka naraz.

Nic nie mogłem na to poradzić. Choć na początku wywody Stanleya nie bardzo mnie interesowały, to teraz mnie jednak zaciekawił.

— Ale możesz chociaż jedną z tych rzeczy zdradzić — powiedziałem. — Przysięgam, że nie pisnę ani słowa. Naprawdę.

By nadać wagi moim słowom, puściłem jedną ręką kierownicę, włożyłem dwa palce do ust, a następnie podniosłem je do góry, spoglądając z boku na Stanleya.

— Przysięgam! — powtórzyłem.

— Uważaj!

Z prawej na piaszczystą drogę wyskoczył nagle samochód. Znikąd. Nacisnąłem hamulec i jednocześnie pociągnąłem w lewo kierownicę. Kto wie, być może zbyt wolno. Wmawiamy sobie, że jesteśmy w stanie prowadzić, ale droga hamowania wydłuża się. Gdy samochody otarły się o siebie, rozległ się zgrzyt. Zderzenie to zbyt duże słowo. Kontakt. Metal o metal. Stanęliśmy w poprzek piaszczystej drogi. To znaczy: my się zatrzymaliśmy, tamten samochód po prostu pojechał dalej. Jego czerwone światła w mgnieniu oka zniknęły za zakrętem.

— To dopiero *motherfucker*! — wykrzyknął Stanley. — Ty to widziałeś? *Jesus Christ! Fuck him! Fuck this motherfucker!* <sup>7</sup>.

Jedną ręką puściłem kierownicę i przetarłem czoło. Zarówno ręka, jak i czoło były mokre od potu.

— Kurwa — zakląłem. — Kurwa mać!

— Ten sukinsyn nie miał włączonych świateł! Widziałeś? Wpierdolił się na drogę bez świateł!

— Ale przed chwilą widziałem jego tylne światła. Kiedy przyhamował.

— No właśnie! Przyhamował, ale nie miał włączonych świateł. Naprawdę!

Dopiero teraz zauważyłem, że zgasł silnik. Zrobiło się naraz bardzo cicho. Pod maską silnika jeszcze dwukrotnie coś głucho pyknęło. W dole słyhać było wyraźnie toczące się po plaży fale. Oprócz woni sosnowych igieł oraz soli poczułem zapach nadpalonej gumy.

— Marc, dajmy nauczkę temu bydlakowi. *We're gonna teach the motherfucker a lesson! Yes!* <sup>8</sup>.

— Stanley zwinął rękę w pięść i uderzył nią w schowek na rękawiczki.

Zrobiłem głęboki wydech. Obiema rękami objąłem mocno kierownicę. Kierownica też była mokra.

— Na co jeszcze czekasz, Marc? — zapytał. — *Come on, start the engines!* <sup>9</sup>.

— Stanley, to nie jest dobry pomysł. Za dużo wypilem. Mamy szczęście, że ten łajdak się nie zatrzymał. Mam tyle alkoholu we krwi, że wina byłaby po mojej stronie.

Stanley nie odpowiedział. Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

— Co robisz? — zapytałem, lecz zanim się zorientowałem, obszedł samochód wkoło i otworzył drzwiczki po mojej stronie.

— Przesuń się — powiedział.

— Stanley, to po prostu zły pomysł. Ty też piłeś, może nawet więcej ode mnie. W każdym razie nie mniej.

— Trzy kieliszki. Może się wydawać, że piję tyle, ile reszta, ale jeden kieliszek wystarcza mi na bardzo długo.

— Stanley...

— Ach, Marc, no posuń się. Nie mamy czasu. Jeśli ten drań wcześniej dojedzie na plażę, to nic mu nie będziemy mogli zrobić.

Gdy z trudem przeczołgałem się nad skrzynią biegów i opadłem na siedzenie obok kierowcy, po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, jak ciężka zrobiła się moja głowa. Ciężkość ta ciągnie cię w dół w chwili, gdy ustaje działanie alkoholu. Wiedziałem, na czym to polega. Organizm domaga się płynów. Wody. Ale w chwili, kiedy zaczynasz to odczuwać, jest już właściwie za późno. Teraz możesz już tylko iść na całego. Naprzód! Przyszła mi na myśl szklanka piwa. Duży kufel. Piwem zaatakujesz ciężkość od tyłu, w miejscu, w którym się tego nie spodziewa.

Stanley włączył silnik i dodał mocno gazu. Spod opon wyprysnął piasek.

— *Yes!* — wykrzyknął. — Trzymaj się mocno, Marc!

Na pierwszym zakręcie usłyszałem, jak spód samochodu szoruje po gładkich, leżących gdzieś wzdłuż drogi. Na drugim zakręcie Stanley minął drzewo jedynie o włos.

— Stanley! — zawołałem. — Stanley!

— Jest!

Niecałe trzydzieści metrów przed nami, przed kolejnym zakrętem, ujrzałem czerwone światła hamowania. Stanley włączał na przemian zwykłe i długie światła.

— Oślepiemy go, Marc — stwierdził. — Mamy go, Marc. Mamy go!

Zredukował bieg i dodał gazu. Motor zaryczał.

— Widziałeś *Speed Demons*? — zapytał, nie czekając na odpowiedź. — To był mój pierwszy niewielki przebój w Ameryce. Historia wprawdzie cieniutka, ale tylko taki scenariusz mogłem wtedy dostać. O wyścigach NASCAR, o chorym na raka kierowcy, który raz jeszcze chce zabłysnąć. Spychają go jednak z toru i ginie w płomieniach.

— Stanley, ja cię proszę...

— W filmie niewielka rola przypadła jego bratu, bratu tego kierowcy. Ja ją zagrałem. Jediną fajną rzeczą podczas kręcenia całego filmu było to, że mogłem pędzić po torze w takim samochodzie wyścigowym. Dwieście, trzysta kilometrów na godzinę. I stuknąć leciutko samochód jadący przed tobą, tak żeby się zakręcił.

Jechaliśmy teraz blisko za tamtym samochodem. Zobaczyłem, że było to stare renault 4. Stanley wcisnął klakson i go nie wyłączał.

— On nie może się zatrzymać. Wtedy to się nie uda. No, dodaj gazu, *motherfucker!*

Pociągnął za kierownicę, celując w tylny zderzak po prawej stronie. Ponownie rozległ się odgłos



metalpu pocierającego o metal, głośniejszy niż za pierwszym razem. Usłyszałem dźwięk rozbijanego szkła.

— *Got him!* [10](#)

Renault pośliznęło się na piasku i okręciło wokół osi. Przez chwilę wydawało się, że się przewróci. Z jednej strony samochód oderwał się co najmniej na metr od podłoża, przez sekundę zatrzymał się w powietrzu, następnie opadł jednak znowu na cztery koła. Myślałem, że Stanley szybko obok niego przejedzie, lecz on cofnął i ustawił nasz samochód obok renault.

— Sukinsynu! — krzyknął do kierowcy, który również opuścił szybę w drzwiach i patrzył na nas pełnymi strachu oczami. — Niech cię szlag trafi i to jak najszybciej! — I dodał gazu.

Rycząc ze śmiechu, prowadził auto przez ostatnie zakręty na plażę.

— Jezus, Marc, ty widziałeś jego minę? Ale ubaw! Poduczył się w dodatku niderlandzkiego. I to za darmo!

Nic nie odpowiedziałem. Kiedy kierowca renault na nas popatrzył, odchyliłem głowę do tyłu, starając się, by Stanley jak najbardziej mnie zasłonił. Włosy mężczyzny były w dużym nieładzie, w każdym razie w większym, niż kiedy widziałem go po raz pierwszy. Natychmiast jednak rozpoznałem w nim właściciela ekologicznego kempingu, który nie potrafił zająć się porządnie swoimi zwierzętami.

Stanley wciąż jeszcze nie mógł opanować śmiechu. Odwrócił się do mnie i podniósł w górę rękę. Minęła chwila, zanim zorientowałem się, że oczekuje, iż przybiję mu piątkę.

— Dwie butelki — powiedział.

— Słucham?

— Wypiłem dwie butelki wina, nie licząc kilku piw przed kolacją i brandy do kawy. Biorąc to wszystko pod uwagę, musisz przyznać, że jeszcze całkiem nieźle prowadzę.

---

1. Z ang.: „Taaak!... Zebra 1, jesteśmy w drodze!”. [\[wróć\]](#)

2. Z ang.: „wszystko jedno”. [\[wróć\]](#)

3. Z ang.: „absolutnie niewiarygodne”. [\[wróć\]](#)

4. Z ang.: „Na podstawie powieści Samuela Demmera”. [\[wróć\]](#)

5. Z ang.: „ściśle tajne”. [\[wróć\]](#)

6. Z ang.: „Pieprzony koszmar”. [\[wróć\]](#)

7. Z ang. (wulg.): „...skurwysyn... Jezu Chryste! Pieprzyć go, pieprzyć tego skurwiela!”. [\[wróć\]](#)

8. Z ang.: „Damy temu skurwielowi nauczkę! Tak!”. [\[wróć\]](#)

9. Z ang.: „No włączaj ten silnik!”. [\[wróć\]](#)

10. Z ang.: „Mamy go!”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 26

Plaża był pełna. Tłok był taki, że nie od razu znaleźliśmy resztę. Szukaliśmy najpierw na obwieszonych lampionami tarasach, następnie przeszliśmy dalej, obok rozpalonych ognisk, w kierunku morza. Wokół nas wlatywały w powietrze race. W ciszy pomiędzy wybuchami słychać było powolny rytm dochodzący z dyskotek, rozlewający się falami po piasku.

— Tam są — wskazał Stanley.

Niedaleko linii przyboju stali Ralph i Judith. Niemal natychmiast zobaczyłem też Lisę, za którą biegł Thomas. Lisa krzyczała, a potem upadła na piasek. Thomas rzucił się na nią.

— Dotarliście w samą porę — stwierdził Ralph.

Zakopał w piasku sztuczne ognie wielkości laski dynamitu i teraz nakładał na nie naczynie, które widocznie zabrał ze sobą z domu letniskowego. Był to ciężki, miedziany garnek z okrągłym dnem — stary garnek na zupe, pomyślałem, garnek, który zawieszało się na żelaznym łańcuchu nad ogniem.

Na chwilę zapadła cisza. Pół sekundy później rozległ się huk, a garnek zniknął. Nie widzieliśmy, jak leci w powietrze, nie, on po prostu naraz zniknął. W miejscu, w którym stał jeszcze przed chwilą, otwierał się krater o trzydziestocentymetrowym przekroju, skąd kręgami unosił się dym.

— Patrzcie tam! — zawołał Ralph.

Pokazywał w górę. Na oświetlonym wybuchającymi racami niebie ujrzeliśmy garnek. Trudno było ocenić wysokość. Sto metrów? Dwieście? Obracał się wokół własnej osi, niby kręcący się punkt, i wciąż unosił w górę. Niemal straciliśmy go z oczu, gdy zaczął opadać, ale nie nad plażą. Garnek zatoczył łuk i leciał w dół do morza. Na chwilę zniknął całkiem z pola widzenia, po czym ukazał się nam po raz ostatni jakieś dziesięć metrów ponad falami.

— I tak straciliśmy naszą kaucję — powiedziała Judith w momencie, kiedy garnek zniknął na dobre.

— Jezus, Maria! — wykrzyknął Ralph. — Widziałeś to? Widzieliście? Ale huk! A tutaj ten krater. Rany, chłopie!

Czułem, jak kawałki muszli wpadają mi do oczu.

— A jak wyjaśnimy to wkrótce w biurze nieruchomości? — zapytała Judith.

— Przestań nudzić, kobieto! Ten garnek leżał w składziku. Nawet nie zauważą, że go nie ma.

Spojrzałem prędko na Judith. Na jej czole, tuż nad nosem, pojawiła się zmarszczka. Na policzkach i w oczach odbijały się złote płomienie ognisk.

„To jest możliwe”, pomyślałem. „Mogę mieć tę kobietę. Jeszcze dziś wieczorem”.

Po chwili przypomniałem sobie wydarzenia, które miały miejsce w kuchni wcześniej tego dnia. Poczułem ukłucie w klatce piersiowej. Ciężkość, która zniknęła po tym, jak Stanley zepchnął z drogi

właściciela kempingu, ponownie zaczęła wypełniać moją głowę. Pomyślałem o mojej starszej córce, o Julii, która nas widziała, bo kto inny mógł to być? Matka Judith? Być może. Thomas albo Alex? Lisa? Lisę skreśliłem już z listy. Zachowywała się w stosunku do mnie zupełnie normalnie, chyba jako jedyna. Próbowałem wyobrazić sobie, co właściwie ta osoba, która stała za drzwiami kuchni, mogła zobaczyć. Może prawie nic, pocieszyłem się na krótko. A może właśnie wszystko, pomyślałem w następnym momencie.

Zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Julia. Lepiej, bym był wobec niej szczery. Nie, nie szczery, ale bezpośredni. „Nie wiem, co dokładnie widziałaś, ale mama Aleksa była czymś zasmucona, a ja próbowałem ją pocieszyć. Była smutna, ponieważ... z powodu, który sprawia, że dorosłe kobiety bywają nieraz smutne. Jeszcze ci to kiedyś wytłumaczę”.

— Judith? — zawołał Ralph. — Judith, dokąd idziesz?

Judith odwróciła się i, stawiając duże kroki, szła po piasku w stronę tarasów kawiarni. Nie oglądała się. Ralph uśmiechnął się do mnie i wzruszył ramionami.

— Nie zwracaj na nią uwagi, Marc — powiedział. — Gdy jest w takim humorze, nic do niej nie przemówi.

Przez chwilę rozważałem, czy nie pójść za Judith w stronę tarasów, ale natychmiast z tego zrezygnowałem. Byłoby to szyte zbyt grubymi nićmi. Sygnał byłby zbyt oczywisty. Później. Później nadarzy się odpowiednia sytuacja. Mógłbym przed nią udawać, iż jestem wrażliwszy od Ralpha. Co ja gadam? Ja przecież byłem wrażliwszy niż Ralph, dlatego też odpowiedziałem na jego uśmiech gestem oznaczającym mniej więcej: „Ach, kobiety! To trudne do zrozumienia istoty”.

— A to głędzenie na temat starego gara. Czy ty coś z tego rozumiałeś? — zapytał Ralph.

— Wiesz — odpowiedziałem. — Caroline też ma takie napady. A wtedy my mamy czuć się winni i cały czas próbować zgadnąć, co takiego przeskrobaliśmy.

Ralph zrobił krok w moją stronę i objął mnie ramieniem.

— Widzę, że znasz się na babach, Marc. No tak, przychodzą przecież codziennie do twojego gabinetu.

Z bliska z ust Ralpha coś było czuć. Miecznikiem... Podczas kolacji przykryłem moją porcję ryby serwetką i zjadłem jedynie kilka kawałków bagietki. Poczułem teraz pustkę w żołądku. Najpierw muszę coś zjeść. I napić się piwa, by przegnać ciężkość w głowie.

— Cofnijcie się! — zawołał Stanley.

Zdjął buty i stał zanurzony po kolana w falach. W obu rękach trzymał race. Śmiejąc się, kierował je w naszą stronę. Widziałem, jak iskrzyły lonty.

— Idź stąd! — zawołał Ralph. — Wyrzuć je, idioto!

Dopiero w ostatnim momencie Stanley odwrócił się od nas o sto osiemdziesiąt stopni i zwrócił race w stronę morza, ale nie skośnie w górę. Nie, horyzontalnie. Niemal natychmiast wyleciały z jego dłoni. Jedna zniknęła w podnoszącej się fali niespełna pięć metrów od plaży. Druga leciała, ocierając się o powierzchnię wody, w której, jak zobaczyłem, pływali ludzie. Niewielu, może z pięciu, ale zawsze...

Raca wbiła się pomiędzy huśtające się na falach głowy. Przez kilka sekund nic się nie działo. Nagle rozległo się głucho uderzenie, a w powietrze uniosła się fontanna wody. Pływający wydawali okrzyki i podnosili ramiona w górę, lecz Stanley, śmiejąc się, jedynie im odmachiwał.

— *Apocalypse Now! Apocalypse Now!* <sup>1</sup> — wrzeszczał przez złożone w tubę dłonie. — Ralph, Ralph! — zawołał. — Podaj mi jeszcze jedną, wykurzimy ich z wody!

O pierwszej racy nie zapomnieliśmy, ale już o niej nie myśleliśmy. Rozległo się uderzenie. Głęboki huk, odgłos, zrzucanej kotwicy — kotwicy, która pod powierzchnią uderza o skały, wynosząc w górę wodę, piach i kamienie. Coś wpadło mi do lewego oka. Stanley, który stał najbliżej miejsca wybuchu, stracił równowagę i upadł twarzą do przodu w falę. Na chwilę zanurkował całkowicie, po czym wynurzył się, parszkając i kaszląc.

— *Fuck!* — zawołał, udając, że zdejmuje z języka tasiemkę wodorostów. — *Friendly fire! Friendly fire!* <sup>2</sup>

Śmiał się przy tym — to jedyne, co w takiej sytuacji można zrobić — podobnie jak Ralph śmiał się z siebie samego, po tym, jak przewrócił się koło stołu do ping-ponga. Również ja i Ralph śmialiśmy się w głos, podczas gdy Stanley w ociekających wodą krótkich spodenkach i podkoszulku gramolił się na plażę.

Ktoś złapał mnie za nadgarstek.

— Tato? — zapytała Lisa. — Tato, mogę iść z Thomasem po lody?

— Tak, możesz — odpowiedziałem. Palcami wolnej ręki tarłem lewe oko i kilka razy mrugnąłem powieką. Oko zaczęło natychmiast łzawić, a ja poczułem kłujący ból. Coś w nim tkwiło. Kawałek muszelki lub ziarno piasku. — Gdzie jest Julia? — zapytałem Lisę.

Thomas wpadł na nią od tyłu i tak mocno popchnął, że wylądowała przodem na piasku.

— Thomas, do cholery!

— Lisa — zwróciłem jej uwagę — tak nie wolno... tak nie powinnaś...

Thomas uderzał pięściami w pierś i wydawał okrzyki przypominające Tarzana.

— Gdzie jest Julia? — zapytałem ponownie.

— A bo ja wiem? — odparła Lisa.

Podniosła się i uderzyła Thomasa dłonią w policzek — zdecydowanie zbyt mocno. W każdym razie mocniej, niż zamierzała.

— Kurna! — wykrzyknął Thomas. — Ty wstrętna małpo! — Próbował ją złapać, lecz Lisa pomknęła biegiem po plaży.

— To najpierw po piwku? — zapytał Stanley. Był przemoczony od stóp do głów. Jego mokre siwe włosy oblepiały czaszkę, pomiędzy ich pasmami prześwitywała gdzieś biała skóra.

Ralph wciąż krztusił się ze śmiechu.

— Powinieneś być to sfilmować, Stanley! To trzeba było nagrać!

— Gdzie jest Julia? — zapytałem Ralpa.

Stanley pomacał kieszenie spodni.

— *Fuck!* Całą moją kasę spłukało... A nie, jednak nie... — Wyciągnął z kieszeni kilka przemoczonych i sklejonych ze sobą banknotów. — Suszarka! — zawołał. — Królestwo za suszarkę!

— Gdzie są Julia i Alex? — zapytałem ponownie.

— Poszli do tej drugiej knajpy — odpowiedział Ralph. — Tam! — pokazał. — Za zatoką widać światełka...

— Sami? — zapytałem. — Tylko we dwójkę?

Zobaczyłem światełka, o których mówił Ralph. Niełatwo było określić odległość. Co najmniej kilometr, pomyślałem. Może nawet więcej niż dwa. Pomiędzy częścią plaży z oświetlonymi tarasami i ogniskami, a restauracją po drugiej stronie zatoki nie było niczego oprócz pograżonego w ciemnościach fragmentu plaży.

— Marc, młodości nie zatrzymasz. Tych dwoje nie ma ochoty na towarzystwo rodziców.

— Nie, zastanawiałem się jedynie... Mogliście chociaż poczekać, aż przyjdę.

Próbowałem ukryć złość z powodu tego, że Ralph pozwolił mojej córce pójść do innej restauracji, nie pomyślawszy nawet, czy ja uznałbym to za dobry pomysł. A może zachowuję się dziecinnie?, zastanawiałem się. Może jednak byłoby bardziej logiczne, gdyby powiedział do mojej córki: „Jeśli o mnie chodzi, możecie iść, ale powinniśmy poczekać, co na to powie twój ojciec”.

— Co ci się stało w oko? — zapytał Ralph.

— Nic. To znaczy, coś mi do niego wpadło. Ziarnko piasku, czy coś podobnego.

— Macie ochotę na piwo? — zapytał Stanley, trzymając w górze mokre banknoty.

- 
1. Z ang.: „Czas Apokalipsy! Czas Apokalipsy!”; nawiązanie do filmu *Czas Apokalipsy* (1979 r.) w reżyserii Francisa Forda Coppoli. [\[wróć\]](#)
  2. Z ang.: „Kurwa!... Bratobójczy ogień, bratobójczy ogień!”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 27

Ponieważ wszystkie stoliki na tarasie były zajęte, piliśmy piwo oparci o bar, który zapewne z tej okazji postawiono na środku plaży. Po Judith nie było śladu. Wydawało się, że Ralphowi nie sprawiało to różnicy. Nie próbował jej w każdym razie szukać.

— Kurwa mać, widziałeś to, chłopie? — zapytał, stawiając z hukiem kufel z piwem na barze. Śledząc jego spojrzenie, ujrzałem jakieś pięć metrów od nas, między stolikami, trzy dziewczyny ubrane w bikini. Stały zwrócone do nas plecami i rozglądały za wolnym stolikiem. Ralph potrząsnął głową.

— Co z oczu, to i z serca, Marc. Co ja bym za to dał, żeby się choć przez chwilę z nimi zabawić. Chociażby przez chwileczkę.

Polizał językiem górną wargę. Westchnął i zaczął bawić się zapięciem swoich spodenek. Gdy to robił, jego palce zjechały wzdłuż rozporoka. Nagle dostrzegłem ponownie wzrok drapieżnego ptaka, którym wcześniej rozbierał Caroline w foyer teatru. I tak jak wówczas, jego oczy zaszyły mgłą, gdy mierzył dziewczyny spojrzeniem od stóp do głów, zatrzymując je w końcu na ich pośladkach.

— Hej! — krzyknął Stanley. Odwróciliśmy się w jego stronę i zobaczyliśmy, jak macha do nich podniesioną ręką. — *Hey! Come! Come here!* <sup>1</sup>.

Ralph potrząsnął głową, zajrzał do szklanki z piwem, a następnie uśmiechnął się do mnie.

— Robi to, o czym my tylko myśleliśmy.

Wyglądało na to, że dziewczęta zastanawiały się, co robić. Pochyliły ku sobie głowy, chichotały. Próbowałem wyobrazić sobie, co widziały: trzech gości w średnim wieku w krótkich spodenkach z kufkami piwa w rękach. Najstarszy z nich wystąpił z inicjatywą. Na ich miejscu natychmiast poszedłbym dalej.

Tym większe było moje zdumienie, gdy zobaczyłem, jak po krótkim wahaniu zaczęły iść w naszą stronę. Zdarza się nieraz, że — patrząc od tyłu — źle szacujesz wiek kobiety. Widzisz długie włosy opadające na odkryte ramiona, lecz gdy kobieta odwróci się do ciebie przodem, okazuje się, iż jest piętnaście lat starsza, niż się spodziewałeś, oceniając ją po plecach. W tym wypadku jednak tak nie było. Wszystkie trzy nadawały się na okładkę „Vogue’a” albo „Glamour”. Próbowałem oszacować ich wiek. Dziewiętnaście? Dwadzieścia? W każdym razie nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i, rzeczywiście, raczej dziewczęta niż młode kobiety. Rzuciłem spojrzenie w bok, na Ralpha, który pociągnął jeszcze prędko łyk z kufka, zamlaskał i pogładził się ręką po brzuchu, jakby był głodny. Tak właśnie patrzył na trzy dziewczyny — jakby znajdował się na przyjęciu, na którym kelnerzy roznoszą na pełnych tacach krokiety, kielbaski i koreczki, i właśnie zbliżał się do niego smaczny kąsek, na widok którego zaczął się oblizywać.

— Niezłe laski — stwierdził. — Ja nie mogę, no piękności po prostu!

— *Good evening, ladies. Drinks? What will you have? White wine? Margaritas? Cocktails?*<sup>2</sup>

— Przy ostatnim słowie Stanley spojrział na nas szelmowsko. Był szybki. Już proponując drinki, oparł nonszalancko swą rękę na nagim ramieniu dziewczyny stojącej najbliżej niego. Znowu zachichotały, ale nie odeszły. Podały nam po kolei rękę i się przedstawiły. Powiedziały nam swoje imiona, a Stanley zapytał, skąd pochodzą. Jak zrozumieliśmy, dwie były z Norwegii, a jedna z Łotwy. Stanley spytał, czy są tutaj na wakacjach, czy w pracy, choć nie użył słowa „wakacje”, lecz angielskiego „*pleasure*”.

— *Work or pleasure?*<sup>3</sup> — zapytał dwuznacznym tonem, jakby uznał, że różnica pomiędzy „*work*” i „*pleasure*” ma drugorzędne znaczenie.

Wydało mi się, że dla dziewczyn to ostatnia szansa, by się z nami pożegnać, lecz one nie przestawały chichotać. Te dwie z Norwegii sączyły przez słomkę margarity. Dziewczyna z Łotwy wypila jednym haustem podwójną wódkę.

— No, Marc, masz szczęście, że twoja żona została bezpiecznie w domu — stwierdził Ralph. — I ten tam też — wskazał na Stanleya. — Ale ja naprawdę muszę uważać. Judith nie przeżyłaby tego. — Rozejrzał się badawczo wokół, a ja wraz z nim. — Ta mała jest zalana w pestkę. Możesz ją mieć.

Skinął głową na pijącą wódkę Łotyszkę. Swoim wzrokiem obiegnął ponownie nogi Norweżek, jeszcze raz mlaskając. Stanley objął tymczasem najbliżej stojącą dziewczynę. Udawał, że chce złapać wargami słomkę tkwiącą w jej margaricie, lecz — niby przypadkiem nie trafiając — zanurzył nos w jej uchu. Dziewczyna odepchnęła go, śmiejąc się, i powiedziała coś po norwesku do koleżanki, która złapała Ralpha za nadgarstki i przyciągnęła do siebie.

— Łoo! — powiedział Ralph. — Czekaj, czekaj... *Wait!*<sup>4</sup>. Jezus, ta jest napalona, Marc! Czym my sobie na to zasłużyliśmy?

Zobaczyłem, jak jeszcze raz prędko się rozejrzał, po czym objął dziewczynę w talii i przyciągnął do siebie. Nie, nie w talii, lecz nieco powyżej gumki od dołu od bikini. Chwilę później jego palce znalazły się pod gumką. Spojrzałem na jego rękę, na nadgarstek. Były nieproporcjonalnie duże. Jego nadgarstek wydawał się szerszy niż talia dziewczyny. Zauważyłem, jak włożył palce pomiędzy jej pośladki i pomyślałem o innych częściach ciała, w wypadku których proporcje również nie zgadzałyby się. Nie miałem jednak czasu, by oddać się tej fantazji. Dziewczyna próbowała odepchnąć Ralpha, i to wcale nie żartobliwie, jak jej koleżanka wcześniej Stanleya, lecz całkiem na serio. W przeciwieństwie do Ralpha widziałem jej twarz. Wykrzywiła usta, jakby zjadła coś paskudnego lub jakby coś ją nagle zabolalo, lecz Ralph, który nie widział jej reakcji, przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie, próbując jednocześnie pocałować w kark.

Rozległ się krzyk, prawdopodobnie jakieś przekleństwo po norwesku, które brzmiało jak „*Varkensfetter!*”. A potem jeszcze coś, po angielsku z wyraźnym akcentem.

— *Fok of!* — krzyknęła i prawie natychmiast wymierzyła cios kolanem w krok spodni Ralpha.

Ralph otworzył usta. Próbował nabrać powietrza, chwytając się ręką, która chwilę wcześniej

znajdowała się pod gumką jej majtek od bikini, przez materiał spodenek za krocze.

— Kurwa! — wycedził jedynie.

W tym momencie dziewczyna wylała mu na twarz resztkę margarity włącznie z kostkami lodu. Trudno powiedzieć, czy zrobiła to specjalnie, czy też tak dużo wypła, że jej motoryka była zaburzona, w każdym razie trafiła Ralpha brzegiem szklanki w górną wargę i zęby. Rozległ się dźwięk, jakby coś się stłukło lub odłamało. Nie od razu było jasne, czy chodziło o kawałek zęba, czy szkła. Ralph podniósł dłoń do ust, pomacał językiem górne zęby, a następnie popatrzył na swoje zakrwawione palce.

— Ty wstrętne kurwo! — wykrzyknął.

Zanim Stanley i ja zdążyliśmy go powstrzymać, wymierzył cios. Próbował uderzyć dziewczynę pięścią prosto w twarz, po jej kopniaku kolanem w krocze stał jednak niezbyt pewnie na nogach i spudłował.

— Ralph! — zawołał Stanley. — Ralph, opanuj się!

— Pieprzone kurwy! — krzyczał Ralph. — Najpierw prowokujecie towarzystwo, a potem udajecie Matkę Teresę. Ja was pierdolę!

Teraz złapał dziewczynę za nadgarstki. Pociągnął ją mocno w dół za ramię, przez co straciła równowagę i upadła na piasek, wrzeszcząc. Zobaczyłem, jak Ralph unosi stopę i zgina do tyłu nogę, jakby przygotowywał się do rzutu wolnego. W ostatniej chwili dotarło do mnie, że zamierza kopnąć dziewczynę w żołądek.

— Ralph! — zawołałem. — Popchnąłem go ramieniem w ramię, kopiąc jednocześnie z całych sił od tyłu w kolano. Był w niekorzystnym położeniu, bo stał na jednej nodze. Gdyby stał na obydwu, nie byłbym go w stanie wytrącić z równowagi, lecz teraz chwiał się przez ponad sekundę na jednej nodze, po czym zwalił się, niezwykle powoli, na ziemię, jak budynek wysadzony od dołu za pomocą materiałów wybuchowych. Tyłem głowy uderzył o bar. Usłyszałem trzask, ale nie byłem pewny, czy to jego czaszka, czy drewno, z którego bar był zrobiony.

Ze wszystkich stron biegli w naszą stronę ludzie, przede wszystkim mężczyźni. Mężczyźni, którzy, krzycząc, złapali mnie i Stanleya. Mężczyźni, którzy zajęli się próbującą się podnieść Norweżką. Słyszałem jeszcze, jak Stanley woła:

— Spokojnie, spokojnie!

Nie widziałem go jednak. Nie stał już w miejscu przy barze, gdzie jeszcze przed chwilą się znajdował.

— Stanley! — zawołałem.

Dwóch mężczyzn przewróciło mnie tymczasem tyłem na piasek. Trzeci usiadł mi na klatce piersiowej i całym ciężarem naciskał na żebra. Czuję, jak z płuc wyciska mi powietrze.

— Spokojnie! — Tym razem ja zapiszczałem. — Proszę, uspokójcie... — lecz miałem zbyt mało powietrza w płucach, by nadać siłę mojemu głosowi.

Kąciem oka dostrzegłem Norweżkę siedzącą na Ralphy. Kilkakrotnie uderzyła go pięścią w środek twarzy, aż dwóch silnych mężczyzn ściągnęło ją z niego.

---



1. Z ang.: „Hej, tutaj, chodźcie tutaj!”. [\[wróć\]](#)
2. Z ang.: „Dobry wieczór, paniom! Mają panie ochotę na drinki? Czego się panie napiją? Białego wina, a może margarity?”. [\[wróć\]](#)
3. Z ang.: „Praca czy przyjemność/rozkosz?”. [\[wróć\]](#)
4. Z ang.: „Czekaj!”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 28

Stałem w toalecie restauracji, w której pierwszego wieczoru jedliśmy kolację, i patrzyłem w lustro wiszące nad umywalką. Starłem się otworzyć lewe oko i jednocześnie do niego zajrzeć. Popatrzyłem tylko przez chwilę, ale to wystarczyło: ponad jedna trzecia oka pokryta była czerwonymi żyłkami. Wylew krwi. Coś — może ziarnko piasku, kawałek muszli albo maleńki kamyczek — wpadło mi do oka i wbiło się w rogówkę, lub, kto wie — pomyślałem, podczas gdy mój oddech przyspieszył, a serce zaczęło walić wolniej, ale głośniej — przebiło rogówkę i utkwilo w płynnej substancji w głębi gałki ocznej.

Oczy to moja pięta achillesowa. Mogę patrzeć na wszystko — na otwarte rany, złamania kości, piłę tarczową przecinającą zużytą kość udową, krew tryskającą na sufit sali operacyjnej, kwadratową dziurę w czaszce, odkryty mózg, bijące serce na srebrnej tacy, zakrwawione rolki gazy opatrunkowej w przeciętej od gardła po pępek klatce piersiowej — na wszystko oprócz rzeczy związanych z oczami. Rzeczy, które nie powinny się w nich znajdować, przede wszystkim na kawałki szkła, piasek, kurz, soczewki kontaktowe, które zsunęły się niemal na tył gałki ocznej... Zgodnie z przysięgą, którą złożyłem jako lekarz pierwszego kontaktu, po pomoc do specjalistów staram się wysyłać jak najmniej pacjentów, lecz pacjenci mrugający oczyma w poczekalni nie przekraczają nawet progu mojego gabinetu.

— Ten mężczyzna z zakrwawioną chusteczką przy oku? — mówię do mojej asystentki. — Postaraj się, żeby zniknął. Natychmiast. Niech jedzie na pogotowie albo wypisz skierowanie do okulisty. Nie zjadłem jeszcze śniadania, nie jestem w stanie tego w tej chwili znieść.

Nie wiem, skąd to się wzięło, zapewne z wypartych wydarzeń z przeszłości. Większość fobii ma korzenie w pierwszych czterech latach życia: strach przed pajakami, wodą, kobietami, mężczyznami, przed dużą otwartą przestrzenią, lub przeciwnie, przed wystrzeliwującymi wysoko w górę pasmami górskimi, przed ropuchami i konikami polnymi, leżącymi na talerzu łbami ryb jeszcze z oczami, przed zjeżdżalniami na basenie, centrami meblowymi i tunelami dla pieszych — zawsze znajdzie się jakaś przyczyna, czy też — jak mówią ludzie — traumatyczne przeżycie. I umawiają się na pierwszą orientacyjną wizytę u psychoanalityka. Po latach grzebania i rozdrapywania przeszłości coś w końcu wyjdzie na wierzch: zagubiona w supermarkecie matka; kapiąca świeca; ślimak w bucie do tenisa; „miły” wujek, który przez zwiniętą w rulon gazetę robił kółka z dymu z papierosów, ale w zamian, wieczorem, chciał się bawić twoim ptaszkiem; ciotka z brodawkami i wąsem, która całowała cię na dobranoc; nauczyciel pod prysznicem na obozie letnim — dolna część jego pleców przechodzi płynnie w pośladki, za kością ogonową skóra chowa się w ciemnej, wąskiej szparze — myjący swego cienkiego, bladego kutasa różową myjką — po obozie musisz przywoływać się do porządku, gdy na szkolnej tablicy rysuje trójkąt równoramienny.

Szeroko otwarte, łzawiące oko przypomina mi sadzone jajko, które się nie ścięło, żółtko i białko są jeszcze płynne i trzęsą się na patelni jak meduzy na plaży.

Ktoś szarpnął drzwiami toalety.

— Idź sobie — powiedziałem po niderlandzku. — Przecież widzisz, że zajęte.

Moje zranione oko udawało mi się za każdym razem otworzyć zaledwie na kilka chwil, nie tylko ze względu na okropny widok, ale i z powodu ostrego bólu, jak gdyby ktoś gasił niedopałek na jego białku — na jajku sadzonym, jak nie omieszkałem pomyśleć.

Ktoś ponownie pociągnął za drzwi. Nie tylko pociągnął, ale trzykrotnie w nie uderzył. Odezwał się męski głos, mrużący w obcym języku coś, czego nie zrozumiałem.

— Jezus, Maria — powiedziałem.

Kilkakrotnie zamrugałem łzawiącym okiem, ale to nie pomogło. Nie udało mi się go już otworzyć bez odczuwania przy tym nieznośnego ukłucia bólu. Zakląłem. Oderwałem z rolki spory kawałek papieru toaletowego, zmiąłem w kulę i zmoczyłem wodą. Gdy przyłożyłem mokry papier do oka, ból pod wpływem zimna zelżał na krótką chwilę.

— Wchodź, twoja kolej — powiedziałem do mężczyzny czekającego w kiepsko oświetlonym korytarzyku za drzwiami toalety. Miał na sobie krótkie spodnie i podkoszulek bez rękawów, a jego nieogolone policzki, górna warga i broda były spocone. Chciałem iść dalej, ale jeszcze raz na niego spojrzałem. Jego twarz wydała mi się znajoma, choć nie wiedziałem skąd. W tym samym momencie zauważyłem coś jeszcze: mężczyzna także spojrzał na mnie, jakby mnie rozpoznał, jego oczy leciutko rozbłysły, gdy prawdopodobnie próbował umieścić moją twarz w odpowiednim kontekście.

— *I sorry* — powiedział z wyraźnym akcentem. — *I hurry* <sup>1</sup>. — Uśmiechnął się.

Wzrokiem objąłem jego nagie ramiona. Na jednym z nich znajdował się niewielki tatuaż w kształcie ptaka, orła — jak zauważyłem — ściskającego w szponach krwawiące serce. Na drugim ramieniu u góry widniało kilka czerwonych pasków, jakby rozdrapał ranę lub miejsce po ukąszeniu komara.

Podążył za moim wzrokiem, dotknął ranki czubkami palców i ją potarł. Jego ramię było mokre od potu, gdy odsunął palce, zostało na nim jedynie kilka cienkich kreseczek. Jeszcze raz skinęliśmy głowami, po czym zniknął w toalecie.

Zanim postawiłem nogę na tarasie restauracji, gruntownie się rozejrzałem przy drzwiach zewnętrznych prowadzących do toalety. Popatrzyłem w szczególności w stronę baru, przy którym jeszcze przed niecałym kwadransem kilku mężczyzn przewróciło mnie plecami na piasek. Nie było tam nikogo. Ani śladu po Ralphie, Stanleyu i trzech dziewczynach. Trzymając ciągle mokrą kulę papieru toaletowego przy oku, przeciskałem się pomiędzy stolikami. Nie byłem pewien, czy to sobie tylko wyobrażam, ale odniosłem wrażenie, że moje oko zaczęło pulsować — nie samo oko, lecz obszar z tyłu za nim. Jak pamiętałem z zajęć na studiach, to tutaj znajdowały się mięśnie i ścięgna przytrzymujące oko w oczodole. Z zajęć z okulistyki, na których jedynie udawałem, że uważam. Przy każdym kolejnym slajdzie, wyświetlanym przez profesora, starałem się wbić jak najgłębiej w ławkę. Na jednym z nich widać było

oko, które luźno zwisało z oczodołu, trzymając się czaszki jedynie na zakrwawionych żyłach. Jęczałem tak głośno, że wykładowca przerwał wykład, sprawdzając, czy komuś nie zrobiło się słabo.

Teraz czułem pulsowanie z tyłu oka, pulsowanie, które idealnie podążało za dźwiękiem basów, dochodzącym z ustawionych gdzieś na plaży głośników — tak idealnie, że nie można było odróżnić od siebie tych dwóch rytmów.

Możliwe, że się zagapiłem, że mając jedno oko zamknięte, źle oceniłem odległość, lecz z drugiej strony dziewczyna siedząca przy ostatnim stoliku na tarasie, która trafiła mnie lewą ręką w twarz pod nosem, poderwała się niezwykle gwałtownie i niezgrabnie. Zrobiłem kilka chwiejnych kroków do tyłu. Udało mi się jednak odzyskać równowagę, zanim o mały włos nie wyśladowałem na kolanach prawie nagiego mężczyzny.

— Przepraszam! — powiedziałem do niego, pomacałem nos i popatrzyłem na palce. Nie było na nich krwi.

— Przepraszam! — powiedziała teraz dziewczyna. Rzuciła niespokojnie wzrokiem na moją dłoń przyciskającą do oka papier toaletowy, ale zanim zdążyła wyciągnąć błędne wnioski, zapewniłem:

— Wszystko w porządku. Nic się nie stało.

Dziewczyna była niewysoka, ale za to otyła. Przyjrzałem jej się teraz i po raz drugi w ciągu pięciu minut ujrzałem znaną mi skądś twarz. Tym razem trwało to zaledwie kilka chwil, zanim się zorientowałem, że to dziewczyna z biura nieruchomości. Dziewczyna, która obiecała, że jak tylko będzie to możliwe, przyśle montera, by rozwiązał problem z wodą.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, kim był mężczyzna, który przed chwilą szarpał za drzwi toalety. To monter! Monter, który wdrapał się na dach, by udrozić zatkany zbiornik na wodę. Czy oni nie byli parą? Popatrzyłem w oczy dziewczyny i dopiero teraz zauważyłem, że były załzawione. Mokre od łez i zaczerwienione. Zamrugła powiekami i ponownie wykrztusiła przeprosiny.

Podniosłem dłoń do góry. Chciałem powiedzieć, że nie szkodzi. Może monter właśnie zakończył związek? Na jej policzkach widniały czerwone plamy. Płakała, kiedy z nią zrywał. Płakała, mocno trąc rękoma oczy i policzki. Zastanawiałem się przez moment, czy to niesprawiedliwe, że taka brzydka dziewczyna zostaje porzucona, czy może zawsze się z tym liczy? Może nie spodziewa się, że będzie inaczej i jest szczęśliwa, kiedy jakiś spocony fachowiec przez kilka tygodni (lub godzin) całuje ją w kark i szepcze do ucha czułe słówka?

— Muszę... muszę już iść — powiedziałem. — Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową. Przez czerwone plamy nie było dokładnie widać, lecz wydawało się, że znowu się rumieni. W chwilę później przemknęła obok mnie w stronę restauracji.

Gdy przechodziłem koło baru, nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Mężczyźni, którzy mnie i Ralpa przewrócili na ziemię, przenieśli się gdzie indziej w poszukiwaniu rozrywki. Kilkaset metrów dalej Lisa i Thomas biegali za piłką z grupą dzieci w swoim wieku. Na szczęście nie zauważyli zamętu przy barze. Zanim zamknąłem się w ubikacji, by sprawdzić, co z moim okiem, podszedłem na chwilę do

Lisy.

— Nie odchodź stąd, dobrze? — poprosiłem. — W razie czego jestem tam, w toalecie. — Wskazałem na restaurację, ale nie odniosłem wrażenia, że słucha, co do niej mówię.

— Dobra — odpowiedziała, nie patrząc na mnie, po czym pobiegła po piasku za Thomasem i jeszcze trzema chłopcami, kopiącymi przed sobą piłkę.

Ralphowi w końcu udało się wyrwać z rąk mężczyzn przyciskających go do ziemi. Był wściekły. Przeklinając podniósł plastikową torbę z racami i wielkimi krokami oddalił się w stronę morza. Mnie puścili już wcześniej.

— Chodź, Marc! — zawołał jeszcze. — Niech te sukinsyny bronią dziwek, jeśli im to dobrze robi. — Nie obejrzał się jednak, czy za nim podążam.

Nie wiadomo było, gdzie tymczasem podział się Stanley. Wyprostowałem się, strzepnąłem piasek z koszuli i spodenek i — jednym okiem — rozejrzałem się dokoła.

W tym momencie pijąca wódkę Łotyszka straciła przytomność. Najpierw stała po prostu wśród nas, trzymając w ręku pusty kieliszek, a potem nagle upadła. Bezdźwięcznie, jak spadający z drzewa liść, nic więcej. Mężczyźni pochylili się nad nią. Uderzali ją dłońmi po twarzy. Ktoś podstawiał jej pod nos pieprzniczkę, ktoś inny wziął z baru szmatkę i ocierał jej czoło, a jeszcze inny odsunął powiekę, lecz widać było jedynie białko oka. Prędko odwróciłem wzrok i mimowolnie pomacałem własne oko.

— Lekarz — powiedział ktoś. — Musimy iść po lekarza.

To było możliwe. Jeszcze mogłem sobie pójść. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nabrałem powietrza głęboko w płuca i popatrzyłem na morze. Już prawie nikt nie odpalał rac, morze było ciemne, a nad nim rozciągało się czarne niebo upstrzone gwiazdami. W ciszy pomiędzy dźwiękami basu słychać było szum fal.

— Ja jestem lekarzem — powiedziałem.

---

1. Z ang. (niepoprawnie): „Ja przepraszać... Ja spieszyć się”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 29

Później często się zastanawiałem, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby Łotyszka nie straciła przytomności. Czy zdążyłbym wtedy na czas? Kalkulowałem i liczyłem, lecz nigdy nie udało mi się znaleźć odpowiedzi. To tak, jak wtedy, gdy komuś coś powiesz — coś nieprzyjemnego. Tak ci się przynajmniej wydaje. Nie śpisz całą noc, rekonstruując w myślach rozmowę. Z upływem czasu słowa coraz bardziej się zacierają. Następnego dnia zbierasz się na odwagę i pytasz: „Czy nie sprawiłem ci wczoraj przykrości?”. A odpowiedź brzmi: „Nie mam pojęcia, o czym mówisz”.

Faktem jest, że reanimacja Łotyszki zajęła mi kwadrans. Zbadałem jej puls, przyłożyłem ucho do piersi, a właściwie — dokładnie rzecz biorąc — pomiędzy piersiami, by posłuchać, czy do płuc nie dostał się płyn (wódka!). Z doświadczenia wiedziałem, iż była to kwestia życia i śmierci. Dziewczeta takich rozmiarów — a, jak się później przekonałem, podnosząc ją z piasku, nie ważyła nawet czterdziestu kilo — mogą w jednej chwili umrzeć z powodu przedawkowania alkoholu. Organizm nie wie, co zrobić z taką wielką ilością alkoholu. Nie ma na niego miejsca. Serce robi nadgodziny i na okrągło pompuje alkohol, krew nie przestaje krążyć w żyłach, nie może z nich uciec. Po upływie pewnego czasu serce się poddaje. Pompuje coraz słabiej, aż w końcu staje. Nie miałem czasu, by zastanawiać się nad tym, co pochyleni nad dziewczyną mężczyźni mogą sobie pomyśleć. Położyłem ucho pomiędzy jej piersiami. Były małe, prawie nie tłumiliły odgłosu bijącego serca. Biło ciężko i powoli. Ostatnie stadium. Mogło się zatrzymać w ciągu pięciu minut. Podłożyłem lewe ramię pod jej głowę i lekko ją podniosłem, kładąc jednocześnie prawą rękę płasko na jej brzuchu. Przyciskając usta do jej ust, poczułem wódkę. Oddychanie usta-usta. Do tej pory zaledwie kilka razy musiałem je zastosować. Raz w przypadku topielca na kempingu: ojca trojga dzieci, który zjeżdżając ze ślizgawki, uderzył tyłem głowy o brzeg basenu i natychmiast poszedł na dno. Za drugim razem chodziło o leciwego pisarza, który stracił przytomność w moim gabinecie podczas wypłukiwania woskowiny z ucha. Dobrze to pamiętam: przez chwilę przypatrywałem się srebrnej miseczce, którą trzymałem w ręku, i dryfującemu w wodzie czarnemu korkowi z woskowiny. A potem spojrzałem na pisarza. Przewrócił się na bok, na stół zabiegowy. Pomyślałem, jak to częściej się zdarzało, o moich wyborach jako lekarza. Komu pomagasz najpierw? Wcześniej czy później każdy lekarz zostanie skonfrontowany z tym pytaniem, choć wszyscy temu zaprzeczają. W rzeczywistości wybór jest bardzo prosty, choć rozważań na jego temat nigdy głośno się nie wypowiada. Ojciec trojga dzieci ma większe prawo do reanimacji niż autor, którego dorobek pisarski jest w zasadzie kompletny, którego — jak to się określa — „szczyt możliwości twórczych” przeminął i nic nowego już nie wymyśli. Z tonącego statku ratuje się najpierw kobiety i dzieci. W idealnym świecie starzec, który przeżył już swoje życie, oddaje swoje miejsce w łodzi ratunkowej młodej matce

z dzieckiem. W naturze starzec nie pełni już żadnej funkcji. W wypadku młodej dziewczyny byłoby szkoda, gdyby przyjechała aż tutaj z dalekiej Łotwy, by umrzeć na plaży z powodu zatrucia alkoholem. Wiedziałem, jak to w oczach obecnych osób wygląda — w oczach osób, które właśnie nadeszły, nic jeszcze nie wiedząc. One nie widzą lekarza zajętego czynnościami ratowniczymi, lecz dorosłego mężczyznę, który pochyla się nad dziewczyną i przyciska usta do jej ust. Jego wolna ręka znajduje się na wysokości jej pępka...

Zacisnąłem jej nos i wdmuchałem powietrze do płuc, jednocześnie mocno uciskając jej podbrzusze. Już po jednym razie wszystko podeszło do góry. Nie miałem nawet czasu, by odsunąć moje wargi z jej warg. Fala wódki wdarła się do moich ust. Nie tylko wódki. Trująca mieszanka wódki, strawionych resztek jedzenia oraz soków żołądkowych. Jednym ruchem podciągnąłem ją do góry, by nie zachłysnęła się własnymi wymiocinami. Polizałem wargi i kilkakrotnie splunąłem na piasek. Reszta rozlała się po jej brzuchu i nogach. Dziewczyna jednak otworzyła oczy i wydała z siebie dźwięk. Na początku jeszcze niewyraźny, podobny do nadchodzącego z daleka odgłosu wreszcie odetkanego zlewu. Potem zabrzmiały także głoski i słowa — jak było słyhać — w jej własnym języku, po łotewsku. Stałem, podtrzymując jej ramiona za nadgarstki do góry. Powietrze. Tlen. Powinna teraz nabrać jak najwięcej tlenu w płuca. Kilku z mężczyzn, którzy wcześniej obezwładnili Ralpa, Stanleya i mnie, bili brawo. Jest to zwykle najpiękniejszy moment. Lekarz uratował przed chwilą czyjeś życie. Przez kilka minut stoi w świetle reflektorów. Ojciec trojga dzieci przyniósł mi następnego dnia butelkę wina. Uratowani zdają sobie sprawę, że to mogło się dla nich źle skończyć. A potem o tobie zapominają.

Kiedy z przymrużonym lewym okiem odchodziłem w stronę restauracji, tłum rozstępował się przede mną. Parę osób poklepało mnie po ramieniu. Ktoś podniósł do góry kciuk, inny puścił oko. W różnych językach mamrotano pochwały, mnie jednak opanowało przede wszystkim dręczące uczucie niepokoju. Zastanawiałem się, czy nie wziąłem zbyt lekko tego, iż moja trzynastoletnia córka poszła z piętnastoletnim chłopakiem do restauracji oddalonej stąd o półtora kilometra. Nie chciałem być małostkowy. Zdenerwowałem się wprawdzie na Ralpa, który nie czekając na mnie, pozwolił Aleksowi i Julii tam pójść, ale natychmiast o tym zapomniałem. Miałem — z trudem to przyznałem — na głowie inne sprawy. Inne sprawy spowodowały, że fakt, iż trzynastoletnia dziewczynka poszła ciemną plażą do oddalonej od nas restauracji, zszedł na dalszy plan. Starłem się okiełznać szalejącą fantazję. Z całych sił próbowałem utrzymać na wodzy moją wyobraźnię. Najpierw oko, przekonywałem samego siebie. Z przymrużonym, pulsującym i bolącym okiem byłem na wpół inwalidą. Lecz od chwili, gdy wszedłem do ubikacji i po raz pierwszy spojrzałem w lustro, nie mogłem się opanować. Myślałem o tym, co każdemu ojcu prędzej czy później przychodzi do głowy. Powinienem dodać: każdemu ojcu, który ma córki. Ciemny odcinek plaży. Nieoświetlona część parku w drodze ze szkoły do domu. Tego wieczoru kręciło się tu wielu pijanych mężczyzn. Pomyślałem o Aleksie. Z jego strony moja córka raczej nie musiała się niczego obawiać. To miły, nieco powolny chłopiec, który chętnie trzymał ją za rękę — a, kto wie, może i więcej. Byłby w każdym razie zbyt łagodny i powolny na wypadek, gdyby pijani mężczyźni

stali się nachalni wobec mojej córki. Gdzieś na tej nieoświetlonej części plaży lub w tamtej knajpie. Nie wyobrażałem sobie innej sytuacji: nie wydawało mi się prawdopodobne, by Julia zachowywała się tak jak tamta pijana Łotyszka. Podczas wakacji pozwalaliśmy jej w restauracjach spróbować od nas piwa czy wina. Ale właściwie wcale jej na tym nie zależało. Przystawiała kieliszek do ust i robiła kwaśną minę. Wydawało się, że pije nie dla siebie, lecz po to, by sprawić nam przyjemność. Nie, myślałem przede wszystkim o pijanych, złych facetach, którzy mogli uznać trzynastoletnią dziewczynkę za łatwą ofiarę, o obleśnych chłopach, takich jak... Ralph, przemknęło mi nagle przez myśl.

Myślałem jeszcze o czymś: o Caroline. Już mówiłem o tym, jak często odgrywam rolę pobłażliwego ojca, który na wszystko pozwala — no może nie na wszystko, ale w każdym razie na więcej niż zatroskana matka. W towarzystwie Caroline bardzo łatwo mi to przychodzi. Gdy zostaję sam, wpadam w panikę. W ogródku kawiarni, w domu towarowym, na plaży — wszędzie tam, gdzie jest dużo lub, przeciwnie, zbyt mało ludzi, lub w ciemnych miejscach, częściej rozglądam się wkoło sprawdzając, czy Julia i Lisa się nie zgubiły. Wprawdzie teraz nie aż tak często, jak wtedy, gdy były jeszcze małe... Uczucie paniki ma dwa oblicza. Pierwsze to zwykły strach przed tym, co w każdej chwili może się zdarzyć: przed piłką wtaczającą się na ulicę, na której panuje nateżony ruch, przed pedofilem lub wysoką falą, zabierającą je na otwarte morze. Druga to twarz Caroline, albo — mówiąc precyzyjniej — jej głos, mówiący: „Powinieneś był lepiej uważać” i „Jak mogłeś je tam same zostawić, przy takim ruchu?”. Nieraz zastanawiałem się, czy wpadałbym w taką panikę, gdybym był sam. Naprawdę sam. Gdybym był samotnym ojcem, wdowcem. Przy ostatnim słowie moja wyobraźnia natychmiast się zacinała. Moja fantazja po prostu przestawała wtedy działać. Mówiłem sobie, że lepiej nawet o tym nie myśleć i moja wyobraźnia zamierała.

I także w tym momencie usłyszałem głos Caroline: „Jak mogłeś pozwolić jej samej iść do tej restauracji?” Popatrzyłem do lustra w toalecie. W moje zakrwawione oko. „Nic na to nie mogłem poradzić” — formułowałem w myślach odpowiedź. — „Już ich nie było, a Ralph i Judith im na to pozwolili...”.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że odpowiedź ta nie przekonywała. Była zupełnie do niczego.

I zanim głos Caroline zdążył wypowiedzieć zdanie: „Gdybym pojechała z wami na plażę, to nic by się nie stało”, powziąłem decyzję.



## ROZDZIAŁ 30

Najpierw próbowałem dodzwonić się oczywiście na jej komórkę. Przed rokiem, kiedy przechodziła z podstawówki do gimnazjum, Julia dostała od nas telefon. Dla bezpieczeństwa, jak sobie tłumaczyliśmy. Mogła do nas w każdej chwili zadzwonić, a my do niej — tak sobie to wyobrażaliśmy. Od samego początku wyrobiła w sobie jednak sprytną umiejętność włączania komórki tylko wtedy, gdy jej to odpowiadało. „Miałam ją w torbie i chyba dlatego nie słyszałam dzwonka”, mówiła, albo: „Wyczerpała się bateria”.

Nie zdziwiło mnie więc, gdy po wykręceniu jej numeru i trzech sygnałach połączyłem się z pocztą głosową. Wiedziałem, że nagranie wiadomości nie ma sensu, gdyż nigdy ich nie odsłuchuje. Nie zaskoczyło mnie to, a z drugiej strony również specjalnie nie zaniepokoiło. Możliwe, że nie wzięła ze sobą komórki, tylko zostawiła ją w domu. A nawet jeśli ją przy sobie miała, to tego wieczoru na pewno jej nie włączyła. Która trzynastoletnia dziewczyna przebywająca z fajnym chłopakiem na plaży, pod gwiazdami, miałaby w taki wieczór ochotę na telefon od wiecznie czepiających się czegoś rodziców?

— Widziałaś Judith? — zapytałem Lisę po tym, jak z trudem udało mi się przyciągnąć jej uwagę. Wzdychając, podeszła do mnie.

— Kogo? — Tak naprawdę nie słuchała. Jej spojrzenie skierowane było na grających w piłkę chłopców.

— Judith. Mamę Thomasa.

Nie odpowiedziała. Miała spoconą twarz, odgarniała włosy z oczu.

— Lisa...

— Tak?

— O coś cię pytam.

— Przepraszam. Co mówiłeś? — Po raz pierwszy na mnie spojrzała. — Tato, co ci się stało w oko?

Zacisnąłem mocno oko, a następnie próbowałem je otworzyć, lecz na darmo. Natychmiast zaczęło łzawić.

— Nic — odpowiedziałem. — Coś mi do niego wleciało, jakaś muszka, czy coś takiego...

— Mama Thomasa jest tam! — Wskazała na przeciwną stronę kawałka plaży, który służył za boisko do piłki. W tamtym miejscu plaża unosiła się lekko ku górze, zaraz za nią było morze. Judith siedziała na piasku z podwiniętymi nogami. Na początku nie widziała, jak do niej macham. Dopiero po chwili mnie zauważyła i mi odmachała.

Chciałem powiedzieć Lisie, żeby poszła się znowu bawić, ale już jej nie było. Przeszedłem na drugą stronę plaży, pomiędzy piłkarzami.

— I co? — zapytałem, stając przed nią. — Ile jeszcze rac odpałaś?

W palcach trzymała papierosa. Włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem z niej własną paczkę. Pochyliłem się nad Judith, by podała mi ogień.

— Pójdę w stronę tamtej restauracji. Zobaczę, dokąd poszli Alex i Julia.

Powiedziałem to spokojnym tonem, możliwe jednak, że w moim głosie zabrzmiał niepokój.

— Chcesz, żebym z tobą poszła? — zapytała Judith.

Zaciągnąłem się papierosem. Niecałe pięć metrów za nami w piasek uderzały fale. Drobne krople rozbijały się na mojej twarzy.

— No nie wiem... — Wskazałem do tyłu, tam gdzie nasze dzieci grały w piłkę.

— Oni na nas nie zwracają uwagi. Tutaj jest dużo ludzi. Jeśli stąd nie będą odchodzić... — Podniosła się z piasku. — Idę powiedzieć Thomasowi, że za chwilę wrócimy. Co ci się stało w oko?

Ciemny fragment plaży był jaśniejszy, niż się tego spodziewałem. Gdzieś tam za wydrami i na wydmach stały domy letniskowe z oświetlonymi werandami. Już po około dziesięciu minutach dudnienie niskich tonów ucichło, a odgłosy dochodzące z drugiej restauracji stały się głośniejsze. Była to, jak zauważyłem, inna muzyka: chyba salsa, w każdym razie coś południowoamerykańskiego. Judith zdjęła klapki i niosła je w rękę.

Mój niepokój sprzed kilku minut nagle zniknął. Pomyślałem, że — jak zwykle — niepotrzebnie się martwiłem. Cóż tu się mogło takiego wydarzyć? Od czasu do czasu spotykaliśmy idące z naprzeciwka grupki przeważnie młodzieży, nastolatków w sięgających do kolan kąpielówkach lub bikini, i pojedyncze wtulone w siebie pary, które co pięć metrów przystawały, by się pocałować.

— Przepraszam, że tak nagle odeszłam — powiedziała Judith. — Ale nie mogę znieść, gdy Ralph zachowuje się w ten sposób. Jest wtedy jak duże dziecko. Zapomina nieraz, że sam ma dzieci. Bardzo mnie denerwuje, gdy tak postępuje w ich obecności.

Nic nie odpowiedziałem. Idąc koło niej, zbliżyłem się nieco, tak że nasze ramiona leciutko się otarły. Dochodził mnie jakiś niewyraźny zapach: woń morza i zapach perfum, albo dezodorantu. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, lub — wyrażając się precyzyjniej — kwestia wyczucia chwili. Objąć ją w tej chwili byłoby za szybko. Szacowałem odległość do świateł restauracji. Dziesięć minut. W ciągu dziesięciu minut mogła być całkowicie moja, ale musiałem subtelnie zabrać się do roboty, to znaczy: subtelnie w jej oczach.

— Mnie to właściwie bawi, jak bardzo Ralph potrafi się nieraz zatracić w tym, co robi — stwierdziłem. — Czy to chodzi o nurkowanie, czy rąbanie ryby na kawałki, wszystkim zajmuje się z takim samym entuzjazmem. Wszystkiemu poświęca tyle samo energii. Czasem mu nawet tego zazdroszczę. Ja tyle energii nie posiadam.

Kobiety narzekają na mężczyzn. Wszystkie kobiety. Czasem chcą się po prostu wygadać. Nigdy nie należy dać się w to wciągnąć. Przenigdy. Nie należy dawać im do zrozumienia, że dokonały złego

wyboru. Wprost przeciwnie. Należy bronić krytykowanego mężczyzny. Broniąc go, chwalimy pośrednio ich dobry smak.

— Tak uważasz? — zapytała Judith. — Mnie to czasem bardzo męczy. Ten jego zapał.

Wcześniej, na plaży, podczas wystrzeliwania w powietrze garnka, Ralph nazwał swą żonę zrzędą i według mnie miał rację. Judith lubiła zrzędzić. Już podczas odpalania rac w ogrodzie letniego domu zrzędziła i narzekała bez powodu. Ale była ładna i dobrze pachniała. Z taką kobietą jak Judith nie należało się żenić. Za każdym razem, gdy wchodziłaby do pokoju, musiałbyś zdejmować nogi ze stołu. Musiałbyś kosić trawę na czas i nie wolno by ci było pić piwa w łóżku. Gdybyś puścił bąka albo gdyby ci się odbiło, robiłaby zafrasowaną minę, tak jak podczas strzelania garnkiem. Lecz ja, na szczęście, nie byłem jej mężem. Miałem ją jedynie na dzisiejszy wieczór i może jeszcze najwyżej na kilka razy po tym, jak wszyscy wrócimy z wakacji.

Trudno było mi tak otwarcie przyznać, być może nie zdawałem sobie nawet z tego tak do końca sprawy, ale to właśnie jej narzekanie mnie podniecało. Kobieta, która nie potrafi się śmiać z pierdzących mężczyzn. Kobieta, która — gdyby tylko nadarzyła się okazja — wyrzuciłaby ich z klasy. Musielibyśmy czekać na korytarzu, aż ponownie zawoła nas do środka. Tak fantazjując, poczułem, jak mój członek w spodniach szuka dla siebie miejsca. Opanowałem chęć rzucenia się na Judith już w tej chwili i rzucenia jej na piasek. Połowiczny gwałt — to podoba się wszystkim kobietom. Wszystkim bez wyjątku.

— Rozumiem, że cię to męczy — odparłem. — Z drugiej strony chyba nigdy się nie nudzisz z takim mężczyzną jak Ralph. On zawsze coś wymyśli.

Byłem pewien, że sam zanudziłbym się na śmierć. Już po jednym dniu. Lecz ja nie byłem kobietą — kobietą taką jak Judith. Nie byłem zrzędą. Babsztyłem. Napalonym babsztyłem. Tak jak we wszystkich męskich fantazjach dotyczących kobiet sprawujących odpowiedzialne funkcje (stewardes, nauczycielek, prostytutek). Było to przede wszystkim niezwykle łatwe do przejrzania. I to właśnie, jak wiedziałem, ekscytowało mnie najbardziej. Kobiety, które narzekają na wszystko. Na race, na hałas, który mógłby przeszkadzać sąsiadom, na garnki na zupę wystrzelone kilkaset metrów w powietrze, na własnych mężów zachowujących się jak mali chłopcy, a tymczasem... Tymczasem wyciągają ci go bez ogródek ze spodni, pragnąc, byś im go wepchnął najgłębiej, jak się da.

— Chodzi o to, że nie traktuje mnie z szacunkiem — stwierdziła Judith. — Najgorzej gdy się tak zachowuje w obecności innych. Zawsze udaje mu się przedstawić mnie jako osobę, która na wszystko zrzędzi. A ponieważ nie mam ochoty na kłótnię przy świadkach, odchodzę.

— Okej — odpowiedziałem.

Słowo „okej” od niedawna jest w modzie. Choć z początku denerwowałem się, gdy moje córki używały go na każdym kroku, to — jak to z modnymi słowami bywa — jest ono nie tylko zaraźliwe, ale i przydatne ze względu na swoje podwójne znaczenie: znaczy „tak”, a równocześnie potwierdza, że doskonale rozumiesz to, co rozmówca ma na myśli.

— Zaczęłam na to zwracać uwagę — wyznała Judith. — On robi tak nie tylko w odniesieniu do mnie,

ale i do wszystkich kobiet. To znaczy... z jednej strony jest na swój sposób czarujący, z drugiej strony uważa kobiety za istoty głupsze od mężczyzn. Nie wiem, coś w tonie jego głosu, w tym, jak na nie patrzy...

— Okej — powiedziałem ponownie.

— Będę szczerą: Ralph to kobieciarz i właśnie dlatego mi się spodobał. Dzięki temu, jak on patrzy na kobiety, jak na mnie patrzy, czuję, że jestem ładna. To wspaniałe, gdy mężczyzna spogląda na ciebie w taki sposób. Dopiero po jakimś czasie orientujesz się, że on patrzy tak nie tylko na ciebie, ale również na inne kobiety.

Postanowiłem, że tym razem nic nie odpowiem. Myślałem o kobieciarzu Ralphie i jego lubieżnych spojrzeniach rzucanych na Caroline.

— Caroline nic ci nie mówiła? — zapytała Judith. — To znaczy... Ty masz piękną żonę, Marc. Wcale nie zdziwiłabym się, gdyby...

— Nie, chyba nie. Wydaje mi się, że nie. Nigdy o tym nie wspominała.

Patrzyłem prosto przed siebie w stronę zbliżających się światełek restauracji. Musiałem się pospieszyć. Jeszcze chwila, a będzie za późno. Moment ten jednak, a przede wszystkim ta rozmowa nie były odpowiednie.

— I jeszcze coś — powiedziała Judith i niemal się zatrzymała. To było korzystne. Gdy się nie poruszaliśmy, to i czas stawał w miejscu. — Musisz mi obiecać, że nikomu tego nie powtórzysz. Absolutnie nikomu, nawet swojej żonie.

Spojrzałem na Judith. Nie widziałem dokładnie jej twarzy, tylko jej sylwetkę na tle szumiącego w ciemności morza. I coś, co odbijało się w jej oczach, jakieś światełko, błysk, który nie był jaśniejszy od płomyka świecy.

— Obiecuję — powiedziałem. Plaża była w tej chwili pusta. Wystarczyło, bym zrobił jeden krok. Tylko jeden krok i zanurzyłbym ręce w jej włosy, przycisnął usta do jej ust — i dalej, w dół: opadlibyśmy na kolana na piasek, a reszta przyszłaby sama.

— Czasem zdarzały się chwile, że się go bałam — powiedziała cicho. — Kłóciliśmy się i nagle widziałam w jego oczach, że chce mnie uderzyć. Nigdy jednak — uwierz mi — nie podniósł na mnie ręki. Rozbił o ścianę kilka serwisów, ale mnie nigdy nie uderzył. Widziałam to jedynie w jego spojrzeniu. On właśnie bije mnie w swojej wyobraźni, myślałam, on się teraz ze mną rozprawia.

— Okej — odparłem, ale tym razem nie wydało mi się to wystarczające. — Ale jeśli robi to tylko w myślach, to nie jest to takie straszne — dodałem.

Judith westchnęła głęboko. Złapała mnie za przegub ręki. Opanowałem chęć, by natychmiast ją do siebie przyciągnąć.

— Nie, ale stajesz się przez to ostrożny — odparła. — Już nigdy nie pozbyłam się myśli, że to się może wydarzyć naprawdę. Że on kiedyś straci panowanie nad sobą i uderzy mnie nagle w twarz. Czasem mam wrażenie, że on o tym wie. To znaczy, że on wie, iż ja o tym myślę, i właśnie dlatego jeszcze nic się

nie stało.

— A rozmawialiście kiedyś o tym? Wydaje mi się, że lepiej o czymś takim rozmawiać. Mam na myśli: zanim coś się wydarzy.

Plotłem trzy po trzy i zdawałem sobie z tego sprawę. Prawdę mówiąc, ten temat nie interesował mnie w najmniejszym stopniu, ale oczywiście nie mogłem dać tego po sobie poznać. Musiałem grać rolę słuchającego, rozumiejącego mężczyzny. Musiałem udawać szczerze zainteresowanie, gdyż tylko w ten sposób mogłem za chwilę dostać to, do czego rościłem sobie prawo.

— Jak myślisz? — zapytała Judith. — Uważasz, że Ralph może nagle stać się agresywny?

Pomyślałem o Norweżce, którą przed niecałą godziną przewrócił na piasek i ciągnąc za przegub, próbował następnie kopnąć w żołądek. W myślach usłyszałem jak wołał: „Ty wstrętna kurwo!”.

— Nie, nie wydaje mi się to prawdopodobne — odpowiedziałem, łapiąc z kolei Judith za przegub ręki. — Wiesz, Ralph ma zbyt dużo energii. Tacy ludzie wpadają często w złość — coś muszą z tą energią zrobić. Według mnie on sobie z tym sam potrafi poradzić. Chodzi mi o sposób, w jaki on się do wszystkiego zabiera. Wydaje mi się, że używanie przemocy wobec kobiet, wobec własnej żony, do tego nie pasuje. — Kciukiem głaskałem jej przegub. — Jest na to zbyt dobry — dodałem jeszcze.

— Mamo.

Nie zauważyliśmy, jak nadszedł Alex. Stał nagle kilka metrów przed nami. Puściliśmy jednocześnie ręce. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że zrobiliśmy to zbyt szybko: przyłapał nas.

— Alex! — powiedziała Judith.

— Mamo...

Podszedł jeszcze dwa kroki bliżej. Kilka pasm jasnych włosów opadało mu na oczy. W ciemnościach nie było dokładnie widać, ale jego twarz się świeciła. Była wilgotna. Od potu? Od łez?

— Gdzie jest Julia? — zapytała Judith.

— Mamo... — powtórzył raz jeszcze. W jego głosie słyszałem teraz, że płacze.

Zrobił ostatni krok w stronę matki i zarzucił jej ręce na szyję. Byli niemal tego samego wzrostu. Judith położyła mu rękę z tyłu głowy i przytuliła do siebie.

— Alex, co się stało? Gdzie jest Julia?

## ROZDZIAŁ 31

„Gdzie jest Julia?”. Gdy cofam taśmę z życiem, przeważnie zaczynam od tych słów. Dalsze cofanie się w czasie nie ma sensu. Widzisz plażę, letni dom, basen i race, kawałki miecznika syczące na ruszcie grilla. Zwyczajne obrazki z wakacji. Obrazki bez drugiego dna, bez szczególnego znaczenia. Od słów „Gdzie jest Julia?” moje życie biegnie już jedynie do przodu. To nawet nie chodzi o to, że te obrazki z wakacji z mocą wsteczną nabrały znaczenia. Nie, chodzi o coś innego: po prostu już nigdy więcej nie chcesz ich oglądać.

— Alex, co się stało? — zapytała Judith, wciąż przyciskając syna do siebie. Nic nie odpowiedział, szlochał jedynie przytulony do jej piersi.

Nie chcę niczego poniewczasie usprawiedliwiać. Zrobiłem to, co zrobiłem. „Następnym razem zrobiłbym dokładnie to samo”, mówią ludzie, by usprawiedliwić swoje pochopne postępowanie. Ja tak nie mówię. Ja wszystko zrobiłbym zupełnie inaczej. Wszystko.

— Gdzie jest, do cholery, moja córka? — krzyknąłem, łapiąc Aleksa za ramię i wrywając go z objęć matki. — Co z nią zrobiłeś, łajdaku?

— Marc!

Judith złapała syna za nadgarstek, próbując go ponownie przyciągnąć do siebie.

— A ty... — powiedziałem spokojnie. — A ty się zamknij.

Judith wpatrywała się we mnie przez chwilę, a następnie puściła Aleksa.

— Przepraszam — powiedziałem i zwróciłem się do chłopca. — Julia? Gdzie jest Julia?

— Ja... ja nie wiem — wykrztusił.

I zaczął opowiadać, we fragmentach i niechronologicznie. Opanowałem chęć, by wciąż mu przerywać. Koncentracja, mówiłem do siebie. Skoncentruj się, aby nic ci nie umknęło. Przysłuchuj się uważnie. Jak lekarz. Jeśli tylko chciałem, w ciągu minuty potrafiłem postawić diagnozę, wyciągnąć wnioski. W ciągu jednej minuty: pozostałych dziewiętnaście było dla mnie.

Oni — Alex i Julia — poszli do tej drugiej restauracji. Tam napili się czegoś przy barze.

— To była cola, mamó, przysięgam — powiedział do matki. — A Julia zamówiła fantę.

Przez chwilę przyglądali się tańczącym ludziom. Julia też chciała zatańczyć, lecz Alex nie miał ochoty. Przez chwilę próbowała go trochę zmusić: „nie bądź taki sztywny”, „no chodź, zatańczymy”, Alex jednak się uparł. W knajpie była młodzież, ale przeważali dorośli. I nawet obecni tam nastolatki wyglądali na starszych. Julia i Alex byli zdecydowanie najmłodsi. Poczł się trochę niezręcznie. „Chodź, wracamy”, powiedział, „Pewnie będą się zastanawiać, dlaczego tak długo nie wracamy”. Ona stwierdziła, że jest mięczakiem i że się boi, i w końcu sama poszła na parkiet. Przez chwilę jeszcze

patrzył przy barze, jak się przeciska pomiędzy tańczącym tłumem i sama zaczyna tańczyć. Nie oglądała się na niego. Tańczyła. Najpierw w grupie dziewcząt, starszych od niej, potem wokół niej zaczęli tańczyć chłopcy. On znajdował się w wewnętrznym konflikcie. Jeszcze mógł do niej pójść, jeszcze mógł zatańczyć i wszystko byłoby tak jak wcześniej. Obawiał się jednak, że go wtedy wyśmieje i uzna za całkowitego frajera. Historia ta brzmiała znajomo. To historia każdego mężczyzny i nawet jedynie z tego powodu całkowicie wiarygodna. Alex przyznał, że był zły na Julię. Nie powinna była go tak tam zostawić. W pewnej chwili opuścił bar i wyszedł na plażę. Pomyślał, że odwdzięczy się jej pięknym za nadobne. Zaraz będzie go szukać i nie znajdzie. Doszedł aż po linię przyboju. Przez chwilę tam stał, nie pamiętał jak długo, nie więcej niż kilka minut. Złość mu przeszła. Powoli powędrował z powrotem w stronę baru, wszedł na parkiet. Zaskoczy ją i z nią zatańczy. Ale Julii nie było. Zniknęła. Przeczesał cały parkiet, od tyłu do przodu, z lewej do prawej. Raz pomyślał z ulgą, że ją odnalazł, lecz była to inna dziewczyna, podobna do Julii. Najpierw obszedł wkoło restaurację, potem sprawdził w damskiej toalecie. Próbował się domyślić, co się mogło stać. Znudził się jej taniec i poszła go poszukać, a kiedy go nie znalazła, postanowiła wracać na plażę, na której byli jego rodzice. Jego rodzice i jej ojciec.

— Miałaś przy sobie komórkę? — przerwała mu w tym momencie Judith.

„I co z tego?”, pomyślałem. „Miał zadzwonić do Julii? Przecież ona nie miała przy sobie komórki”.

W następnym momencie zdałem sobie sprawę, że nie było to wcale takie głupie pytanie. On mógł do nas zadzwonić, do swojej matki, aby się dowiedzieć, czy nie widzieliśmy Julii.

— Nie — zaprzeczył Alex — zostawiłem ją w domu. Bateria mi się wyładowała.

Jeszcze raz obszedł wkoło restaurację. Na jej tyłach kończyła się plaża, a zaczynał fragment skalistego wybrzeża. Kilkakrotnie zawołał ją po imieniu. W końcu doszedł do wniosku, iż najlepiej będzie, jak sam też wróci. Przeszedł kawałek w tę stronę, ale zaczął wątpić, czy dobrze zrobił. „Czy Julia poszłaby z powrotem?”, zastanawiał się. „Czy przeszłaby sama przez ten ciemny kawałek plaży?”. Doszedł do wniosku, że nie, na pewno by tego nie zrobiła. Nawet gdyby chciała, żeby się o nią martwił po jej zniknięciu. Wrócił do restauracji. Pytał barmanów. Trzynastolatka? Długie, jasne włosy? Na pewno by ją zapamiętali. Musiał przekrzykiwać głośną muzykę. Barmani mówili łamaną angielszczyzną, ale — rzeczywiście — jeden z nich przypominał sobie Julię. W każdym razie dokładnie opisał, jak wyglądała, ale zaraz potem potrząsnął głową. Widział ją wcześniej, na parkiecie. Ale już od jakiegoś czasu nie. Alex zapytał, czy może widział, jak wychodziła. Czy wyszła sama? Barman wzruszył ramionami. „Sorry”, powiedział barman, „Nie widziałem, jak wychodzi. Dopiero w pewnej chwili zorientowałem się, że jej nie ma”. Alex znowu się zawahał, czy zapytać jeszcze innych ludzi o to, czy widzieli Julię, czy jeszcze raz jej poszukać, czy może lepiej wrócić na naszą plażę, do nas.

Zastanowiłem się. Jego relacja trwała już zdecydowanie zbyt długo. Nie czułem paniki, a raczej coś przypominającego kamienny spokój. Moje serce nie biło szybciej, lecz przeciwnie, wolniej. Trzeba działać. W tym byłem dobry. W konkretnym działaniu.

— To nie spotkaliście jej? — zapytał wtedy Alex.

Coś w jego zachowaniu zwróciło moją uwagę, coś trudno uchwytne. Może ton, jego pytania. Jakby go właściwie nie interesowało to, o co pyta, ale uznał, że z logicznego punktu widzenia należy takie pytanie zadać.

Nie patrzył przy tym na mnie, lecz wyłącznie na swoją matkę. On się boi na mnie spojrzeć, przemknęło mi przez myśl. Czuje się winny, bo zgubił coś, co do mnie należy. Moją córkę. Powinien był lepiej uważać, a ja nie powinienem był jej mu powierzać. Ale ja przecież tego nie zrobiłem, zdałem sobie sprawę w następnej chwili.

Ponownie musiałem się powstrzymać, by go nie złapać i nim nie potrząsnąć. Nie, nie spotkaliśmy Julii. Mogło się teoretycznie zdarzyć, nie było to w każdym razie w stu procentach niemożliwe, że sama wróciła na naszą plażę, a my jej nie zauważyliśmy. Ale jedynie teoretycznie. Judith siedziała na widoku na wyższym kawałku plaży, przyglądając się grającym w piłkę Lisie i Thomasowi. Ja przebywałem w toalecie najwyżej dziesięć minut. Powinna była nas widzieć. My powinniśmy byli ją zauważyć.

Doszedłem do wniosku, że Julia musi się jeszcze gdzieś tutaj znajdować. Tutaj albo w pobliżu baru oddalonego od nas o kilkaset metrów. Należy działać, natychmiast. Przemknęło mi przez myśl, iż nie ma czasu do stracenia, że liczy się każda sekunda — i niemal się roześmiałem, słysząc zdania, które wydawały się raczej pochodzić z serialu policyjnego, a nie z życia — mojego życia! — rozgrywającego się w tym momencie.

Nie zwracając więcej uwagi na Judith i Aleksa, zacząłem biec w stronę restauracji.

— Marc! — usłyszałem, jak Judith woła za mną. — Zaczekaj!

Nie odwróciłem się, tylko pobiegłem dalej. Jeszcze jakieś dziesięć metrów. Potem zdałem sobie sprawę, że to niemądre. We trójkę mogliśmy zdziałać więcej. Musimy szukać Julii we troje.

— Chodźcie! — pokazałem gestem, na chwilę przystając. — Pospieszcie się!

Judith poszła sprawdzić w damskiej toalecie, a ja kazałem Aleksowi wskazać mi barmana, którego pytał o Julię. Pokiwałem barmanowi, żeby podszedł, i krzyczałem mu do ucha. Odkrzyknął coś, czego nie rozumiałem. Następnie wskazał na ludzi napierających na bar, by coś zamówić. Krzyknąłem, że jestem jej ojcem. Jeszcze raz na mnie popatrzył. Być może starał się podzielać mój niepokój, lecz udało mu się to jedynie połowicznie. „Dziewczęta dorastają”, czytałem w jego wzroku. „Zaczynają robić rzeczy, o których ojcowie nie muszą wiedzieć”. Torowałem sobie drogę wśród roztańczonego tłumu. Nie wydawało mi się, że to dobry pomysł, by ot tak pytać przypadkowe osoby, czy czasem nie widziały trzynastoletniej dziewczyny. Na brzegu parkietu stały w piasku aluminiowe stołki barowe i wysokie stoliki. Przy jednym z nich stała Judith.

— Gdzie jest Alex? — zapytałem.

— Odesłałam go stąd — odparła.

Popatrzyłem na nią pytająco.

— Powiedziała, że ma jak najszybciej wracać — ciągnęła. — Że powinien w każdym razie poszukać Ralpha. A kto wie, może Julia też tam jest?



Spojrzałem na jej twarz oświetloną migającymi czerwonymi i żółtymi światłami dyskoteki. Była to wciąż ta sama twarz, którą jeszcze tak niedawno chciałem wziąć w swoje dłonie, by w następnej kolejności odcisnąć moje wargi na jej ustach. Teraz jednak widziałem w niej ponad wszystko oblicze zatroskanej matki, zatroskanej nie o moją córkę, lecz o własnego syna. Nie wiem, czy już wtedy, czy dopiero później zauważyłem, że coś w historii Aleksa się nie zgadza. Przede wszystkim upływ czasu. Jak długo trwało, zanim w końcu zdecydował, by bić na alarm? Gdy spotkał nas na plaży, był zapłakany. Ale czy płakał już wcześniej, czy wybuchnął płaczem, dopiero gdy ujrzął matkę?

— On mógł nam pomóc — powiedziałem. — Mógł kogoś wskazać. Przykładowo kogoś, z kim widział tańczącą Julię. Może coś by mu się nagle przypomniało?

— Uważam, że w tej chwili powinien być z ojcem. Ma całkowity zamęt w głowie. Wiem, że czuje się winny. Wobec ciebie.

Ze swoim ojcem, pomyślałem, i o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Może rzeczywiście jest tam w lepszych rękach. Własny ojciec może go nauczyć, jak obezwładnić broniące się dziewczęta.

— Myślisz, że on ma powód, żeby czuć się winny, Judith? — zapytałem i natychmiast pożałowałem, że tak bezpośrednio to zrobiłem, a raczej tonu — oskarżycielskiego tonu, jakiego użyłem. Nie udało mi się ukryć moich wątpliwości dotyczących wersji wydarzeń opowiedzianej przez Aleksa. To niedobrze, teraz jego matka miała się na baczności. Trudniej będzie go później przyłapać na ewentualnym kłamstwie.

— Marc, proszę cię... — Judith zamrugała oczami — Alex to jeszcze dziecko. Zgubił Julię, ale przecież słyszałeś, jak to się stało. Nam by się to pewnie nie przytrafiło, ale to ona pierwsza sobie poszła, nie Alex.

Spojrzałem na Judith. W myślach policzyłem do dziesięciu. Popatrzyłem na światła dyskoteki przesuwające się po jej czole, policzkach i ustach. Czy ta kobieta była taka głupia? Czy, wprost przeciwnie, była o wiele mądrzejsza, niż myślałem? Lepiej, żebym nic nie mówił. Z całych sił powstrzymywałem się, by do niej nie wykrzyknąć: „Sama jesteś kobietą, głupia babo! Przecież zdajesz sobie sprawę z tego, co może się przydarzyć kobietom. Mężczyzna powinien bronić kobiety, nawet gdy jest jeszcze dzieckiem!”.

Wciągnąłem głęboko powietrze.

— Masz rację — przyznałem. — Nie powinniśmy wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

Na szczęście istnieją frazesy — komunały, przychodzące nam na ratunek, gdy toniemy w mętnej otchłani. Zauważyłem, że twarz Judith się rozluźniła. Wzięła do ręki komórkę i odsunęła ekran.

— Może zadzwonię do Ralpha — powiedziała. — Zapytam, czy Alex dotarł. W każdym razie zadzwonię, żeby powiedzieć Ralphowi, że Alex jest w drodze do niego.

Zrób to, pomyślałem. Zadzwon do Ralpha. On powie ci z własnego doświadczenia, że wszystkie kobiety to dziwki. I nikt nie będzie musiał się czuć winny. Popatrzyłem obok głowy Judith na białe grzywy fal, otaczające plażę i załamujące się na piasku. Najchętniej oszedłbym, nic nie mówiąc, i zostawiłbym ją tam samą. Prędko jednak doszedłem do wniosku, że nie byłoby to rozsądne. I to

z różnych względów.

— Zadzwoń do niego — powiedziałem. — Ja tymczasem poszukam tam — wskazałem w kierunku morza, na miejsce, w którym kończył się piasek, a zaczynały skały. Początkowo wchodziły nisko na kilkadziesiąt metrów do morza, po czym szybko pięły się w górę. Za jedną z nich ukazał się właśnie księżyc w pierwszej kwadrze.

I właśnie w bladym świetle księżyca ujrzałem grupę osób. Stały one, oddalone od nas o kilkaset metrów i zasłonięte częściowo przez skały wchodzące do morza. Było ich pięć, może sześć. Patrzyły na coś leżące na ziemi, na coś, wokół czego się zgromadziły.

— Ralph? — odezwała się Judith. — Gdzie jesteś?

Ktoś oddzielił się od grupy i ruszył biegiem w stronę restauracji.

— Co mówisz? Gdzie? — Judith włożyła palec do ucha i odwróciła się ode mnie. — Jak to? Dlaczego nie jesteś...

Reszty już nie słyszałem. Najpierw zrobiłem kilka dużych kroków, po czym sam postanowiłem pobiec do miejsca, w którym stała grupa ludzi, próbując jednocześnie przeciąć trasę biegnącego mężczyzny. Byłem już tak blisko, że zobaczyłem, iż był to mężczyzna w białych spodniach do kolan i podkoszulku oraz równie białych sportowych butach. Są to szczegóły, które potem pamiętasz. Już wtedy wiesz, że zarówno owa grupa, jak i ten na biało ubrany mężczyzna coś mają z tobą wspólnego — wszystko.

— Co się stało? — krzyknąłem po angielsku.

— Karetka! — odkrzyknął mężczyzna, ledwo dysząc. — Musimy zadzwonić po karetkę.

— Ja jestem lekarzem — odpowiedziałem. Po raz drugi tego wieczoru.

Julia leżała na mokrym piasku pomiędzy skałami. Ludzie rozsunęli się, gdy kucnąłem przy niej, aby zmierzyć jej puls. Przyłożyłem ucho do piersi i cicho wypowiedziałem jej imię. Leżała bez ruchu, skóra jej twarzy była chłodna, lecz czułem słaby puls. Słaby, ale regularny.

Podłożyłem ramię pod jej szyję i lekko podniosłem głowę. Dopiero wtedy przesunąłem wzrokiem w dół jej ciała. Byłem jej ojcem, lecz patrzyłem jak lekarz i jak lekarz w ciągu kilku sekund zrozumiałem, co się stało. Widoczne ślady nie pozostawiały wątpliwości. Jako ojciec nie zdradzę szczegółów dotyczących ich istoty. Nie powołuję się tutaj na tajemnicę lekarską, ale na prawo do zachowania prywatności. Prawo mojej córki do zachowania prywatności, ma się rozumieć.

Dlatego ograniczę się do zrelacjonowania myśli, które w tym momencie przelatywały mi przez głowę.

Ten, kto ponosi za to odpowiedzialność, żyje jedynie w sensie biologicznym. On jeszcze istnieje, bo to właśnie robią ludzkie organizmy. Serce pompuje krew, jest prostą maszyną. Dopóki ono pompuje krew, nie przestajemy się poruszać. Lecz pewnego dnia jego serce się zatrzyma. Im szybciej, tym lepiej. Jako lekarz już się o to postaram.

— Tato...

Julia zamrugała powiekami i ponownie zamknęła oczy.

— Julia.

Potrząsnąłem jej głowę, drugą rękę położyłem z tyłu, na jej włosach, zanurzyłem w nich palce i przytuliłem Julię do piersi.

— Julia — powiedziałem.

## ROZDZIAŁ 32

Caroline nic nie powiedziała. W każdym razie nic z tych rzeczy, których się obawiałem: „Jak mogłeś jej pozwolić, żeby sama poszła do tej knajpy? Dlaczego natychmiast nie poszedłeś jej poszukać? Gdybyś to zrobił, nic takiego nigdy by się nie stało”.

Nie, nie powiedziała nic, gdy podniosłem Julię z tylnego siedzenia samochodu i wnosiłem na rękach do letniego domu. Przez chwilę — króciutko, najwyżej na kilka sekund — zakryła twarz rękoma. Zaraz potem doprowadziła się do porządku, powracając do roli matki swej córki. Głaskała Julię po głowie i po cichu mówiła jej czułe słowa.

Lecz także później nie powiedziała nic z tych rzeczy. Mówi się nieraz, że w wypadku rodzinnej tragedii pierwsze minuty są przełomowe. Pierwsze minuty i godziny pokazują, czy relacje są na tyle silne, by udało się przetrwać nieszczęście. Ten, kto zaczyna od robienia wyrzutów, może wyrządzić szkody nie do naprawienia. Znam statystyki. Rozwód jest raczej regułą niż wyjątkiem. Mogłoby się wydawać, że tragedia zbliża ludzi do siebie, że dzielony wspólnie smutek wzmacnia wzajemne relacje, lecz tak nie jest. Wielu ludzi stara się o smutku zapomnieć, a ta druga osoba nie przestaje im o nim przypominać.

Nie mogę nie przyznać racji tym, którzy wolą zapomnieć. I wcale nie chcę udowodniać wyższości moralnej naszej rodziny nad innymi tylko dlatego, że nas to akurat skonsolidowało. Nie śmiem nawet twierdzić, że dokonaliśmy takiego wyboru. Tak się po prostu stało.

Staliśmy na dole, przy schodach prowadzących do domu. Wciąż trzymałem Julię na rękach. Przez chwilę wahałem się, czy chcę ją zanieść na górę i położyć na kanapie w salonie, widoczną dla wszystkich? Sypialnia Ralpha i Judith, czy też jej matki lub chłopców, również nie wydawały mi się odpowiednim rozwiązaniem. Już chyba lepiej zanieść ją do naszego namiotu. Wiedziałem, czego najbardziej pragnę: zasłonić córkę przed spojrzeniami innych osób. Chciałem być z nią sam. Z nami. Chciałem, żeby była tylko z nami.

W tym momencie wyszła na dwór Emmanuelle. Stała w drzwiach apartamentu na parterze i pokiwała do nas.

— *Come* — powiedziała. — *Come here* <sup>1</sup>.

Najpierw zaniósłem Julię do restauracji na plaży. Tam przez krótką chwilę zastanawiałem się, co będzie najlepsze. Judith zaproponowała, żeby zadzwonić po karetkę, ale natychmiast się temu sprzeciwiłem. Żadnych karetek, stwierdziłem zdecydowanie. Pomyślałem o kogucie; o ludziach, którzy zebraliby się wokół noszy; o syrenie i o nieuniknionym końcowym celu — szpitalu, w którym na nowo inne osoby zajęłyby się moją córką. Pomocne pielęgniarki. Doktorzy. Sam byłem lekarzem. Jako pierwszy oceniłem

sytuację. Postawiłem jedyną słuszną diagnozę. Nie było potrzeby, by inni jeszcze raz stawiali taką samą.

Następnie Judith zaproponowała, że pójdzie po samochód, a ja do tego czasu pozostanę przy Julii. Muszę przyznać, że zareagowała odpowiednio. Jak to się mówi: nie straciła głowy. Spodziewałbym się, że nie będzie panowała nad sytuacją, ale ani na chwilę nie traciła spokoju. Nie wdawała się ze mną w dyskusję.

— Okej — mówiła. — Robimy, jak chcesz.

Spróbowała położyć dłoń na czole Julii, lecz gdy się od niej odwróciłem, nie próbowała ponownie. Chciałem jak najszybciej opuścić to miejsce. Wokół nas zgromadziło się już kilka osób. Wpadałem we wściekłość z powodu spojrzeń, które rzucały one na moją córkę. Już zbyt dużo ludzi na nią patrzyło.

— Jestem lekarzem — mówiłem. — Proszę spokojnie przechodzić. Wszystko jest pod kontrolą.

— Nie — powiedziałem do Judith. — Idziemy stąd. Ja ją poniosę.

I tak się stało. W drodze Julia ponownie zemdląca. Wybudziłem ją, potrząsając. Musiała być przytomna. Na drugiej plaży spotkaliśmy Aleksa, Thomasa i Lisę. Po Ralphie i Stanleyu nie było śladu. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie traciłem opanowania. Przyglądałem się przede wszystkim reakcji Aleksa. Spojrzał krótko na Julię i natychmiast odwrócił wzrok. Nie zbliżył się też do nas. Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że język mojego ciała był niezmiernie wymowny. Byłem niczym zwierzę, warczące, gdy jakiś intruz próbuje zbliżyć się do jego młodych. Nie, poprawiłem sam siebie, nie „niczym zwierzę”, ja byłem tym zwierzęciem.

Najważniejsza była teraz Lisa. Zobaczyłem jej twarz, gdy biegła w naszą stronę.

— Julia trochę źle się czuje — powiedziałem prędko, zanim zdążyła o coś zapytać. — Chodź, idziemy szybko do domu.

Thomas zatańczył kilkakrotnie wokół nas, krzycząc „Piłka nożna! Piłka nożna!”, aż w końcu Judith złapała go mocno za ramię i tak silnie pociągnęła, że upadł na piasek. Ujrzałem łzy w jego oczach, lecz Judith równie mocno pociągnęła go za nadgarstki, stawiając na nogi.

— Przestań się wygłupiać, Thomas — powiedziała. — I pospiesz się.

Tak szliśmy w kierunku parkingu. Ja — wciąż trzymając Julię na rękach, po skosie za mną Judith ściskająca za rękę Lisę, a jeszcze kawałek za nimi Alex i dąsający się Thomas. W drodze z plaży Judith powiedziała, że Ralph wrócił już do domu, pojechał ich autem. Stanleya wciąż nigdzie nie było.

— Co się stało z twoim samochodem? — zapytała Judith, wskazując na zwisający przedni zderzak po lewej stronie. Chromowa obwódka reflektora była wgięta i w jednym miejscu przerwana, a szkło rozbite na drobne kawałki. „Jutro rano musisz natychmiast jechać do warsztatu, żeby ci to naprawili”, powiedział mi Stanley jeszcze kilka godzin wcześniej na tym samym parkingu. „Ja za wszystko płacę. Jeśli o mnie chodzi, było to warte każdego grosza”.

— Pojechaliśmy tą ciemną drogą na górze. Musieliśmy gdzieś zahaczyć o drzewo.

Judith nie drążyła głębiej. Przytrzymała otwarte drzwi, abym mógł położyć Julię na tylnym siedzeniu. Sama wsiadła obok mojej córki i delikatnie położyła sobie jej głowę na kolanach. Przesunęła

się nieco głębiej i kiwnęła do Aleksa, żeby zajął miejsce obok niej. Thomasowi i Lisie powiedziała, że mają razem siąść na przednim siedzeniu.

— Ale przecież nie wolno — stwierdził Thomas. — To zabronione!

— Thomas — odezwała się Judith i to wystarczyło. Z założonymi rękami usiadł razem z Lisą na siedzeniu obok kierowcy.

Zanim włączyłem silnik, zadzwoniłem do Caroline.

— Tylko się nie przestrasz — powiedziałem cicho. — Nic takiego okropnego się nie stało.

Oczywiście, że stało się coś okropnego, ale chciałem uniknąć paniki, dopóki nie wrócimy. Starłem się mówić jak najciszej, żeby Julia mnie nie słyszała. — Nikomu nie stała się krzywda — dodałem, ale i to było kłamstwem.

— Zaraz będziemy — zapewniłem i się rozłączyłem.

Emmanuelle wyrównała pościel na dwuosobowym łóżku i poprawiła poduszki. Gdy delikatnie układałem na nich Julię, poszła do łazienki, skąd chwilę potem powróciła z porcelanową miską wypełnioną wodą i z ręcznikiem. Usiadła po drugiej stronie łóżka, przy jego zagłówek, zmoczyła róg ręcznika i przycisnęła go leciutko do czoła Julii.

— *Voilà* — powiedziała, po czym na mnie spojrzała. — *You know what happen...? You know who...* <sup>2</sup>.

— Potrząsnąłem głową. Dopiero teraz, gdy spojrzałem na nią wprost, zdałem sobie sprawę z tego, że nie nosiła okularów przeciwsłonecznych. Po raz pierwszy od naszego przyjazdu patrzyłem jej w oczy.

— Mamo...

Złapałem Julię za przegub.

— Mama zaraz przyjdzie — odpowiedziałem.

Judith i Caroline poszły na górę z Lisą i Thomasem. Judith zaproponowała, że zostanie przy nich i położy ich spać, lecz Caroline — po krótkiej wymianie spojrzeń ze mną — wzięła Lisę za rękę i razem poszły po schodach na górę. Widziałem wewnętrzną walkę w jej oczach. Z jednej strony pragnęła być przede wszystkim przy Julii, z drugiej strony nie chciała zostawiać młodszej córki z obcą osobą w takich okolicznościach. Rodzice zapominają nieraz o drugim dziecku, skupiając się na pierwszym. Caroline od początku starała się podążać za swoją intuicją. Ja również próbowałem postępować w ten sposób, lecz muszę przyznać, iż mnie przychodziło to z większym trudem.

Wtedy usłyszałem z tyłu za sobą jakiś dźwięk. Odwróciłem się nieco i zobaczyłem Ralpha stojącego w drzwiach. Widać było, że właśnie wziął prysznic. Jego włosy były mokre i przylizane. Miał też na sobie inne ubranie niż na plaży: czyste białe krótkie spodnie i czerwony podkoszulek.

— Przed chwilą dowiedziałem się... — zaczął. Jedną ręką opierał się nad głową o futrynę drzwi, nie próbując wejść do środka. — Judith właśnie mi opowiedziała...

Dokładnie pamiętam, co zrobiłem. Nie chciałem widzieć Ralpha blisko mojej córki. Najchętniej powiedziałbym mu, żeby stąd jak najszybciej zjeżdżał i zostawił nas samych, pomyślałem jednak

o przyszłości, o wszystkich możliwych sprawcach. Widziałem, jak Ralph zachowywał się na plaży. Byłem świadkiem tego, jak Julia złapała się za dół od bikini tamtego razu, przy stole do ping-ponga. Mimo to taki krok wydał mi się w pewnym sensie zbyt duży — krok od napalonego na młode dziewczyny i agresywnego Ralpha do... tego. Również pod względem logistyki nie było to oczywiste. Czy Ralph poszedłby zaraz po tym, co się wydarzyło na naszej plaży, do drugiej restauracji, a następnie z powrotem na parking, by w końcu wrócić do domu? Próbowałem zmieścić to wszystko w wiarygodny sposób w ów odcinek czasu, ale nie wydawało się to prawdopodobne. Z tamtej restauracji Judith zadzwoniła do domu, a Ralph odebrał telefon. Nie — poprawiłem sam siebie — Ralph odebrał i powiedział, że jest w domu. Muszę uważać na szczegóły, tak jak w przypadku Aleksa, i nie wykluczać z góry nikogo ani niczego.

Skoncentrowałem się. Przeniosłem wzrok z oblicza Ralpha na twarz mojej córki. Julia miała otwarte oczy. Widziałem, na co patrzyła: na niego. Zamrugła oczami.

— Cześć — powiedziała cicho.

— Cześć, kochanie...

Ponownie odwróciłem się w jego stronę. Przypatrywałem się jego twarzy. Patrzyłem na nią tak, jak spoglądam na twarz pacjenta. Wzrokiem lekarza. Na pierwszy rzut oka potrafię stwierdzić, czy ktoś za dużo pije, czy nęka go ukryta depresja lub cierpi z powodu nieudanego seksu. Rzadko zdarza mi się pomylić. Wiem, kiedy ludzie kłamią. „Pół butelki wina do kolacji, panie doktorze, nie więcej...”. Nie zadowolam się taką odpowiedzią. „A po pracy?”, drążę głębiej, „Nie poszedł pan najpierw do lokalu, by się napić?”. „Najwyżej jedno czy dwa piwka. I tylko wczoraj, nie robię tego codziennie”. „Czy pani mąż zbyt szybko szczytuje?”, pytam kobiety z mocno podkutymi oczami. „Czy chciałaby pani, żeby coś robił, a nie śmie mu tego powiedzieć?”. Słyszę, jak ktoś gwizdże w poczekalni, a następnie, gwizdząc, wchodzi do mojego gabinetu. „Samobójstwo jest realną opcją”, mówię mu po minucie. „Niektóre osoby pociesza to, że same mogą zdecydować o swej śmierci. Powstrzymuje je jedynie sposób, w jaki mają odebrać sobie życie. Zniechęca je sposób dokonania samobójstwa. Rzucenie się pod pociąg jest zbyt drastyczne; przecięcie żył podczas kąpieli zbyt krwawe; powieszenie bolesne, bo śmierć nie następuje od razu, a tabletki nasenne można zwymiotować. Istnieją jednak środki, które powodują bezbolesną i łatwą śmierć. Mogę pomóc panu je zdobyć”.

Ralph Meier ścisnął kciukiem i palcem wskazującym grzbiet nosa. Nacisnął czubkami palców kąciki oczu.

— Ach, do cholery... — zamruczał. Ani przez chwilę nie zapomniałem, że jest aktorem, i to wybitnym.

— Marc, napijesz się czegoś? Przynieść ci coś? Może piwo? Albo whisky?

Potrząsałem głową. Ponownie popatrzyłem na moją córkę. Gdy zobaczyłem jej twarz, część ciężaru spadła z moich ramion. Nie całość, lecz jedynie odrobina ciężaru, który spoczywał na moich barkach od niecałych dwóch godzin, i który — jak już wtedy zdawałem sobie sprawę — będzie na mnie spoczywał do końca życia.

Gdy patrzyła na Ralpha, na twarzy Julii pojawił się leciutki uśmiech.

— Ja z chęcią się czegoś napiję — powiedziała. — Bardzo mi się chce pić. Mam wielką ochotę na szklanę mleka.

— Mleko? — zapytał Ralph. — Już się robi.

---

1. Z ang.: „Chodźcie... Chodźcie tutaj”. [\[wróć\]](#)
2. Z franc. i ang.: „Proszę bardzo...Wiesz, co się stało? Czy wiesz, kto...”. [\[wróć\]](#)



## ROZDZIAŁ 33

Tego wieczoru rozpoczęła się reszta naszego życia. Chcę od razu zaznaczyć, że nie lubię dramatyzować. Z natury nie znoszę także patetycznych sformułowań. „Reszta naszego życia...”, tak mówi zbyt wiele osób. Mówią tak ludzie, którzy kogoś stracili. Którym przytrafiło się coś, czego największemu wrogowi się nie życzy, a z czym muszą się już zawsze zmagać. Mimo to zawsze uważałem, że zdanie to brzmi fałszywie. Dopiero gdy to przytrafia się tobie, przekonujesz się, że jest prawdziwe. Nie ma lepszego określenia niż „reszta życia”. Wszystko staje się trudniejsze, przede wszystkim tempo, w którym przemija czas. Coś się dzieje z czasem. On nie stoi w miejscu, lecz płynie niezaprzeczalnie wolniej, tak jak w poczekalni z dużym zegarem na ścianie. Siedzisz w poczekalni, a gdy po pięciu minutach czekania podnosisz wzrok na zegar, okazuje się, że minęły dopiero trzy minuty. Czas odczuwany. Dzień, w którym mamy dużo do zrobienia, mija — jak to się mówi — jak z bicza trzasnął, natomiast dzień spędzony na czekaniu dłuży się w nieskończoność. Siedzisz w poczekalni, próbując nie patrzeć na zegar. Nie wiesz, na co czekasz. Gabinet lekarski lub inna instytucja, której jest częścią, zapewne już dawno zamknięto, ale nie ma nikogo, kto mógłby pozbawić cię złudzeń. Nie ma nikogo, kto by ci powiedział, że będzie lepiej, jeśli pójdziesz do domu.

W jednej chwili stanowicie rodzinę z dwiema fajnymi córkami, a już w następnej siedzisz w poczekalni. Na nic nie czekasz, a właściwie czekasz na to, aż przeminie czas. Wszystkie twoja nadzieja związana jest z przemijaniem czasu. Nie, nie wszystka — twoja jedyna nadzieja. Im więcej upływa czasu, tym bardziej oddalasz się od momentu, w którym rozpoczęła się reszta twojego życia. Nie wiesz jednak, gdzie się ona zakończy. Reszta życia trwa aż po obecny dzień.

Później jeszcze często rekonstruowałem ten pierwszy wieczór w najdrobniejszych szczegółach. Ralph, który przyniósł szklanekę mleka i sobie poszedł. Potem Caroline, która zeszła na dół, zajmując miejsce Emmanuelle u wezłowania łóżka. Trzymała Julię za rękę i głaskała ją od czasu do czasu po głowie.

Był pewien moment, któremu nie chcę poświęcić zbyt wielu słów. Ze względu na prawo do prywatności. Zapytałem delikatnie Julię, czy mogę sprawdzić, czy coś jej się... Byłem nie tylko lekarzem, ale również jej ojcem.

— Jeśli nie chcesz, to powiedz — poprosiłem. — Możemy pojechać do lekarza w miasteczku albo do szpitala. Gdy wymawiałem słowo „szpital”, Julia przygryzła dolną wargę. — Nie, to nie jest aż tak poważne — prędko dodałem. — Wcale nie musimy jechać do szpitala. Muszę jednak sprawdzić, co należy zrobić. Ktoś musi zobaczyć...

Pokiwała głową i przymknęła oczy. Podniosłem wtedy kołdrę i popatrzyłem. Przed laty Lisa pośliznęła się w kabinie prysznicowej i upadła na twardej metalowy kant. Trochę krwawiła. Również... w tamtym

miejscu. Nie było to zbyt poważne, przede wszystkim się przestraszyła. Uspokoilem ją wtedy, jako ojciec. Jednocześnie zrobiłem to, co powinien był zrobić lekarz.

Teraz próbowałem robić to samo. Ale sytuacja była inna. Julia płakała z zamkniętymi oczyma. Caroline ocierała jej łzy rogiem ręcznika, mówiąc czułe słowa. Starłem się zadawać jak najmniej pytań. Zrobiłem to, co należało zrobić, po czym przykryłem ją kołdrą.

Wkrótce potem Caroline i ja spojrzeliśmy na siebie. Bez słów rozważaliśmy, czy był to odpowiedni moment, czy może będzie lepiej, jeśli Julia najpierw się prześpi i odpocznie. Choć z jednej strony nie chcieliśmy przypominać jej o najgorszym, to, z drugiej strony, innej opcji niż szybkie działanie nie było.

Raz się jej już o to pytałem, w drodze z restauracji na parking. Szeptalem jej do ucha, tak by Judith nie usłyszała.

— Kto ci to zrobił? — zapytałem szeptem. — Kto to był? Ktoś, kogo znasz?

Na początku się nie odezwała. Pomyślałem nawet, że może nie usłyszała mojego pytania, po chwili jednak odpowiedziała:

— Nie wiem, tato...

Dalej nie pytałem. Stwierdziłem szok. Szok blokuje to, czego nie chcemy wiedzieć albo pamiętać.

Teraz skinąłem na Caroline. Milcząco zgodziliśmy się, że ona powinna to zrobić. To matka powinna zadać to pytanie.

— Julia? — odezwała się cicho Caroline, pochylając twarz nad córką i przyciskając jednocześnie wewnątrz jej dłoni do swego policzka. — Czy możesz nam powiedzieć, co się stało? Czy przypominasz sobie z kim... kto poszedł z tobą koło tego baru? Albo z kim ty poszłaś?

Julia potrząsnęła głową.

— Nie wiem — odparła.

Caroline pogłaskała ją po policzku.

— Byłaś tam najpierw z Alekssem — powiedziała. — A potem? Co się potem stało?

Julia zamrugała oczami. W ich kącikach znowu ukazały się łzy.

— Byłam z Alekssem? Gdzie ja byłam z Alekssem?

Caroline i ja spojrzeliśmy na siebie.

Julia znowu zaczęła płakać.

— Nie wiem... — zaszlochała. — Ja naprawdę nie wiem...

Później tej nocy wrócił do domu również Stanley. Powiedział, że przyszedł na piechotę. Nie znalazł na parkingu żadnego znajomego samochodu, więc doszedł do wniosku, że o nim zapomnieliśmy.

Wszedł jedynie na chwilę, by się pokazać. Emmanuelle poinformowała go wcześniej o wszystkim. Zdecydowali, że my powinniśmy tej nocy pozostać w ich apartamencie, a oni prześpią się w naszym namiocie. W normalnej sytuacji na podobną propozycję odpowiada się kilkakrotnie, że „to naprawdę niepotrzebne”, jednak sytuacja nie była normalna. Nic nie było normalne. Nie dyskutowaliśmy

i przyjęliśmy ich propozycję bez zbędnych ceregieli.

Jeszcze później tej nocy szedłem ze Stanleyem do naszego namiotu, by zabrać stamtąd parę naszych rzeczy i zrobić im więcej miejsca. Stanley objął mnie ramieniem, powtórzył, jak bardzo nam współczuje. Jak bardzo współczuje Julii. Przeklinał w amerykańskim angielskim. W tym samym języku opisał następnie, co powinno się stać z mężczyznami, którzy dopuszczają się takich czynów, a ja przyznałem mu rację.

Wtedy przytrzymał mnie za rękę. Wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie jednym.

— Jest jeszcze coś... — powiedział.

Paliliśmy papierosy przed naszym namiotem, a Stanley opowiadał, jak wrócił do letniego domu — tą samą drogą, którą jechaliśmy w tamtą stronę. Przechodził więc koło miejsca, w którym zepchnęliśmy z drogi właściciela ekologicznego kempingu.

— Jego samochód wciąż tam stał — mówił Stanley. — Dokładnie w tym samym miejscu. To było bardzo dziwne. Wydawało się, że nikt już po nas tamtędy nie przejeżdżał. Zrobiło się jednak jeszcze dziwniej... — rzucił wzrokiem w kierunku domu. — Spróbowałem otworzyć drzwi — kontynuował prawie szeptem. — Były otwarte, a szyba całkowicie opuszczona. To przecież dziwne, nie? Kto tak zostawia samochód? Obejrzałem go dokładnie, ale nie wyglądało na to, żeby się zakopał. Według mnie mógł stamtąd zwyczajnie odjechać.

— Może nie mógł zapalić?

Stanley potrząsnął głową.

— Nie, to nie to. Wiesz, zrobiłem coś, czego pewnie nie powinienem był robić. Włożyłem głowę do środka przez okno w drzwiach i zobaczyłem, że kluczyk wciąż tkwi w stacyjce.

Po raz pierwszy poczułem, jak ciarki przechodzą mi po plecach, tak jak w kinie, gdy akcja filmu przybiera nagle niespodziewany obrót.

— Jezus — powiedziałem.

— Wsiadłem wtedy do auta i przekręciłem kluczyk. Zapalił bez problemu...

Nic nie odpowiedziałem. Tak mocno zaciągnąłem się papierosem, że aż dostałem napadu kaszlu.

— Wsiadłem wtedy i zrobiłem to, co robi się w filmach. Ponieważ nie miałem przy sobie chusteczki, zdjąłem podkoszulek i wytarłem nim wszystko: kluczyki, kierownicę, drzwi. Obszedłem następnie samochód wkoło. Z jednej strony jest tam bardzo stromo. Zszedłem kawałek na dół, ale niemal nie zjechałem, musiałem złapać się krzaków. Poza tym panowały tam egipskie ciemności. Raz nawet zawołałem. A potem wróciłem tutaj.

— To ty myślisz, że on...

— Nie wiem, Marc, ale wydaje mi się dziwne, że nie pojechał dalej. A jeśli z jakiegoś powodu nie mógł ruszyć i poszedł na piechotę, to dziwi mnie, że zostawił drzwi i szybę otwarte, a kluczyki w stacyjce. Coś się tutaj nie zgadza.

Po raz drugi poczułem ciarki przechodzące mi po plecach. Wyobraziłem sobie, jak właściciel

kempingu z jakiegoś powodu obchodzi samochód i ześlizguje się ze zbocza.

— Może był oszołomiony — odezwał się Stanley, jakby czytał w moich myślach. — Może napędziliśmy mu większego stracha, niż nam się wydawało. Nie mam pojęcia, jak może zachowywać się kierowca, który właśnie został zepchnięty z drogi... Chciałem tylko, żebyś się o tym jak najszybciej dowiedział. Również w tych okolicznościach. Szczególnie w tych okolicznościach.

Teraz była moja kolej, by odczytać myśli Stanleya. Nie powiedziałem jednak nic, czekałem, aż on to zrobi.

— Wcześniej czy później znajdą ten samochód, Marc. Może nie dzisiaj w nocy, ale najpóźniej jutro za dnia. W pierwszej kolejności będą szukać kierowcy. Kto wie, może przebywa po prostu w domu, a może i nie ... Stwierdzą, że uszkodzony jest tył samochodu. Twoje auto też jest porysowane, Marc. Teraz jeszcze nie widzą żadnego związku. Poza tym ten facet nie ma pojęcia, kim jesteśmy, jednak na twoim miejscu nie oddawałbym w żadnym razie samochodu do miejscowego warsztatu. Postarałbym się stąd jak najszybciej zniknąć. Jeśli jeszcze nie tej nocy, to z pewnością jutro rano.

## ROZDZIAŁ 34

Julia spała. Wyniosłem z Caroline na zewnątrz dwa krzesła. Siedzieliśmy przed apartamentem, do którego drzwi były w połowie uchylone, paląc papierosy. Caroline spojrzała na zegarek.

— Powinniśmy iść na policję, Marc — wyszeptała. — Powinniśmy to jak najszybciej zgłosić, może nawet natychmiast. A może lepiej jutro rano, jak myślisz?

— Nie — odparłem.

Moja żona popatrzyła na mnie.

— Co: nie?

— Nie chcę. Nie chcę iść z Julią na posterunek. Oni zaczną zadawać pytania... To znaczy: coś się wydarzyło, a my wiemy co. Ty i ja. I ona też wie, choć teraz tego nie pamięta. Może to nawet lepiej, że nic sobie w tej chwili nie przypomina.

— Ale jak to, Marc? Ten facet może się tu plątać w okolicy. Tak zawsze mówią w razie przestępstwa. Że należy szybko działać. Pierwsze dwadzieścia cztery godziny są najważniejsze. Im wcześniej pójdziemy na policję, tym mniej daleko uda się temu łajdakowi uciec i tym większa szansa, że go złapią.

— Oczywiście, Caroline, masz rację. W zupełności. Ale przecież nie możemy teraz zabrać Julii na posterunek. Na pewno nie chcesz jej tego zrobić. I ja również nie.

— Ale przecież my moglibyśmy pójść? W każdym razie któreś z nas. Jedno z nas pójdzie, a drugie zostanie z Julią.

— Okej — odpowiedziałem. — Ja zostanę przy Julii.

— Nie, ja przy niej zostanę.

Popatrzyliśmy na siebie. Caroline otarła twarz z łez. Miała zdecydowaną minę.

— Marc, ja nie mam zamiaru sprzeczać się o to, kogo ona w tej chwili bardziej potrzebuje, ojca czy matki. Wydaje mi się, że matki. Ty możesz iść na policję.

Mogłem powiedzieć żonie, że nasza córka potrzebuje w tej chwili przede wszystkim lekarza — niekoniecznie ojca, lecz lekarza, którym jest jej ojciec. Lekarza, który będzie przy niej, gdy wyjdzie z pierwszego szoku i coś sobie zacznie przypominać. W głębi serca czułem jednak, że Caroline miała rację. Julia powinna móc trzymać rękę swojej matki — matki, która również jest kobietą. W tej chwili nie powinna widzieć mężczyzny, lecz kobietę, nawet jeśli tym mężczyzną jest jej ojciec.

— No nie wiem, Caroline — odparłem. — Załóżmy, że pójdę... przecież zapytają, czy będą mogli Julię jutro przesłuchać. Jutro. Przecież tego nie chcemy, prawda?

— Ale przesłuchiwanie jej nie ma sensu. Ona przecież niczego sobie nie przypomina.

— A tobie się wydaje, że im wystarczy, gdy powiemy, że nasza córka niczego nie pamięta? No coś ty!

Wpadną tutaj całą ekipą z laboratorium kryminalistycznego. Z psychologami i innymi specjalistami. Z doświadczonymi w takich sprawach i pełnymi zrozumienia policjantkami, które niby to doskonale wiedzą, w jaki sposób przywrócić pamięć ofiarom gwałtów cierpiących na jej utratę, oraz skłonić je do zeznań.

— Ale przecież my również tego chcemy?

— Słucham?

— Żeby odzyskała pamięć. Aby przypomniała sobie, co się stało i jak ten łajdak wygląda.

Próbowałem zgromadzić w myślach moją wiedzę na temat utraty pamięci. To, o czym przed laty uczyłem się na wykładach. Pamięć jest często wybiórcza. Mózg blokuje traumatyczne przeżycia, które nieraz już nigdy nie powracają. Pamięć o takim wydarzeniu spychana jest w miejsce, z którego można ją przywołać jedynie — przykładowo — pod wpływem narkotyków lub hipnozy.

Tak, teraz sobie przypomniałem: przeżycia rzadko są wypierane. Mózg jednak pracuje niezbyt dokładnie, blokując czasem nie tylko traumę, ale i wydarzenia, które jej towarzyszyły. Na plaży Julia natychmiast rozpoznała mnie, podobnie jak Judith, swą młodszą siostrę, Thomasa, Aleksa, swoją matkę, Emmanuelle i Ralpha. W wypadku całkowitej amnezji ludzie nie wiedzą, kim są. Nie rozpoznają w lustrze swojej twarzy, nie wspominając o odpowiednim umiejscowieniu twarzy innych osób.

W tych okolicznościach nie chciałem jeszcze Julii o to pytać, lecz jej blokada rozpoczęła się z całym prawdopodobieństwem już wcześniej. Zapytała „Byłam z Alekssem?” i „Gdzie ja z nim byłam?”. Wiedziała, kim jest Alex, ale nie pamiętała, że poszła z nim do restauracji na drugiej plaży.

I było jeszcze coś innego. Tego popołudnia i wieczoru moja córka udawała z całych sił, że mnie nie widzi. Niemal nie odpowiadała na moje pytania. Ani razu na mnie nie spojrzała.

Odkąd zobaczyła mnie w kuchni. Z Judith.

Jednak od chwili, kiedy znalazłem ją na plaży, gdy niosłem ją na rękach do samochodu, a potem tutaj, podczas badania w apartamencie Stanleya i Emmanuelle, cały czas na mnie czule patrzyła. Ze smutkiem, lecz czule.

Czy to było możliwe?, zastanawiałem się. Czy to możliwe, iż jej amnezja zaczęła się po południu, a może nawet już wcześniej, i że Julia nie pamiętała, iż przyłapała mnie w kuchni z Judith?

Nie mogłem jej o to bezpośrednio zapytać, musiałem wymyślić okężne pytanie o coś, co zdarzyło się wcześniej tego dnia. Ptaszek. Lisa znajdująca ptaszka, który spadł z drzewa oliwnego. Śniadanie. Potem pojechałem z Lisą do ogrodu zoologicznego, a kiedy wróciłem, Caroline nie było — pojechała razem z Ralphem, Stanleyem i Emmanuelle. Poszedłem na górę, do kuchni. Z Judith i jej matką wyglądaliśmy przez okno... Tak, to było to! Miss mokrego podkoszulka... Julia i Lisa przeszły po kolei po trampolinie niby po wybiegu dla modelek. Alex spryskał je wodą. Zobaczyłem w myślach moją starszą córkę, jej zalotną pozę, gdy uniosła do góry włosy, by zebrać je w kucyk, który następnie roztrzepała...

O to powinienem zapytać Julię, gdy się obudzi. W myślach próbowałem sformułować niedbałe zdanie: „Pamiętasz, jak dzisiaj/wczoraj po południu zostałeś zmoczona przy basenie? Mieliście przednią

zabawę...” — ale nie do końca mi wyszło. Szczególnie raziło mnie w tym zdaniu słowo „zabawa”.

— Pomyślałam sobie, że może masz rację — powiedziała Caroline. — Może rzeczywiście powinniśmy w tej chwili chronić Julię przed zbyt wieloma pytaniami. Nie przyszło mi do głowy, że będą się o wszystko pytać. To zapewne jeszcze bardziej ją rozstroi. Policja i tak dalej... Ale co teraz? Co w takim razie mamy robić? No przecież nie może to temu bydlakowi ująć płazem.

— Możemy zadzwonić. Anonimowo. Informując, że w okolicy grasuje gwałcieciel.

Caroline westchnęła, a ja w tej chwili zdałem sobie sprawę z bezsensu takiej rozmowy telefonicznej. Pomyślałem ponownie o Aleksie i jego zachowaniu na plaży. Nie postrzegałem go jako potencjalnego sprawcy, mimo to nie przestawałem mieć nieprzyjemnego uczucia, że nie o wszystkim nam opowiedział.

— Marc — powiedziała Caroline i położyła dłoń na moim przedramieniu. — Jesteś lekarzem i potrafisz ocenić, jak poważna jest sytuacja Julii. Powinniśmy jechać z nią do szpitala, czy lepiej zostawić ją w spokoju, jeśli to możliwe? Niech odpocznie przez kilka dni, a potem wrócimy do domu.

— Nie musi iść do szpitala. Nie wie, co się stało. To znaczy zdaje sobie sprawę, że coś jej się przydarzyło. Rozumie zapewne też co. Ma trzynaście lat. Dałem jej coś, żeby ją nie bolało, ale ona jest... ona czuje...

Głos mi się załamał, coś zapiszczało mi w gardle i dostałem napadu kaszlu. Caroline ścisnęła moje ramię.

— Okej — odpowiedziała. Niech jeszcze dzień odpocznie. Jutro. A w poniedziałek wyjedziemy, jeśli uważasz, że może podróżować samochodem. Na tylnym siedzeniu. Możemy jej tam zrobić posłanie...

— Lepiej będzie, jeśli jutro... — Spojrzałem na zegarek: było wpół do trzeciej. — Lepiej będzie wyruszyć jeszcze dzisiaj. Wkrótce, jak tylko zaświta.

— Czy to nie za szybko? Nawet nie zmrużyliśmy oka, a dla Julii...

— Tak po prostu będzie lepiej — przerwałem jej. — Dla niej. Musimy stąd jak najszybciej wyjechać. Do domu.

## ROZDZIAŁ 35

Kilka godzin później siedziałem jeszcze na krześle przed apartamentem, paląc papierosy, a Caroline położyła się spać w łóżku obok Julii, gdy po zewnętrznych schodach zszedł Ralph.

— Pomyślałem: „Może będzie miał ochotę?” — powiedział. Pod pachą trzymał butelkę whisky, a w rękach dwie szklanki wypełnione kostkami lodu.

Przez chwilę siedzieliśmy obok siebie w milczeniu. Gdzieś w uschniętych krzakach po drugiej stronie basenu zawzięty świerszcz nie przestawał ocierać o siebie tylnych odnóży. Jego cykanie oraz obijające się o siebie kostki lodu w naszych szklankach były jedynymi dźwiękami rozbrzmiewającymi w ciszy ogrodu. Na wschodnim odcinku nieba pojawiły się pierwsze pasma światła słonecznego. Wpatrywałem się w nieruchomą, podświetloną od dołu wodę w basenie. Potem popatrzyłem na trampolinę. Była to ta sama trampolina co wczoraj, a jednak inna. Również ogród i letni dom były inne. I nie tylko to. Nie miałem ochoty ich więcej oglądać. Być może już nigdy nie będę miał na to ochoty. Chciałem wracać do domu.

Ralph potarł swoje prawe kolano.

— To było niezłe kopnięcie, Marc. Gdzie się tego nauczyłeś? W wojsku? Podczas studiów?

Popatrzyłem na jego kolano. Z zewnątrz nic nie było widać, to było zwykłe owłosione męskie kolano, lecz wiedziałem, że w środku wszystkie mięśnie i ścięgna były nadwerężone. Nie zauważyłem, jak schodzi po schodach, ale z całym prawdopodobieństwem jeszcze przez kilka dni będzie utykał.

— Co potem zrobiłeś? — zapytałem. — Wróciłeś od razu do domu?

— Pospacerowałem trochę po plaży. Wzdłuż morza. To znaczy... pokuśtykałem. Na początku niewiele czułem, ale potem zaczęło mi tam w środku pulsować — stuknął w kolano. — Pomyślałem: „Co ja tu jeszcze robię? Wracam do domu”.

Muszę przyznać, iż we wcześniejszych rachubach nie wziąłem pod uwagę jego kolana. Wyliczyłem, czy mógł w tym czasie pójść do drugiej restauracji na plaży i stamtąd wrócić, i czy mógł być w domu w chwili, gdy Judith do niego dzwoniła, nie myśląc przy tym jednak o jego kontuzji.

Dlaczego Ralph Meier miałby z bolącym i pulsującym kolanem powędrować do drugiej restauracji oddalonej o ponad kilometr? A potem z powrotem? Wydawało się to nie tylko całkiem niewiarygodne, ale i fizycznie prawie niemożliwe.

— Przede wszystkim musisz nim poruszać — poradziłem. — Bo jak nie będziesz, to zeszywnieje.

Ralph rozprostował prawą nogę. Poruszał grubymi paluchami w plastikowych klapkach. Jęczał. Gdy popatrzyłem na niego z boku, zobaczyłem, że zagryzł wargi. Jeśli grał, to robił to świetnie. Nie wykluczałem niczego. Liczyłem się z tym, że cała ta gadanina o kolanie była udawana i że używał go jako



alibi.

— Przedyskutowałem to ze Stanleyem i Emmanuelle — powiedział. — Możecie zostać w apartamencie, jak długo chcecie. Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Już chciałem mu powiedzieć, że to niepotrzebne, ponieważ za kilka godzin stąd wyjedziemy, lecz w ostatniej chwili się powstrzymałem. Być może odetchnąby z ulgą, wiedząc, iż wyjeżdżamy, a ja nie chciałem, żeby mu ulżyło. Jeszcze nie teraz.

— Gdzie jest Alex? — zapytałem.

Mimo że patrzyłem bez ruchu wprost przed siebie, na niebiesko podświetloną wodę basenu, to nie umknęło mi nic z fizycznej reakcji Ralpha, który w istocie zmienił pozycję na krześle. Przechylił się do przodu, potarł twarz rękoma i z powrotem opadł do tyłu, na oparcie.

— Na gorze — odpowiedział. Tym razem bez jęku założył prawą nogę na lewą. — Śpi. Chcesz jeszcze trochę? — Podniósł z ziemi butelkę whisky i trzymał ją nad moją szklanką.

— Okej. Coś ci mówił?

Ralph dolał sobie whisky, zanim odpowiedział.

— On jest bardzo rozstrojony. Czuje się winny. Powiedziałem mu, że nie musi.

Wciągnąłem głęboko powietrze. Przystawiłem szklankę do ust. Kostki lodu roztopiły się, poczułem smak rozcieńczonej letnią wodą whisky.

„Dlaczego miałby nie czuć się winny? Być może ma ku temu powód?”. Tak mogłem powiedzieć, lecz tego nie zrobiłem. Poczułem, jak moja twarz robi się gorąca. To niedobrze — powinienem zachować zimną głowę. Dosłownie.

— Nie, on nie musi się czuć winny — powiedziałem. — Wydaje mi się jedynie, że coś widział. Coś, o czym boi się powiedzieć. Właśnie ze względu na to, że czuje się winny.

— I cóż takiego miałby zobaczyć? — Ralph ponownie zmienił pozycję i pociągnął kilka łyków whisky, jeden za drugim. Biorąc pod uwagę mowę jego ciała, on też nie powiedział wszystkiego, co powinien był powiedzieć. Albo próbował tylko chronić swojego syna.

Jeszcze coś innego przyszło mi teraz do głowy. Coś o czym, ku własnemu zdziwieniu, wcześniej nie pomyślałem. Julia nic nie pamiętała, o tym jednak Ralphowi, Aleksowi ani nikomu innemu nie wspominałem. Ściśle rzecz biorąc, jedynie Caroline i ja wiedzieliśmy o utracie pamięci przez Julię. A może jednak nie? Próbowałem odtworzyć ostatnie godziny w najmniejszych szczegółach. Kto i kiedy był tutaj na dole, w apartamencie.

Wszyscy starali się — jeśli to było możliwe — zostawić nas w spokoju i zadawać jak najmniej pytań. Judith... Po tym jak zaprowadziła do łóżek Thomasa i Lisę, zeszła na dół i o coś spytała. Czy Julia coś wie. Odpowiedzieliśmy, że wciąż jest w szoku. Prawdopodobnie jej pamięć jest zablokowana, dodałem, to często się zdarza w takich przypadkach. Mówiliśmy szeptem, a kiedy Julia otworzyła oczy, przestaliśmy o tym rozmawiać. Emmanuelle o nic więcej nie pytała, Stanley później też nie. Być może Judith przekazała Ralphowi to, czego się od nas na dole dowiedziała. Ale nawet i w takim wypadku...

Czy było to prawdopodobne, że Ralph usiadł obok mnie z butelką whisky, wiedząc, iż to tylko kwestia czasu, zanim Julia zidentyfikuje napastnika?

Chyba że... — Coś zaczęło mi mocno tętnić na wysokości skroni. — Chyba że Julia straciła przytomność, zanim... Można było o tym przeczytać. W chwili nieuwagi wrzucano coś do drinków. Tabletkę, po której dziewczęta szybciej się upijały, łatwiej je było rozbawić, robiły się... łatwiejsze lub całkowicie odurzone. Puszczaly im wszelkie hamulce i szły z mężczyznami, z którymi nie powinny były iść. Zdarzało się, iż połączenie tabletki z alkoholem było na tyle silne, że traciły świadomość.

Choć się starałem, nie udawało mi się przestać o tym myśleć. Mężczyzna — najprawdopodobniej dorosły mężczyzna — pochyła się nad nieprzytomną, trzynastoletnią dziewczynką. To chore, mówią ludzie. Ktoś taki jest chory. Ale to nieprawda. To nie jest choroba. Chorobę można wyleczyć, a w każdym razie próbować leczyć. To jest coś innego. To defekt. Błąd w konstrukcji. Butelka napoju chłodzącego wybucha, więc wycofują ją z handlu. Tak samo powinno się zrobić z tymi mężczyznami. Zamiast leczenia akcja wycofania z rynku. Cała partia zostaje zniszczona. Żadnego pogrzebu ani kremacji. Nie chcielibyśmy, aby ich prochy mieszały się z powietrzem, które wdychamy.

Zamrugalem oczami. Tylko prawym okiem — natychmiast zdałem sobie sprawę. Choć nie myślałem o tym więcej, to od powrotu z plaży nie udało mi się otworzyć lewego oka. Nie bolało mnie, nie: po prostu nie mogłem go otworzyć. Najpierw spróbowałem zwyczajnie podnieść powiekę, a gdy próba się nie powiodła, delikatnie pociągnąłem palcami za rzęsy. Potarłem powiekę, nacisnąłem kłykciami, lecz oko pozostało zamknięte. Wiedziałem, że to niedobrze. Zanim wsiądziemy do samochodu, czeka mnie nieprzyjemna czynność. „Co ci się stało w oko?”, już chyba każdy zdążył o to zapytać. „Chcesz, żebym je obejrzała?”, zapytała jedynie Caroline, na co ja odpowiedziałem krótko: „Nie”.

Spojrzałem w bok na okazałe ciało aktora siedzącego obok mnie. Przechylił się do przodu, opierając łokcie na udach. Za kilka godzin stąd wyjedziemy. „Pierwsze dwadzieścia cztery godziny są najważniejsze”, powiedziała Caroline. Coś musiałem zrobić. Coś, co później nie będzie możliwe. Później miałby wystarczająco dużo czasu, by się zastanowić i odpowiednio sformułować odpowiedź. Teraz była piąta rano, a Ralph wypił połowę butelki whisky.

— Co właściwie działo się w twojej głowie, gdy przewróciłeś tę dziewczynę na ziemię? — zapytałem spokojnie.

Przez chwilę milczał.

— Słucham? — zapytał. — Co powiedziałaś?

— Pytałem o to, co popchnęło cię do tego, by kopnąć tę Norweżkę.

Ralph głośno wciągnął nosem powietrze. Popatrzył na mnie z boku. Odwzajemniłem jego spojrzenie. Wprawdzie jednym okiem, ale tym jednym otwartym okiem starałem się w miarę możliwości odwzajemnić jego wzrok i nie mrugać.

— Stoisz sobie żarty, czy...? — Uśmiechnął się, lecz ja nie odpowiedziałem uśmiechem.

— Czy to twoja normalna reakcja, gdy kobieta albo, w tym wypadku, dziewczyna da ci kosza?

Próbujesz ją wtedy zbić na kwaśne jabłko? Tak, by wylądowała w szpitalu?

— Marc, co ty opowiadasz? Kto tu kogo właściwie kopnął? Pobić tak, żeby wylądowała w szpitalu...

Potarł kolano z twarzą niby wykrzywioną bólem. Zrozumiałem do czego dąży: próbował wszystko odwrócić i jednocześnie zbagatelizować, udało mu się to jednak tylko połowicznie. Dostrzegłem to w jego wzroku, w jego mokrawych oczach przypominających zamarznięty staw, pokryty cienką warstwą wody. Pod nią tafla lodu była twarda jak kamień. Przypomniałem sobie nagle, gdzie już wcześniej widziałem ten wzrok: podczas gry w ping-ponga, gdy próbował ściąć piłkę. Również wtedy, gdy się pośliznął, przez pierwsze sekundy, gdy jeszcze nikt nie odważył się roześmiać. Czuł ból, nie zdecydował jednak jeszcze, jak zareagować.

— Julia opowiedziała mi, co zrobiłeś — odparłem.

Mówiąc to, patrzyłem mu prosto w oczy. Przez wodę oglądałem lód. Badałem jego grubość.

— Dobrze wiesz, o czym mówię, Ralph. Widziałem, jak patrzysz na kobiety. Na wszystkie kobiety, niezależnie od wieku. Wczoraj wieczorem zobaczyłem również, jak się zachowujesz, gdy robią coś innego, niżbyś chciał.

Tym razem nic nie zakomunikował swym ciałem. Chyba że brak reakcji także można uznać za mowę ciała. Wpatrywał się we mnie bez ruchu.

— Co ci Julia opowiedziała? — zapytał.

— Że ściągnąłeś jej majtki. I że wcale jej się to nie podobało.

— Co? To ci powiedziała? Do cholery... — Pięścią uderzył w kolano. — Marc, to była zabawa. Zabawa. Wszyscy ściągaliśmy sobie nawzajem kąpielówki. Alex, Thomas, Lisa i Julia też. Śmiałyśmy się przy tym do rozpuku. Kto je zgubił, musiał wyłowić monetę z basenu. Jezus, Maria! Zwykła zabawa. A teraz mówi... A teraz mówi, że ja...? Cholera jasna, co jej nagle przyszło do głowy?

— Uważasz, że to normalne. Uważasz, że to normalne, kiedy dorosły mężczyzna ściąga dziewczynkom majtki? Kilka dni temu być może i ja uznałbym to za normalne, ale nie po tym, co stało się wczorajszego wieczoru na plaży.

Coś zmieniło się teraz w spojrzeniu Ralpha. Wydawało się, że jego oczy nagle wyschły. W jego białkach widziałem jedynie czerwone odnogi pękniętych naczynek.

— Marc, co ty właściwie próbujesz powiedzieć? Próbujesz z czegoś normalnego zrobić coś obmierzłego tylko dlatego, że hormony twojej córki zaczynają buzować i że nagle żałuje, iż brała udział w zabawie, podczas której nawet na chwilę nie dała po sobie poznać, że się jej nie podoba? Przysięgam, że przestałbym natychmiast, gdybym zauważył, że ją to irytuje. Przysięgam!

Przełknąłem ślinę, a właściwie mi się to nie udało — moje usta były zupełnie suche.

— Coś ty powiedział? — zapytałem. — Coś ty powiedział o hormonach?

— Wszyscy to widzą. Jezus, Marc! Alex był jej pierwszą ofiarą. Prowokowała go całymi dniami, ale jak co do czego przyszło, to zostawiła go na lodzie. A potem poszła do taty, żeby się poskarżyć na niewinną zabawę. Jesteś jej ojcem, chyba masz oczy w głowie?

Gromadziłem jedynie nowe informacje: Julia dała kosza Aleksowi. Kiedy? Wczoraj wieczorem byli jeszcze w sobie zakochani. Coś musiało się stać w tamtej restauracji na plaży, o czym jeszcze nie wiedziałem. Teraz jednak musiałem skoncentrować się na Ralphie.

— Mówisz cały czas o niewinnej zabawie — zripostowałem. — Do jakiego stopnia była ona niewinna, jeśli Julia jest już właściwie kobietą? A w każdym razie dziewczyną, której hormony — jak to się wyraziłeś — zaczynają buzować? Albo mówiąc inaczej: Emmanuelle. Czy Emmanuelle również uczestniczyła w waszej zabawie? Jej także ściągnąłeś majtki? Czy ona też musiała wyłowić monetę z dna basenu, po tym jak zdarłeś jej bikini?

W jednej chwili Ralph podniósł się, przewracając krzesło do tyłu. Zrobił chwiejny krok i się odwrócił. Stał teraz na wprost mnie, oddalony najwyżej o pół metra. Wskazywał swoim grubachnym paluchem. Jego czubek dotykał niemal mojego nosa.

Z jednej strony się bałem. Obawiałem się, że coś mi zrobi. Z drugiej strony było mi wszystko jedno. Niczym się już nie przejmowałem. Ralph był pijany. Mógłby mnie znokautować jednym uderzeniem. Straciłbym przytomność i nic więcej bym nie czuł.

— Wiesz co? — powiedział, a ja poczułem kilka kropli śliny na swojej twarzy. — Powinieneś się zastanowić, kto jest tutaj prawdziwym świntuchem. To tobie, nie mnie, ta gra kojarzyła się z bezceństwami. Widzę, jak twoja córka udaje niewinną dziewczynkę, gdy jej to na rękę. Kiedy przychodzi wypłakać się u tatusia. Ale ona już sobie świetnie potrafi radzić z mężczyznami. Marc, widziałem na własne oczy, jak kokietuje i uwodzi swoim zalotnym występem na trampolinie. Swoimi uśmiezkami i ubiorem. Kto wie, co dokładnie wydarzyło się w tamtej restauracji? Kto wie, kogo tam kokietowała swoimi sztuczkami fotomodelki? Tatuś jest chyba ślepy, nie widząc, że wszyscy faceci odwracają się za jego śliczną małą córeczką. Może ty tego nie chcesz widzieć? Może pragniesz, żeby na zawsze pozostała twoją małą dziewczynką? Ale twoja dziewczynka jest już duża, Marc. Jest tak samo przebiegła jak reszta!

Teraz z kolei ja wstałem. Spokojnie, nie przewracając krzesła. Zewnętrznie opanowany, lecz w środku przygotowany na wszystko. Ralph był ode mnie wyższy i silniejszy. Przegrałbym, lecz wcześniej mógłbym go uszkodzić. Na resztę życia. Nie jestem bitny, znam jednak, jak nikt, słabe punkty. Wiem, jak za pomocą prostych sztuczek można zniszczyć ludzkie ciało.

— Coś ty powiedział? Coś ty powiedział o tym, jak wygląda Julia? Twierdzisz, że sama jest winna temu, co jej się przydarzyło? Tak jak naprawdę wszystkie kobiety? Przez to, jak wyglądają?

Nad naszymi głowami otworzyło się okno. Okno w kuchni, jak zauważyliśmy, patrząc w górę.

— Czy możecie mówić ciszej? — zapytała Judith. — Słyszać was na kilometr.

## ROZDZIAŁ 36

Jechaliśmy w kierunku północnym, najpierw wąskimi drogami wzdłuż wybrzeża, potem dotarliśmy do autostrady. Lisa zapadła w sen na siedzeniu obok kierowcy. Jej wiotkie ciało przypięte było pasem bezpieczeństwa, głowa opierała się, niewygodnie zgięta, o szybę. W lusterku wstecznym zobaczyłem, że również Caroline i Julia spały. Julię położyliśmy, przykrytą śpiworem, na tylnym siedzeniu, jej głowa leżała na kolanach Caroline. Choć obudziła się na chwilę, gdy kładliśmy ją do samochodu, to ostatnie dwie godziny przespala.

Tego niedzielnego poranka ruch był niewielki, jednak kierowanie autem z jednym okiem zamkniętym kosztowało sporo wysiłku. Widziałem inne samochody, ale trudno mi było ocenić, w jakiej odległości się znajdowały. Wszystkiego byłem świadomy. Czytałem o tym i miałem na ten temat wykłady: jednym okiem nie można określić odległości. Nigdy nie wiedziałem dokładnie, jak to sobie wyobrazić, teraz w końcu zrozumiałem. To nie to samo, gdy na jakiś czas zamknie się jedno oko, gdyż drugie oko przez jakiś czas „przypomina sobie” odległość, jednak gdy upłynie pół dnia, świat staje się płaski. Tak płaski jak na zdjęciu — perspektywa istnieje, nie ma jednak ruchu. Możesz zdać się jedynie na swe doświadczenie. Znasz rozmiary samochodu. Z doświadczenia wiesz, że mały samochód, który staje się większy, najprawdopodobniej zbliża się do ciebie.

Tymczasem zrobiło się całkiem jasno. Słońce paliło betonowe płyty na drodze. Kiepsko widziałem bez okularów przeciwsłonecznych, obawiałem się jednak, że w nich będę widział jeszcze gorzej. Zjechałem na stację benzynową. Choć w baku było wystarczająco dużo benzyny, to musiałem czymś napęścić żołądek. Filiżanką kawy, kanapką lub batonem Marsa.

Kiedy zatrzymałem samochód, Caroline opadła głowa. Otworzyła oczy. Gestem poprosiłem, żeby wysiadła. Ostrożnie ściągnęła śpiwór z Julii, zwinęła go na kształt poduszki i podłożyła jej pod głowę.

— Idę się wysikać — powiedziałem. — Przy okazji kupię coś do picia i przegryzienia. Wziąć coś dla ciebie?

Caroline przetarła oczy i potrząsnęła głową.

— Tak sobie pomyślałem — wyszeptalem. — Możemy jechać prosto do domu, ale nie wiem, czy to dobrze. Tak czy siak gdzieś musimy się zatrzymać, nie jestem w stanie prowadzić cały dzień. Zastanawiałem się, czy nie pogorszymy sprawy, wracając od razu do domu. Możemy zatrzymać się w jakimś hotelu. Nad morzem albo w górach. Zróbmy coś przyjemnego. Na później. Żeby nie zapamiętała samych przykrych rzeczy.

W ciągu ostatnich dwóch godzin rozmyślałem. W szczególności przypominałem sobie wypadek z mojego dzieciństwa. Zastanawiałem się, czy powinienem siedzieć za kierownicą. Czy to

odpowiedzialne z mojej strony z taką ilością alkoholu we krwi i szumem w głowie spowodowanym brakiem snu. Powinienem chronić moją rodzinę. Nie mogliśmy wypaść z drogi. W każdej chwili mogłem zasnąć za kierownicą. Wiedziałem, jakie są objawy. Mrugasz oczami, a w następnej chwili coś znika. Reklama na wzgórzu, dom z cyprysami, chudy osioł za płotem z drutu kolczastego. Zasnąłeś. Być może zaledwie na trzy sekundy, ale zasnąłeś. W jednej chwili znikają reklama i osioł. W gazecie ukazałaby się krótka wzmianka: „Samochód, którym jechała holenderska rodzina (...) przez poręcz drogową na przeciwny pas ruchu...”.

Gdy miałem trzynaście lat, ojciec udzielił mi pierwszych lekcji jazdy. Najpierw na parkingu, później, dość szybko, na zwykłej drodze. Są ludzie, którzy nie lubią prowadzić, ja jednak w normalnych okolicznościach wprost to uwielbiam. To uczucie nigdy mi nie przejdzie. Jestem pewien, że moje uwielbienie dla jazdy samochodem miało początki właśnie w tamtym okresie.

Pewnego popołudnia jechaliśmy wąską drogą pełną zakrętów, biegnącą przez obszar Veluwe. Ja siedziałem za kierownicą, mój ojciec obok mnie, a matka z tyłu. Zbliżaliśmy się do ostrego zakrętu w lewo. Znajdowałem się w fazie, kiedy kierowanie samochodem przychodziło mi automatycznie. To niebezpieczna faza, w której słabnie koncentracja. Z przeciwka nadjechał samochód, który zbyt późno zauważyłem. Pociągnąłem kierownicę w prawo, by go nie potrącić. Wypadliśmy z trasy, zjechaliśmy stromym zboczem w dół. Udało mi się wyminąć wszystkie drzewa, lecz zatrzymaliśmy się raptownie, uderzając w drewniany stół do pikniku. Mój ojciec wysiadł, by obejrzeć szkodę. Następnie zajął miejsce za kierownicą i wyjechał samochodem na drogę.

Myślałem, że na tym się skończy, że dalej to on poprowadzi, lecz on zatrzymał auto i ponownie wysiadł.

— Teraz ty — zarządził.

— Ja nie wiem, czy... — zapisał. Moje ręce i czoło mokre były od potu. Jednego byłem pewien, mianowicie tego, że już nigdy nie będę chciał usiąść za kierownicą.

— Właśnie teraz musisz — wyjaśnił mój ojciec. — W przeciwnym wypadku już nigdy się nie odważysz.

O tym rozmyślałem w pierwszych godzinach od naszego wyjazdu z letniego domu. Myślałem o Julii i niebezpieczeństwie przerwanych wakacji. Przejechaliśmy już ponad sto kilometrów, oddaliliśmy się stamtąd wystarczająco daleko, a droga do domu była jeszcze długa. W domu byli ludzie. Koleżanki, członkowie rodziny, którzy będą zadawać pytania. Zarówno odpowiedzi na nie, jak ich unikanie mogą wyrządzić szkodę. Teraz byliśmy tylko we czwórkę. Może niech przez jakiś czas tak pozostanie.

— Nie wiem — powiedziała Caroline. Staliśmy przy uchylonych do połowy tylnych drzwiach, patrząc na naszą śpiącą na tylnym siedzeniu córkę. Położyłem dłoń na ramieniu mojej żony, pogładziłem ją po włosach.

— Ja też nie — odpowiedziałem. — To przyszło mi do głowy. To jedynie przecucie, ale — szczerze mówiąc — ja również nie jestem pewien. Dlatego pytam ciebie. Ty zdecyduj.

Przed dwiema godzinami delikatnie obudziłem Caroline.

— Musimy stąd natychmiast wyjechać — powiedziałem. — Później ci to wyjaśnię.

Caroline poszła na górę po Lisę. Nie budziliśmy Stanleya ani Emmanuelle.

— O namiocie pomyśli się później — stwierdziłem. — Teraz i tak nie będzie nam potrzebny.

Nikogo nie spotkaliśmy, wszyscy spali. Ralph być może jeszcze nie, lecz on również nie wyszedł, gdy zapaliłem samochód i ruszyliśmy ścieżką prowadzącą do ulicy. Właśnie w nią skręcałem, gdy w lusterku wstecznym zobaczyłem jakiś ruch. Zahamowałem i popatrzyłem uważnie. Matka Judith stała na zewnątrz na górze schodów. Machała do nas. Mówiąc dokładniej, pokazywała gestem, że mamy się zatrzymać. W następnej chwili zobaczyłem w lusterku, że schodzi na dół. Wydawało mi się, że usłyszałem wołanie. Dodałem wtedy gazu i pojechałem dalej ulicą.

## ROZDZIAŁ 37

Hotelik leżał nad górskim potokiem z młynem wodnym. Niżej, w dolinie pomiędzy drzewami, pasły się brązowe krowy. Dzwonki zawieszane na ich szyjach dźwięczały cicho, grube bąki przelatywały, bzyząc, z kwiatu na kwiat, woda w potoku szemrała wśród kamieni. Na szczytach gór widoczne były gdziegdzie białe łatki śniegu.

Pierwszego dnia Julia nie wyszła z pokoju. Od czasu do czasu budziła się i prosiła jedynie o coś do picia. Nie była głodna. Zostawałem z nią na zmianę z Caroline. Pierwszego wieczoru siedziałem z Lisą w jadalni. Zapytała, co właściwie dolega jej siostrze, a ja odpowiedziałem, że jeszcze jej to kiedyś dokładnie wytłumaczę i że ma to związek z czymś, co przytrafia się czasem dziewczynkom, które dorastają.

— Dostanie okresu? — zapytała Lisa.

Gdy obudziłem się następnego ranka, moje oko pulsowało. Poszedłem do łazienki i popatrzyłem do lustra. Pod powieką znajdowała się opuchlizna wielkości jaja. Skóra powieki była rozciągnięta do granic możliwości i miała kolor jak po ukąszeniu przez komara, z kilkoma ciemnymi plamami. Zasznięta żółta ropa poprzyklejała się do rzęs. Wszystko pulsowało i tętniło jak ropiejący palec. Zdawałem sobie sprawę z tego, że to właśnie jest ropień. Nieleczony ropień na czubku palca może doprowadzić do zakażenia krwi. Jeśli nacisk na siatkówkę będzie zbyt duży, ta może pęknąć. W poszukiwaniu ujścia ropa i krew wlałyby się wtedy pod dużym ciśnieniem do gałki ocznej. Oko można by było uznać za stracone.

— Weź Julię ze sobą na dół — wyszeptałem do Caroline. — Nie chcę, żeby tu została.

Okno zasłaniałem myjką, tak by moja żona go nie zobaczyła.

— Chcesz, żebym ci pomogła?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Bardziej mi pomożesz, zostając przy Julii.

Dopiero dużo później — po kilku dniach, już po fakcie — zaniepokoiło mnie to, iż Julia wcale nie protestowała, gdy Caroline, lekko naciskając, nakłoniła ją, by wstała i się ubrała. „Chodźcie, pójdziemy na dół zjeść razem śniadanie!” — powiedziała radosnym tonem do obu córek i rozsunęła zasłony. „Na dworze jest dziś pięknie!”.

Leżałem na łóżku, wciąż trzymając myjkę przy oku. Obserwowałem, jak Julia, trzymając zawiniątko z ubraniami, które podała jej matka, idzie do łazienki. Chwilę później usłyszałem szum prysznic. Minął kwadrans, a szum nie ustawał.

Popatrzyliśmy na siebie. Wyraz paniki w oczach Caroline był niewątpliwie dokładną kopią paniki, którą w tym samym momencie wyczytała w moim jednym oku. Lisa wstała tymczasem ze swojego łóżka



i przyszła przytulić się do mnie. Przyciągnąłem ją mocniej do siebie, zasłoniłem jej głowę dłonią, jednocześnie układając usta bezdźwięcznie w słowa: „drzwi... sprawdź drzwi”.

— Julia? — Caroline zapukała ponownie, po czym nacisnęła klamkę. Popatrzyła na mnie i potrząsnęła głową. Jednocześnie jej dolna warga zaczęła się trząść, a oczy w jednej chwili zwilgotniały. „Nie płacz... Nie trzeba!” — powiedziały moje usta, ponownie nie wydając dźwięku.

— Tato? — odezwała się Lisa.

— Tak?

— Tato, mogę później zadzwonić do Thomasa?

W tym momencie szum prysznicza nagle ustał.

— Julia? — Caroline prędko otarła łzy i ponownie zapukała do drzwi.

— Mamo? — Drzwi się uchyliły. Z miejsca, w którym leżałem, nie widziałem twarzy córki. — Zaraz będę gotowa — odpowiedziała Julia.

W kosmetyczce Caroline znalazłem igłę, którą podgrzałem płomieniem zapalniczki. Przygotowałem wszystko na brzegu umywalki: waciki, gazę, jodynę, a także strzykawkę ze środkiem znieczulającym, po który sięgnąłbym jedynie w ostateczności. Jeśli to w ogóle było możliwe, nie chciałem znieczulać oka. Ból był tutaj najlepszym doradcą. On mógł mi podpowiedzieć, jak daleko mogę się posunąć. Ropień przypomina uzbrojony po flanki fort. To przyczółek wroga albo raczej komórka terrorystyczna w zdrowym ciele. Stosunkowo niewielka liczba uzbrojonych wojowników trzyma dużą grupę zakładników: kobiety i dzieci. Terrorysty obwiesili się granatami oraz laskami dynamitu, które w razie ataku zdetonują. Środkowym palcem lewej ręki lekko podniosłem powiekę. Ostrożnie nakłuwałem oko igłą. Gdybym wbił ją zbyt głęboko, mógłbym je nieodwracalnie uszkodzić. Nie tylko z ropnia, ale i z oka wylałby się płyn. Akcję ratunkową zakończoną śmiercią dziesiątków zakładników można uznać za nieudaną. Do tej pory igła nie natrafiała na opór. Nie odczuwałem też bólu. Gdy, patrząc otwartym okiem w lustro, próbowałem ocenić, jak głęboko ją wbiłem, usłyszałem nagle dźwięki. Głosy. Spojrzałem w bok. Głosy dochodziły przez lufcik znajdujący się nad muszlą klozetową. Lufcik miał szybę z matowego szkła i był otwarty. Choć nie słyszałem, co mówi, poznałem głos Lisy. Zapewne siedziały na tarasie niedaleko naszego pokoju. Ostrożnie, nie wyjmując igły z oka, zrobiłem dwa kroki i zamknąłem okno. W tej samej chwili poczułem na palcach coś klejącego. Podeszedłem do umywalki i ujrzałem krew. Spływała mi po twarzy, rozpryskując się grubymi kroplami na białej porcelanie. Wyciągnąłem igłę i nacisnąłem na powiekę. Wypłynęło więcej krwi. Tryskała mi na podkoszulek i na podłogę z płytek pomiędzy stopami. Oprócz krwi dostrzegłem coś jeszcze — substancję koloru musztardy — musztardy, której data ważności dawno upłynęła. Teraz poczułem również odór, oscylujący pomiędzy starą wodą kwiatową a zepsutym mięsem. Zrobiło mi się niedobrze, żółć natychmiast podeszła mi falą do gardła, zwymiotowałem ją do umazanej krwią i ropą umywalki. Jednocześnie wiwatowałem wewnętrznie, nie wydając dźwięku. Jeszcze mocniej nacisnąłem powiekę, aż wreszcie poczułem ból. Są dwa rodzaje bólu:

ból ostrzegający przed przekroczeniem pewnej granicy i ból przynoszący uczucie ulgi, tak jak ten, który właśnie czułem. Otworzyłem kran, nacisnąłem na oko i wydusiłem wszystko do końca. Odkręciłem z rolki co najmniej metr papieru toaletowego. Dopiero gdy dokładnie wyczyściłem okolice oka, odważyłem się spojrzeć. I jakby stał się cud. Spod resztki ropy i niteczek krwi wyjrzało oko — nieuszkodzone i przejrzyste, błyszczące niczym perła w ostrydze. Popatrzyło na mnie — jak sobie wyobraziłem — z wdzięcznością. Wyraźnie uradowane, że znowu mnie widzi.

Po dziesięciu minutach dołączyłem do rodziny na tarasie. Na nakrytym stole stał dzbanek z kawą i ciepłym mlekiem. Był też koszyczek z rogalikami i bagietką oraz małe opakowania masła i marmolady. Słychać było dzwonki krów. Trzmiel zanurkował w kwiatku, który ugiął się pod jego ciężarem. Słońce ogrzewało mi twarz. Uśmiechnąłem się. Uśmiechnąłem się do widniejących w oddali gór.

— Może zaczniemy dzień od spaceru? — zaproponowałem. — Sprawdźmy, dokąd zaprowadzi nas potok.

Poszliśmy wtedy na spacer. Julia bardzo się starała. Wyżej na zboczu potok zniknął w lesie pomiędzy wysokimi świerkami. W miejscu, gdzie było płytko, przeszliśmy na drugą stronę, skacząc z kamienia na kamień. Później dotarliśmy do wodospadu. Lisa miała ochotę popływać. Wraz z Caroline spojrzałem na Julię.

— W porządku — uśmiechnęła się. — Dobrze mi się tutaj siedzi.

Siedziała na płaskiej skale z podciągniętymi nogami, obejmując kolana rękoma. W jej uśmiechu coś się nie zgadzało, podobnie jak w tym, że bardzo się starała — wydawało się, iż robi to dla nas, by jeszcze bardziej nie zepsuć wakacji.

— Może wolisz wrócić do hotelu? — zapytała Caroline w tej samej chwili, kiedy i ja chciałem zadać jej to pytanie. Nie, ja zamierzałem ją właściwie zapytać, czy nie wolałaby jednak wrócić do domu.

— Nie, nie chcę — odpowiedziała.

Caroline westchnęła głęboko i popatrzyła na mnie.

— Może jesteś zmęczona i chciałabyś odpocząć?

— Dobrze mi się tu siedzi — powtórzyła Julia. — Popatrzcie na to piękne światło pomiędzy drzewami.

Wskazała w górę, pomiędzy czubki świerków. Zmrużyła oczy przed szerokimi promieniami słońca, przeświecającymi przez gałęzie. Lisa rozebrała się tymczasem i rzuciła do wody.

— Au, ale zimna! — zapiszczała. — Tato, też wejdiesz?

— Julia? — powiedziałem.

Popatrzyła na mnie i ponownie się uśmiechnęła. Poczułem przypływ nagłej słabości. Rozpocząła się w kolanach i przesuwała w górę, ogarniając klatkę piersiową i głowę. Zrobiłem krok do tyłu i opadłem na kamień.

— Chcesz wracać do domu, kochanie? — zapytałem. — Jeśli tak, to powiedz. Jutro natychmiast

wyruszymy w drogę.

Wydawało mi się, że mój głos brzmi normalnie. Najwyżej zbyt cicho, ale chyba nic nie dałem po sobie poznać.

Julia zamrugała oczami. Jej uśmiech zniknął. Przygryzła wargę.

— Naprawdę? — upewniła się. — Moglibyśmy?

## ROZDZIAŁ 38

I tak też zrobiliśmy. Wyruszyliśmy o świcie, a koło północy dotarliśmy do domu. Lisa jeszcze przez chwilę się bawiła, a Julia ponownie poszła pod prysznic, trwający i tym razem ponad piętnaście minut, i niemal natychmiast zapadła w sen.

Caroline otworzyła butelkę wina. Położyła się koło mnie z dwoma kieliszkami i różnymi rodzajami sera, które kupiliśmy na stacji benzynowej. Po raz pierwszy od wyjazdu z letniego domu byliśmy we dwoje.

— I co teraz zrobimy?

W drodze, w samochodzie, prawie nie rozmawialiśmy. Julia przede wszystkim spała, a Lisa słuchała muzyki na iPodzie Julii. Miałem wystarczająco dużo czasu, by wszystko przemyśleć.

— Na razie nic — odparłem. — Tak chyba będzie najlepiej.

— Nie powinniśmy iść do szpitala, a przynajmniej do specjalisty?

Ostatnie słowo wymówiła bez nacisku i jak najbardziej neutralnie. Wiedziała, co myślę na temat „specjalistów”. Zdawała sobie również sprawę z tego, jak bardzo bywałem drażliwy, gdy moja ograniczona wiedza medyczna podawana była w wątpliwość i to w szczególności przez moją żonę.

— Wiesz... — odpowiedziałem. — Mnie się wydaje, że ona nie odniosłaby żadnej korzyści z dalszego badania. Sprawdziłem to — musisz mi zaufać — są pewne uszkodzenia, ale one nie pozostawią po sobie śladu. Jeśli chodzi o szkody w psychice, to trudno coś na ten temat już teraz powiedzieć. Ona nic nie pamięta. W szpitalu będą zadawać pytania. Specjalista będzie chciał się wszystkiego dowiedzieć. Tutaj jest z nami. Z tobą i ze mną. Z młodszą siostrą. Naprawdę myślę, że najlepszy jest całkowity odpoczynek. Najlepiej, jeśli pozwolimy, by czas wyleczył rany.

— Ale czy to normalne, że ona nic sobie nie przypomina? Zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby wszystko pamiętała, to mogłoby być bolesne, ale czy jednak nie lepsze? Jaką szkodę może wyrządzić coś, co na wieki tkwi pogrzebane w twojej podświadomości?

— Tego nie wiemy. Nikt tego nie wie. Znane są przypadki ludzi, którym przydarzyło się coś strasznego, a którzy tak to wyparli ze świadomości, że byli w stanie wieść normalne życie. Z drugiej strony istnieją przypadki, kiedy osoby pod wpływem hipnozy odzyskały pamięć o przeróżnych nieszczęściach, z którymi nie potrafiły sobie później poradzić.

— Ale przecież chcielibyśmy się dowiedzieć? Może nie natychmiast, ale w końcu chcielibyśmy wiedzieć?

— Co wiedzieć? — Podstawiłem Caroline pusty kieliszek, a ona go napełniła.

— Kto to zrobił. Nie chcę o tym myśleć. Sama myśl doprowadza mnie do szaleństwa, myśl o draniu,

który robi takie rzeczy. Muszą go złapać. Wsadzić go za kratki. Muszą go... muszą go...

— Oczywiście, że chcemy to wiedzieć. Ja tak samo jak ty. Musimy jednak uważać, żeby Julii nie zaszkodzić. Jeśli będziemy się starać na siłę, by o wszystkim sobie przypomniła, to możemy wyrządzić więcej szkody, niż jeśli to tak na razie zostawimy.

Podczas naszego spaceru wzdłuż potoku szedłem przez chwilę sam obok Julii. Wspomniałem niby od niechcena o popołudniu spędzonym przy basenie, o pokazie mody na trampolinie, o pryskaniu wodą przez Aleksa i Thomasa i wyborach miss mokrego podkoszulka. „Stałem w oknie w kuchni”, powiedziałem, „Widziałem was i bardzo mnie to rozbawiło”. A Julia zmarszczyła w zamyśleniu czoło i zapytała: „A kiedy to było?”.

— Marc... — Caroline postawiła kieliszek na szafce nocnej i złapała za przegub.

— Tak?

— Czy myślisz...? Czy uważasz, że...? Raz już o tym rozmawialiśmy. Wtedy, na plaży. Czy uważasz, że Ralph byłby do tego zdolny?

Nie od razu odpowiedziałem. Udawałem, że się namyślam. Westchnąłem głęboko i potarłem knykciami lewe oko, które już mnie nie bolało, a jedynie swędziało.

— Też się nad tym zastanawiałem — odpowiedziałem. — To nie byłoby jednak możliwe. Spędziłem z nim większość czasu, a kiedy straciłem go z oczu, niemal natychmiast poszedł do domu. Próbowałem to porachować. Ralph nie byłby w stanie w tak krótkim czasie pójść i wrócić z tamtej drugiej plaży. W dodatku kulał.

— Tak, widziałam — odparła Caroline. — A co mu się stało?

— Odpalaliśmy petardy. Jedna z nich wybuchła w fali, blisko nas. Ralph bardzo się przestraszył i przewrócił. Upadł przy tym dość nieszczęśliwie.

Zmrużyłem oczy i usłyszałem, jak brzeg kieliszka stuka o zęby Caroline.

— Ale ja pytałam, czy on byłby w stanie — powiedziała. — Czy on byłby do tego zdolny.

Nie odezwałem się.

— Marc?

— Tak?

— Zadałam ci pytanie.

— Przepraszam. O co pytałaś?

— Pytałam, czy on — Ralph — byłby zdolny do czegoś takiego.

Tym razem zareagowałem natychmiast.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości — odpowiedziałem.

Kilka dni później zadzwoniła Judith. Na moją komórkę. Zapytała, co u nas słychać, a przede wszystkim, jak się czuje Julia. Siedziałem na kanapie w salonie. Julia leżała na podłodze i czytała jakieś czasopismo. Lisa była u koleżanki, a Caroline na zakupach. Wstałem i poszedłem do kuchni. Odpowiedziałem, że

zważywszy na okoliczności, nie najgorzej.

— Ciągłe o was myślę — stwierdziła Judith. — Marc, to okropne dla was wszystkich, a w szczególności dla Julii. I że to się stało tutaj. Ralph też jest zdruzgotany. Serdecznie cię pozdrawia. Stanley i Emmanuelle również. Jutro wracają do Ameryki.

W ciszy, która zapadła, usłyszałem znajomy odgłos.

— Gdzie jesteś? — zapytałem.

— Siedzę przy basenie, z nogami w wodzie.

Zamknąłem oczy, a następnie podszedłem do drzwi kuchni i wyjrzałem za róg. Julia wciąż leżała na brzuchu na podłodze, pochylona nad czasopismem. Uchyliłem nieco drzwi i wróciłem do kuchni.

— Thomas ciągle pyta o Lisę — powiedziała Judith. — Bardzo za nią tęskni.

— Tak.

— Ja też. Tęsknię.

Nie odezwałem się. Odkręciłem kran, wziąłem szklanekę i podstawiłem pod strumień wody.

— Ja też tęsknię. Za tobą, Marc.

## ROZDZIAŁ 39

Na tydzień przed końcem szkolnych wakacji otworzyłem ponownie gabinet, lecz mój zapal do pracy zniknął. Może nigdy go specjalnie nie odczuwałem, teraz w każdym razie nic z niego nie zostało. Mimo odrazy do ludzkiego ciała pracę wykonywałem zawsze sumiennie. Nie było na mnie prawie żadnych skarg. Poważne wypadki zawczasu kierowałem do specjalistów, te mniej poważne otrzymywały ode mnie odpowiednią receptę. Inaczej było w wypadku przeważającej większości — w wypadku osób, którym nic nie dolegało. Przed wakacjami z cierpliwością ich jeszcze wysłuchiwałem. Przez dwadzieścia minut robiłem pełną zrozumienia minę. Teraz nie wytrzymywałem tak długo. Najpóźniej po pięciu minutach moja pełna zrozumienia mina zniknęła. Pacjenci przestawali nagle mówić — nieraz w środku zdania — i pytali: „Co się stało, panie doktorze?”. „Nic, a cóż miałoby się stać?”. „Nie wiem, ale pan na mnie patrzy, jakby mi pan nie wierzył”.

Wcześniej pozwalałem pacjentom mówić przez pełne dwadzieścia minut, a oni wracali do domu, czując ulgę. Doktor przepisał im receptę i poradził, by odpoczęli i nie brali na siebie zbyt dużo obowiązków. „Proszę pójść do mojej asystentki i u niej umówić się na kolejną wizytę. Za trzy tygodnie zobaczymy, czy nastąpiła poprawa”.

Teraz nie dawałem rady, straciłem cierpliwość. „Nic panu nie dolega”, mówiłem pacjentowi, który po raz trzeci przychodził, by poskarżyć się na zawroty głowy, „zupełnie nic. Powinien się pan z tego cieszyć, że jest pan zdrowy jak ryba”.

„Ale, panie doktorze, gdy nagle wstaję z krzesła...”.

„Czy pan słuchał, co mówiłem? Widocznie nie. W innym wypadku usłyszałby pan, że nic panu nie dolega. Nic! Proszę mi zrobić przyjemność i iść sobie do domu”.

Kilku pacjentów już nie powróciło do mojego gabinetu. Czasem przysyłali list lub mejl, że znaleźli innego lekarza pierwszego kontaktu, gdzieś bliżej w okolicy. Wiedziałem, gdzie mieszkają. Kłamali, ale nic z tym nie robiłem. Pomiędzy wizytami pacjentów robiły się przerwy. Coraz częściej zdarzało się, iż trwały one od dwudziestu do czterdziestu minut. Mogłem wtedy wyjść. Pójść napić się espresso, zjeść kanapkę z jajkiem i sałata w barze za rogiem. Nigdy jednak nie wychodziłem, zostawałem sam w gabinecie, zamykałem drzwi. Przechylałem się do tyłu na krześle i zamykałem oczy. Próbowałem wyliczyć, ile miesięcy potrwa, zanim zostanę zupełnie bez pacjentów. Myśl ta powinna mnie być zaalarmować, tak się jednak nie działo. Myślałem o naturalnej kolei rzeczy. Ludzie rodzą się i umierają. Przenoszą się ze wsi do dużych miast. Wsie wyludniają się. Najpierw kończy działalność rzeźnik, a potem swój sklep zamyka piekarz. Zdziczałe psy opanowują nieoświetlone ulice. Wtedy umierają ostatni mieszkańcy. Wiatr hula na całego. Pootwierane drzwi komórek piszczą w zawiasach. Słońce

wschodzi i zachodzi, lecz jego promienie niczego już nie oświetlają ani nie ogrzewają.

Raz, może dwa, gdy zdarzyło mi się trzeźwo pomyśleć, zastanawiałem się nad konsekwencjami finansowymi. Niezbyt długo, ponieważ rozwiązanie było proste. Za kwitnącą praktykę lekarską w dobrej dzielnicy można było żądać dużo pieniędzy. Młodzi, dopiero rozpoczynający pracę lekarze pierwszego kontaktu wiele by dali za gabinet taki jak mój. Płacono astronomiczne sumy, przeważnie potajemnie, tak zwany zadatek. Oficjalnie było to zabronione, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że tak to wygląda. Dałbym ogłoszenie. Młody gość, świeżo po studiach, jedynie dla fasonu zrobiłby zafrasowaną minę, po tym jak wymieniłbym ową astronomiczną sumę. Jego oczy nie kłamałyby jednak, a wilcze spojrzenie byłoby wystarczająco wymowne. Powiedziałbym: „Musi się pan jednak szybko zdecydować, bo jest bardzo wielu chętnych do przejęcia mojej praktyki”.

Nie powinienem się z tym zbyt długo ociągać, stwierdzałem w trzeźwych momentach. Gabinet z nielicznymi pacjentami był kopalnią złota, gabinet bez pacjentów już nią nie był. Liczyłem. Nasza rodzina mogłaby wyżyć z tego trzy, cztery lata, potem musielibyśmy pomyśleć o innym rozwiązaniu. Być może o jakiejś wygodnej posadzie lekarza zakładowego lub o czymś zupełnie innym. O radykalnej zmianie i zatrudnieniu się jako lekarz w hotelu na Karaibach. Turyści, którzy nastąpili na jeżowca. Poparzenia słoneczne. Jelita rozstrojone spożyciem zbyt często podgrzewanego oleju. Taka totalna zmiana mogłaby być korzystna również dla Julii. Z dala od znajomego otoczenia. Nowy początek. O tym myślałem w owych trzeźwych momentach, które kończyło nieraz wejście kolejnego pacjenta do mojego gabinetu.

„Dlaczego tak pan uważa?”, pytałem komika telewizyjnego, który, będąc gejem, obawiał się, że zaraził się AIDS. I wtedy wysłuchiwałem historii i opisów imprez, o których nie miałem ochoty słuchać. Próbowałem wyobrazić sobie plażę nad idealnie błękitnym morzem. Po godzinach przyjęć w hotelu szedłbym po niej w kierunku morza. „Wytrysnął panu do ust?”, pytałem komika. „Był pan ostatnio u higienistki stomatologicznej?”. W przypadku zapalenia dziąseł zakażenie może przez spermę dostać się do krwiobiegu. Tymczasem stałem zanurzony po pas w lazurowych falach. Za chwilę miałem zanurkować. Dolna część ciała jest już wtedy zimna, a górna wciąż jeszcze ciepła. Spojrzałem na usta komika i spróbowałem wyobrazić sobie w nich kutasa. Nie wiem dlaczego, ale kutas był błyśnięty, przypominał pora i w całości chował się w ustach. Komik ssał go i przygryzał, w zabawie, zębami. „O kurwa, ja się zaraz spuszczę!”, jęczał właściciel kutasa. Otworzyły się śluzy. Pierwsza fala spermy spryskała podniebienie komika, a następne zalały jego krwawiące dziąsła. Było to bardziej efektywne niż śmiertelny zastrzyk. Gdy głowa znika w fali, przez chwilę czujesz zimno. Masz uczucie, jakbyś tonął, lecz po chwili wypływasz na powierzchnię. Włosy zwisają ci z głowy mokrymi pasmami. Sól piecze w oczy. Zlizujesz smarki z górnej wargi: smakują jak algi i ostrygi. Patrzysz na plażę, na której byłeś jeszcze przed chwilą. Oczyszczenie — to pierwsze słowo, jakie przychodzi ci do głowy. Komik był nieco przy tuszy. Za niecały miesiąc nikt go nie pozna. Wychudzony. Nie ma na to lepszego określenia. AIDS niszczy ciało od środka. Przykłada wiertło do ściany. Rodzaj wiertła, którego używają robotnicy, by wykuć tory



tramwajowe z asfaltu. Konstrukcja zaczyna trzeszczeć. Trzy piętra wyżej strzela tynk i tworzą się w nim rysy. Płaty farby i gipsu odpadają z sufitu. To tak, jak podczas trzęsienia ziemi: wysokie budynki zawałają się nieraz szybciej od glinianych chat. Komik nie miał najmniejszej szansy. Powinien był dokładnie myć zęby i w porę iść do higienistki. Teraz fala spermy zalewająca jego dziąsła oznacza dla niego wyrok śmierci.

Udawałem jeszcze, że słucham i robię notatki w moim zeszycie z receptami, tymczasem spoglądałem na zegar wiszący na ścianie za głową komika. Powiesiłem go tam, by nigdy nie być zmuszonym patrzeć na zegarek w obecności pacjenta. Jak długo jeszcze? Nie upłynęły nawet cztery minuty, a ja już w tej chwili nie miałem ochoty nic więcej słyszeć, żadnych dodatkowych szczegółów. Pragnąłem, by komik opuścił mój gabinet, żeby szybko umarł, nie składając mi już więcej wizyty. Zwierzęta szukają odosobnienia, by umrzeć. Kot chowa się pod zlewozmywakiem, za butelkami ze środkami czystości. Za jakieś osiem miesięcy trafiłbym na jego nekrolog w gazecie — na całą stronę z nekrologami, to było w jego wypadku bardziej prawdopodobne. Pogrzeb z ponad tysiącem gości na cmentarzu w zakolu rzeki. Przemówienia. Muzyka. Program w telewizji poświęcony jego życiu. Dodatkowa emisja jego najlepszego występu. Jeszcze kilka jałowych wspomnień w programie dyskusyjnym — potem zapadłaby nieunikniona cisza.

Uśmiechnąłem się. Był to uśmiech mający uspokoić pacjenta. „Ach, tak źle nie będzie”, powiedziałem. „Ryzyko zakażenia jest stosunkowo niewielkie. A poza tym środki hamujące rozprzestrzenianie się wirusa są obecnie coraz doskonalsze i bardziej efektywne. Czy doszło również do penetracji analnej?”

Starałem się zadać to pytanie mimochodem, jak lekarz nieżywiący uprzedzeń. Lekarz pierwszego kontaktu powinien stać ponad uprzedzeniami. Ja stoję ponad uprzedzeniami, dałbym sobie za to uciąć rękę. Nie oznacza to jednak, że jestem w stanie pozbyć się ich całkowicie. Podczas stosunku analnego tkanka rozciąga się do granic możliwości. Krwawienia nie należą do wyjątków, lecz są regułą. Nikt nigdy nie zaszedł w ciążę w rezultacie seksu analnego. To nie uprzedzenie, lecz fakty. W naturze wszystko ma jakąś funkcję. Gdybyśmy mieli wsadzać kutasa do czyjejś dupy, to otwór byłby większy. Inaczej mówiąc: wąski otwór, prowadzący do odbytu, ostrzega nas przed tym, byśmy go tam nie wkładali, podobnie jak żar płomienia mówi nam, by nie trzymać nad nim zbyt długo ręki. Spoglądałem na skazanego na śmierć komika. Mógłbym go zbadać. Mógłbym wymyślić coś na temat powiększonych węzłów chłonnych. Węzły chłonne w pachwinie są rzeczywiście nieco powiększone, lecz nie musi to jeszcze niczego oznaczać. Z jednej strony miałem ochotę — pod płaszczykiem uspokajającej wiadomości — odesłać go do domu z uczuciem paniki, z drugiej strony nie chciałem niczego oglądać. Żadnego nagiego ciała. Żadnych owłosionych pośladków lub — kto wie — ogolonego na łyso kutasa. Jak wspominałem, nie mam uprzedzeń, jednak w niektórych sytuacjach moja umiejętność wczucia się w drugą osobę wystawiana bywa na ciężką próbę. Z szuflady wyciągnąłem formularz skierowania na badanie krwi i postawiłem krzyżyki w przypadkowych okienkach. Cholesterol. Cukier. Czynność wątroby. Popatrzyłem na zegarek. Mogłem odczytać czas z zegara nad głową pacjenta, lecz spojrzeniem rzuconym na zegarek dawałem znak. Koniec rozmowy. „Jeśli pan natychmiast pójdzie do laboratorium, to za kilka dni będziemy

wiedzieć więcej”, stwierdziłem. Wstałem. Podałem pacjentowi formularz. Trzy minuty później pacjent stał na ulicy. Opadłem na krzesło i zamknąłem oczy. Ponownie próbowałem wyobrazić sobie plażę. Oczyszczające lazuruwe morze. Nagle jednak ktoś zapukał do drzwi. Moja asystentka wetknęła głowę do środka.

— Co mu powiedziałaś? — zapytała.

— Dlaczego pytasz?

— Ten pacjent, który był u ciebie przed chwilą — odparła — wyszedł, płacząc. Powiedział, że nigdy nie wróci. Stwierdził, że możesz go sobie... przepraszam, ja tylko powtarzam, co on powiedział.

Popatrzyłem surowo na asystentkę, nie odwracając wzroku.

— Co on dokładnie powiedział, Liesbeth?

Twarz mojej asystentki zrobiła się czerwona.

— Powiedział... powiedział, że możesz go sobie wsadzić do... no tam... To bardzo obraźliwe. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Westchnąłem głęboko.

— Liesbeth, ten mężczyzna jest prawdopodobnie chory na AIDS. Zaraził się, bo pozwolił komuś trysnąć spermą na swoje krwawiące dziąsła. Jeśli ktoś bez kasku wjedzie motorowerem na drzewo, to mówimy, że sam sobie był winny. Ktoś, kto bez zabezpieczenia bierze do ust czyjś kutasa, nie może liczyć na więcej zrozumienia z mojej strony niż kierowca motoru bez kasku. On sobie go sam może wsadzić do dupy. Co ja mówię? On przecież już to robi!

## ROZDZIAŁ 40

Nie oddzwoniłem do Judith. Sama do mnie zadzwoniła.

— Mamy tutaj wasz namiot — przypomniała.

Chciałem jej powiedzieć, że mogą go spalić w ogrodzie, bo my już nigdy nie pojedziemy na kemping.

— Jak będę miał czas, to wpadnę go odebrać — odparłem.

Przez chwilę na drugim końcu linii było cicho. W końcu Judith zapytała, jak się czuje Julia. Nie jestem pewien, ale wydawało mi się, że usłyszałem w jej głosie coś, co wskazywało na brak zainteresowania, na rutynę, jak gdyby pytała jedynie z grzeczności. Odpowiedziałem w podobnym tonie — jak najkrócej, a ona rzeczywiście nie pytała dalej. Znowu zapadła cisza. Spodziewałem się, iż powie, że za mną tęskni i pragnie mnie zobaczyć. Nie zrobiła tego jednak.

— W ostatnich dniach wakacji Ralph był apatyczny — powiedziała. — Wciąż taki jest. Za każdym razem gdy pytam, co mu dolega, on to bagatelizuje. Trochę się o niego martwię, Marc. Pomyślałam, że może mógłbyś go zbadać, tak aby się nie zorientował. Bo do innego lekarza to on tak czy siak nigdy się nie wybierze.

Wydawało się, iż od naszego wyjazdu z letniego domu upłynęła cała wieczność. Julia wciąż była cichsza niż normalnie. Przynajmniej dwa razy na dzień brała prysznic, który rzadko trwał krócej niż kwadrans. Jej organizm zregenerował się, co sam stwierdziłem, ponownie z naciskiem pytając, czy jej to nie krępuje, czy nie wolałaby, by zbadał ją jakiś inny, bardziej „neutralny” od jej ojca lekarz. Ona jednak zaznaczyła, że nie chce iść do innego lekarza.

Uzgodniłem z Caroline, że poczekamy przez pierwsze miesiące, a dopiero gdy się okaże, że stan Julii się nie poprawia, zwrócimy się o pomoc. Szkoły również na razie nie będziemy zawiadamiać.

— Niech do mnie wpadnie — odpowiedziałem, chociaż wcale nie miałem na to ochoty. Próbowałem wyobrazić sobie apatycznego Ralpha. Przez moment rozważałem, czy nie zapytać o Aleksa, czy on także nie jest przypadkiem apatyczny, lecz niemal natychmiast z tego zrezygnowałem.

— Pomyślałam, że jak przyjdiesz po namiot, to może mógłbyś przy okazji zapytać Ralpha, jak się czuje — powiedziała Judith.

— Dobrze, tak też możemy zrobić.

Usłyszałem, jak Judith głęboko wciąga powietrze.

— Dobrze byłoby cię znowu zobaczyć — dodała. — Ja chciałabym cię znowu zobaczyć.

Było oczywiste, że wypada mi teraz odpowiedzieć, że „mnie też”, lecz kosztowałoby mnie niezmiernie wiele wysiłku, by zabrzmiało to szczerze.

Przymknąłem oczy. Wyobraziłem sobie Judith na plaży, a gdy i to nie pomogło, pod prysznicem

w ogrodzie koło basenu: jak ściąga do tyłu mokre włosy i mruży oczy od słońca.

— Mnie też — odpowiedziałem.

Kilka tygodni później zadzwoniła niespodziewanie matka Judith. Nie widziałem jej ani z nią nie rozmawiałem od chwili, gdy zobaczyłem, jak schodzi po schodach letniego domu rankiem w dniu naszego wyjazdu. Byłem niemal pewien, że od tego czasu nawet raz o niej nie pomyślałem.

Zapytała, co u nas słychać, a przede wszystkim, jak się czuje Julia. Opowiedziałem jej, choć nie wszystko. Nie wspomniałem na przykład o tym, że wciąż nic z owego wieczoru sobie nie przypomina. Lecz matka Judith wcale o to nie pytała. Starłem się mówić jak najmniej, odpowiadając półsłówkami na jej pytania.

— I to właściwie tyle — podsumowałem, próbując zakończyć rozmowę. — Staramy się jakoś z tym żyć na tyle, na ile to możliwe. Julia musi nauczyć się z tym żyć.

Słuchałem tego, co sam mówiłem. W moich ustach rozbrzmiewały zdania, które do mnie nie należały i nie były ze sobą powiązane. Ja je tylko po kolei wypowiadałem. Już miałem wrażenie, że matka Judith odłoży słuchawkę, gdy nagle powiedziała:

— Jest jeszcze coś, Marc.

Zadzwoniła podczas jednej z owych pustych przerw pomiędzy wizytami pacjentów — jeden pacjent poszedł, a następny jeszcze nie przyszedł. Nie wiem, czy to przez ton jej głosu, czy ze względu na fakt, iż po raz pierwszy podczas rozmowy zwróciła się do mnie po imieniu, wstałem teraz od biurka i podszedłem do uchylonych drzwi gabinetu. Wyrząłem przez szparę w drzwiach i zobaczyłem, że moja asystentka siedzi za swoim biurkiem. Wpisywała coś do kartoteki. Zamknąłem po cichu drzwi.

— Tak? — zapytałem.

— To... Nie wiem, jak i czy powinnam ci to mówić — powiedziała matka Judith. — Ale to od dawna za mną chodzi. Właściwie od tamtego wieczoru.

Wydałem dźwięk — rodzaj dźwięku, jaki wydaje się, chcąc zapewnić osobę na drugim końcu linii, że wciąż się słucha.

— Do tej pory wahałam się, bo nie chciałam, żebyś wyciągnął błędne wnioski — kontynuowała. — I mam nadzieję, że tak się nie stanie. Z drugiej strony uważam, że nie powinnam tego dłużej zachowywać dla siebie.

Przytaknąłem i — ponieważ w tej samej chwili zdałem sobie sprawę, że ona tego nie widzi — ponownie wydałem dźwięk.

— Wieczorem, gdy odpalano sztuczne ognie, po tym jak pojechaliście na plażę, poszłam wcześniej spać. Najpierw trochę poczytałam, a potem zgasiłam światło. Dopiero sporo później, nie wiem dokładnie o której godzinie, obudziłam się, bo musiałam pójść do ubikacji. Często mi się to w nocy zdarza.

Zrobiła krótką przerwę, a następnie powiedziała:

— Światła były pogaszone, więc doszłam do wniosku, że twoja żona poszła do waszego namiotu,

a Emmanuelle zeszła do apartamentu na dole. Poszłam załatwić się do łazienki. Ledwo się tam znalazłam, a usłyszałam na dole samochód, który podjeżdża ścieżką i się zatrzymuje. Ktoś zatrzasnął drzwi i wszedł na górę. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale szybko spuściłam wodę, zgasiłam światło i wróciłam do swojego pokoju. Ktoś wszedł do domu i poszedł prosto do łazienki. Mój pokój znajdował się bezpośrednio obok. Usłyszałam, jak ktoś otwiera, a następnie zamyka drzwiczki pralki i wkrótce potem ją włącza. A chwilę później doszedł mnie odgłos prysznicza.

Ralph. Ralph pierwszy wrócił do domu. Sam. Swoim samochodem, pozostawiając na plaży rodzinę. Do tego miejsca relacja matki Judith zgadzała się z faktami.

— Po jakimś czasie usłyszałam odgłosy z kuchni. Chwilę poczekałam, aż w końcu wstałam. W kuchni stał Ralph. Pił piwo, opierając się o szafkę. Miał jeszcze mokre włosy. Wyraźnie się przestraszył, gdy mnie zobaczył. Powiedziałam, że muszę iść do ubikacji, mimo że dopiero co tam byłam, ale on o tym nie wiedział.

Na plaży szklanka margarity uderzyła o zęby Ralpa, a on zaczął krwawić. Potem Norweżka uderzyła go jeszcze kilkakrotnie w twarz. Być może krew zaplamiła mu ubranie.

— W łazience pracowała pralka — kontynuowała matka Judith. — Przez szybkę próbowałam zobaczyć, co się w niej znajduje, ale było zbyt dużo piany, dokładnie więc nie widziałam. Pamiętam jednak, że już wtedy wydało mi się to dziwne. Mam na myśli to, że jak wracasz do domu i chcesz się przebrać, to przecież brudne ubranie wrzucasz po prostu do kosza na bieliznę, a nie pierzesz go natychmiast, tak w środku nocy?

## ROZDZIAŁ 41

Jakoś w połowie października Ralph Meier pewnego ranka zjawił się, jak zwykle niezapowiedziany, w moim gabinecie. Zapytał, czy czasem nie przeszkadza. Nie spytał się, czy może usiąść. Opadł na krzesło po drugiej stronie biurka i przeczesał ręką włosy.

— Muszę... muszę z tobą porozmawiać — powiedział.

Wstrzymałem oddech. Usłyszałem, jak serce zaczyna mi walić. Czy to możliwe? Czyżby po dwóch miesiącach niepewności w końcu zdecydował się przyznać? Nie wiedziałem, jak na to zareaguję. Czy złapię go za kołnierz i przeciągnę przez biurko? Czy zacznę krzyczeć i splunę mu w twarz? Do gabinetu wpadłaby moja asystentka. Czy mogłaby natychmiast zadzwonić na policję? A może zachowam spokój? Jak to się mówi: stoicki spokój. Mógłbym go zmylić. Mógłbym udawać, że jego przyznanie się do winy nie jest mi obojętne, a następnie zaaplikować mu śmiertelny zastrzyk.

— Co u was słychać? — zapytał.

Nie takiego pytania można było się spodziewać po osobie, która właśnie zamierzała się przyznać do gwałtu na trzynastoletniej dziewczynce. Nie przestałem jednak mieć się na baczności. Może to on próbował mnie zmylić.

— Jakoś leci — odparłem.

— To dobrze. — Ponownie przeczesał ręką włosy. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy słyszał, co mówię. Stwierdził jednak: — Bardzo was podziwiam za to, jak sobie z tym radzicie. Judith mi o tym powiedziała. Mówiła, ile macie siły.

Wpatrywałem się w niego, próbując tego jednocześnie nie robić. Nie chciałem, by zobaczył osłupienie malujące się na mojej twarzy.

— Mam pewien problem, który musi pozostać w całkowitej tajemnicy — wyznał. — Dlatego przyszedłem do ciebie.

Zmusiłem się w końcu, by przestać się na niego gapić. Z całych sił starałem się zrobić zainteresowaną minę.

— Wszystko, o czym będziemy mówić, pozostanie wśród tych ścian — zapewniłem, wskazując na ściany gabinetu. Uśmiechnąłem się. Serce wciąż mi waliło, ale wiedziałem, że uśmiechając się, można uspokoić puls.

— Najważniejsze, by Judith o niczym się nie dowiedziała — zaznaczył. — Ona wprowadzie sama nalegała na to, bym do ciebie przyszedł, lecz jeśli to coś poważnego, nie chcę, by to doszło do jej uszu.

Przytaknąłem.

— Coś mi dolega — wyznał. — Obawiam się, że coś mi jest. Może to nedorzeczne, lecz Judith od

razu wpada w panikę na myśl o chorobach. Nie chcę, by się martwiła bez powodu.

„Apatyczny”, mówiła Judith. „W ostatnich dniach wakacji Ralph był dość apatyczny”.

— Dobrze, że przyszedłeś — stwierdziłem. — Przeważnie to fałszywy alarm, ale lepiej się upewnić.

A jak dokładnie wyglądają objawy? Co czujesz?

— Po pierwsze: ciągle jestem zmęczony. Właściwie już od lata. I na nic nie mam ochoty. Kompletnie. Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło. Ale, okej, myślałem po prostu, że za dużo ostatnio pracuję, jednak jakieś dwa tygodnie temu to mi się zrobiło... — Wstał z krzesła i bez żadnego ostrzeżenia rozpiął pasek i spuścił spodnie do kolan. — To — wskazał, lecz i bez wskazywania nie dało się tego przeoczyć. — Jeszcze trzy dni temu było o połowę mniejsze. Jest twarde jak kamień i boli, gdy się naciśnie.

Popatrzyłem. Znam się na swym fachu. Po jednym spojrzeniu wiedziałem, że nie ma najmniejszych wątpliwości.

Ralph Meier powinien w tym tygodniu iść do szpitala. Najlepiej jeszcze dzisiaj po południu. Być może i tak było już za późno, lecz im wcześniej się coś z tym zrobi, tym większe są szanse.

Podniosłem się z krzesła.

— Przejdźmy tu obok... — poprosiłem.

— Marc, co to jest? Czy to jest to, o czym myślę?

— Chodź, chcę to najpierw dokładnie obejrzeć.

Podciągnął spodnie nieco poniżej pośladków i, utykając, przeszedł do niewielkiego pomieszczenia znajdującego się obok mojego gabinetu. Poprosiłem, by zajął miejsce na leżance. Delikatnie dotknąłem opuchliznę czubkiem palca. Tak jak powiedział: była twarda jak kamień.

— Czy czujesz ból? — zapytałem.

— Jak się delikatnie naciska, to nie, ale jak się uszczypnie, to aż gwiazdy mi się ukazują.

— W takim razie nie będziemy szczypać, to zupełnie niepotrzebne. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach są to tłuszczaki, po prostu coś w rodzaju podskórnego zgrubienia. Komórki rosną w niekontrolowany sposób. Jest to uciążliwe, ale nie ma powodu do zmartwień.

— Więc to nie jest... To nie jest to, co myślałem?

— Słuchaj, Ralph, nigdy nie ma stuprocentowej pewności. Ale ten jeden procent również chcielibyśmy wykluczyć.

— Co masz zamiar zrobić?

Już na mnie nie patrzył. Spoglądał na moje ręce, na które wciągałem gumowe rękawiczki. Na skalpel, który ułożyłem na kawałku gazy obok jego nagich ud, spoczywających na stole zabiegowym.

— Wytnę kawałeczek — odpowiedziałem — i poślę do laboratorium. Za kilka tygodni dowiemy się więcej.

Zdezynfekowałem samo miejsce i kilka centymetrów wokół niego, po czym naciąłem skalpelem. Wpierw płytko, później nieco głębiej. Ralph wydał dźwięk, próbował złapać powietrze.

Zgrubienie prawie nie krwawiło, co potwierdziło moją wstępną diagnozę. Nakłuwałem głębiej, aż

w końcu dotarłem do zdrowej tkanki. Tnąc ją, tworzyłem połączenie. Komórki pochodzące ze zgrubienia dostaną się do krwiobiegu i zostaną rozprowadzone po całym organizmie. „Rozsiewy”... To słowo zawsze mi się podobało, gdyż celnie oddaje treść. W tamtej chwili miałem coś, sadziłem. Wkrótce ziarna zakiełkują w innych częściach ciała, w których bez przeprowadzenia dalszego badania nie od razu można będzie stwierdzić ich obecność.

Brzegiem szklanego naczynka zeszkrobałem dla formy trochę tkanki i wepchnąłem ją głębiej czubkiem noża. Dla formy napisałem coś na etykietce, którą następnie przymocowałem do naczynka. Na ranę położyłem gazę opatrunkową i przykleiłem ją dwoma plastrami.

— Możesz włożyć spodnie — powiedziałem. — Wypiszę ci receptę. Na te same tabletki, które wcześniej zażywałeś. Powrót do codzienności po długich wakacjach wszystkim nam nieraz sprawia trudność.

Przy drzwiach gabinetu wyciągnąłem do niego rękę.

— A! — powiedział Ralph. — Byłbym zapomniał. Wasz namiot. Judith dała mi wasz namiot. Leży w samochodzie. Chodź!

Staliśmy przy otwartym bagażniku. Ja z namiotem w rękach.

— Niedługo zaczynam zdjęcia — stwierdził Ralph. — Wiesz, do tego serialu, o którym opowiadaliśmy ze Stanleyem. Do *Augusta*. Zaczynają go teraz kręcić.

— Co słychać u Stanleya?

Chyba nie usłyszał mojego pytania. Nad jego nosem, pomiędzy brwiami, ukazała się zmarszczka. Potrząsnął głową.

— Mogę jechać? — zapytał. — To dwa miesiące zdjęć. Jeśli będę zmuszony zakończyć je w połowie, to dla wszystkich będzie to katastrofa.

— Jasne — zapewniłem. — Nie martw się. Najczęściej to nic poważnego. Poczekamy po prostu na wynik, a potem i tak będziemy mieć wystarczająco dużo czasu.

Zaczekałem, aż jego samochód zniknie za rogiem. W połowie ulicy stał kontener na śmieci. Wepchnąłem do niego namiot i wróciłem do gabinetu.

Poczekalnia była pusta. W gabinecie zabiegowym popatrzyłem pod światło na szklane naczynko. Zmrużyłem oczy, studiując przez kilka sekund jego zawartość, a następnie wyrzuciłem je do kosza na śmieci stojącego obok leżanki.



## ROZDZIAŁ 42

Myślałem, że szybko pójdzie, lecz tak się nie stało. Ralph wyruszył do Włoch, by kręcić *Augusta*, a po dwóch miesiącach wrócił. Dopiero wtedy zadzwonił do mnie po wynik badania wycinka.

— Nie dostałem żadnej wiadomości ze szpitala — powiedziałem. — Zakładam więc, że nic niepokojącego nie znaleźli.

— Ale przecież na ogół przekazują wynik?

— Na ogół tak. Jutro do nich na wszelki wypadek zadzwonię. A jak się czujesz?

— Dobrze. Często jestem zmęczony, ale biorę wtedy jedną z twoich cudownych pastylek. To świetnie działa.

— Jutro do ciebie zadzwonię, Ralph.

Uspokoiło mnie to, że wciąż jest zmęczony. Benzedryna, którą mu przepisałem, likwiduje oznaki przemęczenia, więc choroba może bez przeszkód rozprzestrzeniać się po jego organizmie. Trwało to jednak dłużej niż zwykle. Zacząłem wątpić w moją diagnozę i wiedzę lekarską. Może jednak się pomyliłem?

Następnego dnia oddzwoniłem, lecz słuchawkę podniosła Judith.

— Dzwonisz w sprawie wyniku? — zapytała natychmiast.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Myślałem... — zacząłem.

— Wiem, Ralph poprosił cię, żebyś mi nic nie mówił, gdyby to było coś poważnego. Ty go jednak uspokoileś, natychmiast mi o tym powiedział. Stwierdziłeś, że to nic poważnego, prawda, Marc?

— Powiedziałem mu, że to prawdopodobnie nic poważnego. Dla pewności jednak wysłałem wycinek do szpitala.

— I?

Zmrużyłem oczy.

— Zadzwoniłem dziś do szpitala w sprawie wyniku. Nie ma powodu do niepokoju.

— Naprawdę? Bo jeśli to coś poważnego, to chcę to wiedzieć, Marc.

— Nie, nic się nie dzieje. A może jest coś, przez co wydaje ci się, że Ralphowi jednak coś dolega?

— Jest ciągle zmęczony. Schudł też, mimo że je zawsze tyle samo. I pije.

— Wyciąłem kawałek tkanki z jego nogi. Jak wygląda to miejsce? Jest tam coś dziwnego?

— Nie, opuchlizna wciąż jest, ale się nie powiększa. Wprawdzie nie oglądam tego miejsca codziennie, lecz czasami go dotykam. Mimochodem, rozumiesz? Tak żeby nie zauważył. Mam w każdym razie nadzieję, że tego nie zauważy.

To, że Ralph schudł, było dobrą wiadomością. Również to, że opuchlizna się nie powiększała, zgadzało się z obrazem choroby. Wojsko nieprzyjaciela zdobyło przyczółek, z którego koordynuje natarcia. Początkowo jedynie ograniczone akcje komandosów. Konspiracyjne operacje na tyłach. Ukłucia szpilką. Teren zostaje rozpoznany, pole walki przygotowane. Wkrótce główne siły nie natrafią już na zbyt wielki opór.

— To prawdopodobnie zwykły tłuszczak — odpowiedziałem. — Jest nieszkodliwy, chyba że Ralphowi przeszkadza. Jeśli chce, mogę go usunąć.

— A nie powinno się tego robić raczej w szpitalu?

— W szpitalu trafi na listę oczekujących, a to bardzo prosty zabieg. Jeśli ja mam go wykonać, to Ralph może przyjść w każdej chwili, nie musi się nawet umawiać.

Lisa pytała nieraz o Thomasa, Julia nigdy nie pytała o Aleksa.

— Oczywiście, że możesz do niego zadzwonić — mówiliśmy Lisie. — Zapytasz wtedy, czy przyjdzie się z tobą pobawić.

Im dłużej jednak trwał rok szkolny, tym rzadziej pytała. Koleżanki i koledzy ze szkoły zepchnęli wakacyjną znajomość na drugi plan.

W wypadku Julii chodziło o coś innego. Odnosiliśmy wrażenie, że nie miała najmniejszej ochoty na kontakty z chłopcami, a w szczególności z chłopcem, który przypominał jej o wakacjach. Słowo „przypominał” nie było tutaj całkiem na miejscu. Julia pamiętała wprawdzie wydarzenia z wakacji, lecz nie wszystkie. Pamiętała zapewne również Aleksa, ale do którego momentu? Nie pytaliśmy jej o to. Wydawało nam się, że tak będzie lepiej.

Ralph już do mnie nie przyszedł. Uspokoilem go chyba na tyle, że usunięcie „tłuszczaka” odłożył na później. Było to w zasadzie korzystne. Być może choroba potrzebowała więcej czasu.

Na początku kolejnego roku dostaliśmy ponownie zaproszenie na premierę. Tym razem była to *Mewa* Czechowa. Nie poszliśmy. Prowadziliśmy politykę zniechęcania, próbując jak najbardziej zwiększyć dystans między nami a rodziną Meierów. Nieprzypadkowo stwierdziłem „prowadziliśmy” — Caroline była tego samego zdania.

Było to podczas kolacji. Kilka dni po tym, jak do naszej skrzynki wpadło zaproszenie na premierę *Mewy*. Po raz pierwszy od dłuższego czasu jedliśmy kolację w restauracji. Przy drugiej butelce wina zwierzyłem swą szansę.

— Wiesz, dlaczego nie chcę iść na tę premierę? — zapytałem Caroline.

— Bo dostajesz hiperwentylacji na samą myśl o teatrze? — roześmiała się moja żona i stuknęła swoim kieliszkiem o mój.

— Nie, chodzi o coś innego. Nie chciałem ci tego mówić, miałem nadzieję, że przejdzie, lecz tak się nie stało, to ciągle trwa.

To było prawdą. Judith jeszcze kilkakrotnie próbowała się do mnie dodzwonić, ale gdy tylko zauważyłem jej imię na ekranie telefonu, rozłączałem się. Kiedy zostawiała wiadomość na poczcie głosowej, nie oddzwaniałem. Mojej asystentce udzieliłem instrukcji, by jej nie przełączała, gdy próbowała złapać mnie w gabinecie, co rzeczywiście kilka razy miało miejsce. Asystentka mówiła wtedy, że mam pacjenta i że oddzwonię później, czego nie robiłem.

Kilka razy dzwoniła pod nasz prywatny numer. Za każdym razem telefon odbierała Caroline. Po odpowiedziach, których udzielała moja żona, poznawałem, że to Judith. „Nie, jakoś leci, ostatnio jakby lepiej...”. Gestykulowałem Caroline, że mnie nie ma, i do końca rozmowy próbowałem zachowywać się jak najciszej.

— Nie chcę iść na premierę również dlatego, że nie mam ochoty, by spotkać tam Judith — wyznałem. — Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ta kobieta czegoś ode mnie chce. Już wtedy, w letnim domu, również próbowała... Widocznie wpadłem jej w oko. Wiesz, co mam na myśli.

Popatrzyłem na żonę. Nie wydawało się, aby była przerażona moim wyznaniem. Wprost przeciwnie. Wyglądała na rozbawioną. Jej usta ułożyły się w uśmiech.

— Z czego się śmiejesz? — zapytałem. — Niczego nie zauważyłaś? Ona na mnie poluje, mówię ci. — Marc... śmieję się... z ciebie. Wybacz, wcale nie chcę się z ciebie wyśmiewać, ale wydaje mi się, że niezwykle łatwo dajesz się przekonać, iż podobasz się kobiecie. Wystarczy, że trochę kokietuje i stara ci się przypodobać. Zauważyłam to w letnim domu, ale według mnie Judith to jedna z tych kobiet, które zachowują się tak w obecności wszystkich mężczyzn. To typ niepewnej kobiety, która pragnie spodobać się każdemu.

Nie mogę zaprzeczyć, że reakcja Caroline mnie rozczarowała. Uważała to wszystko za niewinny flirt. Ona naprawdę nie zdawała sobie z niczego sprawy. Czyli to jest takie proste, pomyślałem.

— Ona regularnie dzwoni na moją komórkę, Caroline. Mówi, że za mną tęskni i ponownie chce się ze mną zobaczyć.

Śmiejąc się, Caroline potrząsnęła głową i wzięła duży łyk wina.

— Marc, to kobieta, która stara się zwrócić na siebie uwagę. Ja również zachowywałabym się w ten sposób, mając u boku takiego nieokrzesanego brutala, jakim jest Ralph. O to właśnie chodzi: o przyciągnięcie uwagi pana doktora. Może właśnie tego od ciebie chce — byś ją zbadał.

— Caroline...

— Przykro mi, że pozbawiam cię złudzeń, ale sam się o to prosisz. Judith zachowuje się podobnie wobec wszystkich mężczyzn. Widziałam, co robiła w obecności Stanleya: chichoty, przeczesywanie włosów rękoma, przesiadywanie na trampolinie z nogami zanurzonymi w wodzie i udawanym rozmarzeniem — wszystko to znane kobiece sztuczki. Dziwi mnie to, że tak łatwo dajesz się nabrać. U Stanleya miała zresztą więcej powodzenia niż u ciebie.

Wgapiałem się w Caroline.

— No co się tak patrzysz? Marc, czasami bywasz taki naiwny! Wydaje ci się, że wszystkie kobiety

kręcą się wokół ciebie, ale taka Judith świetnie zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Zamierzałam ci to wcześniej opowiedzieć, ale po prostu zapomniałam. Jednak teraz sam zacząłeś. Tak czy siak zdarzyło się to pewnego popołudnia przy basenie. Wy byliście w wiosce: Ralph, ty i dzieci. Emmanuelle źle się czuła i leżała w łóżku, zaciągnąwszy zasłony w apartamencie. Coś już od jakiegoś czasu wisiało w powietrzu, jakieś napięcie pomiędzy nimi. W którymś momencie poszłam na górę po coś do picia i wtedy zobaczyłam ich przez okno w kuchni. Judith leżała na leżaku, a Stanley pochylał się nad nią. Wyczałował ją całą, zaczynając od twarzy. Calusieńką i to dosłownie! Schodząc po zewnętrznych schodach, specjalnie dzwoniłam szklankami, a oni znowu leżeli grzecznie na swoich leżakach. Ale to było po nich widać, po kąpielówkach Stanleya. Chyba nie muszę ci więcej tłumaczyć? W następnej chwili wskoczył do wody.

Mniej więcej miesiąc po premierze *Mewy* przeczytałem w gazecie w rubryce o kulturze krótką notkę:

Przedstawienia *Mewy* odwołane z powodu choroby aktora grającego główną rolę.

Informacja ta składała się z zaledwie dziesięciu wierszy. „(...) Ralph Meier (...) nie odbędą się do odwołania”. Nie wspomniano, o jaką chorobę chodzi. Stałem już ze słuchawką w ręku, jednak zdecydowałem, że lepiej zaczekać.

Następnego dnia zadzwoniła Judith.

— W zeszłym tygodniu wzięli go do szpitala — zakomunikowała, wymieniając jego nazwę. Był to ten sam szpital, do którego wysłałem wycinek do badania — a właściwie do którego go nie wysłałem.

Przycisnąłem komórkę do ucha. Siedziałem przy biurku w swoim gabinecie. Następny pacjent — ostatni tego dnia — miał się zjawić dopiero za godzinę. Tym razem odebrałem telefon, gdy zobaczyłem jej imię na ekranie.

Zadałem kilka ogólnych pytań na temat objawów oraz spodziewanego leczenia. Jej odpowiedzi potwierdziły moją wcześniejszą diagnozę. Organizm Ralpa długo się bronił — dłużej niż zwykle — teraz jednak nic nie dało się już zrobić. Choroba przeskoczyła kilka stadiów: tych, w których leczenie miało jeszcze jakiegokolwiek szanse na sukces. Pomyślałem o okopach, o całych liniach frontu, które składały się z połączonych ze sobą okopów, zdobywanych jeden po drugim. Ponieważ Judith nie zapytała o wycinek, sam o nim wspomniałem.

— To dziwne — stwierdziłem. — Nic wtedy nie znaleźli.

— Marc?

— Tak?

— A co słyszać u ciebie?

Rzuciłem wzrokiem na zegar naprzeciwko mojego biurka. Jeszcze pięćdziesiąt dziewięć minut dzieliło mnie od wizyty kolejnego pacjenta.

— Jakoś leci — odpowiedziałem.

Usłyszałem, jak wzdycha na drugim końcu.

— Nie zadzwoniłeś do mnie. Nie oddzwoniasz, kiedy zostawiam wiadomość.

Pozwoliłem, by na chwilę zapadła cisza. W ciszy tej myślałem o wycinku, o krwawym fragmencie tkanki z uda Ralpa, który wyrzuciłem do kosza na śmieci.

— Miałem sporo pracy — odparłem. — I oczywiście ta sprawa z Julią. Próbujemy uporządkować na nowo nasze życie, ale to nie jest wcale takie proste.

Czy to rzeczywiście ja sam łączyłem powyższe słowa w zdania? Ułatwiał mi to fakt, że byłem sam w gabinecie i Judith nie mogła zobaczyć mojej twarzy. Aby się lepiej skoncentrować, zmrużyłem dodatkowo oczy.

— Chciałbym się z tobą zobaczyć — powiedziałem.

I tak ponownie nawiązaliśmy kontakt. Caroline mówiłem prawdę. Zapowiadałem, że idę na kawę z Judith. Choroba Ralpa wytrąciła ją nieco z równowagi. Na początku umawialiśmy się w kawiarniach, później coraz częściej u niej w domu. Pozostało mi jedynie niewielu pacjentów, bez trudu mogłem więc wyjść na godzinę lub dłużej. Albo czekałem do końca godzin przyjęć. Alex i Thomas byli wtedy jeszcze w szkole. Nie chcę niczego usprawiedliwiać. To działo się przeważnie szybko, najczęściej nie docieraliśmy nawet do sypialni. Czasami odwiedzaliśmy potem Ralpa w szpitalu. Pierwsza operacja nie odniosła pożądanego rezultatu, druga „nie dawała perspektyw na poprawę”, twierdzili specjaliści. Zaproponowano inne — cięższe — sposoby leczenia. Sam mogłem zdecydować, czy woli wtedy zostać w szpitalu, czy każdego dnia do niego jeździć.

— Może wolałbyś być w domu? — zapytała Judith. — Mogłabym cię codziennie zawozić do szpitala.

Mówiąc to, nie patrzyła na mnie. Siedziała na krześle przy łóżku. Jej ręka spoczywała na kołdrze obok dłoni męża.

— Z jednej strony w domu będziesz czuł się oczywiście lepiej — stwierdziłem. — Z drugiej strony to może być jednak dość trudne. Szczególnie w nocy. Tutaj w szpitalu mają wszystko pod ręką.

Zdecydowali się na połowiczne rozwiązanie: w weekendy Ralph miał jeździć do domu, w tygodniu nocować w szpitalu, a ja kontynuowałem picie kawy u Judith raz, może dwa razy na tydzień.

Ralph nigdy nie wspomniał o moim pierwszym badaniu w październiku poprzedniego roku. Nie wiem, czy to z powodu ogólnego ośpienia, operacji, leków czy też wyjątkowo nieraz nieprzyjemnych zabiegów. Podczas jednej z wizyt, gdy Caroline wyszła na chwilę z sali, by kupić dla niego w kiosku na dole jakieś czasopisma, wykorzystałem szansę, która mi się nadarzyła.

— Dziwne, jak choroba może się rozwinąć — stwierdziłem. — Najpierw wysyłasz wycinek tłuszczaka do badania i wszystko jest w porządku, a po kilku miesiącach sytuacja zmienia się diametralnie.

Przysunąłem krzesło w stronę Ralpa, lecz mimo to odniosłem wrażenie, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

— Kiedyś przyszedł do mnie pacjent, który myślał, że ma zawał — kontynuowałem. — W panice

przyszedł do mojego gabinetu. Miał wszystkie objawy: ból w klatce piersiowej, suchość w ustach, spocone dłonie. Zmierzyłem mu puls, który wynosił ponad dwieście uderzeń na minutę. Posłuchałem przez stetoskop. „Jadł pan może wczoraj serowe fondue?”, zapytałem. Pacjent popatrzył na mnie wielkimi oczami. „Skąd pan to wie, panie doktorze?”. „I popijał je pan suto białym winem?”, dodałem, a następnie wyjaśniłem. Gorący płynny ser i zimne jak lód białe wino. Na dnię żołądka wszystko tężeje, tworząc wielką, twardą bryłę, której nie da się strawić. Przeważnie przychodzą z tym już w środku nocy na pogotowie, ale ten pacjent stanął na moim progu dopiero o dziewiątej rano.

Ralph zamknął na chwilę oczy, teraz jednak ponownie je otworzył.

— No i wyobraź sobie — powiedziałem — odsyłam pacjenta do domu, oczywiście całkowicie uspokojonego, a dwa tygodnie później on naprawdę umiera na zawał. Zwykły zbieg okoliczności! Gdybyś użył tego w jakiejś historii, w książce albo filmie, nikt by nie uwierzył. Ale to naprawdę się zdarzyło. Fondue i zawał nie miały ze sobą nic wspólnego.

— To się nazywa pech — stwierdził Ralph i słabo się uśmiechnął.

Popatrzyłem na kontury jego ciała, rysujące się pod pościelą. Mimo że było to wciąż to samo ciało, wydawało się, że tu i ówdzie się pozapadało. Przypominało raczej balon, z którego już — w dzień po urodzinach — w połowie zeszło powietrze.

— Rzeczywiście — potwierdziłem. — To zwykły pech.

Julia czuła się coraz lepiej. Tak nam się przynajmniej wydawało. Coraz częściej przyprawiała do domu koleżanki, przy stole opowiadała nieraz o tym, co wydarzyło się w szkole — nie musieliśmy już o to pytać — i znowu się śmiała, choć był to ostrożny śmiech. Kiedy indziej zamykała się znów na bardzo długo sama w swoim pokoju.

— To chyba również taki wiek — zastanawiałem się.

— I to jest właśnie najgorsze — powiedziała Caroline — że już nigdy nie dowiemy się, co jest spowodowane jej wiekiem, a co... tamtym.

Czasami, kiedy wydawało mi się, że tego nie widzi, obserwowałem twarz Julii. Jej oczy, spojrzenie. Było inne niż przed rokiem. Nawet nie bardziej smutne, ale poważniejsze. Jak to się mówi: skierowane w głąb siebie. Caroline miała rację. Ja także nie wiedziałem, czy zrzucić to na karb wieku dojrzewania, czy też przypisać — wypartym z pamięci — wydarzeniom na plaży.

## ROZDZIAŁ 43

Następnego lata pojechaliśmy na wakacje do Ameryki. Mieliśmy ochotę na coś innego. Na coś innego niż wakacje na plaży (albo nad basenem). Raczej na podróż niż wakacje — na wyprawę dostarczającą rozrywki i nowych wrażeń, podczas której niewiele jest czasu na myślenie, zamartwianie się i bezsenne noce.

Podróż nie wyleczy wprawdzie Julii, lecz nieco wzmocni, argumentowaliśmy. Zadziała oczyszczająco. Być może dzięki niej będziemy mogli zamknąć za sobą pewien rozdział.

Zaczęliśmy od Chicago. Wjechaliśmy windą na najwyższe piętro Sears Tower <sup>1</sup>, podziwiając widok na miasto oraz jezioro Michigan. Odbyliśmy przejażdżkę piętrowym autobusem bez dachu. Śniadania jedliśmy w kawiarniach sieci Starbucks, a wieczorami stołowaliśmy się w restauracjach, w których podawano ulubione dania Julii — włoskie makarony — jednak nawet przy stole nie wyjmowała z uszu słuchawek od iPoda. Wprawdzie nie zamykała się przy tym całkowicie — uśmiechała się z wdzięcznością, gdy kelner stawiał przed nią talerz z ravioli i posypywał je tartym serem; kładła głowę na ramieniu Caroline i gładziła jej przedramię — jednak niemal się nie odzywała. Czasami nuciła piosenkę lejącą z iPoda. W zwykłej sytuacji zwrócilibyśmy jej uwagę. „Siedzimy teraz przy stole, Julio. Potem będziesz mogła posłuchać muzyki”, teraz jednak nie reagowaliśmy. Wydawało się nam, że powinna robić, na co ma ochotę. Widocznie było za wcześnie, by móc zamknąć ten rozdział.

Jechaliśmy na zachód wypożyczonym samochodem marki Chevrolet Malibu. Obserwowaliśmy, jak powoli ubożeje i pustoszeje krajobraz. Lisa piszczała podekscytowana na widok pierwszego kowboja i bizona, lecz Julia nie wyjmowała słuchawek z uszu. Musieliśmy krzyżeć, żeby nawiązać z nią kontakt. „Julia, zobacz, sęp!”, krzyżeliśmy, „Na szczycie tej łysej skały!”. Wyjmowała wtedy jedną słuchawkę z ucha i pytała: „Słucham?”. „Sęp, tam! Nie, już odleciał...”. W Parku Narodowym Badlands widzieliśmy tabliczki ostrzegające przed obecnością grzechotników. Pod górą Rushmore robiliśmy zdjęcia wyciosanym w skałach twarzom czterech amerykańskich prezydentów. Znaczą się: Lisa je robiła, daliśmy jej aparat. Mnie do fotografowania nigdy nie starczało cierpliwości. Caroline robiła zdjęcia, kiedy dzieci były małe, później również przestała, a Lisie się to podobało. Zaczęła fotografować, gdy miała jakieś dziewięć lat. Na początku podczas wakacji robiła przede wszystkim zdjęcia motyli i kwiatów, ale potem i nasza rodzina coraz częściej zaczęła się pojawiać w jej obiektywie.

Julia się starała. Do każdego zdjęcia pozowała z uśmiechem na twarzy, wydawało się jednak, że robi to dla nas i że czuje się winna z powodu własnego smutku. W Parku Stanowym Custer, w którym wynajęliśmy na kilka dni domek kempingowy, przeprosiła nas za to dosłownie:

— Przepraszam — powiedziała. — Nie jestem raczej zbyt wesołym towarzyszem podróży.

Siedzieliśmy przed domkiem przy stole do pikniku, i grillu, na którym syczały hamburgery i befsztyk.

— Julia, nie wygłupiaj się — powiedziała Caroline. — Jesteś naszą najukochańszą i najfajniejszą córką. Rób, na co masz ochotę. Od tego są wakacje.

Lisa stała przy grillu i obracała mięso.

— A ja? — zawołała. — Ja też jestem najukochańsza i najfajniejsza?

— Oczywiście — odpowiedziała Caroline. — Ty też. Obie jesteście najwspanialszym, co mam.

Spojrzałem na żonę. Przygryzła dolną wargę i potarła oczy, a po chwili wstała.

— Sprawdzę, czy w domku jest jeszcze wino — powiedziała.

— Tutaj jeszcze jest, mamó! — odparła Lisa. — Stoi na stole!

W miejscowości Deadwood jedliśmy w Jakes, restauracji należącej do Kevina Costnera. Przez cały posiłek muzyk grał na fortepianie tak głośno, że normalna rozmowa była prawie niemożliwa. Julia miała w uszach słuchawki. Zjadła dwa kęsy, po czym odsunęła od siebie talerz. W miasteczku Cody poszliśmy obejrzeć rodeo. W Parku Narodowym Yellowstone widzieliśmy kolejne bizona, łosie i przeróżne rodzaje jeleni. Na odcinku wąskiej drogi, przy której zatrzymało się wiele samochodów, wysiedliśmy z auta. Ludzie z lornetkami wskazywali na wzgórze po drugiej stronie potoku. „Niedźwiedź”, powiedział jakiś mężczyzna, „Niestety zniknął przed chwilą za drzewem”. Zatrzymaliśmy się przy gejzerze Old Faithful, z którego co pięćdziesiąt minut wystrzeliwał w górę biały, pieniaący się strumień wody. „Och!”, krzyczała wtedy z zachwytem Lisa, a Julia uśmiechała się, poruszając w rytm muzyki z iPoda.

Skręciliśmy w kierunku południowym. Najpierw ujrzeliśmy Indian. Jechaliśmy przez Dolinę Pomników i zatrzymaliśmy się na niemal całkowicie pustym parkingu, na którym znajdowała się amerykańska flaga i przyczepa kempingowa, z której sprzedawano indiańskie bibeloty.

— Nie wysiądziesz na chwilę, żeby pooglądać? — zapytała Caroline siedzącą na tylnym siedzeniu Julię, lecz ta potrząsnęła głową i przetarła oczy. — Chcesz, żebym usiadła koło ciebie? — zapytała Caroline.

W miejscowości Kayenta dowiedzieliśmy się, że w całym rezerwacie Indian Navaho panuje prohibicja i że nigdzie nie dostanie się ani kropli alkoholu, ani do posiłku, ani nawet w supermarkecie.

— To przypomina Iran — stwierdziła Caroline, popijając łyk coli — w centrum Ameryki.

W pierwszym punkcie widokowym Wielkiego Kanionu Julia zaczęła płakać. Byłem wtedy z nią sam. Caroline właśnie zniknęła z Lisą w ceglany budynek toalety. Staliśmy na brzegu skały, w wysuniętym punkcie bez ogrodzenia, oddaleni nieco od większych grup turystów.

— Popatrz! — powiedziałem i wskazałem na ptaka drapieżnego, prawdopodobnie orła, który, nie poruszając skrzydłami i niemal bezgłośnie, przesybował niecałe pięć metrów od nas.

— Chcesz wrócić do samochodu? — zapytałem. Popatrzyłem w bok i dopiero teraz spostrzegłem, że Julia wyjęła z uszu słuchawki. Nie wydawała żadnego dźwięku, łzy po prostu spływały jej po policzkach.

— Ja już nie potrafię dostrzec, jak jest pięknie — stwierdziła.

Poczułem, jak po plecach przechodzą mi ciarki. Zrobiłem niewielki krok w jej stronę i wyciągnąłem



do niej rękę. Zrobiłem to ostrożnie, próbując złapać ją jedynie za przegub. Odkąd zbadałem ją po raz ostatni, jakieś osiem miesięcy wcześniej, unikała, na ile to było możliwe, wszelkiego fizycznego kontaktu ze mną. Myślałem, że to samo przejdzie, tak się jednak nie stało. Gdy wyciągałem do niej rękę, natychmiast się ode mnie odwracała. Podczas podróży nie dotknęliśmy się nawet jeden raz.

— Nie szkodzi — odpowiedziałem. — Nie musi ci się tutaj wcale podobać.

Wzięłem ją za rękę. Przez chwilę tak stała, po czym popatrzyła w dół, na dłoń ojca, trzymającą jej dłoń, i ją z niej strząsnęła. Odwróciła się i poszła ścieżką w stronę budynku toalety, z której w tym momencie wyszły Caroline i Lisa. Gdy zobaczyła matkę, Julia przyspieszyła kroku. Ostatni odcinek przebiegła, rzucając się w ramiona Caroline.

Tej nocy zatrzymaliśmy się w Williams, w miasteczku położonym wzdłuż sławnej drogi numer 66. Jedliśmy na zewnątrz, w ogródku meksykańskiej restauracji. Caroline i ja piliśmy margarity. Kiedy jedliśmy przystawkę, do ogródka wszedł kowboj z gitarą. Kilka metrów od naszego stolika postawił skrzynkę i na niej stanął. Gdy zaczął śpiewać pierwszy numer, popatrzyłem na Julię. Jej *enchilada* leżała nienaruszona na talerzu. Wyjęła słuchawki z uszu i spoglądała na kowboja. W jej oczach ujrzałem to samo spojrzenie, które miała tego popołudnia w Wielkim Kanionie.

Hotel leżał przy torach kolejowych. Nie spałem, lecz słuchałem w ciemnościach przejeżdżających co pół godziny pociągów towarowych. Już z daleka można było usłyszeć, że się zbliżają. Trąbiły najpierw żałośnie, wydając odgłos przypominający wołanie sowy lub błędzącego po nocy zwierzęcia. Pociągów było nieskończenie wiele. Próbowałem liczyć wagony, ale w połowie każdego kolejnego pociągu zapomniałem, by liczyć do końca. Myślałem o Wielkim Kanionie i o śpiewającym kowboju, o wybuchu płaczu Julii i jej spojrzeniu przed chwilą w meksykańskiej restauracji.

— Marc? — Poczujęm na karku dłoń Caroline. — Co się stało?

— Nie śpisz jeszcze? Spróbuj zasnąć.

Dłoń Caroline dotarła do mojej twarzy, jej palce dotykały moich policzków.

— Marc, co się dzieje?

Musiałem najpierw odchrząknąć, by mój głos zabrzmiał normalnie.

— Nic się nie stało. Przysłuchuję się przejeżdżającym pociągom. Posłuchaj, właśnie nadjeżdża kolejny...

Caroline przytuliła się do moich pleców. Jedną rękę włożyła mi pod głowę, drugim ramieniem objęła moją pierś.

— Nie bądź smutny. To znaczy, masz prawo być zatroskany, ja również jestem. Ale przecież widziałeś, że już nie ma słuchawek od iPod'a przez cały czas w uszach? Zaczyna się trochę rozglądać, na przykład przed chwilą w restauracji. Coś się naprawdę zaczyna zmieniać, Marc.

Chciałem odpowiedzieć, że wątpię, aby coś się zaczęło zmieniać, ale tego nie zrobiłem. Przez chwilę leżałem bezgłośnie, licząc wagony.

— Wydaje mi się, że teraz uda mi się zasnąć — stwierdziłem.

W Las Vegas spędzaliśmy dni przede wszystkim na leżakach nad jednym z basenów hotelu Tropicana. Piłem z Caroline margarity. Podczas tak zwanej *happy hour* potrafiliśmy zamówić czasami nawet cztery, jedną po drugiej. Wrzucaliśmy dolary do automatów do gry. Wieczorami włączaliśmy się oświetlonymi ulicami od kasyna do kasyna. Przed hotelem Bellagio oglądaliśmy fontanny, odgrywające wodny balet do muzyki. W tym czasie margarity przestawały działać: przysłuchiwałem się dudnieniu w mojej czaszce i nie śmiałem spojrzeć w bok, na moją starszą córkę. Caroline trzymała ją za rękę. Podczas kolejnych wytryśnień fontanny Lisa wykrzykiwała „och!” i „ach!”, robiąc zdjęcia. W budce kupiłem dla nas wszystkich lody i colę, ale nawet od coli mój język nie przestawał być suchy.

— Może powinniśmy zrobić coś innego — zastanawiała się później Caroline, kiedy już leżeliśmy w łóżku. Dziewczynki zajmowały własny pokój, znajdujący się obok naszego. Wpatrywałem się w turniej pokera w telewizji.

— Tak? — odparłem, wypijając jednym łykiem całą puszkę budweisera, którą wyjąłem z minibaru.

— Coś spokojniejszego — dodała Caroline. — Może popełniliśmy błąd w rozumowaniu, wybierając się w tę podróż? Może to dla niej zbyt dużo wrażeń naraz?

Poczułem nagle, jak szczypią mnie oczy.

— Cholera jasna! — powiedziałem.

— Marc! Czy naprawdę nie możesz wymyślić nic innego, zamiast lać w siebie przez cały dzień alkohol? Tutaj chodzi o nasze córki. O ich smutek, nie nasz.

— Ja? — zapytałem głośniejsze, niż zamierzałem. Otarłem łzy z twarzy. — Kto tutaj właściwie chodzi wstawiony? Ty również pijesz margarity jedna za drugą, mimo że zupełnie nie masz głowy do alkoholu. Absolutnie nie! Spójrz na siebie. I posłuchaj, co mówisz tym swoim sztucznie ożywionym głosem. Dzisiaj po południu Lisa puściła do mnie oko, kiedy znowu, chichocząc na leżaku, wywaliłaś całe opakowanie popcornu. Wiesz, Julia nic na ten temat nie mówi, ale czy ty myślisz, że to dla niej przyjemny widok, kiedy jej matka przez cały dzień chodzi zalana w pestkę?

— Ja? Zalana w pestkę? Marc, ty chyba nie wiesz, co mówisz. Julia jest na tyle duża, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że jej matka po wypiciu kilku kieliszków robi się weselsza. W innym razie nie chodziłaby przecież przez cały czas ze mną, trzymając mnie za rękę? W twoim wypadku jest inaczej. Ty się zmieniasz po wypiciu alkoholu, a ona się wtedy naprawdę ciebie boi.

Poczułem, jak z płuc ucieka mi powietrze, jakby w jednej chwili zrobiła się w nich próżnia.

— Jeśli ona się mnie boi, to przez ciebie! — Wstałem z łóżka i cisnąłem pustą puszką o ścianę. — Mogłabyś wymyślić coś innego, zamiast udawać kochaną mamusię, pełną zrozumienia dla swojej zgwałconej córeczki. Wiesz równie dobrze jak ja, że zeszłego lata miała cię dość z tym twoim ciągłym truciem o to, o której godzinie ma wrócić do domu. Że zawsze wolała mnie od ciebie. Do cholery, robi mi się niedobrze, kiedy widzę, jak się zachowujesz! Czasem odnoszę wrażenie, że w głębi serca cieszysz się, że znowu możesz grać kochaną mamusię dla swojej biednej, żalostnej, zgwałconej córki. Ale ona nie jest już małą dziewczynką, Caroline. Nie robisz jej tym żadnej przysługi, przeciwnie: wpychasz ją dalej

w to bagno!

Ktoś zapukał w ścianę. Zakryliśmy jednocześnie usta ręką i spojrzeliśmy, przestraszeni, na siebie.  
— Uspokójcie się! — usłyszeliśmy wołanie Lisy. — Nie dajecie nam spać.

W ostatnim tygodniu wynajęliśmy apartament w La Goleta, na przedmieściach Santa Barbara, miasta leżącego nad Oceanem Spokojnym. Jedliśmy kraby na molo; Lisa fotografowała olbrzymie mewy i albatrosy, które bezczelnie lądowały na drewnianych stołach, odlatując z resztkami jedzenia. Spacerowaliśmy po ulicach ze sklepami. Julia kupiła bluzkę, a następnie parę butów Nike. Czasami czekałem na zewnątrz, gdy łąpała za rękę matkę i wciągała ją do kolejnego butiku.

Od czasu do czasu również się śmiała. Robiła to coraz częściej i, tym razem, był to szczery śmiech. W apartamencie długo stała przed lustrem, a potem przyszła zaprezentować nam nowe ubrania.

— Naprawdę mi w tym dobrze? — upewniała się. — Nie jest zbyt ciasne w ramionach?

Lisa robiła zdjęcia Julii, gdy ta w nowym stroju pozowała na tarasie apartamentu. Podniosła nogę i oparła ją o poprzeczny szczebel balustrady. Założyła nowe okulary przeciwsłoneczne, a następnie odsunęła je do tyłu, we włosy. Lisa, kucając, trzymała aparat przyciśnięty do lewego oka.

— Popatrz teraz w stronę słońca — dawała wskazówki. — A teraz znowu na mnie... Tak, o to spojrzenie mi chodziło... Nie przestawaj tak patrzeć.

W jednym z ostatnich dni podróży jeszcze raz jedliśmy w meksykańskiej restauracji nieopodal plaży, na obrośniętym palmami i kaktusami patio.

— Napijesz się margarity? — zapytałem Caroline.

— Jedna nie zaszkodzi — odpowiedziała moja żona, puszczając do mnie oko.

Później główną ulicą miasta przeszedł korowód. Nasze córki przepychały się przez tłum, by móc lepiej widzieć, a my pozostaliśmy nieco z tyłu, na chodniku, nie spuszczając ich nawet na sekundę z oka.

— Rzeczywiście popełniliśmy błąd w rozumowaniu — stwierdziłem.

Moja żona przechyliła głowę na bok, by oprzeć ją na moim ramieniu. Na policzku poczułem ciepło płynące z jej włosów.

— Tak — potwierdziła.

## ROZDZIAŁ 44

Pewnej niedzieli, kilka tygodni po naszym powrocie z podróży, oglądałem zdjęcia, które Lisa zrobiła w Ameryce. Najpierw całą zawartość aparatu skopiowałem na twardy dysk mojego laptopa. Otwierałem je kliknięciem, zaczynając od końca: najpierw zdjęcia zrobione pod koniec, a następnie coraz dalej w kierunku początku naszej podróży.

Przyznam, że nieprzypadkowo robiłem to w odwrotnej kolejności. Nie chciałem się przed samym sobą przyznać, jednak czegoś się obawiałem: przede wszystkim zdjęć z początku, albo — mówiąc dokładniej — zdjęć wykonanych niedługo przed i zaraz po napadzie płaczu Julii w Wielkim Kanionie.

Nieco szybciej przewinałem zdjęcia podświetlonych kasyn przy Las Vegas Strip. Było zdjęcie śpiewającego kowboja w ogródku meksykańskiej restauracji w Williams; zdjęcia moje i Caroline, sączących przez słomkę margarity i machających wesoło do fotografki. Na następnym zdjęciu Julia patrzyła prosto w obiektyw. Na talerzu przed nią widniała nietknięta *enchilada*. Zmusiłem się, by spojrzeć mojej starszej córce prosto w oczy. Zobaczyłem to, czego się obawiałem. Dostrzegłem jednak coś jeszcze. Przed wydarzeniami w letnim domu Julia patrzyła w inny sposób. Szczerze. Z zaufaniem, poprawiłem się już w następnej w chwili. I tak patrzyłem na pełne rezerwy spojrzenie mojej córki, starając się o niczym nie myśleć. Zdawałem sobie sprawę, że będę stracony, jeśli tylko o czymś pomyślę.

Zamknąłem oczy i czubkami palców przycisnąłem mocno powieki — na pół minuty, może nieco dłużej. Następnie ponownie otworzyłem oczy i spojrzałem na świeżo. Teraz ujrzałem coś innego, trudno było tego nie spostrzec.

Julia zawsze była ładną dziewczyną, rzeczywiście taką, za którą niektórzy dorośli mężczyźni odwracali głowy, by popatrzeć. Jednak w ogródku meksykańskiej restauracji jej wzrok nie był ufny, choć nie był też wypełniony smutkiem, który widywałem w oczach mojej córki. Jej spojrzeniem było poważne. Julia miała teraz czternaście lat. Nie patrzyła już w obiektyw aparatu jak dziewczynka, lecz jak kobieta — jak młoda kobieta o oczach, które pewne rzeczy widziały, o oczach, które wiedziały. Dodawało jej to urody. Z ładnej dziewczyny zmieniła się w olśniewającą piękność.

Klikałem dalej. Widziałem puste i suche krajobrazy z kaktusami, stacje benzynowe z restauracjami sieci Burger King, niekończące się pociągi towarowe. Było zdjęcie, na którym Caroline, Julia i ja siedzieliśmy przy stole do pikniku w punkcie widokowym Wielkiego Kanionu. Musiało zostać zrobione tuż przed tym, jak Julia wybuchła płaczem. „Nie potrafię już dostrzec, jak jest pięknie”, wyznała. W jej twarzy ujrzałem jednak pierwsze oznaki zmiany, która nabrała ostatecznego wyrazu w ogródku restauracji w Williams. Jeszcze wcześniej, pozując przed wykutymi w skałach góry Rushmore popiersiami prezydentów, patrzyła badawczo w obiektyw. Naprawdę badawczo, tak jakby czegoś szukała. Może

siebie samej, pomyślałem teraz.

Sesja fotograficzna kończyła się przy drapaczach chmur w Chicago, widokiem z Sears Tower na jezioro Michigan. Tak przynajmniej sądziłem, ale fotografii było więcej. Po zdjęciu ekranu z godzinami odlotów na lotnisku w Amsterdamie, na którym widoczny był w zbliżeniu nasz lot (KL 0611 — CHICAGO — 11:35 — C14), pojawiło się nagle, zrobione z niewielkiej odległości ujęcie nieokreślonego kwiatka, którego nazwy nie mogłem sobie przypomnieć. Na dole ekranu zobaczyłem, że było to zdjęcie numer sześćdziesiąt dziewięć, do początku pozostało ich jeszcze sześćdziesiąt osiem... Ponownie kliknąłem: ukazało się zdjęcie motyla na białej ścianie, a po nim portret krowy. Była to brązowa krowa z grubą, miedzianą obrączką w nosie.

Wiedziałem to, zanim znowu zacząłem klikać wstecz. Poznałem to po swoim oddechu. Był to aparat, na którym można było zapisać ponad tysiąc zdjęć. W Ameryce Lisa zrobiła ich więcej niż trzysta, oprócz nich jeszcze sześćdziesiąt dziewięć podczas poprzednich wakacji w letnim domu, a przez cały rok, w okresie pomiędzy wakacjami, widocznie żadnego.

Kilka zdjęć wcześniej ujrzałem własną twarz pochyloną nad śniadaniem w górskim hotelu z w połowie otwartym i nabiegłym krwią okiem rankiem w dniu, gdy sam zoperowałem się przed lustrem. Jedynie na krótki moment zawahałem się, czy klikać jeszcze dalej. Były to zdjęcia, których nigdy nie chciałem oglądać, lub — mówiąc szczerze — których istnienie wyparłem z pamięci. Nie chciałem na nie patrzeć: na zwykłe wakacyjne zdjęcia, które już nigdy nie będą zwykłe, ponieważ wiedziałeś, co stało się później. Beztroskie zdjęcia z wakacji, gdy jeszcze — jak się to mówi — nic nie wisi w powietrzu. Twoja trzynastoletnia córka na zielonym nadmuchiwanym krokodylu w basenie. Twoja — wtedy jeszcze — roześmiana córka.

Lecz teraz, przez to, co zobaczyłem na zdjęciach zrobionych w Ameryce, wszystko wydawało się inne. Na własne oczy chciałem się przekonać, czy to była prawda, czy Julia jeszcze rok temu była dziewczynką, a teraz już nią nie jest.

Klikałem więc dalej wstecz. Zobaczyłem Julię z Aleksem leżących na leżaku. Każde z nich miało w uchu słuchawkę od iPoda Julii. Ujrzałem Ralpha rąbiącego na kawałki rybę; Ralpha, Aleksa oraz Thomasa przy stole do ping-ponga; Julię i Aleksa po pas zanurzonych w morzu na jednej z leżących na uboczu plaż: Julia machała do aparatu, a Alex obejmował ją ramieniem w pasie. Zobaczyłem Caroline śpiącą na brzuchu na ręczniku oraz Judith pozującą z pełną szklanek tacą i dzbankiem z lemoniadą. Widziałem siebie samego: klęczałem, kopiąc w piasku kanał. Tak byłem zaabsorbowany zajęciem, że nawet nie spoglądałem na fotografkę. Potem pojawiły się zdjęcia z chlapania się wodą nad basenem, zrobione owego popołudnia, kiedy odbywały się wybory miss mokrego podkoszulka. Nieco dłużej wpatrywałem się w zdjęcie Julii na trampolinie. Przyjęła pozę zawodowej modelki i przez zmrużone oczy patrzyła w obiektyw, gdy woda z węża ogrodowego oblewała jej brzuch, rozpryskując się na nim. Określenia „wyuczone” i „profesjonalne” rzeczywiście doskonale oddawały treść. Był to jednak udawany profesjonalizm, rok temu Julia jedynie doskonale naśladowała modelki z magazynów. Rok

później tego nie robiła, bo nie było to już potrzebne.

Przy następnym zdjęciu moje serce zaczęło mocno bić. Stałem na nim z Judith w oknie w kuchni. W tle widać było trzecią osobę — jej matkę. Przez pięć sekund mój palec znajdował się nad przyciskiem „usuń”, ale w końcu zdecydowałem, że nie byłby to dobry pomysł. Nie wiadomo, kto do tej pory zdążył obejrzeć te zdjęcia. W każdym razie Lisa — być może zrobiła nawet ich kopię na komputerze, który dzieliła z Julią. Usunięta fotografia mogła przyciągnąć więcej uwagi niż zdjęcie, na którym prawdę mówiąc, niewiele było widać. Przyjrzałem się jeszcze raz, dokładniej — odległość była zbyt duża, żeby można było dojrzeć, w jaki sposób Judith i ja patrzymy na siebie. Na jednym ze zdjęć był ptaszek, który spadł z drzewa. Przycupnął w kartonowym pudełku, w samym kąciuku, pomiędzy naczynkiem z wodą a myjką. Choć było to zdjęcie, a obraz był zatrzymany, widać było niemal, jak się trzęsie. Następnie pojawiły się zdjęcia robione, jak można było się zorientować, w nocy, w namiocie, gdy ja i Caroline już spaliśmy. W wiązce światła, pochodzącego prawdopodobnie z latarki, Julia układała z palców figurki, które rzucały cień na płachtę namiotu. Królik. Wąż. Do tej pory udawało mi się jeszcze powstrzymać, lecz nagle poczułem, jak wilgotnieją mi oczy. Prędko kliknąłem dalej.

Kolejne zdjęcia znad basenu. Julia na leżaku z podciągniętymi kolanami. Julia na brzegu basenu. Na jednym zdjęciu była w bikini, na kolejnym przerzuciła przez ramię ręcznik, tak że przypominał on raczej część ubrania (żakiet, szal) niż ręcznik. Takich zdjęć było kilka i trwało to chwilę, zanim zorientowałem się, co oglądam.

Ona pozowała. Pozowała z różnymi częściami ubrania, a w każdym razie grała, że pozuje do zdjęć. Jednak na żadnym z nich nie patrzyła w obiektyw ani na fotografkę, czyli Lisę.

Julia spoglądała na coś innego — na kogoś, kto znajdował się poza ramami zdjęcia.

Teraz klikałem szybko wstecz. Na ostatnich trzech zdjęciach pojawił się obraz owej osoby, dla której pozowała. Kucnął przed nią, gdy brała prysznic koło basenu. Stała w jednoznacznej pozie, podciągając jedną nogę do góry. Okulary podsunęła w górę, na mokre włosy, i wyzywająco patrzyła na fotografa, który przed nią kucnął. On przyciskał aparat do twarzy, podobnie jak na pozostałych dwóch zdjęciach.

Stanley Forbes uśmiechał się szeroko, fotografując moją córkę pod prysznicem. Na kolejnych dwóch zdjęciach patrzył jedynie bardzo skoncentrowany. Na jednym z nich Julia opuściła górę od bikini, a na piersiach skrzyżowała — niby wstydliwie — ramiona. Na drugim paliła papierosa, wydychając z bliska dym w twarz fotografowi.

— Lisa, możesz tutaj przyjść na moment?

Moja młodsza córka leżała na łóżku w naszej sypialni, oglądając *Miasteczko South Park* na DVD. Pokazała gestem, że mam być cicho, ale wtedy ujrzała moją minę. Za pomocą pilota włączyła pauzę i podniosła się z łóżka.

— Co tutaj robiliście? — zapytałem, pokazując po kolei zdjęcia znad basenu. Starłem się, by mój głos nie brzmiał alarmująco, ale mogłem niemal usłyszeć bicie własnego serca.

— To Stanley — odpowiedziała Lisa.

— To widzę. Ale co tam robiliście? Co on tam robił?

— On robił zdjęcia Julii. Powiedział jej, że z łatwością może zostać modelką. Obiecał, że zrobi całą serię i pokaże w Ameryce. Wydaje mi się, że wspominał o magazynie „Vogue”. Mnie też zrobił zdjęcia.

Wciągnąłem mocno powietrze.

— Lisa, co ty opowiadasz?

— Ale o co chodzi, tato? Dlaczego tak się patrzysz? On zrobił również całą serię zdjęć ze mną. Stwierdził, że czasopisma o modzie coraz częściej szukają takich ładnych, młodych dziewczyn. Powiedział, że Emmanuelle też tak zaczynała. Że on pierwszy zrobił jej zdjęcia i dzięki temu stała się potem sławna.

— Lisa, popatrz na mnie i nie kłam. Jakie zdjęcia on ci zrobił? Jaki rodzaj zdjęć?

— Nie zachowuj się tak dziwnie, tato. Julia i ja mamy Stanleya wśród znajomych na Facebooku. Ostatnie zdjęcia też do niego wysłałyśmy, bo nas o to prosił.

— Chwileczkę, jakie ostatnie zdjęcia?

— Z Ameryki, tato. Wciąż nas pyta, czy mamy nowe zdjęcia, dlatego wysłałyśmy mu także zdjęcia z wakacji, oczywiście te, na których my jesteśmy. To znaczy przede wszystkim zdjęcia, na których jest Julia, bo ja większość z nich robiłam. Stanley jest bardzo znany, tato. Mówi, że musimy mieć trochę cierpliwości, ale być może obie niedługo staniemy się modelkami. I to w Ameryce, tato. W Ameryce!

## ROZDZIAŁ 45

Poczekiałem, choć niezbyt długo. Wiedziałem, że różnica czasu pomiędzy Holandią a Kalifornią wynosi dziewięć godzin. Stanley dał mi wówczas, w letnim domu, swój numer telefonu. Powiedział, żebym zadzwonił, gdybym był kiedyś w okolicach Santa Barbara. To było jednak już po owych wydarzeniach, dlatego wszystkim nam wydawało się, że dla Julii będzie lepiej, jeśli nie będziemy kontaktować się z reżyserem.

O piątej po południu czasu holenderskiego wykręciłem numer Stanleya Forbesa. W Santa Barbara była ósma rano. Najlepszy efekt zaskoczenia osiągnę wtedy, gdy obudzę go telefonem.

— Tutaj Stanley... — Odebrał niemal natychmiast. Z zalem musiałem stwierdzić, że wcale nie brzmiał, jakby był zaspany.

— Tu Marc — powiedziałem. — Marc Schlosser.

— Marc! A skąd dzwonisz? Kupa czasu! Jesteś gdzieś w pobliżu? Wpadniesz?

— Stanley, ja wiem o tych zdjęciach — o zdjęciach, które robiłeś moim córkom.

Przez kilka sekund panowała cisza. Trwała ona odrobinę dłużej niż przerwy, które zwykle zapadają podczas rozmów międzykontynentalnych.

— O, to szkoda — odpowiedział. — One chciały ci zrobić niespodziankę. Przede wszystkim Julia.

Teraz ja sam zamilkłem o sekundę dłużej, niż to było przyjęte.

— Marc, jesteś tam jeszcze? Posłuchaj, jak już o nich wiesz, to zajrzyj na moją stronę internetową, umieściłem na niej wybrane zdjęcia z serii zrobionej nad basenem.

— Dzwonię do ciebie właściwie w innej sprawie, Stanley. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, gdzie byłeś podczas nocy świętojańskiej, po tym jak Ralph próbował skopać tę dziewczynę. Nigdzie cię nie widziałem, aż w końcu o późnej porze wróciłeś do domu letniego. Długo się jeszcze tego wieczoru wałęsałeś po plaży? A może poszedłeś na poszukiwanie jednej z twoich modelek?

Zbyt późno zorientowałem się, że za daleko się posunąłem. Nie powinienem był tak wprost go obwiniać. Powinienem go podpuścić. Stanley Forbes był dorosłym mężczyzną — w myślach dodałem, że obrzydliwym dorosłym facetem — który robił zdjęcia młodym dziewczętom, nęcąc je mętną obietnicą kariery fotomodelki. Nawet jedynie z tego powodu mógłby już dzisiaj zostać aresztowany i zniknąć na lata za kratkami.

— Marc, co ty wygadujesz? — powiedział. — Nie mogę uwierzyć, że ty w taki sposób o mnie myślisz.

Nie odezwałem się. Czekiałem, aż się zdradzi. Pomyślałem teraz, że może powinienem był nagrywać tę rozmowę.

— Posłuchaj, Marc. Ja rozumiem, że jesteś skołowany tym, co się stało z Julią, ale wszystko idzie



obecnie w dobrym kierunku. Julia i Lisa przysłały mi ostatnie zdjęcia, z Ameryki. Zapisalem je tutaj obie do agencji. Byli zainteresowani, ale teraz, przede wszystkim po tych nowych zdjęciach Julii, całkiem oszaleli. Na kilku z nich... Zakładam, że je widziałeś? Julia siedzi w ogródku jakiejś restauracji i to jej spojrzenie... Na zdjęciach znad basenu czegoś jeszcze brakowało, ale jak ona teraz na ciebie patrzy... I to drugie zdjęcie, znad Wielkiego Kanionu. Ona spogląda... Nie wiem, jak to określić... Ona patrzy w ten swój szczególny sposób, Marc. Kilka dni temu wysłałem jej mejl. Powinna właściwie tutaj przyjechać, na nową sesję zdjęciową. Mógłbym zrobić ją również w Holandii, ale chodzi o światło: ono tutaj jest inne, nie da się go odtworzyć w studiu. Wydaje mi się, że ona boi się was o to zapytać. Obawia się, że jej nie pozwolicie, ale ona jest u mnie w dobrych rękach, Marc. A jeśli mi nie ufasz, to przyjedź z nią na kilka dni, albo niech Caroline przyleci. Albo ty i Caroline. Mój dom jest wystarczająco duży. Nie jest usytuowany bezpośrednio nad Pacyfikiem, ale słychać stąd ocean. No i mam basen. A dlaczego właściwie nie wpadłeś tu latem? Na zdjęciach, które przysłały twoje córki, widać, że byliście w okolicy. Parada w Santa Barbara? Emmanuelle i ja również tam byliśmy.

Chciałem jeszcze raz zapytać Stanleya, gdzie był pomiędzy północą a godziną drugą wiadomej nocy, lecz nagle sam już przestałem w to wierzyć. Stanley opowiadał o zdjęciach z Wielkiego Kanionu i restauracji w Williams. Zauważył na nich to samo co ja.

— A Lisa? — usłyszałem, jak zadaję to pytanie.

— A tak, Lisa, oczywiście. Weźcie Lisę ze sobą, choć mówiąc między nami, ona będzie musiała jeszcze kilka lat poczekać. Z nią jest inaczej, jest jeszcze bardzo młoda. To, jakby to powiedzieć, inny przypadek.

## ROZDZIAŁ 46

Oglądałem zdjęcia mojej starszej córki na stronie Stanleya jedno po drugim. Było ich w sumie dziesięć. To były ładne zdjęcia, szczególnie to, na którym Julia stała pod prysznicem z przesuniętymi w górę, na włosy, okularami przeciwsłonecznymi. W rozpylonych nad jej mokrymi włosami kroplach wody widoczna była miniaturowa tęcza.

Było tam więcej zdjęć, innych dziewcząt, nie tylko Julii. Serię tę Stanley zatytułował „*Teen Models*”<sup>1</sup>. Znajdowało się między innymi zdjęcie dziewczyny w jacuzzi, w jakimś ogrodzie z palmami i kaktusami w tle. Na brzegu jacuzzi stała butelka szampana i dwa kieliszki. Na powierzchni wody dryfowały płyty piany, zakrywające górną partię ciała dziewczyny jedynie częściowo. Patrzyła prosto w obiektyw. Zdjęcie to mogło zostać wykonane tylko z jednej perspektywy, kiedy fotograf sam znajdował się w jacuzzi.

Dopiero gdy popatrzyłem ponownie, poznałem Emmanuelle. Młodsza. W każdym razie młodszą niż obecnie, szacowałem, że mogła mieć najwyżej piętnaście lat.

Na stronie internetowej znajdowało się więcej serii fotograficznych o tytułach takich jak „*Desserts*”, „*Sunsets*”, „*Water*” i „*Travel*”<sup>2</sup>. Klikając, przewijałem zdjęcia wielbłądów i piramid, a następnie całą serię zachodów słońca. Seria „*Travels*” podzielona była na miejsca i lata. Była w niej zakładka nosząca nazwę okolicy, w której w zeszłym roku spędziliśmy wakacje w letnim domu. Kliknąłem na kilka zdjęć okolicznych klasztorów i zamków, które Stanley pokazał mi wówczas na ekranie swojego aparatu, na zdjęcia Emmanuelle, pozującej na tle muru lub pomnika. Niektóre zdjęcia były mi nieznane: raki, płaszczki oraz krewetki wystawione na targu rybnym; muszle i meduzy na piasku; biały obrus z okruskami chleba — nagle ujrzałem samego siebie i nie tylko: na zdjęciu byliśmy wszyscy — Ralph, Judith, Caroline, Emmanuelle, Alex, Thomas, matka Judith, Julia, Lisa i ja — przy suto zastawionym stole w ogrodzie letniego domu. Patrzyliśmy na fotografa, unosząc w górę kieliszki.

Zdjęć zrobionych w letnim domu i jego okolicach było więcej: Ralph rąbiący miecznika na kawałki na tarasie; Lisa pochylająca się nad ptaszkiem w pudełku z kartonu; Judith na leżaku przy basenie. Było również zdjęcie mężczyzny, którego nie znałem, w krótkich spodniach i podkoszulku bez rękawów w ogrodzie. Założył ramię na ramię i patrzył, uśmiechając się, w obiektyw. Dopiero na zdjęciu było widać, że jest niski, nawet kilka centymetrów niższy od Julii.

Powróciłem do pierwszego zdjęcia i po raz drugi tego niedzielnego popołudnia zawołałem Lisę.  
— To ten gość, który przyszedł naprawić wodę — odpowiedziała Lisa.

Razem oglądaliśmy zdjęcia. Na wszystkich trzech widoczny był tatuaż na jego ramieniu: orzeł ściskający w szponach zakrwawione serce.

— On był bardzo miły — stwierdziła Lisa. — Żartował przy nas z tego, że jest taki mały. Stawał wciąż obok Julii i potrząsał głową, śmiejąc się. Nie rozumialiśmy go dobrze, ale mówił coś o dziewczętach z Holandii, o wiele wyższych od miejscowych mężczyzn.

Rachowałem wstecz. W piątek rano poszedłem z Caroline do biura wynajmu nieruchomości. Dziewczyna za biurkiem powiedziała, że monter spróbuje przyjść jeszcze tego samego popołudnia. Ta brzydka dziewczyna, która w dodatku okazała się jego sympatią. Następnie Caroline i ja poszliśmy na zakupy. Specjalnie robiliśmy je dłużej, bo nie chciało nam się od razu wracać do letniego domu. Powłóczyliśmy się po targu, a przedtem poszliśmy jeszcze gdzieś na lunch. Nie przypomniałem sobie, czy już była woda, gdy wróciliśmy, ale w sobotę chłopaki chlapali dziewczęta wodą na trampolinie, więc wtedy musiała już w każdym razie być.

Wspomniałem sobotni wieczór i noc na plaży. W pobliżu toalety w restauracji wpadłem na montera. Przypomniałem sobie tatuaż na jego spoconym ramieniu, na przedramieniu miał ranę: trzy czerwone zadrapania... W ogródku restauracji jego brzydka sympatia płakała. Może się pokłócili? Może próbował ją okłamać, wymyślając powód, dla którego tak długo go nie było? Kto wie, może poczuła na nim obcy zapach? Może również zauważyła zadrapania na jego ramieniu i — ponieważ sama była kobietą — natychmiast poznała, że tak ranią jedynie kobiece paznokcie.

Dziewczęce paznokcie, poprawiłem się natychmiast.

---

1. Z ang.: „Nastoletnie modelki”. [\[wróć\]](#)

2. Z ang.: „Pustynie”, „Zachody słońca”, „Woda” i „Podróże”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 47

W następnym poniedziałkowy poranek w poczekalni zjawił się nagle komik telewizyjny. Ten sam, który rok wcześniej wykrzykiwał o moim członku, że mogę go sobie wsadzić do dupy i że on już tu nigdy nie wróci. Nie przejrzałem wcześniej dokładnie listy, na której moja asystentka notowała nazwiska pacjentów każdego dnia — będę szczery: tej listy nie przeglądałem już od miesiący; dawałem się — jak to się mówi — zaskoczyć.

— Przez jakiś czas chodziłem do innego lekarza pierwszego kontaktu — powiedział, kiedy już siedział naprzeciw mnie w moim gabinecie. — Był jednak zbyt... jakby to określić — zbyt wylewny. W każdym razie bardziej wylewny od pana.

Spojrzałem na jego okrągłą, wcale niebrzydką twarz. Wyglądał na zdrowego, widocznie z zakażeniem AIDS nie było tak źle.

— Cieszę się, że się nie...

— Chodziło również o coś innego — przerwał mi. — Coś mnie zaalarmowało w jego zachowaniu. Nie wiem, czy pan też to zauważył, choć myślę, że tak: Są osoby, które za wszelką cenę próbują pokazać, jak bardzo są tolerancyjne wobec homoseksualistów — osoby, które starają się podkreślić, że homoseksualizm jest całkiem normalny, podczas gdy taki wcale nie jest. Gdyby tak rzeczywiście było, to nie zajęłoby mi pięciu lat, by w końcu odważyć się powiedzieć moim rodzicom. To denerwowało mnie w moim nowym lekarzu. Wspomniał kiedyś bez powodu o *Gay Pride*<sup>1</sup>. Stwierdził, że to fantastycznie, iż w tym mieście coś takiego jest możliwe. A jeśli istnieje coś, co mnie jako geja mierzi, to są to właśnie nagie umięśnione męskie ciała, tańczące na łodziach, jedynie ze sznurówką przeciągniętą pomiędzy pośladkami. Niektórym tolerancyjnym osobom nie przychodzi nawet do głowy, że jakiemuś gejowi może się to nie podobać.

Nic nie odpowiedziałem, skinąłem jedynie głową, a usta ułożyłem w uśmiech. Zegar naprzeciw biurka pokazywał, że upłynęło już pięć minut, było mi jednak wszystko jedno. Miałem czas.

— Wie pan — kontynuował komik — to oczywiście wspaniale, że wreszcie mamy te same prawa, na papierze. Nie oznacza to jednak, że to ci się musi podobać. Ludzie częściej robią ten błąd. Boją się, by nie dyskryminować. Śmieją się głośniejsz z dowcipu opowiedzianego przez inwalidę na wózku. Dowcip nie jest śmieszny, a poza tym trudno go zrozumieć. Inwalida cierpi na postępującą nieuleczalną chorobę. Gdy śmieje się z własnego dowcipu, z brody skapuje mu ślina, a nas to bawi. Nie pamiętam już: ma pan syna i córkę?

— Dwie córki.

— Cieszyłyby się pan, gdyby jedna z nich, lub obydwie, okazały się lesbijkami?

— Miałbym nadzieję, że będą szczęśliwe.

— Proszę dać spokój i nie opowiadać takich frazesów! Właśnie dlatego siedzę znowu u pana: ponieważ pan nigdy niczego nie owijał w bawełnę. Z powodu pana niechęci, choć może słowo „niechęć” jest w tym kontekście zbyt mocne. Wie pan, co mam na myśli. A może się mylę?

Ponownie się uśmiechnąłem, tym razem szczerze.

— No widzi pan! — powiedział komik. — Wiedziałem. Ale dlaczego czuję się u pana o wiele lepiej niż u osób, które starają się lubić gejów?

— Może sam ich pan nie lubi? — odparłem.

Komik zaczął się głośno śmiać, a następnie znowu spowaźniał.

— To właśnie sedno sprawy — stwierdził. — Moim rodzicom z trudnością przyszło zaakceptowanie moich skłonności i mojego chłopaka. Z trudem zaczęli, jak pan to sformułował, „mieć przede wszystkim nadzieję, że będę szczęśliwy”. Wcale się jednak z tego nie cieszą. Nie ma rodzica, który by się z tego cieszył. Słyszał pan kiedyś, by jakaś matka lub jakiś ojciec twierdzili, że byli wniebowzięci, gdy się o tym dowiedzieli? Że im ulżyło i byli tacy szczęśliwi, gdy zorientowali się, że ich syn lub córka dzięki Bogu okazali się nie być heteroseksualni? Jestem komikiem i podczas moich występów próbuję ukazać również i ten aspekt. Gdybym tak nie robił, oznaczałoby, że nie biorę siebie na serio. No może nie na serio, ale... Wie pan, co mam na myśli?

— Tak — potwierdziłem. — Doskonale pana rozumiem. W czym jeszcze mogę panu pomóc?

Westchnął głęboko.

— Prostata — odpowiedział. — Mocz leci kropelkami, a nie mocnym strumieniem, jak wcześniej. Pomyślałem... No wie pan, co sobie pomyślałem.

Spoglądałem na owłosioną pupę komika, leżącego na stole zabiegowym. Nic nie mogłem na to poradzić, że myślałem o słowach mojego wykładowcy biologii medycznej.

— Powtórzę to jeszcze tylko jeden raz — podsumował Aaron Herzl. — Gdyby Bóg chciał, żeby męczyzna wkładał członek do odbytu, to uczyniłby otwór większym. Mówię tutaj specjalnie „Bóg”, choć mógłbym powiedzieć „natura”. Za wszystkim kryje się jakiś zamysł, czy też plan. To, czego nie powinniśmy jeść, cuchnie i jest niesmaczne. Oprócz tego odczuwamy ból, dzięki czemu wiemy, że nie powinniśmy wsadzać pióra do oka. Organizm męczy się, dając do zrozumienia, że należy odpocząć. Serce już sobie nie radzi. Jest w stanie przepompować tylko pewną ilość tlenu do wszystkich zakątków ciała.

Następnie profesor zdjął okulary i przez minutę przesuwiał wzrokiem po ławkach sali wykładowej.

— Nie chcę tutaj prawić morałów — ciągnął. Każdy powinien móc robić, na co ma ochotę, ale wpychanie opuchniętego członka w stanie erekcji do odbytu sprawia ból, który mówi: „Stop! Wyjmij go, zanim będzie za późno”. Organizm jest skłonny, by tego bólu się słuchać. Tak działa natura. Nie skaczemy w dół z siódmego piętra, chyba że chcemy ten organizm zniszczyć.

To stało się nagle. Widocznie wyparłem to z pamięci albo po prostu zapomniałem, lecz nagle

przypomniało mi się, co Aaron Herzl powiedział potem. Najpierw poczułem, jak moje oczy wilgotnieją, a następnie, jak zaczyna się trząść moja dolna warga. Nie mogłem tego opanować.

— W przypadku małego dziecka wszystko jest mniejsze. Wszystko. To także natura. Małe dziewczynki nie mogą zająć w ciąży. Są w tym względzie podobne do kobiet po czterdziestce. Natura mówi, żeby ich nie dotykać. Z biologicznego punktu widzenia odbywanie stosunku z niedojrzałą płciowo dziewczynką nie ma najmniejszego sensu. Również i w jej wypadku otwór jest zbyt mały. I jest błona dziewicza — jeden z najpiękniejszych prezentów, jakie darowała nam natura. Można by przez to uwierzyć w istnienie jakiegoś boga. — W sali wykładowej rozległ się chichot. Większość się śmiała, mniejszość nie. — Chciałbym ponownie przywołać obraz spuchniętego kutasa, męskiego organu płciowego w stanie erekcji. Gdy próbuje się go wepchnąć w niezbyt wielki otwór niedojrzałej dziewczynki, to przede wszystkim boli. Ból ostrzega, by tego nie robić. Sama dziewczynka zapewne również mówi, by tego nie robić. W naszym społeczeństwie tak to uregulowaliśmy, że mężczyźni, którzy próbują penetracji małych dziewczynek lub chłopców, zamykamy w więzieniu. Nasza moralność w tym względzie jest tak silna, że gwałciciele dzieci nawet za kratkami nie mogą być pewni swojego życia. Złodzieje i mordercy uważają się za lepszych od gwałcicieli dzieci. I słusznie. Reagują w sposób elementarny, tak jak wszyscy powinniśmy reagować, tak jak reagowaliśmy kiedyś, dawno temu, kiedy natura była silniejsza od kodeksu karnego. „Precz! Precz z tym świństwem! Zabić te potwory!”.

W sali wykładowej zapadła cisza jak makiem zasiał, jak to się zwykło mówić, lub taka gdy wstrzymuje się oddech dłużej, niż powinno.

— Nie chcę tutaj sugerować żadnego rozwiązania tego moralnego dylematu — zaznaczył Herzl. — Staram się jedynie sprawić, byście najpierw zastanowili się, zanim bezkrytycznie przyjmiecie kod moralny, obowiązujący w waszych czasach, za jedynie słuszny. Dlatego więc, na koniec, prosty przykład, nad którym zastanówcie się do przyszłego tygodnia.

Zbyt długo już stałem przy stole zabiegowym. Upłynęło więcej czasu, niż komik mógł uznać za normalne. Umyłem ręce. Naciągnąłem gumowe rękawiczki. Coś teraz musiało nastąpić. Powiniennem wykonać badanie palpacyjne jego prostaty przez odbyt. Nie mogłem jednak przerwać strumienia myśli, musiałem wszystko do końca rozważyć. Wciągnąłem głęboko powietrze. By zyskać nieco na czasie, położyłem dłoń na owłosionej części pośladka i ponownie nabrałem głęboko powietrza.

— Dorosłych, którzy próbują wymusić stosunek seksualny z dzieckiem, uważamy za nienormalnych — stwierdził profesor Aaron Herzl. — Za zboczonych, za chorych, nadających się do leczenia. Tutaj zaczyna się pytanie na następny tydzień. Jakie leczenie jest w takich wypadkach niezbędne? Zanim wdam się w szczegóły, chcę, abyście najpierw zadali sobie następujące pytanie: Z obecnych na sali dziewięćdziesiąt jeden procent czuje statystycznie pociąg do płci przeciwnej, dziewięć do płci własnej, a mniej niż jeden procent do dzieci. Mogę więc na szczęście założyć, że nikt taki nie jest dzisiaj tutaj obecny — z ławek rozległ się sztuczny śmiech, wyrażający ulgę. — Odwróćmy to wszystko. Aby móc dobrze zrozumieć przykład, wyobraźmy sobie, że nasze zdrowe seksualne preferencje są zakazane i że

zostaniemy aresztowani, jeśli damy się przyłapać na stosunku z dorosłą osobą odmienną płci. Wyobraźmy sobie, że na lata zamkną nas w więzieniu lub klinice i że w okresie pozbawienia wolności będzie z nami prowadzić rozmowy psycholog albo psychiatra. My będziemy musieli ich przekonać, że chcemy współpracować w leczeniu, a w końcu — po to, by psycholog napisał raport, w którym stwierdza, że nie stanowimy już zagrożenia dla społeczności — i o tym, że zostaliśmy wyleczeni, że jako mężczyźni przestaliśmy mieć skłonność do kobiet, a jako kobiety pociąg do mężczyzn. Sami jednak wiemy, że tak nie jest. Zdajemy sobie sprawę, że jest to niemożliwe, że wcale nie zostaliśmy „wyleczeni”. Pragniemy jedynie jak najszybciej wyjść na wolność, by ponownie zabrać się za mężczyzn lub kobiety.

Przesunąłem rękę o kilka centymetrów wzdłuż poślądka komika, jakbym zamierzał coś zrobić. Teraz przypomniałem sobie część wykładu, z której niewiele zapamiętałem, a która niewątpliwie opowiadała o „leczeniu” gwałcicieli dzieci. W mojej pamięci utkwił jedynie garnek z małżami z samego końca zajęć.

— Weźmy taki garnek z omułkami — powiedział Herzl. — Na stole pod twoim nosem znajdują się przepyszne mule. Są zdrowe i smaczne. Nauczyliśmy się w każdym razie, że małży, których skorupki się nie otwierają, nie należy jeść, bo można się od nich rozchorować. Pamiętajcie o nich, gdy będziecie rozwiązywać zadanie na następny tydzień. One są chore, a niektóre z nich martwe. Czy jednak roztrzaskamy na siłę skorupę takiej omułki, by ją zjeść? Niech przez dwa lata prowadzi z nią rozmowy psycholog więzienny. Czy włożymy ją po tym do ust, ponieważ psycholog zapewnił nas, że znowu stała się jadalna, czy ją jednak wyrzucimy? Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Komik zmienił pozycję na leżance. Podniósł nieco głowę i lekko ją odwrócił, spoglądając na mnie. W jego oczach dostrzegłem strach.

— Co się stało, panie doktorze?

Próbowałem się uśmiechnąć, lecz to bolało. Usłyszałem suche tyknięcie z tyłu mojej szczęki.

— Nic, a cóż miałyby się stać? — zapytałem.

Jednak nie mogłem już dłużej przed sobą udawać. Patrzyłem na jego owłosiony zadek, wiedząc, że to nie dla mnie i że taki tyłek wzbudza we mnie zdrową niechęć, podobnie jak talerz z niesmacznym albo zepsutym jedzeniem, który odpychamy od siebie, gdyż przyprawia nas o mdłości. „Nie jedz!”. Byłem „normalny”. Myślałem o kobietach, nie tylko o Caroline czy Judith, ale o wszystkich kobietach. To było naturalne, uczył nas profesor Herzl. Mężczyzna, który nie patrzy na wszystkie kobiety, jest jak samochód z wciśniętym jednocześnie pedałem gazu i hamulcem. Najpierw zaczyna cuchnąć spaloną gumą, a potem staje lub wybucha. Natura mówi nam, że powinniśmy zapłodnić jak najwięcej kobiet. W myślach przeskoczyłem do następnego pytania, tak jak zrobiłem to trzydzieści lat wcześniej podczas wykładu profesora Aarona Herzla. Czy mógłbym się wyleczyć? Czy byłbym w stanie — jeśli moje zdrowe skłonności uznane zostałyby przez społeczeństwo za chore — przekonać psychologa więziennego o tym, że zostałem „wyleczony”? Wydawało mi się, że tak. Jednak natychmiast, w ciągu dwudziestu czterech godzin od wyjścia na wolność, popadłbym w stare przyzwyczajenia.

Nie chcę udowodniać własnej wyższości moralnej nad moralnością mężczyzn, których pociągają małe dziewczynki. One pociągają wszystkich mężczyzn, to także naturalne. Patrzymy na dziewczęta z myślą o potomstwie — z myślą o tym, czy w niedalekiej przyszłości będą w stanie zapewnić trwanie ludzkiego gatunku.

Czym innym było jednak reagowanie na ową siłę przyciągania w praktyce. W naturze istnieją systemy ostrzegawcze. W wypadku małych dziewczynek sygnały alarmowe zapalały się na czerwono: „Stop! Nie dotykać! Kto się nie powstrzyma, dokona zniszczeń”.

— Myślę, że lepiej będzie, jak pan usiądzie — powiedziałem do komika.

Komik podniósł się, przerzucił nogi przez brzeg stołu zabiegowego, a z kieszeni spodni wyciągnął białą chusteczkę, którą mi podał.

— Proszę — powiedział. — Jest czysta — dodał, puszczając oko.

— Przepraszam — odpowiedziałem. Próbowałem wydmuchać nos, lecz nic w nim już nie było.

— Następnym razem... Jeśli pan chce, mogę panu dać skierowanie na pogotowie.

— Nic mi pan nie musi mówić, ale jeśli ma pan na to ochotę, to mam dla pana czas.

Rozłożył ramiona. Spojrzałem na jego okrągłą, otwartą twarz i wszystko mu opowiedziałem. Jedynie kilka spraw przemilczałem z myślą o przyszłości, w szczególności moje plany.

— I wciąż nie ma pan pojęcia, kto to mógł zrobić? — zapytał, kiedy skończyłem.

— Nie.

— Cholera, kogoś takiego chciałoby się po prostu...

Nie dokończył zdania, nie było to potrzebne. Pomyślałem o garnku z omułkami i o małżach, które się nie otworzyły.



## ROZDZIAŁ 48

Na ruchomym stoliku koło łóżka Ralph postawiono kieliszek z zabójczym koktajlem. Oprócz niego stała tam miseczka ze zjedzonym w połowie jogurtem owocowym, w którym wciąż tkwiła łyżeczka, gazeta z tego ranka oraz biografia Szekspira, którą Ralph czytał przez ostatnie tygodnie. Pomiędzy stronicami książki, nawet jeszcze nie w jej połowie, tkwiła zakładka. Ralph poprosił, by Judith i ich obaj synowie na chwilę opuścili pokój.

Gdy wyszli, przywołał mnie skinieniem.

— Marc — powiedział i złapał mnie za rękę, pociągnął ją na kołdrę i przykrył swoją dłonią.

— Chciałem powiedzieć, że mi przykro — stwierdził. — Nie powinienem był... nie powinienem był nigdy... — Zamilkł na chwilę. — Przykro mi. To ci chciałem powiedzieć.

Patrzyłem na jego jednocześnie wychudzoną i opuchniętą twarz; na jego oczy, które jeszcze mnie widziały, a które przed upływem godziny niczego już więcej nie ujrzą.

— Jak się... ona czuje? — zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

— Marc — odparł. Poczulem na ręce dotyk jego dłoni. Próbowałem wzmocnić uścisk i dopiero teraz zorientowałem się, jak niewiele ma siły. — Czy możesz jej przekazać... ode mnie... Czy możesz jej powtórzyć to, co ci przed chwilą powiedziałem?

Odwróciłem wzrok i bez trudu wyciągnąłem rękę spomiędzy jego dłoni.

— Nie — odpowiedziałem.

Westchnął głośno, przymknął oczy, po czym ponownie je otworzył.

— Marc, wahałem się, czy ci o tym powiedzieć. Zastanawiałem się, czy nie jestem ostatnią osobą, od której chciałbyś coś takiego usłyszeć.

Spojrzałem na niego.

— O czym ty mówisz?

— O twojej córce, Marc, o Julii.

Mimowolnie rzuciłem wzrokiem na drzwi, a następnie na kieliszek obok jego łóżka. Ralph dostrzegł, na co patrzę.

— W końcu zdecydowałem, że powinienem ci o tym powiedzieć. Może trochę późno, ale ja również wiem o tym dopiero od niedawna, a dokładnie mówiąc, od kilku tygodni.

Przez pół sekundy myślałem, że zdradzi mi coś o Judith, wyzna na przykład, że o nas wie, że ona mu się ze wszystkiego wypowiadała, ale że on z całego serca życzy nam szczęścia. W następnej chwili zdałem sobie jednak sprawę, że on wyraźnie powiedział: „O twojej córce. O Julii”.

— Alex bardzo mnie prosił, bym trzymał język za zębami. Wiedział, że już długo nie pożyję, dlatego mi to opowiedział. Musiał to z siebie wyrzucić, twierdził, że zwariuje, jeśli dalej zachowa to tylko dla siebie. Jego matka nic nie wie. Wiedzą on i Julia.

Przypomniałem sobie noc na plaży, zachowanie Aleksa, gdy spotkał Judith i mnie w pobliżu drugiej restauracji. Pomyślałem wtedy, że coś ukrywa. Nie powiedział o wszystkim.

— Pamiętasz tego monterka, który przyszedł kilka razy, żeby odetkać rezerwuar na dachu, kiedy nie mieliśmy bieżącej wody?

Chyba zamrugałem oczami, albo pojawiło się w nich nierozumiejące spojrzenie, bo Ralph dodał: — Ten monter z biura nieruchomości. Niski facet, dwudziesto-, może trzydziestoletni...

— Tak, przypominam sobie... monter... od wody. Ale jaki on ma związek z...?

Ralph z trudem napełniał płuca oddechem. Brzmiało to, jakby z materaca uchodziło powietrze.

— Z nim Julia umówiła się tamtego wieczoru — stwierdził. — Z tym monterem. Nie wiem, kiedy się umówili, widocznie podczas jednej z jego wizyt. A może, kto wie, któregoś razu we wsi albo na plaży. Tak czy siak, w noc świętojańską umówili się na plaży przy tej drugiej restauracji. Alex próbował ją od tego odwieść, nie ufał facetowi. To znaczy Aleksowi już i tak było bardzo przykro, że jej nie wystarczał. Powiedziała mu, że uważa go za dzieciaka i że pociągają ją prawdziwi mężczyźni. No i tego wieczoru... tej nocy... Alex w końcu mimo wszystko z nią poszedł, bo — jak już wspominałem — nie miał do gościa zaufania. I wtedy stało się to, co się stało. Marc, ten mężczyzna groził Aleksowi. Zagroził, że coś mu zrobi, jeśli kiedykolwiek wspomni o tym rodzicom. Och, gdybym ja wtedy o tym wiedział, to tego drania już nie byłoby na tym świecie!

— Ale jak Julia...

— Zaczekaj, jeszcze nie skończyłem. Julia umówiła się z Alekssem, że nikomu o tym nie opowiedzą, a właściwie on musiał jej przysiąc, że nie piśnie ani słowem. Wtedy na plaży, po tym, co się wydarzyło.

— Ale ja ją znalazłem. Gdy ją znalazłem...

— Okropnie się wstydziła, uważała, że to wszystko jej wina. Obawiała się, że Caroline i ty uznacie, iż była bardzo głupia. Bała się, że już nigdy nie będziecie jej ufać i nigdy jej nigdzie nie puścicie. Dlatego wymyśliła, że będzie udawać nieprzytomną i powie wam, że nic nie pamięta.

Pół godziny później stałem z Judith na korytarzu. Alex i Thomas poszli do szpitalnej kawiarni. Judith właśnie stwierdziła, iż cieszy się, że byłem przy tym obecny. A ja powiedziałem, że Ralph „pięknie odszedł”.

Wtedy doktor Maasland zaczął zrzędzić o wycinku, który nigdy do nich nie dotarł. Poprosił Judith o zgodę na autopsję.

— To jest jednak bardzo dziwne — doszła do wniosku Judith, gdy doktor Maasland odszedł. — Naprawdę nie przypominasz sobie, co się wtedy stało? Pamiętam, jak mówiłeś, że w szpitalu nie stwierdzili niczego groźnego.

— To rzeczywiście dziwne — odpowiedziałem. — Ten arogancki dupek zachowuje się teraz tak, jakbym to ja ten wycinek zgubił, a to oni powinni być bardziej uważni.

— Ale przed chwilą stwierdziłeś, że nie pamiętasz. Dlaczego tak powiedziałaś, Marc? Nic z tego nie rozumiem. Myślałam, że to była jakaś sprawa pomiędzy tobą a Ralphem. A zresztą, co on chciał z tobą omówić? Czy to miało z tym coś wspólnego?

— Judith, posłuchaj — odparłem. — Wydaje mi się, że dla nas obojga będzie lepiej, jeśli przez pewien czas nie będziemy się spotykać. Mam właściwie na myśli, że może nawet nie tylko przez pewien czas, ale dłużej. Wspierałem cię do tej chwili, lecz teraz muszę spróbować uporządkować na nowo własne życie. Zbyt wiele się wydarzyło. Zdarzyły się rzeczy, o których nie masz zielonego pojęcia. Nie mogę mieć przy tym jeszcze i ciebie na głowie.

## ROZDZIAŁ 49

Dwa dni później zadzwonił do mnie doktor Maasland. Przyjmowałem właśnie pacjentkę — pisarkę, która z powodu nadmiernego spożycia wina wyglądała na dwadzieścia lat starszą niż w rzeczywistości, a na osiemnaście lat więcej na poddanym obróbce w Photoshopic portrecie, umieszczonym z tyłu okładki jej najnowszej książki.

— Mogę za chwilę oddzwonić? Mam pacjentkę.

— Obawiam się, że nie, doktorze Schlosser. Sprawa jest zbyt poważna.

Przez ostatnie lata twarz pisarki starzała się w przyspieszonym tempie. Czerwone wino drenuje skórę od spodu. Podobnie jak w wypadku wód gruntowych, płyny opadają poniżej poziomu skóry, która — leżąc odłogiem — obumiera. Uchodzi z niej życie. Zwierzęta poszukują obszarów bogatszych w wodę. Rośliny marnieją i giną. Słońce i wiatr mają wolną rękę. W ziemi ukazują się rysy. Następuje jej erozja, a przenoszony z wiatrem piasek coraz głębiej ściera jej powierzchnię.

— Udało się wam odnaleźć wycinek? — zapytałem doktora Maaslanda. — Ten, który wam wówczas przysłałem? To przecież dziwne, że coś takiego może się zawieruszyć.

Na drugim końcu rozległo się westchnienie — rodzaj westchnienia wydawanego przez specjalistów, gdy zmuszeni są wyjaśnić lekarzowi pierwszego kontaktu coś skomplikowanego. Coś, co prostego lekarza po prostu przerasta.

— Jeszcze się tym nie zajęliśmy, ale tutaj nie chodzi właściwie o tę kwestię. Wczoraj dokonaliśmy sekcji zwłok pana Meiera, z której niezbitnie wynika, że ktoś — musimy przyjąć, że to pan, doktorze Schlosser — wyciął tkankę z uda pana Meiera.

— No przecież cały czas o tym mówię.

— Proszę pozwolić mi dokończyć, doktorze Schlosser. Chodzi o to, że tej tkanki wycięto zbyt wiele i ze zbyt dużego obszaru. A każdy lekarz powinien wiedzieć, że w przypadku choćby najmniejszego podejrzenia groźnej choroby na początku niczego nie powinno się wycinać. Wpierw należy sprawdzić liczbę białych ciałek we krwi i dopiero potem można wykonać badanie histopatologiczne. To jest podstawowa wiedza z pierwszego roku medycyny, doktorze Schlosser.

— Wydawało mi się, iż mam do czynienia z nagromadzonym tłuszczem — odpowiedziałem — co w przypadku przyzwyczajień kulinarnych pana Meiera nie było wcale nielogiczne.

— Przez to, że ciął pan tak rygorystycznie, komórki rakowe przedostały się prawdopodobnie do krwiobiegu. Od tego momentu pan Meier nie miał już najmniejszej szansy na wyzdrowienie. Dlatego też zgłosiłem to natychmiast do odpowiednich instancji. Dochodzenia takie toczą się przeważnie tygodniami, a nawet miesiącami, lecz biorąc pod uwagę, jak poważna jest ta sprawa, jak również to, że w grę

wchodzi dobre imię naszego szpitala, udało się w bardzo krótkim terminie znaleźć dziurę w kalendarzu.

— Dziurę w kalendarzu?

— W Izbie Lekarskiej. Oczekują tam pana w przyszły wtorek o dziewiątej.

Uśmiechnąłem się lekko do pisarki, która, wiercąc się na krześle, zaczęła zdradzać zniecierpliwienie.

— We wtorek w przyszłym tygodniu... — powtórzyłem. — Ale w przyszły piątek jest pogrzeb.

Myślałem, że...

— Doktorze Schlosser, mam nadzieję, że się rozumiemy. Wydaje mi się, że rodzina nie będzie sobie życzyła pańskiej obecności na pogrzebie. W każdym razie nie po tym, jak poinformujemy ją o rezultatach naszych badań.

— A kiedy to nastąpi? Czy to wszystko musi odbywać się tak szybko? Przecież nie został jeszcze wydany definitywny wyrok. To stanie się dopiero we wtorek, a może nawet jeszcze nie wtedy. Być może Izba Lekarska zechce wszystko spokojnie rozważyć?

Zdałem sobie sprawę, że zadaję zbyt wiele pytań. Nerwowi ludzie stawiają zbyt dużo pytań naraz. Udawałem przed sobą, że nie jestem zdenerwowany, tylko nie powinienem był wymawiać słów „Izba Lekarska” w obecności pacjenta.

Na drugim końcu ponownie rozległo się głębokie westchnienie.

— Wyniki naszych badań zawsze przesyłamy pocztą. Tylko to mogę dla pana zrobić. Jesteśmy zobowiązani do poinformowania rodziny. Robiąc to drogą pocztową, trzymamy się wytycznych, dając jednocześnie lekarzowi dodatkowy dzień zwłoki. Proszę to uznać za drobną przysługę ze strony kolegów, Marc.

## ROZDZIAŁ 50

— Herzl z tej strony.

Ludzki głos się nie starzeje. Nawet gdyby się natychmiast nie przedstawił, to brzmienie głosu mojego wykładowcy biologii medycznej rozpoznałbym spośród tysięcy innych.

— Profesorze Herzl, co u pana słyhać? — zapytałem.

— Wydaje mi się, Marc, że to raczej ja ciebie powinienem o to zapytać. Jesteś sam? Możesz rozmawiać?

Rzeczywiście siedziałem sam za biurkiem w moim gabinecie. W poczekalni było wyjątkowo tłoczno: czterech pacjentów czekało, aż ich poproszę do środka, lecz ja nie miałem na to ochoty, więc kazałem im jeszcze chwilę posiedzieć.

— Jestem sam — potwierdziłem.

— To dobrze. Nie bierz mi za złe, że od razu przejdę do sprawy, pomijając grzeczności. Proponuję, żebyś najpierw mnie wysłuchał, a dopiero jak skończę, ty będziesz zadawał pytania, czyli jak dawniej podczas wykładów. Czy to nie stanowi dla ciebie problemu?

— Nie.

— Świetnie. Posłuchaj. Po tym, jak usunięto mnie z uniwersytetu, miałem się różnych zajęć, czym nie będę cię dalej zanudzać. Holandia to komunistyczny kraj. Kto popadnie w niełaskę, ten może sprzątać toalety. Ja aż tak nisko nie upadłem, ale przez lata pracowałem w miejscach, w których nie powinienem był pracować. Tak czy siak: moje przekonania sprzed lat zostały powszechnie zaakceptowane, ale nie myśl, że ktokolwiek mnie za coś przeprosił. Jednak przez ostatnich pięć, może dziesięć lat otrzymywałem propozycje pracy, która — jakby to powiedzieć — lepiej do mnie pasowała. Od jakichś dwóch lat pracuję w Izbie Lekarskiej jako niezależny doradca.

W tym miejscu Aaron Herzl umilkł na chwilę, lecz ja powstrzymałem się od zadawania pytań. Jednocześnie jeszcze mocniej przycisnąłem słuchawkę do ucha.

— Dobra — powiedział Herzl. — Doradzam jedynie, nie mam prawa głosu. Czasami dostrzegam to, czego inni nie widzą. Kilka dni temu na moje biurko trafiła twoja sprawa, Marc. Natychmiast sobie ciebie przypomniałem. Lekarz pierwszego kontaktu. Zawsze żałowałem, że nie studiowałeś dalej, zdecydowanie miałeś ku temu zdolności. Jutro rano o dziewiątej wybije godzina prawdy. Przystudiowałem twoją sprawę w najmniejszych detalach, bo niecodziennie się zdarza, żeby któryś z moich byłych studentów miał stawić się przed Izbą Lekarską. Powiedziałem „w najmniejszych detalach”, choć wcale nie było to konieczne. Natychmiast rzuciło mi się to w oczy. Posłuchaj, Marc, zadam ci teraz kilka pytań. Najlepiej będzie, jak odpowiesz na nie „tak” lub „nie”. To wszystko

pozostanie *off the record*<sup>1</sup>. Tylko jeśli pozostaniesz wobec mnie szczery, będę mógł ci pomóc. Ponadto w moim interesie jest, abym i ja nie wszystko wiedział. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

— Tak — odpowiedziałem. W tym momencie moja asystentka wsunęła głowę do gabinetu. Zrobiła pytającą minę i wskazała ręką za siebie, w miejsce, gdzie znajdowała się poczekalnia. Nie odzywając się, wargami sformułowałem wyrazy: „Wyjdź, proszę”, które odczytała natychmiast, po czym jej głowa zniknęła za drzwiami.

Myślałem, że Herzl ponownie powie „dobra”, lecz tego nie zrobił albo to przegapiłem.

— Nie muszę ci mówić, że lekarz pierwszego kontaktu nigdy nie pobiera tkanki do badania histopatologicznego, w szczególności wtedy, gdy istnieje podejrzenie, że może chodzić o zagrażającą życiu chorobę. Ściśle biorąc, nie chodzi tu więc nawet o błąd w sztuce medycznej, ale raczej o zaćmienie umysłu. Lekarz pierwszego kontaktu może wypalić znamię albo usunąć tłuszczaka, jednak jeśli nawet w najmniejszym stopniu podejrzewa, że może chodzić o coś poważnego, to trzyma się z daleka. W twoim przypadku tak się nie stało. Co gorsza, tkanka została wycięta w tak rygorystyczny sposób, że w razie zagrażającej życiu choroby przyczyniłoby się to jedynie do jej szybszego rozprzestrzeniania. Zgadza się Marc?

— Tak.

— Następnie ten wycinek nigdy nie dotarł do szpitala. Mogło się oczywiście zdarzyć, że zaginął. Możliwe jest jednak również i to, że zapomniałeś go wysłać. Uważaj, Marc, tylko „tak” lub „nie”. Zapomniałeś go wysłać?

— Tak.

Usłyszałem, że profesor ciężko wzdycha. Brzmiało to jak westchnienie ulgi. Potem usłyszałem, jak szeleści papierami.

— Cieszę się, Marc, że jesteś wobec mnie szczery. Teraz dochodzimy do pacjenta. Zmarły pacjent... Ralph Meier, aktor... nigdy o nim nie słyszałem, ale to nie ma znaczenia. Przeważnie przebywam w domu, czytam albo słucham muzyki. Nieważne, powróćmy do sprawy. Z jakiego powodu chciałeś pozbyć się tego pacjenta? I to dosłownie, a nie w tym sensie, że wolałeś, aby zgłosił się do innego niż twój gabinetu. W znaczeniu „zniknięcia z powierzchni ziemi”, w grobie, jak też rzeczywiście się stało. Czy o tym właśnie myślałeś, Marc?

— Tak.

— Wydarzyło się coś, z powodu czego Ralph Meier nie zasługiwał według ciebie na to, by żyć. To się zdarza. Wszyscy nieraz tak o kimś myślimy, jesteśmy w końcu jedynie ludźmi. Prawdopodobnie miałeś swoje powody. To, o co teraz cię zapytam, nie ma właściwie związku ze sprawą ani ze sposobem, w jaki Izba Lekarska będzie ją jutro rozpatrywać. To z czystej ciekawości. Z osobistego zainteresowania tobą, ale także rodzajem ludzkim. Masz naturalnie prawo, by nie odpowiadać. Nie babrałem się w twoim prywatnym życiu. Dowiedziałem się jedynie, że masz żonę i dwie dorastające córki. Moje pytanie jest bardzo proste. Czy śmierć Ralpa Meiera ma coś wspólnego z twoją rodziną, Marc?

Zawahałem się, po czym odpowiedziałem:

— Tak — lecz Aaron Herzl musiał usłyszeć moje wahanie.

— Powtarzam: Jeśli nie chcesz, to nie odpowiadaj — podkreślił. — Nie wezmę ci tego za złe. Czyli to ma coś wspólnego z twoją rodziną. Twoją żoną?

Ponownie się zawahałem. Coś we mnie chciało tę rozmowę na tym zakończyć, z drugiej strony nie miałem ochoty, by odpowiadać na pytania jedynie „tak” lub „nie”, pragnąłem wyznać mojemu profesorowi biologii medycznej wszystko.

— Nie — odpowiedziałem. — To znaczy początkowo... Nie, właściwie nie.

— Nie chcę się za bardzo wymądrzać, Marc, ale i mnie nie wydawało się to prawdopodobne. Stawiałem na którąś z córek. Ile one mają teraz lat? Jeśli się nie mylę, czternaście i dwanaście, tak?

— Tak — chciałem Aaronowi Herzlowi wszystko opowiedzieć, ale nie było to potrzebne — on już o wszystkim wiedział.

— Marc — powiedział — rozumiem, że chciałbyś teraz może zdradzić więcej, niż byłoby to dla nas obu korzystne. Musimy jednak naprawdę postarać się ograniczyć do faktów. Dlatego proszę cię ponownie z naciskiem, abyś odpowiadał jedynie „tak” lub „nie”. Kiedyś trafiła na moje biurko sprawa, która — ściśle biorąc — jedynie w części dotyczyła Izby Lekarskiej. Była to sprawa dorosłego mężczyzny, który dopuścił się gwałtu na dwunastoletniej dziewczynce i w dodatku twierdził, że „jej się to podobało”. Oni wszyscy tak twierdzą. My, medycy, wiemy oczywiście lepiej: to defekt. Uszkodzoną partię usuwa się z handlu, tak w każdym razie powinno się robić. Ale znowu odbiegam od tematu. Czy chodziło o coś podobnego, Marc? Tylko „tak” lub „nie”.

— Tak.

— A więc zrobiłeś to, co powinieneś być zrobić — podsumował. — Zrobiłeś to, co każdy ojciec powinien zrobić w podobnym wypadku.

— Tak — potwierdziłem, chociaż Herzl właściwie nie zadał mi żadnego pytania.

— Problem w tym, że nie możesz tego w taki sposób przedstawić Izbie Lekarskiej — ciągnął. — Jej członków nie interesują ojcowie o zdrowych instynktach. Postaram się zasugerować, że chodziło o zaniedbanie wobec pacjenta, jednak wszystko jest zbyt oczywiste. To nie będzie kilkumiesięczne zawieszenie w czynnościach, a raczej całkowity zakaz wykonywania zawodu, jeśli tylko na tym się skończy... — Mam na myśli proces karny. Nie chciałbyś chyba zrobić tego swojej rodzinie, swojej córce?

— To w takim razie... co mam robić? — zapytałem.

Profesor Aaron Herzl westchnął głęboko.

— Po pierwsze, masz się jutro rano nie stawiać — poradził. — To jedynie pogorszyłoby sprawę. Osobiście radzę ci zniknąć zupełnie. Dosłownie. Za granicą. Jeszcze dzisiaj podjąłbym decyzję, Marc. Porozmawiaj o tym z rodziną. Wyjedź. Zaczynij gdzie indziej od nowa. Jeśli potrzebne ci będą referencje, skontaktuj się ze mną, pomogę ci. To naprawdę jedyne, co mogę dla ciebie zrobić.



Po tym, jak się rozłączyliśmy, jeszcze jakiś czas siedziałem niezdecydowany za biurkiem. Mogłem poprosić asystentkę, by odesłała pacjentów do domu. Potrzebny mi był czas do namysłu. Z drugiej strony mogłem się zastanawiać, słuchając bezbrzeżnej paplaniny o niczym. Czasami właśnie wtedy lepiej mi się myślało.

Nacisnąłem na przycisk dzwonka.

— Liesbeth, poproś pierwszego pacjenta — powiedziałem. — Jestem gotowy.

Tłumaczyłem sobie, że muszę się zachowywać, jak gdyby nigdy nic. Wszystko musi być jak zwykle.

Spojrzałem na zegar na ścianie: dziesięć po dziesiątej. Mam jeszcze mnóstwo czasu.

I wtedy, gdy pierwszy pacjent ledwo zajął miejsce, w pobliżu drzwi gabinetu usłyszałem wielki tumult.

— Panie doktorze! — usłyszałem głos asystentki. — Panie doktorze!

Słysząc było odgłos przewracanego z siłą krzesła, a następnie usłyszałem inny głos.

— Gdzie jesteś, łajdaku? — rozległ się przenikliwy krzyk Judith Meier. — Wychyl głowę, jeśli masz odwagę!

---

1. Z ang.: „pomiędzy nami”. [\[wróć\]](#)

## ROZDZIAŁ 51

Kartkowałem akta. Udawałem, że czegoś szukam. To nie byłateczka Ralphi Meiera, lecz jakiegoś przypadkowego pacjenta, którą wyciągnąłem z regału: ani zbyt cienka, ani zbyt gruba. Akt Ralphi Meiera nie posiadałem.

— Tutaj to mam — powiedziałem. — Ralph był u mnie w październiku zeszłego roku. Nie chciał, żebyś się o tym dowiedziała. Obawiał się, że będziesz się bez powodu martwić.

Spojrzałem na nią, a Judith natychmiast odwróciła wzrok. Pociągnęła nosem, stukając palcami w oparcie krzesła.

— W pierwszej chwili myślałem, że to nic poważnego — ciągnąłem. — Tak jest w większości przypadków. No dobrze, mówił, że jest zmęczony, ale to mogło mieć inne przyczyny. Dużo pracował. On zawsze ciężko pracował.

— Marc, oszczędź mi rozwodzenia się i przeprosin. Na to jest już za późno. Doktor Maasland dokładnie mnie poinformował. Nigdy nie powinieneś być wykonywać tego zabiegu, bez względu na okoliczności. Czego jeszcze nie wiedzą w Izbie Lekarskiej, to tego, że przepisywałeś mu w dodatku paskudztwo, które osłabia symptomy. Na początku nawet nie wiedziałam, że łyka te tabletki. Znalazłam je przypadkiem w kieszonce walizki. Wtedy wszystko mi wyznał, również to, że je ma.

— Judith, on był zmęczony. Przemęczony. Miał przed sobą dwa miesiące zdjęć. Oświadczyłem mu wtedy, że nie może nadwerężyć organizmu, że te tabletki przepisuję mu tylko na te dwa miesiące.

Czułem się w pełni opanowany. Spokojny. Jak to się mówi: Miałem siebie całkowicie pod kontrolą. Nawet fakt, że użyłem takiego wyrażenia jak „nadwerężyć organizm”, którego w żadnym innym wypadku bym nie wypowiedział, świadczył o tym, że zaczynam ponownie wierzyć w pozytywne zakończenie sprawy. Popatrzyłem na zegar ścienny. Siedzieliśmy tutaj już kwadrans. Słyszałem niewyraźne odgłosy z poczekalni, a potem zamykanie drzwi wyjściowych. Teraz panowała cisza. Wszyscy sobie poszli.

— Dlaczego tak nagle, Judith? — zapytałem. — Dlaczego przychodzisz tu i nazywasz mnie w obecności innych pacjentów i mojej asystentki mordercą? W zeszły piątek, na pogrzebie, myślałem jeszcze, że skołowały cię bzdury, które próbował ci wcisnąć Maasland, ale wygląda na to, że naprawdę w nie wierzysz. A poza tym, delikatnie mówiąc, nie wydaje się, żebyś przez ostatnie miesiące była pogrążona w smutku z powodu Ralphi. Nigdy nie słyszałem, żebyś się z tego powodu użalała, gdy wpadałem do ciebie na kawę.

Teraz Judith zaczęła płakać. Westchnąłem głośno. Nie miałem na to wszystko czasu. Chciałem iść na górę, zastanowić się z Caroline, co robić. Za kilka dni zaczynały się jesienne ferie i mieliśmy we czwórkę lecieć do Los Angeles. Musiałem się naradzić z Caroline, czy czasem nie wylecieć wcześniej

— nie wspominając oczywiście o rozmowie z Aaronem Herzlem.

— Powiedziałeś, że nie możesz mieć jeszcze i mnie na głowie, Marc! — zachlipała Judith — że nie powinniśmy się już widywać. To były twoje słowa: „Zbyt wiele się wydarzyło. Nie mogę mieć przy tym jeszcze i ciebie na głowie”. Nie mogłam uwierzyć, że to słyszę! Jak mogłeś być tak bezwzględny? Ralph nie żył zaledwie od pół godziny.

Wpatrywałem się w nią. Czy słuch mnie nie mylił? Chełpiłem się zawsze tym, że potrzebuję niespełna minuty, by stwierdzić, co komu dolega, lecz to przechodziło moje najśmielsze oczekiwania. Spoglądałem na jej twarz. Choć spływały po niej łzy, to rysowało się na niej przede wszystkim niezadowolenie. Głęboko zakorzenione niezadowolenie, niezadowolenie, z którym człowiek się rodzi, a na które nie ma żadnego remedium. Nic nie jest w stanie go wyleczyć. Drogie ekspresy do kawy, osobista uwaga czy przebudowa domu sprawiają, że niezadowolenie schodzi na chwilę na dalszy plan, lecz jest z nim tak, jak z przeciekającą ścianą: można przykryć ją kolejną warstwą tapety, ale i na niej z upływem czasu pojawiają się brązowe plamy.

Niewiele da się z tym zrobić. Można je na krótko przytłumić lekarstwami, tak zwanymi tabletkami radości, ale koniec końców niezadowolenie powraca, i to ze wzmożoną siłą.

Wiedziałem, że jedynie za pomocą zastrzyku mógłbym sprawić, by zniknęło ono z twarzy Judith. Definitywnie.

Przypomniałem sobie jej reakcję, gdy Ralph na plaży wystrzelił w powietrze garnek; jej ogólne narzekania na głośny huk petard; jej niepokój, że być może w biurze nieruchomości nie zwrócą im kaucji. Wspomniałem, co Caroline powiedziała mi na jej temat: o Stanleyu i Judith nad basenem. „Wyczałował ją od stóp do głów”, opowiadała, „Calusieńką, i to dosłownie!”.

Wiedziałem, co powinienem teraz zrobić. Wstałem z krzesła i obszedłem biurko. Położyłem dłonie na jej ramionach, a następnie pochyliłem się tak, że moja twarz dotknęła jej twarzy.

Spodziewałem się, że poczuję ciepło — moką, lecz ciepłą twarz — jej łzy były jednak zimne.

— Moja kochana Judith — powiedziałem.

## ROZDZIAŁ 52

Siedzieliśmy nad basenem. Tylko Julia i ja. Caroline pojechała z Lisą na zakupy do Santa Barbara. Stanley omawiał gdzieś w Hollywood nowy projekt, a Emmanuelle poszła na górę na popołudniową drzemkę.

Julia leżała na brzuchu na dmuchanym materacu w cieniu palmy. Ja siedziałem na leżaku, przeglądając czasopisma, które wyniosłem z domu: ostatnie „Vanity Fair” i „Ocean Drive”. Tak jak mówił Stanley, w oddali słychać było morze, a od czasu do czasu dochodził gwizd pociągu. Pomiędzy domem Stanleya a morzem znajdował się niestrzeżony przejazd przez pojedynczy tor. Gwizd pociągu brzmiał inaczej niż ponad rok wcześniej w hotelu w Williams, ale możliwe, że to ja inaczej go odbierałem.

Patrzyłem na Julię. Może spała, a może i nie. Na górze materaca leżał jej iPod, lecz w uszach nie miała słuchawek. W Holandii była jesień. Tutaj trzeba było przebywać w cieniu, gdyż na słońcu było zbyt upalnie. Spodziewałem się, że zadzwonią do mnie z Izby Lekarskiej z pytaniem, dlaczego nie stawilem się u nich we wtorek, ale nie było żadnego telefonu. Również przez kolejne dni panowała cisza. W piątek sam zadzwoniłem. Słuchawkę podniosła sekretarka, która powiedziała, że wszystkie bieżące sprawy „zostały przesunięte na po feriach”. Ponownie zapytała mnie o nazwisko.

— Doktor Schlosser — powtórzyła. — W moim komputerze zaznaczony jest pan czerwoną strzałką. Oznacza to, że pańska sprawa zostanie rozpatrzona w pierwszej kolejności, ale orzeczenie zostanie wydane dopiero w tygodniu po feriach. Zawiadomimy wtedy pana o nim najpóźniej pod koniec tygodnia.

Następnego dnia rozpoczęły się jesienne ferie i wylecieliśmy we czwórkę do Los Angeles. Stanley zaproponował, że po nas wyjdzie, ale odpowiedziałem, że to niepotrzebne. Wynajętym samochodem dojechaliśmy autostradą numer 1 do Santa Barbara w ciągu niecałych dwóch godzin.

Przez pierwsze dni nic nie robiliśmy. Plątaliśmy się koło basenu i wałęsaliśmy po ulicach ze sklepami. Znowu jedliśmy kraby na moło.

Trzeciego dnia Stanley stwierdził:

— Mam teorię. Długo o tym myślałem. Chociaż może nie aż tak długo.

Siedzieliśmy w restauracji rybnej przy plaży. Słońce właśnie zaszło. Caroline, Emmanuelle, Julia i Lisa wybrały się na spacer brzegiem morza. Stanley wyciągnął z kubelka do chłodzenia białe wino i ponownie napełnił nim kieliszki.

— Noc świętojańska — kontynuował — w zeszłym roku. Byliśmy na plaży z tymi dziewczynami, a Ralph próbował skopać Norweżkę. Nie widzieliśmy się po tym przez kilka godzin. W tym czasie przydarza się twojej córce... no to, co się przydarzyło. A ty jedno dodajesz do drugiego i wkrótce po wakacjach Ralph zapada na śmiertelną chorobę, a rok później umiera. Nie jestem lekarzem, więc nie

wiem, jak to pod względem praktycznym jest możliwe, ale może ty mi to wytłumaczysz?

Nie odezwałem się. Uśmiechnąłem się tylko i napiłem wina.

— Opowiem ci coś innego, Marc. Jak wiesz, w zeszłym roku kręciliśmy *Augusta*. Dałem w nim niewielką rolę Emmanuelle. Zagrała jedną z nieślubnych córek cesarza. Pewnego dnia niespodziewanie przyszła do mnie, mówiąc, że już nie chce tej roli, bo nie może znieść sposobu, w jaki Ralph się do niej odnosi i na nią patrzy, zarówno na planie zdjęciowym, jak i poza nim. Porozmawiałem z nim wtedy. Ostrzegłem go jednoznacznie, że ma przestać się tak zachowywać, a on udawał, że to tylko żart, że Emmanuelle przesadzała, ale jednak z tym skończył. Musiałem uroczyście obiecać Emmanuelle, że po zakończeniu zdjęć już nigdy więcej nie będzie musiała go oglądać.

To było kuszące. Nęciło mnie, by opowiedzieć Stanleyowi jeśli nie wszystko, to przynajmniej kilka szczegółów. Wypiłem już prawie całą butelkę wina. Mógłbym — pomyślałem — ułożyć z nich ładną historię.

— Ralph miał kompletnego świra — stwierdził Stanley. — Jak on traktował kobiety! No tak, o tym obaj się przekonaliśmy. Wcale nie żałuję, że go już nie ma pośród nas. Po prostu jestem ciekawy, jedynie w sensie praktycznym. Ściśle rzecz biorąc, wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, że to on Julię... Po tym, jak kopnąłeś go w kolano, prawie nie mógł chodzić, pamiętasz? Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że ty podejrzewałeś, że mógł być sprawcą, więc zadziałałeś, może nawet jeszcze tego samego wieczoru ...

Chciałem powiedzieć: „ciepło”, powiedziałem jednak coś innego.

— Sam użyj fantazji.

Przez pełną sekundę wpatrywał się we mnie. Jego oczy zaczęły lśnić. W następnej chwili roześmiał się w głos.

— No niezły jesteś, Marc, naprawdę. Nic już nie musisz mi mówić. Wydaje mi się, że udzieliłeś odpowiedzi na moje pytanie i to bardziej niż satysfakcjonującej.

Tego popołudnia oglądaliśmy zdjęcia, które Stanley wykonał podczas wakacji w letnim domu. Zapytałem o nie mimochodem — o to, czy ma więcej zdjęć oprócz tych, które wcześniej widziałem na jego stronie.

Siedzieliśmy za jego biurkiem. Opuścił żaluzję, by nie przeszkadzało nam ostre światło, i klikał na zdjęcia na ekranie.

Caroline i Emmanuelle zostały przy basenie. Lisa i Julia stały po prawej stronie Stanleya, oparte o biurko. Ja siedziałem po lewej stronie na taborecie.

Nie było zbyt wielu nieznanych zdjęć. Ukradkiem patrzyłem na Julię, gdy na ekranie pojawiały się zdjęcia montera. Jedno zdjęcie było nowe. Julia i monter stali na nim naprzeciw siebie. Julia pokazywała różnicę w ich wzroście, trzymając płasko dłoń nad jego głową. Oboje byli roześmiani.

Czekałem na moment, w którym Julia spojrzy w bok, na mnie. Już przed kilkoma tygodniami postanowiłem, że zaczekam na odpowiedni moment, ale wraz z upływem czasu zacząłem wątpić, że

w ogóle nadejdzie.

Gdyby teraz spojrzała w bok, to dalibyśmy sobie nawzajem do zrozumienia, że wiemy. To by mi wystarczyło.

Nie zrobiła tego jednak. Zachichotała jedynie i pospieszyła Stanleya, by kliknął na kolejne zdjęcie.

— Patrzcie — zawołała nagle Lisa. — To ten osioł!

W trójkę popatrzyliśmy na nią.

— Osioł z kempingu! Ten biedaczek, tato!

Pochyliłem się w stronę ekranu. Było na nim rzeczywiście widać osła, który przechylał łeb nad drewnianym płotem.

— Znasz tego osła, Lisa? — zaśmiał się Stanley. — Może widziałas go w ogrodzie zoologicznym, bo tam zrobiłem to zdjęcie. Wiesz, tam jest takie zoo, zupełnie zwyczajne, odwiedziłem je już jakiś czas po waszym wyjeździe. Ach, ale wy oczywiście o tym wiecie, to tam przecież zawieźliście ptaszka. Ty i twój tata.

— Ale wtedy tego osła jeszcze tam nie było — odparła Lisa.

— A skąd wiesz, że to ten sam osioł? — zapytałem prędko.

— To przecież widać — odpowiedziała Lisa. — Tam była też lama. Jej też zrobiłeś zdjęcia, Stanley?

Stanley odchylił się do tyłu na krześle i objął moją córkę ramieniem.

— Nie, kochanie, lamie nie zrobiłem zdjęcia — odparł. — Ale masz rację, wydaje mi się, że lama też tam była.

— Tato, wskakujesz?

Miałem zamknięte oczy, a teraz je otworzyłem. Julia stała oparta jedną stopą o początek trampoliny. Patrzyłem pod światło i nie widziałem przez to jej twarzy.

— Okej — odpowiedziałem.

Stanley zrobił z Julią już całą serię zdjęć: tutaj w ogrodzie i na plaży. Jutro miała odbyć się oficjalna sesja fotograficzna z wizażystką oraz stylistką. Nie było jeszcze konkretnej propozycji, ale według Stanleya zainteresowanie było duże. Wymienił kilka tytułów znanych pism z dziedziny mody i filmu. Zrobił też parę zdjęć Lisie.

— Ile masz teraz lat? — zapytał ją. — Dwanaście? To doskonale. Być może będziesz musiała troszkę dłużej poczekać, ale zawsze może znaleźć się wśród nich czasopismo, które uzna, że jesteś dokładnie taką osobą, jakiej poszukują.

Od naszego przyjazdu do Ameryki jeśli myślałem o monterze, to jedynie jako o organizmie, który oddycha i którego serce bije. Popatrzyłem znowu na Julię, która doszła już do połowy trampoliny. Ponownie spróbowałem o nim nie myśleć — z powodzeniem. Uśmiechnąłem się do mojej córki.

— No chodź, tato!

Zacząłem się podnosić, opadłem jednak ponownie na krzesło. Zaczekałem, aż dotrze do końca

trampoliny.

Odwróciła do mnie twarz. Zdecydowałem, że odpowiedni moment minął już na dobre. Odpowiedni moment należał do przeszłości. Moja córka na trampolinie była przyszłością.

Spojrzeliśmy na siebie. Najpierw popatrzyłem na nią jak na dziewczynkę, a potem jak na kobietę. Wtedy odbiła się od trampoliny.